



MARTA ZABOROWSKA

Jej życie było idealne...
A może wszystko w nim
było idealnym kłamstwem?

SZEŚĆ POWODÓW, BY UMRZEĆ

CZARNA OWCA

MARTA ZABOROWSKA

**SZEŚĆ POWODÓW,
BY UMRZEC**

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Copyright © by Marta Zaborowska
Copyright © 2024 for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca
All rights reserved
Printed in Poland

Redaktor prowadzący: Katarzyna M. Słupska
Redakcja: Wojciech Adamski
Korekta: Ewa Skibińska, Maciej Korbasiński
Projekt okładki i stron tytułowych: Karolina Michałowska
Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie pierwsze
Warszawa 2024
ISBN 978-83-8252-781-0

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czarnaowca.pl
Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Cytat

Czwartek, 17 września

Sześć miesięcy wcześniej, Sobota, 7 marca

Wtorek, 1 września

ADELA

Środa, 2 września

KONRAD

ADELA

KONRAD

STAN

FLORIAN

NATALIA

ADELA

Czwartek, 3 września

KONRAD

FLORIAN

ADELA

KONRAD

FLORIAN

Piątek, 4 września

STAN

Nauman

Sobota, 5 września

ADELA

SHI LU

FLORIAN

Poniedziałek, 7 września

KONRAD

STAN

FLORIAN

SHI LU

KONRAD

NATALIA

KONRAD

Wtorek, 8 września

ADELA
STAN
ADELA
FLORIAN

Środa, 9 września

SHILU
ADELA
STAN
ADELA

Piątek, 11 września

KONRAD
Nauman
ADELA
FLORIAN
KONRAD
STAN

Sobota, 12 września

ADELA
FLORIAN

Niedziela, 13 września

Czwartek, 17 września

Niedziela, 13 września

Czwartek, 17 września

Niedziela, 13 września

MIRIAM

Czwartek, 17 września

MIRIAM

Czwartek, 17 września

Trzy tygodnie później

MIRIAM

Przypisy końcowe

Jeden, dwa, jeden, dwa, idzie Freddy, cicho sza...
trzy, cztery, trzy, cztery, zamknij drzwi na spusty cztery,
pięć, sześć, pięć, sześć, krucyfiks do ręki weź,
siedem, osiem, siedem, osiem, późno spać położysz się,
dziewięć, dziesięć, dziewięć, dziesięć, dziś ze snem pożegnasz się.

Koszmar z ulicy Wiązów

Czwartek, 17 września

— **A** więc znowu się spotykamy. Kto by pomyślał. Chyba zacznę wierzyć w przeznaczenie. Albo w łaskawość losu. Powiem wam, jak to jest z tym losem. Jednym sprzyja, ale drugim już nie. Wam akurat nie wróżę niczego dobrego.

Shi Lu, dwudziestoosmioletnia funkcjonariuszka wzrostu metr pięćdziesiąt osiem, o skośnych oczach i ciasno związanych w koński ogon włosach, podeszła do okna gabinetu i sprawdziła, czy żaluzje są dokładnie zasunięte. Gdy uznała, że jest tak, jak być powinno, wróciła do biurka i usiadła obok swojego guru, śledczego Naumana. Zaraz potem skierowała światło zielonej lampki centralnie na głowy dwójki ludzi usadowionych po przeciwnej stronie. Wykrzywili odruchowo twarze.

– Coś nie tak? – spytała.

– Niepotrzebnie dręczysz naszych gości, dziecinko. – Nauman poruszył się na swoim krześle z podłokietnikami wyglądającym trochę jak fotel. – Widzisz przecież, że są w nie najlepszej formie.

Shi Lu nieśpiesznie przekreśliła lampę, by nie raziała ich w oczy.

– Ma pan rację. Powinniśmy być dla siebie bardziej wyrozumiali. W końcu znamy się nie od dziś.

Linia graniczna światła zatrzymała się na wysokości nosów przesłuchiowanych. Shi Lu lubiła patrzeć na dolną część ich twarzy i wbrew opinii o prawdzie wyzierającej z oczu uważała, że o ile nad spojrzeniem można zapanować, o tyle nad reakcją ust i brody już nie do końca. Za dużo w nich mięśni, które drgają przy byle bodźcu.

Nauman swoim zwyczajem pozostawał w niemal całkowitym mroku. Siedział tyłem do okna, ubrany w ciemnografitowy garnitur, czarną koszulę i takiż krawat, co czyniło go ledwie widocznym. Znajdująca się naprzeciw niego dwójka ludzi widziała jedynie zarys jego tułowia i czaszki z ulizanymi włosami delikatnie przyprószonymi siwizną. Co pewien czas, wraz z nieznacznymi ruchami głowy, w fotochromowych szklach okularów mężczyzny odbijało się rozproszone światło rzucane przez zieloną lampę. Dłó-

nie trzymał splecione na wysokości żołądka. Unosiły się wraz z każdym oddechem, nieśpiesznym i nad wyraz spokojnym.

– Osobiście nie mam nic do przeznaczenia, ale nie zamierzam też go przeceniać – odezwał się, wyrwany z chwilowego zamyślenia. – To była raczej kwestia czasu. Przypomnij mi, Shi, jak to tam u was mówicie? – pstryknął palcami w powietrzu.

– Długa droga ujawnia zalety konia.

– Czyż to nie piękna metafora cierpliwości? – Nauman rozłożył ręce. – Wytrwałość, Shi. Tylko ona popłaca, zapamiętaj to sobie.

– Zapamiętam. Mimo to nasi goście wyglądają na zaskoczonych.

Nauman zsunął z oczu okulary.

– Wydaje ci się. Są tylko trochę onieśmieleni. Za kilka godzin przywykną i całkiem się oswoją. Nie mogli przecież zakładać, że rozstaliśmy się z nimi na dobre. W końcu nie mamy do czynienia z... – Mężczyzna wykonał dłonią wirowy ruch tuż przy swojej głowie. – No skąd! To inteligentni ludzie, z wyobraźnią.

– Bywa, że naiwność przerasta zdrowy rozsądek.

– To dość okrutne, co mówisz, Shi. Pozwolisz, że jednak będę się trzymał swojej wersji. Ta ich wyobraźnia... Jak nic należy się im tytuł fantastów roku. Tylko się zastanów, dałabyś radę wymyślić taką zbrodniczą bajeczkę jak oni? Do tego trzeba mieć dar, dziecinko. Więc nie odmawiajmy im ani wyobraźni, ani przeczucia, że tak to się musiało skończyć. To byłoby dla nich zbyt krzywdzące.

– Przypominam panu, że zgarnęliśmy ich z lotniska.

Nauman pokiwał głową.

– Tak, wiem. To akurat było z ich strony wyjątkowo nierozsądne posunięcie. Ucieczka? – Cmoknął nieprzyjemnie przez zęby. – Dokąd to się państwo wybierali? Masz to gdzieś w papierach?

Shi Lu zaszeleściła kartkami.

– Zatrzymano ich przy kasach. Ale nie, biletów jeszcze przy sobie nie mieli. Znalaziono za to przy nich znaczną ilość gotówki w obcych walutach. Głównie dolary i euro, trochę franków.

– Co z bagażami?

– Tylko podręczne torby.

– W końcu wszystko można kupić na miejscu. Podobnie jak w więziennym kiosku. – Nauman nachylił się nad biurkiem i zwrócił wprost do siedzącej po drugiej stronie blatu dwójki. – Przykro mi to mówić, ale najwi-

doczniej właśnie tam jest wasze miejsce, dość odległe od ciepłych fal Pacyfiku. À propos, komu wody?

– Nie trzeba.

– Obejdzie się.

– Nalej im, dziecinko, od serca. – Nauman skinął ręką na Shi Lu. – Błądzi są, wyglądają na wycieńczonych. Zabijanie tak ich zmęczyło. To cholernie ciężka robota. Lej, nie żałuj.

Cierpliwie obserwował, jak asystująca mu funkcjonariuszka stawia na biurku dwa żebrowane kubki i napełnia je do połowy.

– Darmowa dolewka, jakby co. Czujcie się jak w McDonalddie – powiedziała, odstawiając butelkę na podłogę. Przy okazji zerknęła na zegarek. – Już po szóstej, zaraz zacznie świtać – szepnęła dyskretnie do Naumana.

– Nie chcę tu żadnego słońca. Na pewno zasunęłaś porządnie żaluzje?

– Na pewno. Przypomniałam jedynie, bo kazał mi pan na to uważać.

– Jesteś niezastąpiona, Shi. A teraz bierzmy się do konkretów, zmarnowaliśmy już wystarczająco dużo czasu.

– Pan czy ja? – zapytała, przysuwając się bliżej z aparaturą do nagrywania.

– Scena jest twoja, dziecinko. Zasłużyłaś.

Kobieta pokornie kiwnęła głową. Wzięła głęboki oddech, po czym włączyła zapis w policyjnej kamerze.

– Jest siedemnasty września dwa tysiące dwudziestego roku. Godzina szósta piętnaście nad ranem. Przesłuchanie w sprawie odnalezionych wczoraj, to jest szesnastego września, ludzkich zwłok znajdujących się we wczesnej fazie rozkładu, prowadzi młodsza aspirant Shi Lu wraz z nadzorującym, śledczym Rudolfem Naumanem. Doprowadzeni zatrzymani w sprawie to... Co się dzieje?! Omdlenie? Niech mi pan pomoże, bo to nie wygląda dobrze. Potrzebne coś pod głowę, żeby tak nie zwisała. Ostrożnie... Dzwonię po karetkę. Halo... mamy problem... wygląda na serce... nie wiem, czy zawał... Tak, podczas przesłuchania. Czy był stres? A jak pani myśli? Tak, oddech słaby, ale jest. Wiem, że nie potrzeba resuscytacji... Okno otwarte, nic więcej nie mogę zrobić. Co z tą karetką, jedzie? Tak, czekamy. Mogłaby jechać szybciej? Jestem spokojna, pytam jedynie, za ile będzie lekarz? To jakaś tajemnica? Wyłączamy nagrywanie. Mógłby pan, bo sama nie dosięgnę? Może pojechaliśmy z nimi za ostro...? Niech pan to wyłączy!

Nauman jedną wolną ręką wcisnął guzik, by zastopować działanie kamery. Drugą wciąż podtrzymywał głowę omdlałego świadka.

– Skasujemy zapis i zaczniemy od początku – zarządził.
Shi Lu przygryzła usta.
– Co powiedziałam nie tak?
– Tu nie chodzi ani o ciebie, ani o to, co powiedziałaś – powiedział Nauman, ścisząc głos. – Na moje oko to tylko zwykły atak paniki. Jeszcze nikt od niego nie umarł. Wylize się.
– Sprawdzę chociaż, czy równo oddycha.
– Oddycha. Ty też zacznij. I dobrze ci radzę: uodpornij się na takie sztuczki. To, co właśnie zobaczyłaś, to był teatr. Wydawało mi się, że ten trik jest już ograny, ale jak widać, na takie naiwne ofiary jak ty wciąż działa. Nie daj się nabierać, Shi.
Nauman gwizdnął przeciągle przez zęby. Do pokoju weszło dwóch funkcjonariuszy, którzy czekali dotąd na korytarzu.
– Wyprowadzić za drzwi i czekać – nakazał im, wskazując na drugiego, całkiem przytomnego świadka. – Niech siedzi tam, aż zawołam. Przerwywamy przesłuchanie na czas przyjazdu pogotowia.
Kiedy zniknęli z pola widzenia, ponownie zwrócił się półgłosem do Shi Lu.
– Jak myślisz, dlaczego unikam dziennego światła?
Wzruszyła ramionami.
– Przyznam, że bałam się o to zapytać. Jest pan jedyną znaną mi osobą, która tak ostentacyjnie wystrzega się słońca.
– Wystrzega? Widzę, że lubisz eufemizmy. Pracujemy zbyt długo razem, żebyś nie zauważyła, że go nienawidzę.
– W tym rzecz. Ludzie zwykle je kochają.
Nauman obrócił twarz do okna.
– Jeden dzień z otwartymi na pełne słońce powiekami wystarczy, żeby czuć światłowstręt do końca życia. Wiesz, co to jest rozwórka do oczu?
Kiwnęła głową.
– Żeby nie wyschły, polewał je kroplami. Przyznam, że regularnie, ale i tak ból był nie do zniesienia.
– Kim był ten człowiek?
– Gdybym to wiedział, byłbym najszczęśliwszym gliną na świecie. Do tej pory go szukam. Z gównianym skutkiem – dodał.
– Kiedy to się stało?
– Dawno. Dekadę temu. Doszło do zabójstwa starszej kobiety. Dla forsy, oczywiście, i to całkiem sporej. Trzymała dolary w regale. Tamci działali

we dwójkę, dokładnie jak ci teraz. Tak mi się przynajmniej wydawało. Gówniarze mieli po dwadzieścia lat. Złapałem ich i z fanfarami oddałem w ręce prokuratora. Nie miałem pojęcia, że za tą zbrodnią stoi ktoś jeszcze. Robota wyglądała mi na typowy występ w tandemie.

– A okazało się, że na ramie siedział jeszcze ten trzeci?

– Raczej na kierownicy.

– Facet od rozwórki.

– Taa... od cholерnej rozwórki, Shi.

– Za wsypanie kumpla z kierownicy można doznać w celi nagłego pęknięcia śledziony – zauważyła kobieta.

– Lub udławić się szczoteczką podczas mycia zębów. Dlatego ten trzeci wciąż był na wolności. Dopadł mnie, gdy tamci siedzieli już po wyroku.

– Domyślałam się, że nie chodziło mu o zawarcie z panem dozgonnej przyjaźni.

– Nie uwierzysz, Shi, ale okazał się wyjątkowo wylewnym człowiekiem. Zwierzył mi się nawet ze swoich uczuć. A konkretnie z jednego: że nikt go tak w życiu nie wkurwił jak ja. Tamci dwaj to byli jego najlepsi ludzie. Zaufani podwykonawcy. Pupile, których nie mógł odżałować. Dlatego postanowił powspominać ich razem ze mną. Ostatnie, co widziałem, kiedy zapraszał mnie do swojego samochodu, to asfalt na parkingu przed moim blokiem. Ocknąłem się na jakimś zadupiu pełnym elektrycznych słupów. Siedziałem rozebrany do pasa i z opaską na czole. Dociskała mi głowę do jednego ze słupów tak, żebym nie mógł nią obrócić.

– To miała być zemsta za kumpli?

– A jak ci się wydaje? Że chciał mi zrobić przyjemność, żebym się poopalał na słoneczku? Nie było czapki z daszkiem, Shi. O kremie z filtrem nie wspomnę.

– Grubo...

– Zabawa w obsługę solarium znudziła mu się po jakichś pięciu godzinach. Wlał mi do oczu ostatnią porcję kropli i ulotnił się na kilka minut przed przyjazdem radiwozu. Był uprzejmy powiadomić, gdzie mnie znajdują, bo zabijać mnie nie zamierzał. Wolał zostawić po sobie pamiątkę. I nie chodzi tylko o chore oczy.

– Za każdym razem, gdy patrzy pan na słońce, wracają wspomnienia? – zgała Shi Lu.

Nauman zadumał się.

– Do tej pory nie mogę sobie darować, że ich nie docisnąłem. Gdybym tylko miał cień podejrzenia...

– Może jeszcze nie jest za późno?

– Przepadło, dziecinko. Przegapiłem moment. Nie ma już czym z nimi handlować. Siedzą od dziesięciu lat i posiedzą kolejnych piętnaście.

– Dostali od dzwonka do dzwonka?

– Taa... Nie ma o czym gadać, Shi. Co z tym pogotowiem?

– Chyba ich słyszę.

Shi Lu wyjrzała za drzwi. Na końcu korytarza zobaczyła siedzącą wyprostowaną postać, obok której warowało dwóch funkcjonariuszy. Od drugiej strony dochodziły odgłosy kroków.

– Tutaj, panowie! – zawołała, robiąc w drzwiach przejście dla ratowników. – Szybciej, szybciej!

Patrzyli z Naumanem, jak lekarz z ratownikiem klękają na wypłowiej wykładzinie i jak sprawdzają czynności życiowe świadka. Obserwowali ich sprawne ruchy i podziwiali opanowanie, z jakim lekarz sięga do torby po stetoskop oraz strzykawkę, a następnie przyrządza w ampułce mętną zawiesinę, by po chwili wstrzyknąć ją w żyłę omdlełej ręki. Gdy tłok się zatrzymał, jeszcze raz zbadał serce.

– Za kwadrans całkiem dojdzie do siebie.

Shi Lu stanęła za lekarzem.

– Co to było? Zapaść?

– Chwilowe zasłabnięcie, nic groźnego. Podałem lek wzmacniający.

– Zasłabnięcie nie trwa dwudziestu minut, doktorze.

Mężczyzna wstał z kolan. Chwycił Shi za łokieć i odciągnął kilka kroków dalej.

– Zwykle trwa dwie, trzy minuty. Tym razem też tak było – dodał znacząco.

– Czyli udajemy? Nic nam nie jest, ale pozorujemy zawał?

– Coś w tym stylu.

Wzięła bardzo głęboki oddech. Odprowadziła ratowników na korytarz i gestem ręki dała znać, by funkcjonariusze wprowadzili osobę czekającą na krześle.

– Piękne przedstawienie – mruknęła do Naumana, gdy tylko zostali sam na sam z przesłuchiwanymi.

Uśmiechnął się na te słowa.

– Kolejna lekcja za tobą, Shi. Patrz, słuchaj, ale im nie wierz. A teraz skończmy to, co zaczęliśmy.

Nachylił się nad leżącą postacią i poklepał ją otwartą dłonią po policzku. Na tyle mocno, że od razu skrzywiła się z bólu.

– Pobudka – powiedział oschle. – No już, wstajemy.

Gdy cała czwórka siedziała z powrotem na swoich miejscach, przyjął tę samą pozycję, co poprzednio. Wyciągnął wygodnie nogi i splótł dłonie na brzuchu.

– Na czym to stanęliśmy... Zaczekaj, Shi, nie włączaj jeszcze nagrywania. Chcę powiedzieć coś naszym gościom. A że powiem to tylko raz, wolałbym, żeby nie rozpraszała ich praca kamery. Mają się skoncentrować na tym, co mam im do przekazania, i dobrze mnie zrozumieć.

– Wydaje mi się, że wystarczająco dokładnie wyjaśniłam, jak będzie wyglądało przesłuchanie – odparła Shi.

– Nie wątpię, dziecinko. Jesteś wzorem sumienności. Ale nie chodzi mi o procedury.

Shi Lu wzruszyła ramionami.

– Więc niech pan mówi.

Nauman wydał się jej nabuzowany. Widziała, jak napina się w sobie, a mięśnie w wąskich rękawach jego marynarki drgają niczym u kulturysty na zawodach. Długo zbierał się, by ponownie otworzyć usta. Była pewna, że gdy wreszcie to zrobi, wyleje z siebie potok złości, ale usłyszała tylko dwa słowa. Wymówił je w czasie, w jakim dałoby się wymówić dziesięć innych.

– Ja wiem.

To był pierwszy raz, kiedy zobaczyła go bez okularów. Zdjął je, wsunął końcówkę zausznika do ust i zagryzł. Na nią nawet nie spojrzął. Patrzył za to na przemian to w jedną, to w drugą parę źrenic siedzących vis-à-vis ludzi.

– Proponuję wam układ – powiedział, nie zwracając uwagi na rozszerzające się ze zdziwienia oczy Shi. – Założmy, że jestem w stanie zrozumieć, iż do tej zbrodni musiało dojść. Założmy też, że przestanę się przyglądać temu... – Silnym szarpnięciem wysunął szufladę, wyjął z niej pękata aktówkę i rzucił ją na biurko. – Zużyliśmy na to cały toner w drukarce. – Położył dłoń na teczce. – Ale warto było. Jest tu kilka ciekawych historii, o których prokurator z chęcią poczyta sobie do poduszki. Już ustaliliśmy, że głupi nie jesteście, więc dobrze wiecie, o czym mówię. Skompletowanie

waszego portfolio, a mówiąc wprost: gówna, które po was pozbieraliśmy, zajęło nam z Shi kilka nieprzespanych nocy, nie poszło to jednak na marne. Łzy radości cisną mi się do oczu, kiedy sobie pomyślę, do jakich skarbów się dokopaliśmy. – Palce komisarza zastukały w tekturową obwolutę. – A teraz do rzeczy. Prokuratura nie ma pojęcia, że grzebaliśmy w waszej przeszłości. To była robótka na boku, powiedzmy: dla sportu. Oboje z Shi bardzo lubimy sport. W trakcie naszych ćwiczeń powstała ta oto teczka. Zwykła, z papieru. Jak wiecie, papier łatwo jest zniszczyć. W każdej chwili może trafić do przemielenia. Może też trafić w ręce kogoś, kto załatwi was na cacy. Tylko od was zależy, co się z tym stanie.

– Możemy zamienić słowo? – Shi nie wytrzymała.

– Nie teraz.

Chciała ponownie zaproponować, ale uniesiona ręka Naumana powstrzymała ją.

– Nie odzywaj się przez chwilę, dziecinko. A wy słuchajcie dalej. Deal jest następujący: wraz z Shi opuszczę ten pokój za niecałą minutę. Zostaniecie tu zupełnie sami, powiedzmy na kwadrans. Myślę, że to wystarczająco dużo czasu na podjęcie decyzji.

– Mimo wszystko chciałabym...

– Po kwadransie znów się spotkamy i ponownie uruchomimy kamery. A wy, patrząc w to okrągłe szkiełko, odpowiecie mi na pewne pytanie. Zadam je już teraz. Jest jedno i do tego dziecinnie proste: kim jest człowiek, na którego czekaliście na lotnisku? Proste, nie mówiłem? Na początek tyle mi wystarczy. Na resztę waszych jakże szczerych wyznań przyjdzie jeszcze czas. I niech wam nie przyjdzie do łbów odpowiadać, że planowaliście ulotnić się sami. Darujcie sobie i mnie bajeczkę, że dokonaliście tej zbrodni tylko we dwójkę. Nie obrażajcie mojej inteligencji, dobrze wam radzę, nie róbcie tego. Powtarzam: chcę wiedzieć, kim jest ten trzeci. A teraz kiwnijcie głowami, że zrozumieliście. Doskonale. Gotowi? To czas start.

Shi Lu patrzyła, jak Nauman ze stoickim spokojem wkłada do szuflady teczkę z dokumentami, a następnie przekręca kluczyk i chowa go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Więc o to mu chodziło. O handel wymienny, który sobie z góry zaplanował. Po to była ta historia o rozwórce do oczu. Wystarczyło ją opowiedzieć w obecności jednego z przesłuchiwanym, a potem wyciągnąć kwity, które z taką skrupulatnością kolekcjonowała na jego polecenie przez ostatnie tygodnie. Przygotowywał sobie grunt pod tę rozmowę, bo tym razem postanowił nie odpuścić. Tylko że chyba

nazbyt poniosła go wyobraźnia. Shi była tam przecież, widziała zwłoki i miejsce zbrodni. Nic nie wskazywało na to, że poza tą dwójką był tam ktoś jeszcze. Tego, że czekali na kogoś na Okęciu, by ulotnić się grupowo, też nie da się udowodnić. Chyba że jest coś, o czym wie jedynie Nauman.

Śledczy podniósł się z fotela, obszedł biurko i stanął za plecami przesłuchiwanym. Nachylił się nad ich głowami, jakby nagle zapomniał, że naraża oczy na ostre światło lampy.

– I tak go zadrutuję, tego trzeciego – powiedział ściszym głosem. – To tylko kwestia czasu, którego możecie mi zaoszczędzić. Ja w zamian za to być może oszczędzę wam dożywocie. Przemyślcie, co się wam bardziej opłaci. Macie piętnaście minut, potem moja oferta przestanie być aktualna.

Wyprostował się. Ruchem głowy dał znak Shi, że czas opuścić pokój. Poderwała się i ruszyła pierwsza do drzwi. Nim śledczy znalazł się na korytarzu, zdążyła już zgasić część jarzeniówek i pozostawić tylko jedną, by tliła się na końcu wąskiego holu.

Podeszli do maszyny z kawą i wybrali dwa mocne espresso. Automat zabuczał i wypuścił z siebie strużki gorącego napoju.

Shi oparła się plecami o ścianę i zamieszała plastikowym patyczkiem w kawie.

– Trzeci sprawca? – zagadnęła. – Jest coś, o czymś nie wiem, czy to tylko pańska intuicja?

Nauman upił dwa łyki, po czym wycelował kubkiem do kubła.

– Na intuicję już dawno przestałem stawiać. Bywa zgubna.

– Oby się pan nie mylił.

– Nie tym razem, dziecinko – odparł, spoglądając na nią zza przyciemnionych szkieł. – Tylko raz popełniłem ten błąd i więcej tego nie zrobię. Zresztą wkrótce sama się przekonasz, że mam rację.

Sześć miesięcy wcześniej, Sobota, 7 marca

Konrad Macharow odczekał do dwudziestej pierwszej, po czym sięgnął po swój telefon komórkowy. Wybrał kontakt oznaczony jako Mi, przy którym uśmiechnięta twarz blondynki o niebieskich oczach patrzyła na niego spod długich rzęs. Doskonale pamiętał, kiedy zrobił to zdjęcie. Właśnie kończyła się ich noc poślubna, leżeli wtedy w łóżku z kieliszkami wina, minutę po szaleńczym seksie. Miriam miała zmierzwione włosy i policzki czerwone od buzującej krwi. Wyglądała tak, jak powinna wyglądać szczęśliwa kobieta. Sięgnął więc po telefon i włączył aparat. Nie chciała, by ją fotografował w takim stanie. Udawała, że się na niego boczy, i próbowała zasłonić dłonią smartfon, ale był szybszy. Uchwycił moment. Chciał mieć ją na zdjęciu właśnie taką, naturalną i zrelaksowaną.

Kiedy cztery lata temu obiecywał Miriam miłość, wierność i oddanie do grobowej deski, obiecał coś jeszcze: ilekroć będzie zmuszony zostawić ją samą, by zniknąć z powodu weekendowej konferencji w miejscu oddalonym od domu o setki kilometrów, zadzwoni o dwudziestej pierwszej, by usłyszeć jej głos. Tak też robił. Na koniec zawsze dodawał: „Słodkich snów, Mi, tęsknię jak wariat”.

Nigdy nie zawiódł, może jedynie spóźnił się raz czy dwa o kilkanaście minut, ale piękna buzia ze zdjęcia rozumiała, że po wielogodzinnych panelach o urazach twarzoczaszki lub spartaczonych zabiegach korekcji kobiecych piersi następowały rauty z kieliszkami wypełnionymi prosecco i jego nie mogło na nich zabraknąć. A choć debaty o kościach, tkankach, niciach liftingujących oraz wypełniaczach kończyły się zwykle grubo po północy, to nigdy nie zdarzyło się, by między jedną a drugą kolejką bąbelków całkiem o niej zapomniał.

Był przekonany, że Miriam czeka na te telefony i że tuż przed umówioną porą zaczyna sobie wyobrażać, jak Konrad wstaje od okrągłego stolika, przy którym siedzą tacy jak on, chirurdzy ubrani w eleganckie smokingi, jak zostawia za plecami półmiski z sałatkami śledziowymi czy szwarwaldzką szynką i wymyka się na taras ośrodka konferencyjnego, by

zakończyć dzień na „Wiesz, jak nie lubię zasypiać bez ciebie”. Tyle razy opowiadał jej ze szczegółami o przebiegu branżowych spotkań, że znała ich rozkład na pamięć.

Tym razem Konrad Macharow postanowił zrobić wyjątek. Nie zamierzał zostawać do końca rautu ani spać samotnie w wynajętym pokoju z prysznicem i łóżkiem w rozmiarze king size. Nie w rocznicę swojego ślubu. Miał zamiar pozostać trzeźwy jak noworodek, a po kolacji na ciepło wsiąść do auta i wrócić do domu przed północą. Z tą myślą wybrał numer do Miriam.

Odebrała połączenie, kiedy sekundnik na zegarku mężczyzny pokazał dwudziestą pierwszą i siedem sekund.

– Pamiętasz, co ci obiecałem jako prezent na naszą rocznicę? – zapytał, kręcąc na palcu kluczykami do auta.

Przez dłuższą chwilę udawała, że się zastanawia.

– Czterdzieści osiem buziaków? Po jednym za każdy miesiąc?

Roześmiał się.

– Co tak tanio? Ale skoro tylko tyle sobie życzysz...

– Zaraz, zaraz, negocjujemy dalej... Już sobie przypomniałam. Lot do wymarzonego miejsca na świecie. Wchodzę w to, ale chyba już nie zdążymy. Obawiam się, że odlecieli bez nas.

– Tak mi przykro, Mi.

– Następnym razem, ty wiecznie zapracowany doktorku.

– To pierwsza i ostatnia rocznica, podczas której nie ma mnie przy tobie. Nie będzie ich nigdy więcej, obiecuję. Powiedz, dokąd chciałabyś polecieć?

– Och, nieważne... Ale tak, jest taki kraj. Bardzo daleki.

– Polecisz tam, Mi, masz moje słowo. Razem polecimy. A co do dzisiejszego wieczora, zaraz się stąd zbieram. Wracam do domu. Na samolot już się nie załapiemy, ale kto wie, co przyniesie nam ta noc.

Liczył na okrzyk radości, ale zamiast tego usłyszał w głośniku, jak coś upada na podłogę, wydając metaliczny odgłos.

– Wszystko w porządku, Miriam?

– Tak, to tylko nóż – wyjaśniła natychmiast. – Wyślizgnął mi się z ręki. Wracasz? Chyba nie rozumiem... Czekales na ten zjazd od tygodni. Tak mało było zaproszeń, pamiętasz? Robiles wszystko, zeby się tam dostac, wiec dlaczego? To nie jest dobry pomysl. Zwlaszcza ze zostal jeszcze caly dzien. Mowiles, ze jutro maja sie odbyc najwazniejsze panele.

– Ważniejsze od ciebie? Nie ma takiej możliwości.

– Na pewno zauważą, że zniknałeś, i to właściwie bez powodu.

– Jeszcze trochę, a zacznę myśleć, że nie chcesz mnie widzieć. – Konrad zaśmiał się szczerze, po czym dodał: – A co do tej bandy rzeźbiarzy możesz być spokojna. Jedna połowa z nich ma już porządnie w czubie, a druga zaraz do niej dołączy. Zapewniam cię, że nikt tu za mną nie zatęskni.

– Wolałabym, żebyś tam został.

W słuchawce zaległa przeciągająca się cisza. Konrad zacisnął palce na telefonie.

– O co chodzi, Mi?

– Powiedziałam tylko, że wolałabym...

– Słyszałem. Coś się dzieje, prawda?

– Jesteś trzysta kilometrów stąd, a po zmroku na drogach bywa niebezpiecznie.

– I to jedyny powód, dla którego...

– Chyba nie sądziłeś, że może być jakiś inny – przerwała mu w pół zdania. – Ja też tęsknię, przecież wiesz.

Poczuł ulgę. Czyli że wszystko jest tak, jak być powinno.

– Będę jechał ostrożnie – zapewnił. – Widzimy się za trzy godziny, Mi. Zdążysz przez ten czas obejrzeć jakiś romantyczny film i pokroić nasz rocznicowy tort. Mam nadzieję, że twoja siostra zostawiła dla mnie kawałek? Poszła już czy nadal tam jest?

Miriam parsknęła cicho. Zapewniła go, że beza ma wielkość młyńskiego koła, a Adelę po zaledwie kilku machnięciach widelczykiem zemdliło na tyle, że resztę porcji trzeba było zapakować do pudełka i dać na wynos.

– Martwiłabym się bardziej o psa – dodała. – Cały czas zerka na lodówkę w nadziei, że dam mu polizać mascarpone.

– Kochany Cookie. – Konrad uśmiechnął się na myśl o zwierzaku. – Chciałbym już być tam z wami. Nie masz pojęcia, co to za dziura. Podczas prezentacji dwukrotnie wysiadł prąd, a teraz chyba jest problem z siecią. Słyszysz mnie, Miriam? Halo...

– Słyszę cię doskonale. Jakbyś stał na rogu ulicy. Albo jeszcze bliżej, tuż pod domem. To drzewa tak głośno szumią? Tutaj też, jakby miała się zacząć burza.

– Wciąż przerywa. – Konrad odezwał się po długich sekundach. – Możesz powtórzyć?

– Powiedziałam, że słyszałem cię, jakbyś stał kilka metrów ode mnie. Nabierasz mnie, prawda? Wyjechałeś dawno temu i zaraz staniesz w drzwiach. To ma być ta niespodzianka? Jesteś już gdzieś blisko?

- Halo... Znów to samo...
- Jeśli to jakiś twój żart...
- Do zobaczenia, Mi. Widzimy się przed północą. Nie zasypiaj beze mnie. Jesteś tam? Halo...

Wtorek, 1 września

ADELA

Mam już na nogach czarne pantofle i czarne rajstopy, a na sobie brązowy kostium typu żakiet ze spódnicą. Wyglądam w nim fatalnie, co potwierdza lustro w mojej sypialni. Lustro nie kłamie. Brąz podbija czerwień mojej skóry, a zęby wydają się przy nim bardziej żółte, niż są w rzeczywistości. Nie wiem, co strzeliło mi do głowy, kiedy zgarniałam z wieszaka w sklepie tę najbrzydszą w świecie garsonkę, ale gdy patrzę na metkę, która wciąż dynda przy spódnicy, wszystko staje się jasne. Pięćdziesiąt procent przeceny za bawełnę, która i tak okazała się wiskozą. Z założenia miała też być praktyczna i zakrywać mnie od szyi do kostek, dokładnie tak jak lubię. I zakrywa, więc o co te pretensje? Chyba tylko o to, że w sklepach wszystko wydaje się ładniejsze. Nie jest tak?

Jako że rzadko wychodzę z domu, to z góry wiem, iż zwrotu kostiumu nie będzie. Nie oddam go też do przeróbki. Po tym, jak włożę go dziś, bo muszę, po prostu wrzucę go do kontenera PCK i pożegnam się z nim na zawsze. Już dawno temu postanowiłam, że nie będę trzymać w swoim otoczeniu czegokolwiek, co jest brzydkie lub źle mi się kojarzy. W ten właśnie sposób wyfrunęło stąd kilka książek, ubrania naszej matki, dwa komplety pościeli, a nawet elektryczny czajnik. Może gdybym nie była tak podatna na asocjacje trudnych doświadczeń z przedmiotami, które są ich świadkami, nie musiałabym tego robić. Ale jestem, więc to oczywiste, że godziny brązowego kostiumu też są policzone. To jego nieodwołalny koniec. Zresztą ostatnio rozstaję się z wieloma rzeczami. Nie to jednak jest najgorsze. Wszystko wskazuje na to, że i z tobą też będę musiała się pożegnać.

Powiem ci, Miriam, że nie wierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę. Za godzinę doświadczę czegoś tak abstrakcyjnego, że na samą myśl o tym

trzęsą mi się kolana. Mam rozpoznać ciebie w ciele, które leży w prosektorium na drugim końcu miasta. Muszę tam pojechać i wejść do zimnego pomieszczenia, w którym jakiś obcy człowiek stanie u wezglowia noszy lub metalowego łóżka i poczeka na sygnał, by móc odchylić prześcieradło z twojej twarzy. Bo tak to się chyba odbywa. Procedurę znam jedynie z telewizji i filmów, gdzie wygląda to właśnie w ten sposób. Proces zawsze przebiega podobnie: ktoś kiwnięciem głowy daje znak, żeby odsłonić ciało, pracownik kostnicy robi to sprawnym ruchem, a złamany bólem członek rodziny kwili: „O mój Boże, tylko nie to...”. Potem albo osuwa się w omdleniu na podłogę, albo niemrawym kiwnięciem głowy daje znać, że rozpoznaje umarlaka, i na tym zazwyczaj scena się kończy. No, może jeszcze pada pytanie: czy wie pan/pani o kimś, kto chciałby zaszkodzić ofierze? W kryminałach to pytanie zawsze pada. Albo: czy ofiara nie miała przypadkiem skłonności do depresji? Na razie brak jeszcze słów „morderstwo” czy „samobójstwo”. To nie jest właściwy moment. Na to przychodzi czas później, w innym miejscu. W komisariacie albo w domu. Nie wiem, gdzie wolałabym je usłyszeć. Chyba nigdzie. Rozumiesz mnie, mam nadzieję. Domyślasz się, że właśnie teraz, dzisiaj, wolałabym przestać istnieć. Nie chcę słyszeć tych pytań. Są z kategorii „jak szybko i skutecznie złamać w człowieku wszystko, co ma w środku, łącznie z kośćmi”, a ja mam słabe gnaty. Nie trzeba zbyt wiele siły, by mi je pogruchotać, wystarczy użyć języka. Zanim do tego dojdzie, jeszcze usłyszę od pracownika kostnicy wyrazy współczucia, że doszło do takiego nieszczęścia. Potem prowadzący twoją sprawę glina odprowadzi mnie do wyjścia i zapewni, że za jakiś czas się do mnie odezwie.

Tak będzie.

Mój mózg usilnie wyświetla ten obraz już od wczorajszego wieczora, kiedy przyszło zawiadomienie o znalezieniu twojego ciała. Najprawdopodobniej twojego, jak zaznaczono. Mam za sobą nieprzespaną noc i głodny poranek, ale to wszystko nieważne. Mało co czuję i niczego nie potrzebuję. Jedyne, czego chcę, to mieć ten dzień za sobą.

Jestem już prawie gotowa do wyjścia. Wrzucam jeszcze do torby słoneczne okulary, by ukryć zaczerwienione oczy, i paczkę chusteczek do nosa. Przydadzą się na miejscu.

Wychodzę z domu. Lexus twojego męża już na mnie czeka. Stoi na naszej wspólnej ulicy na włączonym silniku, którego zupełnie nie słychać. Lexus – luxus. Moje punto to przy nim emeryt z zadyszka.

Siadam w fotelu pasażera zaraz po tym, jak przez szybę kiwamy sobie z Konradem głowami na powitanie. Żadnemu z nas nie chce się otwierać ust, by wykrztusić „dzień dobry”. Z wiadomego powodu dla żadnego z nas ten dzień dobry nie będzie – więc po co...

W środku, w głośniku, ktoś cicho gra na pianinie. Konrad chce wyłączyć muzykę, ale mówię mu, że nie trzeba. Niech gra.

Ruszamy z Rukoli bez pośpiechu. Mamy prawie godzinę na dotarcie na miejsce. Sama nie wiem, czy wolałabym ją skrócić, czy rozciągnąć. Jakkolwiek by się stało, i tak będę w końcu musiała stanąć nad twoim ciałem i tym białym prześcieradłem. Albo nad czarnym workiem, co i tak niczego nie zmienia.

Mam nadzieję, że cię nie rozpoznam.

Mam nadzieję, że to jakaś kosmiczna pomyłka.

To nie możesz być ty.

Tak im powiem. Z bólem w głosie i z mokrymi oczami.

Jeśli dam radę zapłakać.

Wypadałoby, więc spróbuję.

Środa, 2 września

KONRAD

Nigdy nie rozumiałem, dlaczego tak bardzo lubiłaś oglądać programy o zaginionych ludziach. Jakby mało ci było własnych zmartwień. To oni i ich rodziny mieli problem, nie ty. Ty byłaś bezpieczna, Miriam. Może chciałaś poczuć to, co czuli oni, kiedy siedząc w telewizyjnym studiu, patrzyli prosto w kamerę i błagali o cud. Wyjmowali z toreb lub kieszeni zdjęcia swoich bliskich, pokazywali ich twarze i łamiącym się głosem mówili: „Wyszedł z domu pół roku temu. Miał kupić papierosy... odwiedzić przyjaciela... spotkać się w sprawie pracy... i ślad po nim zaginął”. Albo: „Zaczęła się umawiać przez internet z kimś nowym... wymknęła się z koleżanką na dyskotekę... nie wróciła ze szkoły... Jeśli mnie teraz słuchasz, odezwij się, córeczko, czekamy na ciebie”. Zwykle nie potrafili stwierdzić, czy mają jakieś podejrzenia co do przyczyny zaginięcia. Nawet jeśli taka była, często woleli ją przemilczeć. Pewnie uważali, że powiedzenie o czymś na głos będzie dla nich ryzykowne lub zwyczajnie obciachowe. Odpowiadali więc wzruszeniem ramion i cichym chlipnięciem: „Nic tego nie zapowiadało”. Problem w tym, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć zawsze jest jakaś zapowiedź.

Tak wtedy myślałem.

Schemat programu *Gdziekolwiek jesteś* powtarzał się co cztery tygodnie równo o dwudziestej drugiej. Tematycznie był jak kalka, kopiuj-wklej, jedynie twarze się zmieniały. To z nimi spędzałaś poniedziałkowe wieczory, z tamtymi ludźmi. Na kilkadziesiąt minut stawali się częścią twojego życia. Nie szkoda ci było na nich czasu?

Chciałaś zrozumieć ich strach, stać się częścią ich bólu, ale wydaje mi się, że podchodziłaś do tego za bardzo emocjonalnie. Naprawdę wydawało ci

się, że nie widzę, jak dyskretnie ocierasz kącik oka, kiedy słuchasz tego, co mówią, że nie zauważam, jak się wzruszasz? Widziałem wszystko. Nie musiałaś kłamać, mówiąc: „Nic mi nie jest, daj spokój”. Wystarczył ton twojego głosu i wszystko było jasne. Potem szłaś na poddasze, do swojej pracowni. Zamykałaś drzwi i nie wychodziłaś z niej do drugiej nad ranem. Nie wiem, jak będąc w takim stanie, mogłaś projektować wesołe plakaty dla dziecięcych teatrów. Ja bym nie dał rady. Czy nie trzeba mieć do tego bardziej optymistycznego spojrzenia na świat? A przynajmniej neutralnego. Mówimy przecież o zabawnych afiszach, nie o tworzeniu nekrologów.

Po kilku dniach oglądałaś powtórki *Gdziekolwiek jesteś*. Po co? Niszczyłaś siebie. Czasami miałem wrażenie, że przygotowujesz się na coś, co wkrótce ma nastąpić. Jakbyś chciała się oswoić z myślą, że wydarzy się coś złego. A może tak tylko mi się zdawało. Może to ja na coś czekałem, nie ty?

Biorę do ręki małą kamerę, którą kupiliśmy przed wyjazdem na Mykonos, by zacząć na niej zapisywać historię naszego małżeństwa. Montuję ją na statywie i stawiam na wprost ściany, pod którą stoi nasze łóżko. (Pamiętam, jak je wybierałaś. Mówiłaś, że dwa złączone materace są lepsze niż jeden wspólny. Chciałaś też mieć własną kołdrę, by zawinąć się w niej jak w kokonie. Oczywiście ustąpiłem ci, choć wcale mi się to nie podobało). Układam patchworkowe poduszki, te same, które wynalazłaś na pchlim targu, i siadam na narzucie, którą kupiłaś za swoje pierwsze pieniądze zarobione na ilustracjach.

Wszystko tu jest twoje. Stworzone przez ciebie i tobą przesiąknięte.

Zaraz włączę nagrywanie. Jeszcze tylko sprawdzę, co znajduje się w kadrze: przysunięte do łóżka krzesło z przerzuconym przez oparcie moim szpitalnym kitlem i twój portret na ścianie; artystyczne, białoczarne zdjęcie w formacie A3. Masz na głowie wianek z rumianków i rozwiane włosy. Patrzysz z tej fotografii zza mojego ramienia, prosto w kamerę. Za każdym razem, gdy na nie patrzę, czuję, jakbyś była tu ze mną.

Piękne jest to zdjęcie i ty na nim. Mówiłem ci to tyle razy, a ty droczyłaś się, że to nieprawda. Zawsze byłaś zbyt skromna. Niepotrzebnie.

Teraz muszę zrobić to, co robili tamci ludzie w studiu. Zmartwić się. Bardzo szczerze, bo sytuacja jest trudna. Dla pewności, że zrobię to właściwie, dwukrotnie obejrzałem powtórkę *Gdziekolwiek jesteś*, tak jak robiłaś to

ty. To nie wydaje się trudne, powinienem sobie poradzić. Zanim otworzę przed kamerą usta, wypowiem głośno i powoli wszystkie samogłoski, by rozluźnić mięśnie twarzy. Nie chcę bełkotać, jak oni. To źle wypada na nagraniu. Muszę mówić bardzo wyraźnie, żeby każde moje słowo zostało dobrze zrozumiane.

A, A, E, E, O, U, I, Y.

Przyglądam włosy i przykurczam ramiona schowane w szarej, mdłej marynarce. Sam staję się poszarzały. Wyglądam jak obraz nędzy i rozpaczy. Jest dobrze. Jestem gotowy. Już za kilka sekund włączę w kamerze przycisk, by nagrać zgłoszenie do twojego ulubionego programu.

Co byś powiedziała, widząc, że to robię? Pewnie uznałybyś, że odstawiam komedię.

Zaczynam się pocić.

Lepiej tego nie przeciągać.

Fartuch na krzesło, twoje zdjęcie w tle i moja zboląła mina. Wszystko jest jak należy.

Pstryk.

Muszę przerwać nagranie. Ktoś dzwoni do drzwi.

ADELA

Wciąż nie mogę przywyknąć do tego, że to nie twój głos słyszę w domofonie, gdy wciskam dzwonek przy furtce waszego domu. Właściwie powinnam powiedzieć: domu, w którym mieszkałaś, bo budynek tak naprawdę należy wyłącznie do Konrada. To on wziął sobie kredyt na głowę, nie ty. Ciebie sprawy finansowe nie interesowały. Mało kto ma takie szczęście, przyznaj. Tak więc, nie robiąc nic, dostałaś kilka pokoi, kuchnię, dwie łazienki i pracownię na strychu. Ją lubię najbardziej. To pomieszczenie z oknami na przestrzał, jedno z nich wychodzi na ogród, a drugie na ulicę i podjazd. Pod ogrodowym oknem stoi długi drewniany stół zavalony blokami rysunkowymi i szkicami, a pod nim zalega sterta papierowych kulek, które nie trafiły do kosza na śmieci. Bo mimo że mamy dwudziesty pierwszy wiek, wciąż wolisz projektować plakaty odręcznie, zamiast korzystać z programów komputerowych (świat poszedł do przodu, nie zauważyłaś?). Więc te zgniecione kulki zawsze tam są, podobnie jak unoszący się w powietrzu zapach akwareli.

Odkąd ciebie zabrakło, przychodzę tu co tydzień, by posiedzieć wśród twoich rzeczy. Wcześniej, zanim to wszystko się wydarzyło, zaglądałam o wiele rzadziej, więc wygląda na to, że teraz staram się nadrobić coś, co nam uciekło. Biorę winę na siebie. Mogłam się lepiej postarać i być bardziej obecna w twoim życiu. Mieszkamy po przeciwnych stronach ulicy, z naszych okien widać drzwi naszych domów, i na dobrą sprawę powinnam zaglądać tu każdego dnia, wpadając chociażby w kapciach. Dobre sąsiadki tak właśnie robią. A nasze sąsiedztwo, Miriam, nie było przecież przypadkowe. Miałyśmy być blisko siebie: ty, ja i nasza matka. Pamiętam, jak bardzo tego chciałaś, zwłaszcza ze względu na mnie. Mówiłaś: „Muszę pilnować mojej małej siostry, żeby nie narobiła sobie i innym kłopotów”. Wolałam tego nie komentować, więc tylko się głupkowato uśmiechałam. Tyle razy to powtarzałaś, że w końcu zaczęłam szukać czegoś w twojej okolicy. Po pierwsze, dlatego żebyś mi dłużej nie wierciła dziury w brzuchu, a po drugie... Niech ci będzie, Miriam. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że

mnie na bliskim mieszkaniu z tobą również nie zależało. Tylko że z zupełnie innego powodu. Kiedy wypełniałam dokumenty na wynajem domu, miałam nadzieję, że naprawimy coś, co kiedyś się między nami zepsuło. Nie mówiłam ci tego nigdy, prawda? Chyba chciałam wierzyć, że sama się tego domyślisz.

Brzęczy sygnał otwieranej furtki (kiedy zniknęłaś, Konrad wreszcie zainstalował automatyczne zamykanie) i wchodzę do frontowej części ogrodu. Idę po brukowej kostce, mijam rozrośniętą lawendę, którą ktoś wreszcie powinien się zająć, by nie zdziczała. Miałaś w zwyczaju przycinać ją, gdy tylko zaczynała usychać – to pomagało jej zakwitnąć na nowo. Byłaś mistrzynią, jeśli chodzi o ogród. Nie to, co ja, badylarka od siedmiu boleści. Wchodzę po czterech stopniach prowadzących do głównych drzwi i naciskam klamkę. Drzwi nie są zamknięte na klucz. To też twój kolejny zwyczaj. Chciałaś iść z duchem czasu i prowadzić otwarty dom – i to dosłownie. W tym akurat byłaś nowoczesna aż za bardzo. Jakbyś nie rozumiała, z jakim ryzykiem się to wiąże. Zwłaszcza dla kogoś, kto siedzi w wielkim domu sam od dziewiątej rano do dziewiątej wieczorem. Za bardzo ufałaś ludziom. Nawet nie chce mi się tego komentować, zwłaszcza po tym, jak sześć miesięcy temu rozplynęłaś się w powietrzu. Co z tego wynikło, wszyscy już wiemy.

W progu wita mnie Cookie. Merda ogonem, aż skręca mu się cały tułów. O tym też nie pomyślałaś: labradory nie nadają się do pilnowania domu. Miałaś nadzieję, że to najbardziej towarzyskie na świecie stworzenie podniesie raban, kiedy ktoś obcy się tu wedrze? Nigdy nie podnosił. Cookie wpuszczał każdego i zawsze. Teraz też jest szczęśliwy i popiskuje z zadowolenia, obwąchując mnie przy okazji po dłoniach. Szuka jedzenia, wie, że zawsze przynoszę mu psie ciastko. Tym razem go nie mam, ale Cookie i tak wariuje ze szczęścia.

Idę prosto do salonu. Pięknie tu. Gustu akurat nie można ci odmówić. Na aksamitne zielone zasłony od Laury Ashley pewnie poszła kupa forsy, podobnie jak na kraciastą kanapę i fotele. Nie wspominając o obrazach wiszących na ścianach. Nie znam ich autorów, ale pamiętam, jak mówiłaś, że młode talenty należy wspierać. Płaciłaś za te bazgroły tysiące, bo odkąd wyszłaś za Konrada, przestałaś się rozglądać za promocjami. Żadnej ściemy, żadnych reprodukcji, tylko oryginały, mówiłaś. No i wyszło naprawdę uroczo. Pełno tu wszystkiego: mebli, obrazów, waszych fotografii. A mimo to jakoś pusto.

Brakuje tu ciebie, Miriam.

Twojego męża nie ma na parterze, więc wchodzę na piętro. Zaglądam przez uchylone drzwi waszej sypialni.

– Cześć – mówię, stając w progu pokoju. – Cookie mnie wpuścił.

To oczywiście żart. Konrad zarządza całą domową elektroniką ze swojego smartfona za miliony monet.

Ten smartfon leży teraz na twojej toalecie, a Konrad kręci się po pokoju z dłońmi wciśniętymi w kieszenie spodni. Wygląda, jakby szukał czegoś na podłodze, ale ja dobrze wiem, że w ten sposób stara się zapanować nad emocjami. Sporo ich ostatnio. Mógłby połknąć tabletkę na uspokojenie, zamiast się tak męczyć, ale nie zamierzam mu tego podpowiadać. W końcu z nas dwojga to on jest lekarzem.

Na mój widok podnosi wzrok i zatrzymuje się w swojej wędrówce po dywanie. Pociera palcami brodę, gdzieniegdzie przeplecioną pojedynczymi srebrnymi włosami. Szybko mu idzie to siwienie, to chyba u niego rodzinne. Staram się nie przyglądać jego twarzy zbyt natarczywie, zaledwie muskam go spojrzeniem. Jakoś trudno mi patrzeć mu prosto w oczy, kiedy jesteśmy sami.

– Nadal nic? – pytam, byle zagadać. Nie oczekuję przecież, że badania DNA przyjdą po dobie od pobrania próbek śliny spod mojego języka. Powiedzieli, że tydzień to minimum, by porównać mój genotyp z genotypem pobranym ze zwłok.

– Nie musiałaś przychodzić, żeby zapytać. Wystarczyło zadzwonić.

Od wczoraj, kiedy to pojechaliliśmy na okazanie ciała, Konrad jest na mnie wściekły. Ma mi za złe, że w szczątkach, jakie nam pokazano, nie rozpoznałam ciebie. Przez chwilę odniosłam nawet wrażenie, że chce mi przyłożyć. Gdyby nie pracownik kostnicy i policjantka prowadząca śledztwo, może by do tego doszło.

Prawda jest taka, że nie mogłam powiedzieć: „Tak, to z pewnością Miriam”. To coś, co miało być tobą, nie przypominało mi nikogo, kogo bym znała, a już na pewno nie przypominało mi ciebie. Ale Konrad był innego zdania. Kiedy odsłonięto zwłoki, pokiwał głową, dając tym znak, że nie ma żadnych wątpliwości. Miałam ochotę nim potrząsnąć i kazać odwołać to, co powiedział. Jak mógł w tych okropnie wyglądających szczątkach z niemal doszczętnie spaloną twarzą doszukać się twoich delikatnych rysów, i to bez cienia wątpliwości?! Krzyknęłam, że to jakiś obłąd, ale syk-

nał na mnie, żebym się zamknęła, bo nie życzy sobie scen w twojej martwej obecności.

Co do jednego miał rację. Martwa obecność, czyjakołwiek by była, powinna nauczyć mnie trzymania nerwów na wodzy.

Policjantka z dochodzeniówki patrzyła to na mnie, to na niego i niewiele z tego wszystkiego rozumiała. Musiała wziąć nas albo za dziwaków, albo za idiotów, co na jedno wychodzi. Chyba po raz pierwszy w swojej karierze wpisała do protokołu z okazania zwłok dwa różne zeznania osób z najbliższej rodziny ofiary. Z tego też powodu wylądowałam na badaniu DNA.

– Musisz przywyknąć do myśli, że test nie wykaże zgodności – mówię pojednawczym tonem, choć podskórnie czuję, że zaraz znów rozpęta się piekło.

Konrad udaje, że nie słyszy. Nie ma nastroju na kolejną w tym tygodniu nawalankę i wybiera chwilowe zawieszenie broni. Jestem mu za to wdzięczna. Już spokojna, zdejmuję z pleców mój długi ciepły kardigan (prezent od ciebie, siostrzyczko) i rzucam go na łóżko. Sama siadam na brzegu, tuż obok rozstawionego na podłodze statywu z kamerą.

– Na co to? – pytam.

Konrad kładzie rękę na kamerze.

– Pomyślałem, że to może mi pomóc.

– Niby w czym?

– Zgłoszę przypadek Miriam do *Gdziekolwiek jesteś*. Może znajdzie się ktoś, kto widział, jak... jak umarła.

– Jednym słowem, szukasz świadka?

– Jeżeli taki istnieje, dobrze byłoby o nim wiedzieć, nie sądzisz?

Oczywiście przytakuję. Jak dotąd nikt taki nie zgłosił się na policję, ale życie potrafi zaskoczyć.

Gdziekolwiek... to twój ulubiony program. Nierozwikłane sprawy zaginięć i morderstw. Dam sobie uciąć rękę, że nie przeszło ci przez myśl, iż staniesz się bohaterką jednego z odcinków. W końcu złe rzeczy przytrafiają się innym ludziom, ale nie nam.

Mam ochotę powiedzieć Konradowi, że zanim telewizja wyemituje program, zdążą przyjść wyniki badań DNA i będzie wtedy czarno na białym, że to nie ty leżysz w kostnicy. Nie pozostanie mu nic innego niż odszcze-

kać, że nie żyjesz, i nagrać kolejny film o tym, że nadal cię szukamy. Wszystko wróci do punktu wyjścia.

Chyba czyta w moich myślach, bo od razu mówi:

– Nawet nie zaczynaj. – Tylko tyle? Słabo. – Wiem, co czujesz. – A jednak się rozkręca. Odliczam sekundy, aż zaczniesz mędrkować i mówić do mnie z pozycji jajogłowego filozofa. – Wyparcie to normalna reakcja. Masz świadomość, że stało się coś złego, ale twój mózg robi wszystko, by temu zaprzeczyć. Rатуje cię przed samą sobą.

– Gównu wiesz o moim mózgu.

Podchodzi do mnie i patrzy mi w oczy.

– Męczy cię sumienie, Adelo. Spróbuj dopuścić do siebie myśl, że to już koniec. Podziękuj, że miałaś ją przy sobie przez całe swoje życie, i zamknij rozdział.

– Ty już zamknęłaś? – burczę pogardliwie. – Cztery lata to w końcu nie wieczność. Powiedz, zdążyłaś się do niej przywiązać choć trochę?

Kąsam, jakbyś miała usłyszeć, że stoję w twojej obronie. Nawet patrzę na twój piękny portret na ścianie, żeby złapać z tobą kontakt. Mam nadzieję, że wypadam w tym wszystkim szczerze.

Nie dla Konrada. Chyba nawet nie dociera do niego, co właśnie powiedziałam. Jest jak w transie i nadaje po swojemu.

– Czasu nie cofniemy. Więc albo pogodzimy się z tym, co się stało, albo oboje zwariujemy. Proponuję wybrać pierwszą opcję, zaczniemy wszystko od nowa. Bez niej.

Jego ostatnie słowa giną w cichym chrząknięciu.

Żałosne. Niech jeszcze doda, że powinniśmy cię ciepło wspominać.

Czuję, jak rośnie mi gęła w gardle. Byłaś moją jedyną siostrą i choćby z tego względu jestem ci coś winna. Przypinanie do drzew twojej podobizny z podanym numerem telefonu nie powinno być szczytem moich możliwości. Wypadałoby zrobić dużo więcej, a jednak na tym się skończyło. To, że Konrad przypomina mi w mało subtelny sposób o wyrzutach sumienia, raczej nie pomaga. Teraz tylko czekam, aż zaproponuje mi, żebym w ramach pokuty dołączyła do jego wystąpienia przed kamerą. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, bo takie zabawy są nie dla mnie. Nie jestem szczególnie wygadana ani tym bardziej fotogeniczna. Nie lubi mnie ani aparat, ani kamera, ani ludzkie oko. Do tego unikam ludzi, jestem typem outsidera. Może nie z natury, a bardziej ze świadomego wyboru. Tak zdecydowałam. Jedyne, co jestem w stanie robić, to prowadzić bloga

o dekoracji wnętrz, i to nie pod własnym nazwiskiem. Nie czuję potrzeby, by się ujawniać. Działam jako LadyDesign i kopiuję zdjęcia z zagranicznych portali. Dodaję kilkudzaniowe opisy, raczej zdawkowe, i podrzucam lokalne oferty stołów czy dywanów, które przypominają te z „Ideal Home” czy „French Cottage”. Rzadko odpisuję na komentarze. Jeżeli nie muszę, nie szukam kontaktu z ludźmi. Wystarczy mi, że pogadam przez telefon z jakimś reklamodawcą. Nie dla przyjemności, a dla zarobku. Umowy uzgadniam tylko za pośrednictwem poczty elektronicznej.

Milczę zbyt długo, co Konrad odczytuje po swoim.

– Myślę, że nie powinnaś tu więcej przychodzić – mówi, zaciskając palce na kamerze. – Ktoś mógłby zrozumieć to opacznie. Lepiej będzie, jeśli poczekamy na wynik badania w swoich domach.

– Jasne – przytakuję natychmiast i od razu czuję ulgę, że ominęły mnie występy przed kamerą. – Miriam też wolałaby, żeby tak właśnie było. I, dla jasności, nie zamierzałam ci dokopać tam, nad jej ciałem. Nad tym czymś – poprawiam się natychmiast. Dla mnie to wciąż nic więcej, jak tylko obce zwłoki.

– Poniosło nas. To przez nerwy.

– Tak. To nie było mądre.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. – Konrad nagle poważnieje. – Policja zamierza wznowić przesłuchania świadków. Podobno są rozbieżności w zeznaniach, więc chcą zacząć wszystko od początku.

Fala uderzeniowa wali mnie prosto w pierś.

Dlaczego nam to robią?

Dom, z którego zniknęłaś, był przeszukiwany od piwnicy po strych. Do tego gliny odbyły setki godzin rozmów ze mną, z Konradem i z tymi, którzy cię znali. Lepiej lub gorzej, ale coś tam o tobie wiedzieli. Obdzwoniono wszystkich, którzy przyszli mnie i Konradowi na myśl. Dosłownie wszystkich, włączając w to twoją instruktorkę jogi, agenta z wydawnictwa i tarocistkę Magiczną Ingrid, do której wpadałaś raz w roku, zawsze w ostatni dzień grudnia. Nie odpuścili nawet jej. To zabawne, ale kiedy zapytali Magiczną, co mogło się stać z Miriam, jej magia nagle straciła moc. Ulotniła się, jak, nie przymierzając, ty. Od zawsze była fałszywa jak cyrkonia.

Dotarli też do Giny, twojej przyjaciółki z czasów dzieciństwa i gimnazjum. Podsunęłam im jej nazwisko, bo kiedyś byłyście sobie bliskie niczym siostry, co wprawiało mnie w megafrustrację. Potem każda z was poszła w swoją stronę. Gina, jak mogłam przypuszczać, nie powiedziała policji

niczego ciekawego. Przeżyła szok, gdy usłyszała, że zniknęłaś, ale tym to akurat jeszcze nikt nikomu nie pomógł.

– Od początku? – upewniam się. Nie dlatego, że nie wierzę w to, co mówi Konrad, ale od twojego zaginięcia minęło pół roku. Niby nie tak wiele, ale jeśli nie zebrano wszystkich informacji zaraz po rozpoczęciu dochodzenia, czego można oczekiwać teraz? – Wszystko zdążyło mi się zamazać w głowie. Nie pamiętam już szczegółów.

– Ja pamiętam każdą minutę.

Jasne, że tak. Mózg Konrada zapamiętałby rozpisaną do czterdziestego miejsca po przecinku liczbę pi. Geniusz. Szkoda, że patrząc na nadpalone truchło w kostnicy, zapomniał, jak wyglądała jego własna żona.

Odburkuję, że zazdroszczę, ale rozmowa i tak przestaje się kleić. Podnoszę się z kanapy i schodzę na dół, do kuchni. Wstawiam wodę i wsypuję rozpuszczalną kawę do kubka. Jakbym nie mogła napić się u siebie – mój dom i moja kuchnia są zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej. Bordowe firanki widać nawet stąd, wystarczy wychylić się przez okno.

– Dostali nowego śledczego – słyszę głos Konrada. Przyszedł tu za mną i zrozumiał, że nie zamierzam się stąd tak szybko ulotnić, postanowił sięgnąć po mleko do lodówki. Stara się być uprzejmy, nawet w tak przykrych okolicznościach. – Podobno siedzi nad aktami od dwóch miesięcy.

– I?

– I nie podoba mu się to, co w nich zobaczył.

– A konkretnie?

– Konkretnie to nie wiem. Nie chciał o tym mówić przez telefon. Dowiem się w poniedziałek. Zacznie ode mnie, potem będzie wzywać kolejnych. Ciebie też.

Zalewam wrzątkiem kawę. Tyle, by przykryć dno na dwa palce. Potrzebuję mocnego kopa, bo nagle zrobiło mi się jakoś słabo.

– Nastaw się, że mogą zrobić rekonstrukcję zdarzeń – słyszę jak przez mgłę.

Konrad siada na taborecie i obserwuje, jak podnoszę kubek do ust. Jego wzrok jest krępujący, ale szybko dociera do mnie, że nie patrzy na mnie, a przeze mnie. Jakbym była ze szkła.

– Nazywa się Nauman. Ten nowy. Zapamiętaj.

Pamięć do nazwisk mam akurat dobrą, ale przytakuję i powtarzam nazwisko na głos.

– A ta kobieta z kostnicy, policjantka...? – przypominam sobie nową twarz. – Nigdy wcześniej jej nie widziałam.

– Mówisz o tej ze skosem w oczach? – Konrad potrafi być prawdziwym dżentelmenem. – To jego przyboczna, Shi Coś Tam. Nie sądzę, żeby była zbyt bystra.

W przeciwieństwie do Konrada, mam o Shi Coś Tam inne zdanie. Chyba nie widziałam nigdy kogoś tak skupionego na tym, co się wokół niego dzieje.

– Zależy im, by doprowadzić to śledztwo do końca – mówię, mieszając łyżeczką w kawie. – Policja ma nieciekawe statystyki.

Konrad wciąż na mnie patrzy, ale tym razem już dużo bardziej przytomnie. Wręcz natarczywie.

– Liczyłem, że powiesz, że Miriam należy się sprawiedliwość. Była dużo lepsza od ciebie – słyszę i znów czuję, że coś mnie ściska w środku.

Niemal dławię się kawą. Wylewam jej resztkę do zlewu, bo już i tak nic więcej nie przejdzie mi przez gardło.

– Pójdę do jej pracowni i pogrzebię w jej rzeczach – mówię i wymijam jego kolana w wąskim przejściu. – Zostało mi jeszcze kilka rzeczy do przejrzania.

– Jasne. Idź. Może znajdziesz coś ważnego.

Ton jego głosu jest zawsze ten sam. Doskonale wie, że twój pokój przetrząsnęłam już dziesiątki razy i niczego istotnego dla sprawy w nim nie znalazłam. Mimo to udaje, że jest w tym sens. Tak naprawdę żadne z nas nie ma pojęcia, czego niby należałoby szukać ani po co. Nie miałaś przed nami żadnych tajemnic, prawda, Miriam?

Konrad też opuszcza kuchnię. Wraca do sypialni i znów zaczyna majstrować przy kamerze. Jednak będzie nagrywał beze mnie. Nie krępuje się. Nie zamyka przede mną drzwi, żebym nie podsłuchiwała, choć będzie pewnie robił kilka prób. Za pierwszym razem mało komu taka gadka do kamery wychodzi, jak należy.

Ale on nie boi się oceniania, nie zna wstydu. Jest inny. Odporny.

Ja też jestem zupełnie inna. Muszę mu przyznać rację, że choć płynie w nas jedna krew, Miriam, to jesteśmy jak biel i czerń. W niczym nie przypominam ciebie.

Jestem ta gorsza.

Godzinę później wciąż tu tkwię. Nie zajrzałam do żadnej z twoich szuflad, choć dla niepoznaki trzasnęłam jedną na tyle głośno, by Konrad uwierzył, że naprawdę czegoś w niej szukam. Niech myśli, że przejęłam się tym, co powiedział o wznowieniu przesłuchań. Oboje gramy w tym teatrze i oszukujemy się wzajemnie. Nie stać nas na szczerość i każde z nas ma swój własny powód.

Myślę, że rzeczywiście jestem tu ostatni raz. Oddam mu komplet kluczy, który wręczyłaś mi zaraz po tym, jak razem z matką wprowadziłyśmy się na Rukoli. Chciałaś, żebym miała dostęp do waszego domu, tak na wszelki wypadek. Na przykład wtedy, gdy wyjeżdżałaś zakontraktować projekty plakatów do sztuki o dziewczynce, która ma nadprzyrodzone zdolności i potrafi zniknąć. Pamiętam, jak zastanawiałaś się, w jaki sposób masz narysować znikającą dziewczynkę. To było na krótko przed twoim własnym zniknięciem, bodajże trzy miesiące wcześniej. Pamiętam tamten grudniowy dzień. Przed wyjazdem powiedziałaś mi, że w razie czego mam się zaopiekować Cookiem, bo na Konrada nie możesz liczyć. Wybierał się wtedy na którąś z tych swoich wyjazdowych konferencji. Tego samego wieczora dowiedziałam się, że miałaś wypadek. Zawiodły hamulce, a ty o mało nie zginęłaś. Czyżbyś przeczuwała, że stanie się coś złego, i dlatego poprosiłaś mnie o opiekę nad psem?

Ten plakat to było twoje ostatnie zlecenie. Na biurku wciąż leży kilka jego projektów. Na pierwszym dziewczynka jest dobrze widoczna, w pełni pokolorowana. Ma długie jasne włosy z przedziałkiem biegnącym przez środek głowy i niebieskie oczy. Na drugim jest dużo bledsza, co znaczy, że zaczyna zanikać i zaraz całkiem nie będzie jej widać. Trzeci rysunek to tylko rozmazany kontur dziewczynki. Nie widać już sukienki ani butów, jest ledwie uchwytnym zarysem.

To ty jesteś tą dziewczynką. Prawda, Miriam? Narysowałaś siebie. Skopiowałaś swoją twarz ze zdjęcia, jakie zrobiła nam w dzieciństwie nasza matka. Stałyśmy wtedy w zoo przed wybiegiem dla szympanów i robiłyśmy głupie miny, by upodobnić się do małp. Zamiast tego wyszłyśmy na fotce jak para muppetów. Miałaś wtedy na sobie piękną czerwoną sukienkę, ja ubrana byłam w biały podkoszulek i beżowe szorty.

Teraz widzę cię, jak zanikasz na swoim własnym rysunku.

Wiedziałaś, że tak się stanie? Przeczuwałaś to i odzwierciedliłaś na kartce czy to tylko czysty przypadek? Zbyt dużo ich ostatnio, nie sądzisz?

W przeciętej na pół puszcze po coli stoją ołówki, ze słoika umazanego farbami sterczy kilka pędzli. Wyszły dawno temu, choć odkąd cię nie ma, regularnie zwilżam włosie, by nie zbierało kurzu. Za te pędzle dałaś majątek. Nie powinny niszczyć pod twoją nieobecność. Skoro jestem tu ostatni raz, zawinę je w papier i schowam do szuflady.

Ręce mi drżą, gdy to robię. Po pędzlach układam na dnie wszystko to, co zalega na biurku. Blok z czystymi kartkami, tuby z logo Winsor & Newton (te akwarele lubiłaś najbardziej, choć narzekałaś, że mogłyby być bardziej pojemne), kredki tuszowe i mydło w kostce, bez którego nie wyobrażałaś sobie pielęgnacji swoich pędzli. Na wierzchu układam trzy kartki przedstawiające dziewczynkę w czerwonej sukience.

Czekam, aż Konrad skończy nagrywanie zgłoszenia. Jego dyżur w klinice zaczyna się za trzy kwadranse, więc powinien się już powoli zbierać do wyjścia. Ja tu zostanę, chcę jeszcze przez chwilę pobyc wśród twoich rzeczy. Może zajrzę do twojej tajemnej skrytki pod schodami, do której nigdy nikogo nie dopuszczałaś. Mówiłaś, że nie ma tam nic ciekawego, że trzymasz tam stare malarskie kłamoty: sztalugi, drewniane ramy, pierwsze szkicowniki, które zdążyły już pożółknąć, i tym podobne sentymentalne szpargały z życia sprzed Konrada. Skoro to były tylko zwykłe bambetle, dlaczego tak bardzo zależało ci na tym, by nikt do nich nie zaglądał?

Tym bardziej muszę się tam dostać.

KONRAD

— **Z**atrzaśnij za sobą drzwi! – wołam, stojąc już w progu domu.

W pośpiechu wciągam na grzbiet marynarkę, elegantszą niż ta, w której nagrywałem zgłoszenie do *Gdziekolwiek...*, i sprawdzam, czy w neseserze jest wszystko na swoim miejscu. Chodzi mi głównie o kilka kartek, na których zapisałem sobie w punktach to, co mam załatwić przed pogrzebem – najwyższy czas zaplanować uroczystość i zdecydować, czy trumna, czy urna. Z góry wiem, co wykażą wyniki DNA, więc nie widzę sensu, by z tym zwlekać. Przecież od tego nie ucieknę.

Adela nie odpowiada. Albo mnie nie słyszy, albo udaje. Nie mam sumienia jej popędzać, zwłaszcza że ustaliliśmy, iż jest tu ostatni raz. Chcę dać jej tyle czasu, ile potrzebuje. Staram się być dla niej miły i współczujący. Ona stara się być zimna i odległa, i świetnie jej to wychodzi.

Adela zdecydowanie mi nie współczuje. Od dnia, w którym zabrakło Miriam, łączy nas dokładnie to samo uczucie, jakie żywią do siebie dwa koguty, którym ktoś przypiął do nóg ostrogi, po czym zamknął je w żelaznej klatce. To minie, wystarczy cierpliwie poczekać.

Wsiadam za kierownicę i przekręcam kluczyk w stacyjce. Kolejnym odruchem powinno być włączenie radia. Muzyka poważna bardzo mnie w tej żałobie odpręża, ale zamiast się jej poddać, cofam rękę od pokrętła. Robię tak nie dlatego, że nagle uświadamiam sobie, iż powinienem powstrzymać się od wszelkich uciech, jakby to miało coś zmienić w tej głównianej sytuacji. Powód jest o wiele bardziej prozaiczny: przez przednią szybę dostrzegam właśnie Adelę. Stoi w oknie pracowni Miriam. Tkwi w nim nieruchomo niczym upiór. Obserwuje mnie, jakby czekała, aż popełnię jakiś błąd. Mam wrażenie, że jej regularne odwiedziny spowodowane były właśnie tym: czekaniem, aż stracę czujność, a ona przyłapie mnie wtedy na czymś podłym. W czynie lub słowie.

Ale to w niej jest coś dziwnego. Wysilam się, żeby zrozumieć co. Wygląda inaczej niż jeszcze godzinę temu, gdy staliśmy razem w kuchni. Coś tu ewidentnie nie gra.

Wycofuję auto z podjazdu i po raz ostatni, na odjezdne, spoglądam na stojącą w oknie siostrę mojej żony.

To jej ubranie... na pewno nie przyszła w tym, w czym jest teraz. Miała na sobie coś zupełnie innego. Chyba długi sweter, a pod nim jakąś burą bluzkę. Tymczasem widzę ją w czerwonej tunice. Nie należy do Adeli. To tunika Miriam.

Jadę tą samą drogą, co zwykle. Mijam domy sąsiadów. Ci z rogu ulicy, od trójki rozwrzeszczanych dzieciaków, znów wieszają w ogrodzie pranie i cała okolica pachnie proszkiem. Okrążam park pełen psów biegających za patykami i skręcam przy moście. To nasz most. Nazwaliśmy go Mostem R., od Roseman Bridge, tego z twojego ukochanego filmu *Co się wydarzyło w Madison County*. Nie wygląda jak tamten, jest o wiele węższy i nie ma zadaszenia, ale kiedy stanęliśmy na nim po raz pierwszy, od razu skojarzyłam tę scenę z *Co się wydarzyło...* Pewnie dlatego, że chciałem ci zrobić na nim zdjęcie. W tym miejscu obiecałem ci też, że kiedyś zamieszkamy na tych przedmieściach, bo zasługujesz na wszystko, co najlepsze. Popukałaś się w czoło, bo ceny domów w okolicy sięgały miliona złotych, a my mieliśmy długi zamiast oszczędności. Wszystko, łącznie z kredytem, szło na wyposażenie mojej kliniki. Dlaczego we mnie nie wierzyłaś? Chirurgia plastyczna to kopalnia złota, a ja miałem zamiar zostać najlepszym górnikiem w mieście. Wydawało ci się, że nie będę umiał trzymać skalpela w ręce?

Niech cię, Miriam...

Ty i ten twój lęk przed lataniem.

Przez pierwsze dwa lata naszego związku bałaś się praktycznie wszystkiego. Że skończymy, wybierając resztki jedzenia z kubłów za marketami spożywczymi, że nie dasz rady urodzić dziecka, bo masz za wąską miednicę. Nie chciałaś nawet zawiesić na moście kłódki na szczęście, bo obawiałaś się, że straż miejska wlepi nam mandat. Kłódka jednak zawisła. Kiedy ją zaciskałem na pręcie, stałaś na czatach i sprawdzałaś, czy aby nikt nas nie widzi.

Byłaś taka ostrożna, a jednak jednego nie przewidziałaś; że spotka cię coś o wiele gorszego niż grzebanie w śmieciach czy mandat.

Za podstawówką, dla której z dobroci serca robiłaś plakaty na każdą możliwą okazję, wypadam już prosto na jezdnię prowadzącą do centrum miasta. Nie ma korka, światła też sprzyjają. Nie zdejmując nogi z gazu,

przecinam jeszcze kilka kolejnych przecznic, po czym stoję pod dwupiętrowym budynkiem z błękitnym napisem Klinika Macharow & Koch i logo w kształcie motyla. To twój pomysł – i twój projekt, Mi. Byłaś zdania, że nic tak nie oddaje charakteru rodzącego się piękna jak właśnie motyl.

Wybacz, ale teraz muszę przestać myśleć o tobie. Nie mogę tego robić przez okrągłą dobę. Muszę też zarabiać na życie. Mam przed sobą sześć godzin pracy i dwie operacje do przeprowadzenia: jedną nosa, a drugą chyba piersi. Albo pośladków, nie pamiętam. W każdym razie w grę wchodzi nowy rodzaj silikonu, który będę wpychał komuś pod skórę.

Jeśli chodzi o twoje ciało, to zawsze wydawało mi się idealne. Nie rozumiem, dlaczego nagle przestałaś pokazywać mi się nago. Przed naszym ślubem i jeszcze przez kilka kolejnych tygodni nie miałaś z tym żadnego problemu. Wszystko zaczęło się nam walić na głowę po śmierci twojej matki. Przed pójściem do łóżka nagle zaczęłaś gasić światło. „Wyobraźnia wtedy lepiej działa” – to był twój argument. W moich uszach to brzmiało jak: „Uwińmy się szybko i miejmy to z głowy”. Czułem, że się zmuszasz. Czekałem i liczyłem, że w końcu ci przejdzie. Nie przeszło. Do dziś nie wiem, co robiłem źle.

Wjeżdżam do podziemnego garażu i po chwili gaszę silnik. Wychodzę z auta i kieruję się do windy, która zawiezie mnie prosto na drugą kondygnację. Gdy otwierają się drzwi dźwigu, natykam się na Stana Kocha, współwłaściciela naszej kliniki, a zarazem kumpla, wiernego druha od czasów piaskownicy – i bratnią duszę.

Widząc mnie, Stan wyciąga rękę na powitanie, a do ust przyklepia nieśmiały uśmiech; wygląda na nieco speszonego. Jeszcze nie tak dawno, gdy się uśmiechał, jego pyzate policzki podjeżdżały w górę aż pod oczy. Wyglądał karykaturalnie i gdybym patrzył na niego z punktu widzenia chirurgii, zasugerowałbym mu redukcję tkanki tłuszczowej. Nie zrobiłem tego z dwóch powodów. Po pierwsze, nigdy nie traktowałem go w kategorii przypadku klinicznego. Należał do wąskiego grona ludzi, z którymi się żyje, a nie na których się zarabia. Po drugie, mój przyjaciel zaczął się nagle kurczyć w oczach. Początkowo składałem to na karb jego walki z frustracją spowodowaną alergią, jaką wywoływał u kobiet. Los nie rozdaje ludziom równych kart, jeśli chodzi o powierzchowność, jednak o Stanie to chyba

całkiem zapomniał. Na studiach byliśmy jak Bradley Cooper i Danny DeVito. Przykre, ale prawdziwe.

Okazało się, że prawda o nagłym chudnięciu Stana wygląda zupełnie inaczej. Stan jest buddystą i już kilka miesięcy temu rozpoczął buddyjski proces oczyszczania organizmu, by stać się dziełem doskonałym i pośmiertnie wstąpić do Czystej Krainy. Do tego trzeba być odpowiednio zagłodzonym. Patrząc więc teraz na mojego kumpla w wersji light, lżejszego o jakieś trzydzieści kilo, i widzę w nim oznaki poważnego niedożywienia. Na myśl ciśnie mi się już nie DeVito, a Christian Bale z *Mechanika*. Facet schudł do roli tak potwornie, że przestał przypominać samego siebie.

– Za czterdzieści minut zaczynamy – mówi Stan, po czym poklepuje mnie serdecznie po ramieniu. – Machnę papieroska i zaraz wracam na górę. Dwie babki już przebierają nogami, żebyś je pociął, jak należy. Są całe twoje, ale w razie czego będę na sali.

– W razie czego? – pytam.

– W razie gdybyś miał problem z koncentracją. Po wczorajszej wizycie w kostnicy w ogóle nie powinienes się tu pokazywać.

To miłe, że się o mnie troszczy.

– Posłuchaj, stary... – zaczynam. Chcę udawać chojraka, ale szybko mi przechodzi. Mam przecież przed sobą Stana, mojego poczciwego bracha. – Okej. Będę wdzięczny. Wiesz, jak jest.

– Chujowo, doktorze Macharow?

– Chujowo, doktorze Koch. Dasz jednego? – Wyciągam rękę po papierosa.

Stan potrząsa paczką, wysuwając jednego dla mnie. Przygotowanie do operacji nosa musi poczekać.

– Bierz. To moje ostatnie, więcej nie kupię. Kończę z tym świństwem.

– Twój Budda ci zabrania?

– Żebyś, kurde, wiedział.

– Z tym gościem jest coś nie tak. Na twoim miejscu wylałbym go na zbity pysk.

Stan co pewien czas przypomina sobie o zakazach i nakazach swojej religii. Ostatnio robi to coraz częściej i odnoszę wrażenie, że staje się pełnowymiarowym ascetą. Nie rozumiem tego i ni cholery nie szanuję. Niemniej z jego Budda, jego asceza – i jego sprawa.

Wychodzimy na parking i stajemy przy kubie na śmieci z sitkiem do przygaszania petów. Palę o wiele za dużo. Gdybym nie był facetem od skalpela, a gościem od łopaty, zacząłbym też pewnie pić jak grabarz.

Widzę, że Stan chce jeszcze o coś zapytać, ale nie wie, jak się do tego zabrać. Ułatwiam mu sprawę.

– Jeśli chodzi o wczoraj, to tak. To była Miriam.

– Jak wyglądała? – Stan błyska ogniem zapalniczki, podsuwając mi płomień niemal pod nos.

Na wspomnienie tego, co się stało z ciałem Mi, robi mi się nieprzyjemnie. Wolałbym, żeby to pytanie nigdy nie padło, ale już się stało. Kiedy staram się znaleźć w głowie porównanie, które opisałoby to, co zobaczyłem, przychodzi mi na myśl tylko jedno: spalone bierwiono.

– Niewiele z niej zostało. Twarz i tors... popielisko.

Stan wypuszcza z ust cienki strumień powietrza.

– Skąd w takim razie...? Jakim cudem...?

– Poznałbym ją wszędzie.

– Stary, posłuchaj sam siebie. Wiesz, jak to brzmi?

– Byłem z nią ponad cztery lata. Więc albo mi wierzysz, albo nie mamy o czym gadać.

– Zatem: zero wątpliwości – upewnia się Stan, jakby nie docierało do niego to, co mówię.

– Zero.

Stan miele coś w ustach, po czym spluwa pod nogi.

– Gdzie ją znaleźli?

Zatem to jeszcze nie koniec przesłuchania. Średnio chce mi się o tym gadać. Temat jest mało przyjemny i wolałbym zaciągać się dymem w całkowitej ciszy.

– Wywal to z siebie. – Stan gasi swojego papierosa po zaledwie dwóch machach. Może to i dobrze, bo mam wrażenie, że po trzecim by się już przewrócił. – Więc gdzie?

Muszę mu coś rzucić, bo inaczej nie da mi spokoju. I właściwie nie powinienem się temu dziwić, w końcu Mi jemu też była bliska. Zaraz po tym, jak poznała mnie, poznała też jego. Od naszego ślubu zrosiliśmy się ze sobą jak trzygłowy smok, a Stan stał się nieodłącznym elementem naszego zamku przy Rukoli. Więc byłoby wręcz dziwne, gdyby temat jej zaginięcia go nie obchodził lub miały go traktować po łebkach. Ewidentnie chce mi pomóc, problem tylko w tym, że roztrząsanie tego, co wiem o śmierci

Miriam, zupełnie nie przynosi mi ulgi. „Podziel się zmartwieniem” w moim przypadku nie działa. Nie uważam, by dało się oddać kawałek nieszczęścia komuś innemu. Tragedie są niepodzielne i nie sposób ich rozczłonkować ani odseparować od człowieka, jak separuje się skórę od kości. Mimo wszystko powinienem umieć się zachować. Stan nie zasługuje na to, bym go zbywał. Już wystarczająco dużo zniósł z mojej strony, odkąd zaginęła Miriam. Nie wiem, jak to robi, chyba tylko dzięki swojemu buddyjskiemu podejściu do życia. Mało się orientuję, o co w tej zabawie w zen chodzi, ale ważne, że działa.

Powiem mu tyle, ile powiedziano mnie. Nie zamierzam zachowywać się jak niewdzięczny dupek, chcę być wreszcie sobą, gościem, w którym wszystko umarło, gdy postawiono go przy zwłokach ukochanej żony.

– Ciało znaleziono na terenie należącym do fabryki ciągników w Ursusie – mówię, zgodnie z prawdą.

Stan wygląda na zaskoczonego.

– Ursus nie działa od lat.

– Ano nie działa. Teraz to kompleks ruin z powybijanymi szybami. Każdy z budynków wygląda, jakby wybuchła w nim bomba. Można tam równie dobrze kręcić filmy wojenne, co znaleźć nadpalone zwłoki.

Stan splata dłonie na karku. Ewidentnie zaczyna sobie wyobrażać tę scenę i potrzebuje więcej szczegółów, by mieć pełny obraz.

– Leżała w środku?

– Nie – kręcę głową. – Na zewnątrz. Siedziała w swoim morrisie mini.

– Kurde, stary...

– Odkąd fabryka zawiesiła działalność, młode ćpuny zaanektowały sobie kilka hal na prywatne imprezownie. Jednemu z nich zachciało się łąć i wyszedł na zewnątrz. Wyczuł dym. Początkowo myślał, że to jakaś konkurencyjna ekipa pali ognisko, i nie zareagował. Ale kiedy zrobiło się od tego dymu czarno, znowu wyskoczył z hali. Poszedł w kierunku płomieni i dotarło do niego, że coś tu nie gra. Za kierownicą było ciało. Z początku nie potrafił rozpoznać, czy kobiety, czy mężczyzny. Ten ktoś siedział pochylony, z głową na kierownicy. Razem z kumplami rzucili się, żeby zduścić pożar, ale jeszcze szybciej stamtąd zwiali.

– Benzyna?

– Nie wiadomo. Zostawili ją tam, sukinsyny. Doszli do wniosku, że lepiej się ulotnić, niż żeby gliny zgarnęły ich za włóczęgostwo i podłożenie ognia. Typ, który im przewodził, kazał pozbierać bambetle i zniknąć do

czasu, aż teren znów będzie czysty. Daleko nie zaszli. Dym widziano z daleka, straż zareagowała niemal natychmiast.

– Kurde, stary...

– Twierdzili, że musiało dojść do samozapłonu. Potem, że to ofiara wywołała ogień. Nie wierzę w ani jedno słowo tych smarkaczy.

– Myślisz, że to był któryś z nich?

– Nie mam na to żadnych dowodów. Ale na pewno nie powiedzieli glibom całej prawdy.

– Skąd to wiesz?

– Bo te ich brednie nie trzymają się kupy. Według wstępnych badań Miriam nie żyła już od kilku dni. Nie słyszałem jeszcze o przypadku, gdzie nieboszczyk jest w stanie zaproszyć ogień.

– Co ze smrodem? Nie czuli go? Przy dwudziestu kilku stopniach zwłoki rozkładają się błyskawicznie.

– Też o tym myślałem. Nie uwierzę, że kiedy ciało znajdowało się w aucie, to szemrane towarzystwo nie zauważyło, że powietrze podejrzanie pachnie. Obaj wiemy, że to niemożliwe.

– Okna samochodu były...

– Otwarte.

– Więc nie ma takiej opcji. Albo oni to zrobili, albo zdarzył się jakiś niešťęśliwy wypadek i dzieciaki, nie wiedząc, co zrobić z ciałem, postanowiły je spalić. Co jeszcze mówił patolog?

– Nie wiem nic więcej, za wcześnie na wyniki. Niestety stan zwłok jest na tyle zły, że być może nigdy nie dowiem się, w jaki sposób umarła.

– Ogień zrobił swoje.

Milczymy przez chwilę. To ten niezręczny moment, w którym rozmowa nagle się urywa i nikt nie wie, co ma powiedzieć.

– Kiedy usłyszałem, że może być problem z identyfikacją, bo ciało Miriam jest w kiepskim stanie, powiedziałem policji, że po autopsji będę chciał zrekonstruować jej twarz.

Widzę, że twarz Stana tężeje. Jest przerażony moim pomysłem. Takie rzeczy robi się, ale w zakładach pogrzebowych, nie w klinice chirurgicznej. Uzupełnia się braki w ciele, a nawet transplantuje skórę, gdy została zdarta do kości.

– To miał być mój ostatni prezent dla niej – wyjaśniam. – Jak wiesz, z tym rocznicowym nie zdążyłem.

– Wiem też, że w trudnych sytuacjach ludzie przestają myśleć racjonalnie i zaczynają posuwać się do absurdów. To jeden z nich.

– Nie rób ze mnie psychopaty, Stan.

– Obaj wiemy, że jesteś świetnym chirurgiem i już niejedną maskarkę zamieniłeś w babkę precudnej urody, ale to, co zamierzasz zrobić, brzmi jak obłąd.

– Daj mi dokończyć. Kiedy to mówiłem, nie przypuszczałem, że jest z nią aż tak źle. Nie chodziło o złamany nos ani o żaden obrzęk. Nie została pobita przez faceta w rękawicach bokserskich. Została podpalona.

– Więc prezentu nie będzie? – Stan woli się upewnić.

– Po tym, co zobaczyłem... nie. Nie zrobię z niej Frankensteina.

Stan oddycha z ulgą. Obejmuje mnie ramieniem, dając tym samym znak, że znów jest po mojej stronie. Jednocześnie popycha mnie w stronę windy. Powinniśmy już wracać na górę i zacząć przygotowania do operacji.

Gaszę peta o kratkę popielniczki. Czuję, jak po nikotynie ciśnienie wali mnie po głowie.

– Zatem sprawa zamknięta? – Stan idzie prosto do dźwigu, który zawiezie nas na drugie piętro, gdzie mam swój gabinet.

– Nie do końca – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Na okazaniu byliśmy we dwoje, razem z Adelą. Nie rozpoznała szczątków Miriam. Złożyliśmy sprzeczne oświadczenia.

Stan zwykle nie ma problemów z wyrażaniem uczuć, więc wystarczyłoby, żeby po prostu powiedział, że to kuriozalna sytuacja, ale że mogłem się czegoś takiego po Adeli spodziewać. Zamiast tego gwizdże przeciągle.

– Adela już pośliniła swój patyczek – uprzedzam jego pytanie o testy DNA.

– I dobrze. W takich sprawach nie ma miejsca na wątpliwości.

– Za tydzień laboratorium wszystko potwierdzi.

Gdy wjeżdżamy na górę, idę prosto do mojego gabinetu. Urządzony jest w sposób mało wyszukany, wręcz spartański. Stoi w nim szafka na ubrania, biurko z krzesłem i wąska leżanka z poduszką i kocem. Na ścianie wisi kilka moich dyplomów – i to właściwie wszystko.

Stan woła, że do operacji pozostało mniej niż pół godziny i żebym się pośpieszył. Na samo namydlenie rąk potrzebuję około pięciu minut, kolejnych kilka spędzę na wciąganiu fartucha operacyjnego, w czym pomoże mi Nadia, nasz nowy nabytek zza wschodniej granicy. Zwykle mam też w zwyczaju spędzić trochę czasu w towarzystwie instrumentariuszek i ane-

stezjologa, by rozluźnić atmosferę na sali operacyjnej. Moje medyczne zaplecze często bywa spięte.

Tym razem sam potrzebuję rozluźnienia. Zamykam się w gabinecie na rygiel i siadam z kubkiem wody przy biurku. Po wypalonym papierosie czuję suchość w gardle i gorzki posmak. Wypijam duszkiem wodę i wyjmuję z kieszeni marynarki telefon. Odszukuję w nim jedno jedyne zdjęcie, które udało mi się zrobić w kostnicy. Przez kilkanaście sekund stałem przy łóżku Mi zupełnie sam. Zrządzeniem losu Adela poczuła się słabo i wyszła na korytarz razem z podtrzymującym ją lekarzem i tą skośnooką policjantką.

To był zwykły odruch, że zrobiłem Miriam tę pośmiertną fotografię. Zadziałał automat. Jestem lekarzem, który wyciąga aparat, żeby zrobić zdjęcie pacjentce przed zabiegiem i potem wprowadzić je do komputera. Oglądam je potem w 3D i oceniam, jak najkorzystniej poprowadzić cięcie skalpelem. Zrozumie to każdy chirurg, więc nie mam wyrzutów sumienia.

Patrzę na uchwycony kadr. Ciało leżące na stole jest do połowy nagie i w jednej trzeciej niemal doszczętnie zwęglone. Ale to nie jemu się przyglądam. Interesuje mnie prawy górny róg zdjęcia. Widać na nim metalowy wózek, na którym patolog położył ubranie zdjęte ze zwłok. Rozciął je, ściągnął i odstawił do dalszej analizy policyjnych techników.

Rozpoznaję strzępy nadpalonego, beżowego swetra w poprzeczne czerwone pasy, ale przede wszystkim rozpoznaję skarpety, które leżą obok niego. Są czarne, z wzorem biegnącym od kostek do kolan. Nie muszę zanadto powiększać obrazu, by rozpoznać na nich wizerunek Mona Lisy. Tak bardzo się cieszyłaś, Mi, kiedy wyciągnęłaś je z paczki przysłanej z Ali Express, bo obawiałaś się, że będą bardziej plastikowe niż bawełniane. Jednak okazało się, że są wykonane całkiem porządnie. Do tego były długie, aż za łydki. Zawsze narzekałaś, że masz niskie ciśnienie i przez to marzniesz w stopy od wczesnej jesieni do późnej wiosny. Dlatego je zamówiłaś – długie, aż pod rzepkę. To były trzy pary, jak na mój do bólu banalny gust typowego faceta dość rewolucyjne: na jednej był autoportret van Gogha, na drugiej Mona Lisa. Tego, co przedstawiał obraz z ostatniej pary, nie pamiętam. Ale to, że Monę lubiłaś najbardziej, przypominam sobie bardzo dobrze.

Więc tak, to było twoje ubranie, tam na krześle. Zdjęto je z twojego ciała. Adela albo udaje, że tego nie rozumie, albo zgrywa pierwszą naiwną. Dlatego każde z nas pozostaje przy swoim.

Kiedy przyjdą wyniki badań DNA, mocno się zdziwi, bo ty naprawdę nie żyjesz.

STAN

Kiedy człowiek jest na dnie, zwykle zachowuje się jak wystraszony szczur i albo ucieka, albo kąsa bez opamiętania. Mechanizm obronny u każdego działa inaczej, ale zawsze tylko w tych dwóch trybach: poddaj się lub stawaj do walki. Zaginięcie najbliższej osoby powinno włączyć któryś z nich. Przyglądałem się więc mojemu przyjacielowi bardzo uważnie i czekałem, by w stosownej chwili móc odpowiednio zareagować. Spodziewałem się, że w ciągu tych sześciu miesięcy, jakie minęły od zniknięcia Miriam z domu, przyjdzie taki moment, w którym Konrad ostentacyjnie wypowie wojnę całemu światu lub zaszyje się w jakiejś dziurze, by móc wszystko przetrwać. A przynajmniej posiwieje ze zgryzoty. Ale nic takiego nie nastąpiło.

Konradowi nie włączył się żaden z tych trybów.

Złożyłem to na karb jego dzieciństwa. Dużo o nim wiem, w końcu prze-wijałem się przez jego dom od szóstego roku życia, a konkretnie od dnia, w którym nasza rodzina wprowadziła się na Zdrojową. Dorastaliśmy na tym samym podwórku, razem skakaliśmy na łeb z trzepaka i razem kroiliśmy żaby na kamiennym brzegu piaskownicy. Zamówienia na kumaki składaliśmy u starszych chłopaków z osiedla – płaciliśmy im po dyszce za sztukę, bo towar był deficytowy i musieli nam je przywozić aż z Wawra. Niemniej warte były każdego grosza.

Już wtedy interesowało nas, co taka żaba ma w środku. Byliśmy pewni, że to samo, co człowiek. Aż tak bardzo się nie myliliśmy, bo większość organów u ludzi i płazów jest powtarzalna. Rozcinaliśmy je żyletkami, a potem zszywaliśmy niciami, które matka Konrada trzymała w blaszanej puszcze po angielskich herbatnikach. Kiedy żaby były już po operacji, szliśmy do jego domu na podwieczorek. Zdarzało się, że któryś z nas miał rękawy swetra umorusane flakami, ale matka Konrada w ogóle nie zwracała na to uwagi. Żyła w przekonaniu, że to rozmazane błoto. Nigdy nie znałem bardziej ufnej kobiety. Z biegiem lat okazało się, że nie chodziło o żadną

ufność. Matka Konrada nie zauważała bardzo wielu rzeczy, i to o wiele poważniejszych od żabich flaków.

Ojca Konrada znałem właściwie głównie z tego, co powiedział mi o nim mój serdeczny kumpel. Stary Macharow przez całe nasze dzieciństwo pracował na morzu i Konrad widywał go dwa razy do roku, na Wielkanoc i Boże Narodzenie. Gdy tylko pojawiał się w domu, od razu zabierał się do wychowywania dzieciaka. Przepytywał go z geografii i z tabliczki mnożenia, a potem znowu znikał na kilka kolejnych miesięcy. Do żony odnosił się różnie. Na Wielkanoc zwykle było dobrze, bo jego odwiedziny trwały nie dłużej niż trzy doby. W tak krótkim czasie trudno jest doszczętnie schrzanić atmosferę. W Wigilie też było jako tako, ale już w kolejne dni świąt i Nowy Rok Konrad wołał przylatywać do mnie. Mówił, że staremu zaczyna odważać. Mówił też, że na czas pobytu ojca w domu będą mieszkali razem, w jego pokoju. Drugi, główny, zajmowała matka.

Pewnego razu ojciec Konrada zniknął na dwa lata. Temat był grząski, ale z racji tego, że między nami nie było tajemnic, dowiedziałem się, że dostał te dwa lata za jakieś machlojki z nie swoją forszą. O szczegóły nie pytałem. Konrad podchodził wtedy do matury i nie chciałem go niepotrzebnie dołować. Po kolejnych dwóch latach stary Macharow zmarł. Nikt się tego nie spodziewał. Wciąż mam w przebłyskach pamięci to, jak wynoszą jego ciało z piwnicy ich bloku i jak wyglądał pogrzeb. Moja matka wołała, żebym się tam nie pojawiał. Wokół owej śmierci krążyło mnóstwo plotek, otaczała ją atmosfera skandalu – ale to był przecież ojciec mojego najlepszego kumpla. Pamiętam, że na cmentarzu trzymałem Konrada za rękę, jak kiedyś, w dzieciństwie, kiedy skakaliśmy na trzy cztery z tego osiedlowego trzepaka. Jakbym się bał, że tym razem skoczy za ojcem do grobu.

To jasne, że nie skoczył. Stał tylko i patrzył z obojętną twarzą, jak na wieko trumny żałobnicy sypią kolejne garści ziemi.

– Nic nie trwa wiecznie, więc lepiej się do niczego nie przywiązywać – powiedział do matki uwieszanej u jego boku.

– To chyba dobrze, synku? – odpowiedziała pytaniem.

– Tylko dzięki temu można w życiu przetrwać wszystko – odparł.

Dziwna była ta rozmowa.

Zaraz po pogrzebie Konrad, jako kształcąca się pól sierota z domu, w którym się nie przelewało, dostał jednorazową zapomogę z uczelni. Kupił sobie za nią nowiutki rower z przerzutkami. Chciał go wstawić do piwnicy, ale matka mu nie pozwoliła. Wstawił go więc do opróżnionego po

ojcu pokoju. Spod kaloryfera uprzątnął jego materac, a z półek wodę po goleniu, drewniany trójmasztowiec i kilka innych drobiazgów. Na ich miejscu postawił dwa nowe kaski, jeden zwykły, drugi wyścigowy. Wtedy zrozumiałem, o czym mówił na pogrzebie: tacy jak on są w stanie znieść naprawdę wszystko.

Dlatego zdziwiło mnie, gdy zadzwonił do mnie cały w nerwach w tamten marcowy wieczór. Była sobota, kilka minut po dwudziestej pierwszej. Na weekendy zawsze wyjeżdżam z miasta, zatem od kilkunastu godzin powinienem już znajdować się daleko od domu, ale tamtego dnia zastępowałem Konrada w klinice, więc mój wyjazd z oczywistych powodów się opóźnił i wciąż tkwiłem w Warszawie. Złapał mnie, kiedy skończyłem dyżur i myślami błądziłem daleko od miejskiego szumu. Tak się składa, że mam niewielką chatę w dziczy, nic wystawnego, ale uciekam tam, żeby pomedytować (Konrad nazywa to Wielkimi Smętami). Akurat pakowałem torbę, żeby mieć wszystko, czego mógłbym potrzebować na jeden dzień Smętów, kiedy zaczął coś bełkotać o złych przeczuciach. On, facet, który tak samo wierzy w intuicję jak ja w Boga. Pierwszą moją myślą było, że konferencja zamieniła się w zbyt ostrą libację, Konrad popłynął i uruchomiły się w nim pijackie zwidy. Zwykle, gdy wyjeżdżamy razem, trzymam go z daleka od open baru, ale na tamten zjazd wybrał się sam. Miejsc było mało, a do tego wpisowe wbijało w krzesło. Zagraliśmy więc w papier, kamień, nożyce i wypadło na niego. Dwa tygodnie później spakował walizkę. Gdyby wiedział, że ten wyjazd zmieni w jego życiu wszystko, nie otworzyłby nawet zaproszenia.

Według niego Miriam zachowywała się wtedy dziwnie. Odniósł wrażenie, że nie cieszy jej perspektywa jego wcześniejszego powrotu do domu. Jakby chciała go zatrzymać tam, na tym szkoleniu. Oczywiście wszystkimu zaprzeczyła, ale to nie dawało mu spokoju. Zapytał, czy dam radę do niej zajrzeć. Nigdy dotąd nie prosił mnie o takie rzeczy. Nie szpiegował swojej żony. Miriam była w jego oczach święta. Miał ją za anioła, uosobienie dobroci i totalnej szczerości. Ja widziałem to nieco inaczej, ale nie wyprowadzałem go z błędu.

– To tylko pół godziny drogi z twojego mieszkania. Zrób to dla mnie, stary. Bądź człowiekiem.

Powiedziałem mu, że wybrał zły moment, bo muszę jeszcze zrobić zakupy, żeby uzupełnić lodówkę, ale nie zamierzał odpuścić. Nie przekonało go nawet to, że skoro Adela mieszka zaledwie kilkadziesiąt kroków dalej, równie dobrze ona mogłaby zajrzeć do ich domu i sprawdzić, czy wszystko jest okej. Odrzekł, że tylko mnie ufa. Dodał, że akurat wypada ich rocznica ślubu, o czym kompletnie zapomniałem.

Zweryfikowałem więc własne plany, jakie miałem na ten wieczór, i pojawiłem się pod ich domem.

Zeznania, jakie złożyłem na policji po tym, jak zniknęła Miriam, pamiętam doskonale. Konrad już zdążył mnie powiadomić, że ma dojść do powtórnych przesłuchań, więc powtórzę wszystko od nowa, słowo w słowo.

Załatwiłem swoje sprawy i udałem się na ulicę Rukoli. Był kwadrans przed północą, kiedy zaparkowałem przed domem Konrada. Światła we frontowych oknach były pogaszone, paliło się jedynie kilka lamp solarnych ustawionych wzdłuż dróżki prowadzącej do wejścia. Robią przyjemny klimat. Miriam zawsze miała dobry gust, więc pomyślałem to, co zwykle, że też przydałyby mi się takie przed wejściem do mojej samotni. Nie aż tyle, ile mieli oni, wystarczyłyby cztery, najwyżej sześć. Zgasilem silnik i poszedłem pod drzwi. Zapukałem. Pamiętam, że ktoś przechodził ulicą, bo usłyszałem za plecami „Dobry wieczór”. Jakiś rudy dzieciak sąsiadów wałęsał się z kotem na smyczy.

Co do zwierzaków – Cookie węszył pod drzwiami od wewnątrz. Jest dużym psem z głośnym oddechem, więc to węszenie było dobrze słychać. Przycisnął nos do podłogi i najwidoczniej rozpoznał mój zapach, bo nawet nie warknął. Zresztą, umówmy się, to labrador, nie rottweiler. Więc tylko popiskiwał i skrobał pazurami w futrynę.

Na moje pukanie do drzwi poza Cookiem nikt nie odpowiadał, nawet gdy załomotałem pięścią. Ta kołatka w kształcie dłoni, co to ją zamontowano zamiast dzwonka, mimo że wygląda jak z filmów o domach w Miami, słabo się sprawdza, ale złapałem za uchwyt i zastukałem. Prawdopodobnie postawiłem na nogi całą ulicę, ale i tak nikt nie wyszedł do przedpokoju. To wydało mi się na tyle niepokojące, że postanowiłem zajść od strony ogrodu. Tak też zrobiłem. Przez tarasowe szklane drzwi widać cały salon. Stojącą bokiem kanapę w czerwonej kratę, dwa fotele, stół

kawowy z szufladami i ułożone na nim magazyny z zakresu chirurgii plastycznej. Mój wzrok zatrzymał się na dłużej przy drewnianej konsoli pod ścianą i na stojącej na niej lampie. To był mój ślubny prezent dla nich. Przywiozłem tę lampę z wyprawy do Rishikeshu, gdzie wypatrzyłem ją na niewielkim straganie wiszącym nad brzegiem Gangesu. Bez mrugnięcia okiem dałem za nią sześć tysięcy rupii. Przedstawia siedzącego Buddę, jest ciężka, z mosiądzu. Kupiec sprzedawał ją bez abażuru, ale to nawet ucieszyło Miriam, kiedy już rozpakowała prezent. Od razu pogładziła Buddę po brzuchu, że niby to na szczęście (ludzie naprawdę w to wierzą). Ażur dokupiła na jakimś pchlim targu, dopasowała go idealnie, był stożkowy, w kolorze starego złota.

Wracając do tamtego wieczora: Cookie podbiegł pod tarasowe okno i wspinał się łapami na szybę, wyginając kręgosłup w łuk.

– Dobry pies, mądry – gadałem do niego chyba z minutę, zanim doszedł do wniosku, że jednak mu nie otworzę. Odszedł od okna i zwinął się w kłębek na swoim posłaniu.

Miałem czyste pole. Cookie był bezpiecznie daleko, mogłem szybkim uderzeniem stłuc szybę i wejść do środka. Przytomność umysłu powstrzymała mnie na tyle, by wcześniej wykonać telefon na policję i uprzedzić, że za chwilę mam zamiar włamać się do domu, w którym być może doszło do nieszczęścia.

– Mogła zemdleć lub zrobić sobie coś złego – uprzedziłem, zanim dyspozytorka zdążyła otworzyć usta. – To żona mojego przyjaciela. Chyba pani rozumie, że nie mogę czekać.

Podaliśmy adres, żeby przysłali patrol. Lubię czyste sytuacje, a poza tym ta ulica należy do jednej z droższych w okolicy. To logiczne, że nie miałem zamiaru beknąć za wtargnięcie z zamiarem rabunku. Nie za takie pierdoły ciągną ludzi latami po sądach.

Zgiąłem rękę w łokciu i uderzyłem tuż nad zamkiem. Hałas tłuczonego szkła poderwał Cookiego, ale nie na tyle, by miał całkiem opuścić miękkie posłanie. Zakręcił się wokół własnej osi, ponownie ułożył na legowisku i znów zamknął oczy.

W domu panowała cisza. Była tak wielka, że słyszałem, jak przez moje żyły przepływa krew. Wiem, o czym mówię, bo wsłuchiwanie się w to, jak pracuje moje ciało, mam opanowane do perfekcji. Lata medytacji i koncentrowania się na każdej komórce organizmu nie poszły na marne. Podobnie jak nauka osiągnięcia wewnętrznego spokoju.

O ile ja panowałem nad moimi nerwami, o tyle Konrad nad swoimi nie panował zupełnie. Doskonale pamiętam, jak wywołał mnie przez połączenie wideo ze swojego smartfona. Kazał mi obejść dom tak, by mógł obejrzeć na kamerze każde pomieszczenie, jakie znajdowało się na parterze, oraz całe piętro łącznie z poddaszem. Robiłem wszystko, o co mnie prosił. Palilem światła i omiatałem kamerą łazienki i sypialnie, nie zapominając nawet o niewielkiej garderobie bez okna. Musiałem na głos przeliczyć walizki, żeby Konrad miał pewność, że Miriam z żadną nie uciekła. Na koniec wszedłem do garażu. Morris jego żony stał na swoim miejscu. Myślałem, że to go zaniepokoi, ale stało się zupełnie odwrotnie.

Kiedy się rozłączył, zadałem sobie pytanie, dlaczego Konrad nie poprosił mnie, żebym zajrzał do piwnicy. Może z tego wszystkiego zapomniał. Może uznał, że skoro w domu nie ma śladów walki, porzuconych krzesła ani krwi na ścianach, to do ataku na Miriam nie doszło i nikt nie zawlókł jej tam siłą. I że z pewnością od niego nie uciekła, choć jej telefon zamilkł wkrótce po tym, jak rozmawiał ze mną po dwudziestej pierwszej.

Nie zszedłem więc do piwnicy. Co więcej, postanowiłem całkowicie przemilczeć ten temat, kiedy przyjdzie mi opowiadać mundurowym o wydarzeniach, jakie miały miejsce tamtej nocy. Czy kierowało mną poczucie solidarności z moim przyjacielem? Niewykluczone. A być może w głębi duszy wiedziałem, że byliśmy wtedy w domu tylko we dwóch: ja i Cookie.

A potem zjawiała się policja.

FLORIAN

To ja powinienem był pojechać do prosektorium, żeby obejrzyć ciało Miriam. Ja jeden byłem jej naprawdę bliski. Wiem, że tylko mnie tak naprawdę kochała. Na pewno nie jego.

Ściąłoby mnie chyba na miejscu, gdybym zobaczył ją martwą, ale taka była między nami umowa, że bez względu na to, z kim i gdzie będziemy, a któremuś z nas przydarzy się najgorsze, wrócimy choćby z końca świata, żeby się pożegnać.

Więc, owszem, to był mój psi obowiązek.

To, że Miriam źle skończy, wiedziałem. A przynajmniej podejrzewałem. Czy byłem na to gotowy? Absolutnie nie. Kiedy wczoraj zadzwoniła Adela i powiedziała, co zaszło, siedziałem akurat ze swoim niespełna rocznym synem na dywanie i stawiałem dla niego z drewnianych klocków coś, co miało być opartym na dwóch filarach mostem. Mały lubi klocki, a jego matka Natalia lubi się nam bacznie przyglądać. Nie chce przegapić chwili, w której będący pod moją opieką Krzyś włoży sobie do ust gumowego ludzika i natychmiast zacznie się dusić. Bo to, że mu na to pozwolę, jest dla niej oczywiste.

To były właśnie moje trzy godziny opieki, które odbywam na zmianę raz w parzyste, raz w nieparzyste dni tygodnia. Krzyś akurat próbował postawić pana ludzika i panią ludzikową na moście, kiedy zadzwonił telefon i usłyszałem o zwłokach w morrisie. Musiałem się wykazać niezłą ekwilibrystyką słowną i mimiczną, by Natalia nie poznała, że stało się coś fatalnego. Dlatego jak jełop kiwałem tylko do telefonu głową i mruczałem coś bez sensu. Nie mogłem powiedzieć przy dziecku, a właściwie przy jego matce tego, co cisnęło się mi na usta. Że to było do przewidzenia.

– Pojedziesz tam ty czy on? – zapytałem tylko, czując jednocześnie, że pod skórą robi mi się na zmianę to gorąco, to znów lodowato.

– Zrobimy to razem z Konradem – odparła Adela. – Dziś w południe.

– Wolałbym...

– To jej mąż. Nie masz nic do gadania.

– Jasne.

– Gdyby ciało było w lepszym stanie, to nawet mnie by tam nie zaprosili. Ale nie jest. Mówią, że może być trudno z identyfikacją. Dlatego potrzebny jest jeszcze ktoś z bliskich. Policja chce mieć pewność, że to ona, rozumiesz...

Chyba wolałbym nie rozumieć. Nie wiedzieć. Nie wyobrazić sobie tego, jak wygląda. Ale wyobraźnia już ruszyła. Musiało być naprawdę źle, skoro jeden członek rodziny to za mało, żeby rozpoznać, czy ofiara z Morrisa jest z ich plemienia, czy nie.

– Myślisz, że mógłbym jakoś... w czymkolwiek... – wyrwało mi się.

– Nie mógłbyś. Ale powiem jej, że chciałeś.

Znow coś wybełkotałem i rzuciłem jakieś przekleństwo. Kilka przekleństw, a właściwie lawinę. Przestałem się hamować. Natalia podskoczyła do naszego synka, porwała go z dywanu i zasłaniając mu uszy, wyniosła go do kuchni. Słyszałem, jak mówi: „Niegrzeczny tatuś, nigdy nie bądź taki jak on”.

Adela była niewiele miłsza.

– Odkąd wyniosłeś się z miasta, Miriam zupełnie przestała sobie radzić. Czują się porzucona – stwierdziła tonem, który mi się nie spodobał. Powiniennem odpalić z grubej rury, że to nie ja byłem przyczyną rozgoryczenia Miriam, jednak w tamtej chwili mój mózg zamiast uruchomić szare komórki, zamienił się w szarą breję. – Pogubiła się i odsunęła od ludzi. Ode mnie też.

Bo miała powód, i kto jak kto, ale jej siostra powinna wiedzieć najlepiej, co nim było.

– Życie bywa zaskakujące, prawda, Adelo? – Jednak zdobyłem się na wbicie małej szpili.

Małej, ale jakże skutecznej.

To było jak lewy sierpowy. Przez chwilę milczała, zapewne próbując odbić mi prostym między oczy. Pytanie tylko z pozoru było niewinne, z serii takich, na które nie trzeba odpowiadać, bo jest całkowicie neutralne. Jeśli ktoś ma czyste sumienie.

– To nie jest najlepszy moment, żeby obrzucać się błotem, zatem daruj sobie – odparła oschle, więc chyba zabolalo. Nawet łagodne kotki potrafią od czasu do czasu pokazać pazury, gdy nadepnie się im na ogon. – To, że w ogóle z tobą gadam, robię wyłącznie ze względu na nią. Chciałaby, żebyś wiedział. Choć mam wątpliwości, czy to, co się stało z Miriam, jeszcze cię

w ogóle interesuje – dodała, słysząc dochodzące z kuchni śmiechopiski mojego syna.

– Nigdy nie przestało – zapewniłem.

Nie wiem, czy mi uwierzyła.

Chciałem podnieść się z dywanu, ale nieostrożnie nacisnąłem kolanem na jeden z klocków, a ten wbił mi się w kość. Bluznąłem po raz kolejny, choć powód był dużo bardziej banalny niż wiadomość o odnalezieniu Miriam. Drzwi kuchni zatrasnęły się z hukiem.

– Daj znać, jak poszło – poprosiłem już o wiele grzeczniej.

Mam do Adeli wiele zastrzeżeń, jeśli chodzi o to, co tak naprawdę łączyło ją z Miriam, ale wiedziałem też, co czeka ją jutro. Łatwo raczej nie będzie. Przede wszystkim jednak chciałem wiedzieć, jak sprawa potoczy się dalej i co tak naprawdę zaszło.

Pożegnaliśmy się w sposób, w jaki żegnają się ludzie w amerykańskich filmach, czyli bez słowa. Po prostu każde z nas się rozłączyło.

Kiedy Natalia i Krzyś wyjrżeli z kuchni, wciąż klęczałem pośrodku dziecięcego pokoju pomiędzy klockami, gapiąc się na most i na dwie figurki, które ustawił na nim mój synek. Podpełzł do mnie i chwycił pierwszy z brzegu klocek, jakby chciał zapytać, czy bawimy się dalej. Do końca wizyty pozostała jeszcze cała godzina i choć najchętniej zmyłbym się stamtąd, by pójść zalać się w trupa, zacząłem dostawiać do jednej z wież drewniane schody, bo most wciąż nie był dokończony.

A więc podobno nie żyjesz, Miriam.

NATALIA

Nie zamierzałam mu współczuć. Patrzyłam na jego twarz, kiedy opowiadano mu o Miriam, i nie czułam ani odrobiny żalu. Bo to o niej rozmawiali, nie miałam co do tego złudzeń. Robił wszystko, by zachować pozory zwyczajnej rozmowy, ale było jasne, że coś jest nie tak. Wiedziałam, że zaginęła kilka miesięcy temu, więc dodałam dwa do dwóch i stało się dla mnie oczywiste, że to już koniec. Dla pewności jednak zapytałam i dostałam odpowiedź: Miriam nie żyje.

Nigdy nie zamieniłam z tą kobietą ani słowa i wcale mnie do tego nie ciągnęło. Czułam do niej żal, że to ona była tą pierwszą i najważniejszą, a mnie, po tym, jak się rozstali (podobno na jej życzenie), przypadło mało zaszczytne drugie miejsce. Niby nie najgorzej, bo wciąż byłam na pudle, ale srebro to nie to samo, co złoto, i nawet wspólne dziecko nie daje prawa do awansu o oczko wyżej. Rozumie to chyba każda kobieta, która doświadcza bycia tą kolejną. Więc nie, nie lubiłam jej i nie skłamię, jeśli powiem, że wolałabym, żeby nigdy nie istniała. Ale istniała i jak do tej pory miała się świetnie.

Na żywo widziałam ją dwa razy. Pierwszy raz jeszcze w Warszawie, na krótko przed naszą wyprawą do Łodzi. To było spotkanie noworoczne w firmie Floriana. Nie pomyślałam o tym, że Miriam się tam pojawi. A powinnam. Przez pewien czas była zatrudniona w tym samym teatrze dla dzieci co on. Projektowała kostiumy dla lalek przez bodajże trzy lata, a później stamtąd odeszła i przerwuciła się na robienie plakatów. Przerwuciła się też z Floriana na swojego późniejszego męża, nagle, z dnia na dzień. Dlatego nie przeszło mi przez myśl, że spotkam ją na tej imprezie. To było pięciolecie istnienia teatru, które zbiegło się z nadejściem nowego roku. Zaproszono obecnych i dawnych pracowników. Wszystkich, dzięki którym teatr powstał.

Przyszła sama, bez swojego nowego narzeczonego. Miała na sobie połyskującą srebrną sukienkę do kolan, tak obcisłą, że niemal na niej pękała, wysokie szpilki i długie kolczyki, które końcami muskały kości jej nagiego

obojczyka. Z fryzurą à la Rita Hayworth i czerwonymi ustami z miejsca zgasiła resztę kobiet. Od razu poczułam, że mój jednoosobowy klub działający pod hasłem „Zagłada dla Miriam” powiększa się nagle o kilka dodatkowych członkiń. Żadna jednak nie dała po sobie poznać, że jest jej gorzko. Każda grała, trzymając fason. W końcu byłyśmy w teatrze i nieważne, że impreza odbywała się na zapleczu, w uprzątniętej szwalni: teatr to teatr.

Nie zareagowałam, gdy się do mnie uśmiechnęła i kiwnęła na powitanie głową. Udałam, że tego nie zauważyłam. Florian za to zauważył ją natychmiast. On i każdy, kto miał na sobie portki. Nigdy nie zapomnę spojrzeń, jakie ze sobą wymienili.

To był fatalny wieczór, z którego wyszłam z bólem brzucha i ściśniętym gardłem. W odpowiedzi na zarzuty, jakimi zalałam Floriana, kiedy wracaliśmy taksówką do domu, usłyszałam, że nic nie rozumiem.

– Przecież sama widziałaś, jaka jest Miriam – westchnął z rozrzewnieniem dziecka, które właśnie dostało do zabawy szczeniaczka.

– No jaka? Powiedz to na głos.

– Inna. A ludzie kochają inność.

– Ludzie, czyli ty?

– Tylko bez hysterii. To słabe tak okazywać zazdrość. W końcu to z tobą wracam do domu, nie z nią. Więc się uspokój.

– Tylko dlatego, że kopnęła cię w tyłek – jęknęłam. – Ty byś nigdy... Gdyby to od ciebie zależało...

– Ale nie zależało.

To było jak splunięcie w twarz.

Drugie miejsce na podium.

Kolejny raz był dla mnie jeszcze bardziej bolesny. Wszystko zaczęło się od wieczornego esemesa, który wysłała Florianowi. To na pewno pisała ona, bo inaczej Florian nie ukryłby się z telefonem w łazience. Kiedy zatrzasnął za sobą drzwi, obstawiałam, czy tym razem dopadło go nagłe ciśnienie w pęcherzu, czy przyływ tęsknoty za szczoteczką do zębów. Widocznie potrzebował więcej czasu na odpisanie, niż trwa spuszczenie wody w sedesie, bo wybrał elektryczną szczoteczkę. Nawet ją włączył. Słyszałam, jak wibruje na umywalce.

W tamtej chwili niemal eksplodowałam. Włączył się we mnie wewnętrzny głos klubowiczki. Słowo „zagłada” miałam wypisane na czole.

Odczekałam, aż Florian wyjdzie z łazienki. Patrzyłam przez kolejny kwadrans, jak się wije, próbując ulotnić się z mieszkania. Postanowiłam

o nic nie pytać, bo i tak wiedziałam już wszystko. Bąknął coś o przyjacielu, który ma kłopoty i musi mu pomóc. Teraz. Natychmiast.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, ja też wyszłam. Chciałam zobaczyć tego przyjaciela. Miriam czekała na niego na ulicy. Objął ją jedną ręką w pasie, a drugą przyciągnął jej głowę do swoich ust i długo całował po czole. Potem odeszli w kierunku postoju taksówek.

Zagłada.

Wrócił nad ranem i powiedział do mnie tylko jedno zdanie: „Powinniśmy się stąd wynieść”.

Tydzień później wylądowaliśmy w Łodzi.

Więcej jej nie widziałam, ale to i tak niczego nie zmieniło. Miriam była typem kobiety, która gdy wejdzie w czyjeś życie, pozostaje w nim już na zawsze, nawet jeśli fizycznie jest bardzo daleko.

Była jak narkotyk... Florian natomiast wciąż nie mógł się zdecydować na odwyk. Ćpał więc Miriam regularnie. Urywał się z domu pod pretekstem kolejnych zleceń, jakie niby miał dostać wkrótce w Warszawie. Spał tam w swoim starym mieszkaniu i wracał na drugi dzień. Nasz związek dochodził już do ściany, ale wciąż nie przestawałam się łudzić, że w końcu oprzytomnieje. Mało co potrafi tak trzymać przy życiu jak złudzenia.

To był luty, a w marcu okazało się, że Miriam wreszcie wyszła za mąż. Stałam z boku i patrzyłam, jak Florian się skręca. Przechodził tortury. Nie wiem, które z nas cierpiało wtedy bardziej: on czy ja.

Po tym telefonie od Adeli, kiedy Florian wyszedł już z mojego mieszkania, położyłam syna spać. Popołudniowa drzemka dzieci jest w takich sytuacjach błogosławieństwem. Wlałam do kieliszka resztkę wina, jaka została mi po jakimś samotnie spędzonym wieczorze, i włączyłam komputer. Przeglądanie maili i przeróżnych plików Floriana z czasów, kiedy jeszcze byliśmy razem, uważałam za swoje prawo. Kilka z nich zrzuciłam na swój katalog i zachowałam, jakbym przeczuwała, że mogą mi się kiedyś przydać. Są niezwykle intrygujące i chyba nadszedł czas, żebym je ujawniła. To idealny moment, skoro Miriam nie żyje.

Kiedy tak stałam w kuchni i zasłaniałam dziecku uszy, dotarło do mnie, że podczas rozmowy Floriana z Adelą czegoś w niej zabrakło. Niby drobiazg, a jednak to nie dawało mi spokoju.

Florian nie zapytał, w jaki sposób zginęła Miriam. Nieważne, czy Adela znała odpowiedź, czy nie, ale powinien był o to zapytać. Bo czy nie jest tak, że jeśli los odbiera nagle człowiekowi kogoś bliskiego, to ma on naturalną potrzebę poznania tego, co zaszło i dlaczego?

Florian nawet się na ten temat nie zająknął.

ADELA

Jest kilka minut przed siedemnastą, gdy słyszę dzwonek do drzwi. Nie spodziewam się nikogo. Kurier, który miał mi przywieźć nową partię magazynów wnętrzarskich, był tu przed południem, a poza nim, listonoszem i ludźmi spisującymi liczniki nikt tu nie zagląda. Na kominiarza z noworocznymi życzeniami też jest o kilka miesięcy za wcześnie. O tym kominiarzu myślę odruchowo, kiedy widzę z górnego okna mojego domu faceta ubranego w czarny uniform z dwoma rzędami połyskujących guzików i spodnie spływające na czarne wiązane buty. Jego twarzy nie sposób jest dojrzeć z pokoju na piętrze, jako że ten ktoś chowa się pod niewielkim dachem ganku.

Nie mam zamiaru otwierać. Liczę, że po kilku nieudanych próbach wywołania mnie do drzwi mężczyzna odejdzie. Jednak traf chce, że na ulicy pojawia się rudy syn sąsiadów. Ma dziesięć lat i zwyczaj wyprowadzania kota na smyczy. Przystaje przed moim domem i wskazuje palcem na cień w górnym oknie. Cholerny bystrzak z sokolim wzrokiem.

Teraz to już muszę zejść. Naciągam czapkę na czoło i przekręcam zamek w drzwiach.

Facet w czerni okazuje się pracownikiem domu pogrzebowego Eternitas. Przedstawia się nazwiskiem Papierski. Jest młody, chorobliwie wręcz ruchliwy, przestępuje z nogi na nogę, jakby swędziały go stopy, a jego ręce wirują mi przed twarzą, gdy tylko zaczyna mówić. Twierdzi, że próbował się ze mną skontaktować telefonicznie, ale najwyraźniej źle zapisał numer, który dostał od Konrada, skoro nie odbierałam połączeń. Więc musiał pojawić się osobiście. Właściwie tylko po to, żeby zaprosić mnie do Eternitas. Spraw związanych z pochówkiem nie załatwia się w domach klientów. To nie Ameryka.

Nie odbierałam, bo miałam inne priorytety – zamierzałam wcisnąć się w kanapę i z pilotem do telewizora dotrzeć jakoś do nocy. Nieważne. I tak nigdzie się nie wybieram, a już na pewno nikt nie zaciągnie mnie do żadnego domu pogrzebowego. Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale nie skorzy-

stam. Po pierwsze: nic nie wiem o żadnym pogrzebie. Po drugie: kontakty z ludźmi to nie jest moja specjalność. Jeśli wychodzę z domu, to na krótko i tylko wtedy, gdy moja obecność w jakimś urzędzie czy innym miejscu jest absolutnie konieczna. Jedyna trasa, jaką pokonuję bez lęku o to, że może mi się po drodze coś stać, to droga do domu Miriam. Tam i z powrotem. Szur, szur, bez zatrzymywania się i bez pogaduszek z sąsiadami.

A teraz nic nie muszę. Nie widzę potrzeby. Niech stąd idzie.

– Pan Macharow był łaskaw podać pani adres – mówi Papierski. – Mam nadzieję, że to nie problem, że panią nachodzę, ale nie miałem wyjścia. Uroczystość ma się odbyć najdalej za tydzień, a musimy jeszcze przygotować ciało.

– Za tydzień? – pytam, bo chyba się przesłyszałam.

– Mam ustalić z panią szczegóły pochówku.

Chcę zatrzaskać mu drzwi przed nosem, ale facet robi prośące oczy.

– Zrobię wyjątek. – Wyjmuje z kieszeni notes i otwiera go na czystej stronie. – Załatwmy to teraz. Proponuję wejść do środka i doprecyzować detale. Zwłaszcza że już wpłacono zaliczkę.

Zbieram myśli w tempie, w jakim układa się na czas puzzle na zawodach. Gdy Papierski pyta, w co Eternitas ma ubrać moją siostrę do trumny, dociskam ostatni element tej jakże prostej układanki.

– Żadnego pochówku nie będzie – mówię. – Pan Macharow niepotrzebnie się pośpieszył.

Papierski już nie wymachuje rękami. To chyba pierwszy przypadek w jego karierze, kiedy ktoś nie chce pochować nieboszczyka.

– Za dwa tygodnie? – A jednak jeszcze próbuje.

Ani za dwa, ani za pięć. Zamykam bez słowa drzwi i idę prosto do kuchni. Z szafki, w której trzymam leki, wydaję na wpół pusty blister i wyciskam z niego różową tabletkę imigranu. Trochę trzęsą mi się ręce, więc rezygnuję z popijania wody ze szklanki. Przysuwam usta do kranu i żłopię z niego kilka haustów wody.

Między mną a Miriam zwykle bywało bardziej gorzko niż słodko, ale nie zamierzam grzebać jej na siłę. Nie dostanie tak szybko tabliczki z nazwiskiem i nie pozwolę, by jej akt zgonu miał być wypisywany na kolanie. Widzę, że Konrad na siłę próbuje trzymać się swojej wersji, ale ja mam własną.

Ciekawe, komu uwierzą gliny: mnie czy jemu?

To, co im powiedziałam podczas pierwszego przesłuchania, trudno będzie podważyć. Zeznałam, że dałabym wiele, by poznać prawdziwy powód, dla którego w dzień zaginięcia Miriam Konrad zadzwonił do mnie około siedemnastej i zasugerował, żebym przyszła do niej z życzeniami nie wieczorem, lecz teraz. To dość wcześnie, jak na świętowanie i rocznicowy tort, ale podobno Miriam miała zamiar pracować przez cały wieczór nad projektem plakatu. Akurat wtedy przypomniała sobie o goniącym ją terminie, a że głupio jej było prosić mnie osobiście, bym dała jej wieczorem spokój, zrzuciła to na męża. Więc to on do mnie zadzwonił. Miriam jest na tyle obowiązkowa, że uwierzyłam w to jego tłumaczenie. Kiedy jednak wchodziłam do jej domu, w mojej głowie powstał nagle scenariusz zupełnie odmienny od tego, który przedstawił mi Konrad. Że nie było jej głupio, bo wcale o mnie tamtego dnia nie myślała. Nie uwzględniła mnie w swoich planach, jakbym w ogóle nie istniała. To Konrad zdobył się na gest wobec mnie, żebym nie poczuła się wykluczona. Skłamał, próbując jakoś wybrnąć z tej sytuacji.

To dlatego tak się zdziwiła, kiedy zapukałam do ich drzwi. Czy może miałam omamy, bo w mojej głowie na powrót pojawił się obraz lepszej i gorszej siostry? Jak to naprawdę było?

Zjadłam kawałek bezowego tortu, wypiałam gorzką herbatę i wyszłam. Miriam powinna była zamknąć za mną zamki, ale nie słyszałam, aby to zrobiła. Co prawda zegarek wskazywał pięć minut przed osiemnastą, ale na dworze już się ściemniało. Ja na jej miejscu porządnie bym się zabarykadowała, zwłaszcza że ostatnio w naszej okolicy doszło do kilku włamań. Ale ja to ja, a ona to ona. Nie jesteśmy takie same.

Wróciłam do siebie i zajęłam się tworzeniem kolejnego postu o urządzeniu wnętrza. Miał dotyczyć odnawiania starych mebli. Pewnie gliny przyczępią się do tego, że go nie opublikowałam. W poprzednim zeznaniu wspominałam o tym poście, więc na pewno to sprawdzili i wpisali na listę nieścisłości, które chcą teraz wyjaśnić. Niech jeszcze powiedzą, że przez to nie mam alibi. To tylko głupi post, którego nie dokończyłam! Wiem, co by teraz powiedziała o tym Miriam: rzeczy niedokończone lubią się mścić. Święcie wierzyła, że tak właśnie jest.

Jeśli zapytają, czy zaraz po tym, jak wyszłam, zabrała się do tworzenia rysunków, czy też zamierzała robić coś innego, nie usłyszą nic nowego. Nie wiem, co się z nią działo przez kolejne godziny. Nie dzwoniła do mnie ani ja do niej.

Nie powiem im też, co znalazłam w schowku pod schodami ich domu. Prawda jest taka, że sama nie do końca rozumiem, co odkryłam. Gdy sięgnęłam po kolejny z kartonów, już ostatni, ten stojący na górnej półce pod samym pułapem, znalazłam najpierw to, co już dobrze znałam: zapasy bloków rysunkowych, farb i nierozpieczętowanych pędzelków. Już chciałam odstawić karton na miejsce, ale dla spokojnego sumienia sięgnęłam ręką aż na samo jego dno. Poczulałam twarde okładki. To był kalendarz. Zeszłoroczny. Mały, kieszonkowy. Nie był podpisany, więc równie dobrze mógł należeć zarówno do Miriam, jak i do Konrada. Oczywiście przekartkowałam go z ciekawości. Po tym, co ludzie zapisują w swoich kalendarzach, można się wiele o nich dowiedzieć. Tym bardziej jeżeli wolą trzymać te informacje nie w telefonie, do którego ktoś inny mógłby łatwo zajrzeć, lecz głęboko ukryte, w nieodwiedzanym składziku pod schodami.

Więc owszem, nie mogłam się powstrzymać, żeby do niego nie zajrzeć.

Kalendarz był jednak pusty, nie znalazłam w nim żadnych notatek. I już miałam go wrzucić z powrotem do kartonu, kiedy coś mnie powstrzymało. Przejrzałam go jeszcze raz i zauważyłam, że dwie kartki, każda z innego miesiąca, były wyrwane, a przy zszyciach pozostały tylko strzępy. Przez dłuższą chwilę patrzyłam to na te strzępy, to na sąsiadujące z nimi kartki. Oświeciło mnie dość szybko, przynajmniej jeśli chodzi o jedną brakującą datę. Bo jak mogłabym nie pamiętać tego, co wydarzyło się siódmego grudnia zeszłego roku. To był dzień, w którym moja siostra niemal straciła życie. Być może ktoś – ona lub Konrad – coś na tej kartce zapisał, a potem uznał, że lepiej będzie ją zniszczyć, żeby nie został żaden ślad. Czy to samo dotyczyło drugiego ubytku, kolejnej wyrwanej kartki – tej z siódmego listopada? Darmo wysilałam pamięć. Z niczym nie mogłam tej daty skojarzyć, ale niewykluczone, że wtedy też stało się coś ważnego, choć żadne z nich nie zamierzało mi o tym powiedzieć.

Mogłabym to podsunąć policji, tylko po co... Żeby usłyszeć: „Jak nam pani udowodni, że to nie pani wydarła te kartki z kalendarza?”. Albo: „Nie da się wykluczyć, że to pani podrzuciła kalendarz do schowka. Miała pani klucze i sposobność”.

Owszem, miałam klucze i sposobność.

Myślę, że czasami lepiej jest odpuścić i rozgrywać swoją własną grę, zamiast pomagać komuś ustawiać pionki na jego planszy. Zwłaszcza że między kartkami tego kalendarza znalazłam coś jeszcze. Coś, co mogło

pogrozić naszą rodzinę, a sprawę zniknięcia Miriam skomplikować jeszcze bardziej.

Czwartek, 3 września

KONRAD

Tej nocy tłułem się z lewego boku na prawy, z brzucha na plecy – i na odwrót. Po połknięciu estazolamu wreszcie odpłynąłem.

Śniłaś mi się. Widziałem, jak stoisz w progu naszego domu, ubrana w beżowy sweter z czerwonymi pasami, w dżinsach, w skarpetkach z Mona Lisą i w białych tenisówkach. Rozmawiasz z kimś, kto znajduje się przed wejściem, nie wiem jednak, kim jest ten człowiek: mną czy kimś innym. Nie dostrzegłem jego twarzy, mógłby być równie dobrze mężczyzną, jak i kobietą. Jesteś zaskoczona tą wizytą i wahasz się, czy wpuścić gościa do środka. Widziałem wyraźnie, jak bijąc się z myślami, robisz to, co zwykle w takiej sytuacji – powolnym ruchem odgarniasz włosy za ucho. Tak naprawdę sprawa jest już przesądzona, bo na dworze jest chłodno, a ty nie chcesz, by ten ktoś marzył zbyt długo na zewnątrz. Wpuszczasz go więc do środka. Jeszcze nie wiesz, że ten człowiek nie ma dobrych zamiarów. Ufasz mu i nawet zaczynasz się do niego uśmiechać. Jednak po chwili wszystko się zmienia. Twój uśmiech znika, a ty zaczynasz cofać się w głąb mieszkania. Czujesz, że coś jest nie tak. Krzyczysz. Uciekasz. Boisz się. Chcesz się stamtąd wyrwać. Udaje ci się go wyminąć i otworzyć drzwi. Wybiegasz z domu. Rozglądasz się, szukając pomocy, ale na ulicy nie ma nikogo. Jest ciemno i pusto. Dostrzegasz otwarty garaż. Na szczęście w rękę trzymasz klucze do auta. Wsiadasz w pośpiechu do swojego morrisa. Wnętrze garażu, podobnie jak cała okolica, tonie w mroku, więc znikasz mi z pola widzenia. Odtąd jedyne, co od ciebie odbieram, to dwa słowa: „Wszystko dobrze”. Powtarzasz je nieprzerwanie i coraz głośniej. Twój głos mnie osacza, zamienia się w echo – i nagle cichnie.

Serce dudniło mi tak, że nawet tabletki nasenna przestała działać. Wstałem, otworzyłem szerzej okno, bo brakowało mi tlenu, schodziłem na dół, by napić się wody, a potem znów przewracałem się w pościeli, jakbym leżał na gwoździach.

To, ile policja wie o twoim zaginięciu, nie daje mi spokoju. Do tej pory była bardzo oszczędna w dostarczaniu mi informacji o postępach w śledztwie, ale mam wrażenie, że powód tego jest jeden: nie chodzi o to, że zbyt mało wiedzą i nie chcą robić z siebie idiotów, opowiadając mi niestworzone historie; myślę, że trafili na coś, co dla dobra śledztwa każe im trzymać języki za zębami. To, że sprowadzili nowego człowieka, nie było przypadkowe. Śledczy z blisko trzydziestoletnim doświadczeniem miał spojrzeć świeżym okiem na sprawę i posklejać ze sobą porwane kawałki układanki.

Za kilka godzin dowiem się, ile już ułożył.

Zaczyna świtać. Leżę z otwartymi oczami, gapię się w sufit i rozważam wszystkie możliwe scenariusze tego, co czeka mnie dziś w komisariacie. W każdym z nich widzę siebie, jak siedzę na wprost tłustego gościa z lepikami od potu włosami, które ledwie co zasłaniają łysinę, i powtarzam, że twoje zniknięcie, a potem śmierć były dla mnie najgorszymi z ciosów. Potem on wyjmuję z teczki moje poprzednie zeznania i sprawdza, czy to, co mówię teraz, jest spójne z protokołem spisany pół roku temu. Przy każdej odpowiedzi notuje coś na brzegu strony, a z ust nie schodzi mu drwiący uśmiezek.

Należę do tych szczęśliwców, którzy mają znakomitą pamięć do szczegółów. Poza tym potrafię być absolutnie opanowany w każdych okolicznościach. Jestem cholernym geniuszem działania w sytuacji stresowej. Gdyby było inaczej, już dawno zdjąłbym lekarski kitel i zajął się uprawą pomidorów za naszym domem. Albo robił to, co Stan – dla odreagowania mamrotałbym mantry na jakimś zadupiu.

Jeśli Naumanowi wydaje się, że zbije mnie z tropu, to będę zmuszony go rozczarować. Wiem, jak było, i nie zamierzam zmieniać swojej wersji. Podobno prawda jest tylko jedna, a wszystko zależy jedynie od jej interpretacji. Czyż nie?

Zegar pokazuje dopiero siódmą rano, a mnie wydaje się, jakby było co najmniej południe. To była długa noc i – jak na wrzesień – nieprzyzwoicie

parna. Wychodzę z łóżka i idę prosto pod prysznic, by zmyć z siebie lepkość potu i bezsenność. Chłód wody robi swoje, więc szybko przytomnieję. Wypłukuję z głowy scenariusz o tłustowłosym glinie i długopisie robiącym notatki na moim poprzednim zeznaniu.

Wolę myśleć o tobie, Mi. Przywołuję najtkliwsze chwile, jakie nas łączyły, nastawiam swój mózg na wspomnienie dnia naszego ślubu. Miałaś na sobie białą sukienkę do kolan, a na włosach świeżo spleciony wianek z rumianków. Ja byłem ubrany w ciemnoszary garnitur w prążki i białą koszulę bez krawata. Pełny luz. Na tyłach naszego ogrodu (wnętrze domu wciąż pozostawało w remoncie i wszędzie wisały malarskie płachty, a pod ścianami wałały się puszki po farbach), gdzie ustawiliśmy biurko dla urzędnika stanu cywilnego i kilka rzędów krzeseł, kręciła się garstka ludzi z rodziny i paru najbliższych przyjaciół, wszystkiego może ze dwadzieścia osób. Nalegałaś, by było skromnie i bez zadęcia, ale tak naprawdę wcale nie chodziło ci o to, ile pieniędzy pójdzie na wesele. Obawiałaś się tego, co może zrobić Adela. „Tylko najbliżsi, pamiętaj” – powtarzałaś mi to za każdym razem, gdy dopisywaliśmy kolejne nazwisko do listy gości. Całe życie byłaś dla niej zbyt dobroduszną.

Na szczęście do żadnego większego skandalu z udziałem twojej siostry nie doszło, przynajmniej nie podczas ślubu. Przez znaczną część uroczystości zachowywała się jakby nigdy nic. Dopiero na weselu coś się w niej uruchomiło. Pocięło mi trochę krwi, ale nie miałem do niej pretensji. Widocznie miała zły dzień. Zapomniała połknąć tabletkę albo przyjęła zbyt małą dawkę naświetlań na swoją chorą głowę. Ważne, że jakoś wszyscy ten dzień przeżyliśmy.

Zakręcam kurek z wodą, wycieram się dokładnie jednym ręcznikiem, a drugi owijam wokół bioder. Teraz dopiero czuję, jak bardzo potrzebuję porządnej dawki kawy i czegoś, co wypełni żołądek. Od tego ciągłego myślenia zgłodniałem. W kuchni połykam kilka grzanek z pasztetem i wychylam filiżankę espresso. To rozwiązuje sprawę.

Do spotkania z Naumanem zostały cztery godziny, które muszę jakoś wypełnić. Do kliniki nie mam zamiaru zaglądać. Gdy tylko usłyszałem o ponownym przesłuchaniu, z miejsca przełożyłem zabieg korekty uszu u jakiegoś dzieciaka z kompleksami. Przesłuchania lubią się przeciągać, więc wziąłem na to poprawkę.

Wciąż się waham, czy aby nie zajrzeć do Adeli. Od wczoraj, kiedy to żegnała mnie, stojąc w oknie ubrana w jedną z sukienek Miriam, nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Nie wiem, co strzeliło jej do głowy z tą sukienką. Niemniej powinniśmy pogadać. Wkurzyłem się, kiedy odprawiła wysłanego przeze mnie pracownika domu pogrzebowego. Jakby tego było mało, zaraz po jego wizycie nagrała mi się na telefon i zostawiła przemiłą wiadomość: „Wal się, idioto”. Nietrudno zgadnąć, że coś do mnie ma.

Z tą rozmową postanawiam jednak poczekać. Najpierw dowiem się, co ciekawego ma mi do zakomunikowania Nauman.

FLORIAN

Z Łodzi do Warszawy jest zaledwie półtorej godziny jazdy samochodem. Niektórzy pokonują ten dystans każdego dnia, jadąc do i z pracy, więc wymówka, że to za daleko, zabrzmiałaby niepoważnie. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi czyjeś życie. A właściwie czyjaś śmierć.

Po tym, jak usłyszałem, że Miriam nie żyje, nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca. Spakowałem więc swoje podręczne manele i usiadłem za kierownicą. Jadę krajową A2, trasa jest wygodna, a pogoda wymarzona na podróż. Do celu pozostało mi nieco ponad osiemdziesiąt kilometrów.

Wciąż utrzymuję małą metę na Bródnie: dwa pokoje z mikroskopijną kuchnią i łazienką dwa metry na dwa, z wiszącymi nad wanną sznurkami do suszenia prania i pożółkłym sedesem na ceramicznej nodze. Mieszkanie jest schedą po mojej babce nieboszczce. Pozostawiła je, chcąc w ten sposób zadbać o miłe wspomnienie po sobie. Tam właśnie mam zamiar się zadekować, by wybadać sprawę Miriam.

Pamiętam, jak po raz pierwszy wprowadziłem ją do tych moich czterech kątów. Gdy tylko przekroczyła próg, od razu stwierdziła, że coś tu jest nie tak. Obeszła wszystkie pomieszczenia, po czym stanęła pośrodku przedpokoju i powiedziała:

– Nie czujesz, że tu jest jakoś dziwnie? Nie chcę tu być, ty też nie powinieneś.

Zapytałem, czy chodzi o ten obrzydliwy sedes, który już dawno temu powinien wylecieć na śmietnik, ale pokręciła głową. Stwierdziła, że w mieszkaniu czuć złą energię. Była przeczulona na punkcie feng shui, duchowości i innych bzdur, o których nie miałem pojęcia.

– W tym mieszkaniu zmarło kilka osób – przypomniało mi się po chwili.
– Nie, nikt z mojej rodziny. To wydarzyło się podczas wojny, wpadło gestapo i wybiło pięcioosobową żydowską rodzinę. Naprawdę to wyczuwasz?

– Coś ciężkiego wisi w powietrzu. Pięć osób... – zamyśliła się. – Zostawili po sobie mnóstwo bólu. Utknął w tych murach.

Myślałem, że żartuje, ale była naprawdę poruszona.

– Od zawsze byłam wyczulona na takie zjawiska – wyjaśniła.

– Mam nadzieję, że to nie jest zaraźliwe, bo chciałbym tu jeszcze trochę pomieszkać. – Pocałowałem Miriam w usta, a ona słodko przymrużyła oczy.

– Mieszkaj, ale beze mnie. Chyba że wspólnie coś na to zaradzimy. W przeciwnym razie więcej tu nie przyjdę.

– Nawet tak nie żartuj.

– Myślę, że pomogłoby smużenie, jeśli nie masz nic przeciwko.

Jak mógłbym mieć? Czymkolwiek było smużenie, dla Miriam zrobiłbym wszystko. Nawet gdyby zażądała ode mnie polewania ścian litrami święconej wody, zalałbym sąsiadów bez mrugnięcia okiem.

Tamtego dnia zostawiła mnie w moim nawiedzonym mieszkaniu samego. Pojawiła się nazajutrz. Przyniosła ze sobą zawinięte w papier zasuszone zioła.

– Szałwia i koper – wyjaśniła, sprawdzając jednocześnie, czy sznurek, którym były związane, trzyma je wystarczająco dobrze w ciasnej wiązance. – Szałwia przepędzi negatywną energię, a koper ochroni przed złem. A teraz podaj zapalki.

Już od dłuższego czasu podejrzewałem, że lubi bawić się ziołami. Co jakiś czas wyczuwałem w jej ubraniu dziwne zapachy, głównie jałowiec i lawendę, ale myślałem, że używa ich do kąpieli, żadnych czarów nie brałem w rachubę. Okazało się, że wiem o niej mniej, niż mi się wydawało.

Podpaliła czubek zeschniętego wiechcia, po czym zdmuchnęła płomień tak, by zioła jedynie się tliły, i uniosła je nad głową. Przechodziła z nimi z pomieszczenia do pomieszczenia, kręcąc zgodnie z ruchem wskazówek zegara, co podobno było niezwykle istotne.

– Jeśli zrobię coś niewłaściwie, zło nigdy stąd nie odejdzie – odparła, gdy zapytałem, czy nie lepiej byłoby wstawić zioła do słoika i poczekać, aż smuga dymu sama rozejdzie się po kątach.

– Tamci ludzie nie byli źli, Miriam.

– Mówię nie o zamordowanej rodzinie, tylko o tych, którzy ich skrzywdzili. Zostawili w murach złego ducha. Nie dyskutuj ze mną, tylko się przesun.

Usiadłem w fotelu, jedynym odnowionym meblu, jaki znajdował się w moim mieszkaniu, i zamilkłem. Smużenie trwało kwadrans, w końcu Miriam podstawiała wiecheć pod kran.

– Nie wyrzucaj go, może ci się jeszcze kiedyś przydać.

Otrzeпаła go z wody i ułożyła na parapecie, by wysechł.

– Pal go za każdym razem, gdy poczujesz, że coś ci zagraża – dodała.

Była tak cudownie nieskomplikowana.

Zapewniłem, że tak właśnie zrobię. Nie mogła wiedzieć, że tego, co naprawdę nade mną wisi, nie przegoni żaden dym ani żadne zaklęcia. O tym miała usłyszeć już wkrótce. Musiałem jej powiedzieć o Grze.

Tydzień po odczynianiu wyznałem Miriam coś, co stało się początkiem jej końca. Wiedziałem, że się przejmie, ale nie mogłem przypuszczać, że aż do tego stopnia. Na cofnięcie moich słów było już jednak za późno. Usłyszała wszystko. Wciągnąłem ją w wielki mrok, nie zdając sobie sprawy z tego, że wessie ją niczym szalejący orkan. Nie, nie przestraszyła się. Zapragnęła stać się jego częścią i doświadczyć tego, co ja. Na darmo próbowałem ją zbyć. Nie ustępowała i nakręcała się coraz bardziej. Ze wszystkich sił domagała się, bym pomógł jej zrozumieć, jak działa Gra.

– Wprowadź mnie – zażądała.

Nie żartowała. Chyba nigdy wcześniej nie widziałem jej tak zdeterminowanej. W pewnym momencie zacząłem przeklinać samego siebie za to, że w ogóle otworzyłem gębę w tym temacie.

– To nielegalny klub, nad którym nie ma żadnej kontroli – odrzekłem, wciąż jeszcze licząc, że się zniechęci. – Facet, który za tym stoi, jest nie do ruszenia. To ktoś ważny, z szerokimi plecami i kontaktami. Jeśli dojdzie do nieszczęścia, nie odpowie za nic. Rozumiesz więc, że ryzyko jest zbyt wielkie.

Wzruszyła ramionami. Pamiętam, że tamtego dnia miała na sobie biały T-shirt z grafiką Banksy’ego. Rysunek przedstawiał dziewczynkę trzymającą za sznurek czerwony balon w kształcie serca.

– Mówiłeś, że jeszcze nikt w tej zabawie nie zginął.

Kłamałem. Nie miałem pojęcia, ile ofiar pochłonęła Gra, ale tego, że za jej sprawą kilka osób pożegnało się z życiem, byłem absolutnie pewien. Co oczywiste, takich statystyk nie publikuje się w południowych wiadomościach ani nie podaje na przedostatniej stronie tabloidów obok dzwonek, jakie można sobie ściągnąć na telefon. To informacyjna czarna dziura, cholerna otchłań, do której lepiej nie zaglądać.

– To nie jest zabawa, Miriam. Jeśli wydaje ci się, że Gra jest jak planszówka, w której możesz się cofnąć o dowolną ilość pól lub w ogóle z niej zrezygnować, kiedy ci się tylko spodoba, to jesteś w błędzie. Powiedziałem ci o niej, bo chciałem, żebyś wiedziała o mnie wszystko, na wszelki wypadek. Zawsze może być ten pierwszy raz, gdy ktoś odpadnie.

– Tak, wiem. Uczestnik może za to porządnie beknąć.

– Może umrzeć, Miriam. A potem zostanie naznaczony.

– O czym ty mówisz?

– Ten, który stoi za Grą, nie uznaje łagodnego odejścia. Znakuje tych, którzy się wycofali. Zostawia na ich skórze swój podpis, wyciętą literę H. Dlatego nie pozwolę ci...

– Nie opowiadaj bzdur, Florian. Poza tym lubię tajemnicze zabawy. Ile zadań do wykonania dostają uczestnicy?

– Proszę cię po raz kolejny, Miriam, żebyś nie nazywała tego zabawą.

– A ty nie bądź nudny. Ile? – naciskała.

– Trzy. Są trudne, można przez nie nieźle oberwać.

– Skoro ty dałeś radę, to ja też dam. Wprowadź mnie jak najszybciej.

Zachowywała się jak dziecko w sklepie z cukierkami. Była podniecona tym, co usłyszała o Grze, i tym, co może zyskać. Im bardziej odwodziłem ją od tego pomysłu, tym bardziej się upierała. Powiedziałem, że przemyśle sprawę, ale musi mi z góry obiecać, że gdyby przydzielone jej zadanie miało ją przerosnąć, powie mi o nim, a ja je przejmę i wykonam za nią.

– Niech ci będzie – odparła. – To nawet lepiej. W razie czego odmówię górze i powiadomię, że wytypowałam ciebie, jako mojego zastępcę.

Złapałem ją za ramiona i potrząsnąłem jej wątłym ciałem trochę zbyt mocno.

– Nikogo nie powiadomisz. To tak nie działa, Miriam. Za odmowę wykonania zadania można poważnie beknąć.

Wyswobodziła się z mojego uścisku, wyraźnie niezadowolona. Wykrzywiła twarz, jakbym powiedział coś niewygodnego.

– Co niby może mi grozić? Przecież to tylko zabawa.

Zachowywała się, jakby nic z tego, co jej dotąd powiedziałem, nie rozumiała. Wciąż powtarzała słowo „zabawa”, a ja biłem się z myślami, czy powinienem powiedzieć jej całą prawdę o osobliwości zadań, jakie musi wykonać uczestnik. Nie zrobiłem tego. Cokolwiek bym powiedział, i tak by nie zrezygnowała.

– Zapamiętaj: przyjdiesz z tym do mnie – przykazałem jej po raz kolejny. – Nikt nie może się dowiedzieć, że złamałaś warunki Gry. Zwłaszcza ten, kto za wszystkim stoi.

– Czyli?

– Hetman. On ustala zasady i rozlicza uczestników z wykonanych zadań.

– Hetman – powtórzyła. – Jak w szachach. Najsilniejsza figura.

„Do tego bezwzględna”, dodałem w myślach.

– To jeden z moich dwóch warunków, zanim zdradzę ci zasady.

– Czyli jednak jakieś zasady istnieją. – Miriam przyjrzała się mi z pobłażliwym uśmiechem. – Wiesz, co o tym wszystkim myślę? Że to jakaś dziecinada, ale niech ci będzie. Jaki jest twój drugi warunek? No, mów! Chcę wiedzieć, co jeszcze wymyśliłeś. Godzę się na wszystko.

W tamtej chwili rzeczywiście była w stanie spełnić każde moje żądanie, byle tylko dostać się do Gry. Ja zaś czułem, że właśnie wprowadziłem ją na drogę, z której nie ma odwrotu. Pozostawało mi ufać, że dotrzyma słowa i gdy zajdzie konieczność, podszyję się pod nią, a Hetman dostanie to, czego będzie się domagał.

ADELA

Pierwszy raz poczułam, że Miriam jest moją prawdziwą siostrą, kiedy miałam pięć lat, a ona siedem. Szła wtedy do pierwszej klasy, a ja wraz z naszą matką towarzyszyłam jej w drodze na rozpoczęcie roku szkolnego. Wędrowaliśmy, trzymając się za ręce, i skakałyśmy po płytach chodnikowych w rytm naszej ulubionej wyliczanki:

Jeden, dwa, jeden, dwa, idzie Freddy, cicho sza...
trzy, cztery, trzy, cztery, zamknij drzwi na spusty cztery,
pięć, sześć, pięć, sześć, krucyfiks do ręki weź,
siedem, osiem, siedem, osiem, późno spać położysz się,
dziewięć, dziesięć, dziewięć, dziesięć, dziś ze snem pożegnasz
się.

Żadna z nas nie wiedziała, co to jest krucyfiks, ale wyliczanka bardzo się nam podobała, bo była straszna. Miriam nauczyła się jej od Giny, a potem nauczyła mnie.

Później była uroczystość. Na sali gimnastycznej wychowawczynie zgrupowała dwudziestkę dzieciaków z pierwszej „a”, po czym najdelikatniej, jak tylko potrafiła, zasugerowała, żeby Miriam wreszcie puściła moją rękę i przekazała mnie matce. Miriam odpowiedziała jej, że albo pozwoli mi zostać, albo nigdy więcej nie pokaże się w szkole.

Zostałam. Byłam o połowę głowy niższa od jej nowego koleżeństwa, ale stałam przy niej twardo. Czułam, jak się denerwuje tym pierwszym dniem, bo miała spoconą dłoń.

Jeszcze przez kolejnych pięć lata byłyśmy nierozłączne. Stanowiłyśmy zespół do czasu, aż Miriam zaczęły rosnać piersi. Potem wszystko się posypało.

Drugi raz poczułam, że mam siostrę, gdy liczyłam sobie piętnaście lat, a ona niewiele ponad siedemnaście. Wiem, jak to brzmi, ale temu, kto ma rodzeństwo, nie trzeba tłumaczyć, jak to jest z bratem lub siostrą. Między

dorastającymi dzieciakami zazwyczaj bywa albo tragicznie, albo w najlepszym wypadku obojętnie, na zasadzie „wisi mi to, że w ogóle żyjesz”. Słodki obrazek, gdzie jedno poszłoby w ogień za drugim, widuje się tylko w filmach, w prawdziwym życiu zaś lecą wióry.

Myślałam, że etap, w którym darłyśmy ze sobą koty, nigdy się nie skończy, ale tamtego sierpniowego dnia dwa tysiące ósmego roku wydarzyło się coś niespodziewanego i przyszedł przełom.

To stało się w sobotę. Dzień był wyjątkowo duszny. Po nocnej ulewie nad ziemią unosiła się jeszcze wilgoć, ale wydawało się jasne, że za godzinę lub dwie nie da się już wysiedzieć w murach. Miriam odebrała telefon i powiedziała naszej matce, że zwija się na biwak do lasu. To musiała dzwonić Gina. W tym czasie nosiła ksywę Bomba, jako że jej figura z przypominającej węgorza w ciągu kilku ostatnich miesięcy zrobiła się nadmiarowo krągła. Bomba była organizatorką wszystkich zakazanych imprez, na których ich paczka mogła bawić się nieprzerwanie przez dwie doby, popijając tanie wino z kartonu i paląc drogie fajki, na które obowiązywała zrzutka. Jedzenie każdy brał swoje, kradnąc matce z lodówki a to pęto kiełbasy, a to kilka plastrów żółtego sera. Imprezy odbywały się w bardzo różnych miejscach, bez specjalnych ograniczeń, pod warunkiem, żeby nie rzucać się tam w oczy mundurowym. Wciąż pozostawali nieletni, a za nocowanie na plaży nad Wisłą można było wylądować pod kluczem. Bomba miała jednak rzadką umiejętność przygotowywania mistrzowskich scenariuszy na okoliczność przedłużającego się zniknięcia z domu i tych scenariuszy słuchołam za każdym razem, gdy Miriam zawieruszyła się na czterdzieści godzin. Raz wylądowała psa z rzeki, a potem czuwała z nim u weterynarza, aż spłynie cała kroplówka. Kiedy indziej zatrzasnęła się w jakiejś publicznej toalecie pod Centralnym i musiała czekać na pomoc. To wszystko były bujdy nakręcane przez Bombę i rzucone naszej matce prosto w twarz. Nie wiem, czy wierzyła w te kłamstwa, ale chyba tak, bo po krótkiej reprimendzie Miriam znowu dostawała zgodę na to, by w kolejny weekend zniknąć na długie godziny. Na mnie spadały wtedy domowe obowiązki, które powinnam była dzielić ze starszą siostrą po połowie. Matka nazywała to szlifowaniem. „Podsłifujesz przez to swój charakter” – mawiała.

Kiedy tamtego dnia Bomba znów zorganizowała wypad, postanowiłam wreszcie otworzyć matce oczy i udowodnić, że Miriam nie wpada w żadne nagłe i krytyczne sytuacje, nie zatrzaskuje się w wychodku ani nie ratuje bohatercko bezdomnych kundli. Zamierzałam pójść za nią i śledzić każdy

jej krok, dokumentując wszystko robionymi z ukrycia zdjęciami. Nie uważałam wtedy, że to, co robię, jest podłe. Miałam nadzieję, że dzięki temu w naszym domu wreszcie zapanuje sprawiedliwość, bo tak się składało, że to akurat ja nie mogłam robić niczego poza nauką, wycieraniem półek z kurzu i trzepaniem dywanów. A że w tę sobotę wyjątkowo zostałam zwolniona z bycia sprzątaczką z racji dopiero co zakończonej neuroinfekcji, która rozgościła się w mojej głowie, postanowiłam to wykorzystać.

Miriam ukradła z lodówki szynkę w puszcze i kilka pomidorów, a z mojej skarbonki – pięćdziesiąt złotych. Wyjęła z szafy stary sfilcowany koc i płaszcz przeciwdeszczowy, i wcisnęła wszystko do swojego plecaka. Umalowała na czarno oczy i nakręciła lokówką włosy, co znaczyło, że poza nią i Bombą na pikniku pojawią się też chłopcy. Choć Bomba nie grzeszyła urodą, bo miała nazbyt rozciągniętą twarz, przez co przypominała dmuchany balon, z którego skręca się baloniaste pieski, to Miriam przyciągała ich swoją. Była naprawdę ładna i miała już całkiem duże piersi. To się chłopcom bardzo podobało. Zwłaszcza jednemu. Bomba i Miriam nazywały go Wielkie Usta, nietrudno się domyślić dlaczego. Wielkie Usta był typem chłopaka jak z amerykańskiego filmu: wysoki blondyn w czarnej skórzanej kurtce i na motorze złożonym z części ze złomowiska. Podejrzewałam, że sypiał po kryjomu z moją siostrą, i trudno było mi to znieść. Nie dlatego, że robił jej krzywdę, ale z powodu uczuć, jakimi ja sama go darzyłam. I tu bez niespodzianki – on nie zauważał mnie wcale.

Okolo osiemnastej Miriam wymknęła się z domu i wsiadła pod blokiem do rozklekotanego peugeota Bomby. Szyby były opuszczone, więc usłyszałam, jak mówią „ognisko” i „polana”. Znałam jej rewiry, więc od razu się domyśliłam, że mają zamiar zadekować się pod jedną z drewnianych wiat, jakie stoją w lesie w Powsinie. Dojazd autem był tam w miarę dogodny, ale autobusem wychodziło o wiele gorzej. Jechałam tam chyba godzinę, potem pieszo ruszyłam duktem przez las.

Już z daleka czułam zapach dymu unoszącego się z ognisk i słyszałam głosy dochodzące z polany. Ludzi było dużo; to popularne miejsce, z rana oblegane przez rodziny z dziećmi, a wieczorami, po zmroku, przez paczki takie jak ekipa Bomby i Miriam.

Przez jakiś czas krążyłam wokół polany tak, by mnie nie zauważyli. Głównie chowałam się za drzewami. Pstrykałam zdjęcia, żeby później pokazać je matce, która dzięki temu miała wreszcie zacząć mnie bardziej lubić, a Miriam jeszcze bardziej nienawidzić. Gdy zaczęło się zmierzchać

i temperatura spadła tak, że nawet przy ognisku czuło się lekki chłód, Miriam wyciągnęła z plecaka koc. Słyszałam, jak popiskuje, kiedy Wielkie Usta wpakował się pod pled i zaczął obmacywaną. Bomba leżała wtedy na trawie ze skrzytem w ustach i patrzyła w niebo. To było naprawdę głupie, że nie wyłączyłam lampy w swojej komórce i przeszła na automatyczny tryb. Kiedy błysnęło w krzakach, cała czwórka obróciła się w moją stronę.

– Kogo my tu mamy... – Wielkie Usta poderwał się spod koca i ruszył prosto w moim kierunku. Wyciągnął mnie za fraki z zarośli i przywłókł do dogasającego ogniska. – Wiedziałaś, że ciągniesz za sobą szpiega? – zwrócił się do Miriam.

Była wściekła i zawstydzona zarazem. Wyrwała mi telefon z ręki i zaczęła jak szalona kasować zdjęcia, a potem rzuciła aparat daleko między drzewa.

Nie mogłam pozwolić, by się zgubił ani nawet zniszczył, więc pobiegłam między pnie, padłam na kolana i zaczęłam przeszukiwać dłońmi teren. Wieczorem między drzewami można sobie co najwyżej guza nabić, więc poprosiłam, żeby puściła sygnał na mój numer, bo inaczej nigdy tego telefonu nie znajdę.

– Co ty sobie myślałaś, przyłączając tu i węsząc? – Miriam podeszła do mnie i stanęła mi nad głową. – Od dawna to robisz, małpiszonie? Tak ci się podoba zabawa w podglądactwo?

– Po prostu zadzwoń do mnie, to go znajdę – powtórzyłam. – Bądź człowiekiem, Miriam.

– Skoro tak bardzo chce być z nami, niech zostanie – odezwała się Bomba.

Nie podejrzewałam, że to właśnie ona się za mną wstawi, bo z zasady była nieprzyjemną typiarą, ale przez chwilę miałam nadzieję, że znalazłam w niej przyjaciółkę.

– Zapraszam. – Wskazała ręką miejsce, na którym jeszcze chwilę temu siedziała Miriam. Był to kawałek pnia rzucony na ziemię. – Będziesz miała okazję poczuć się tak jak twoja starsza siostra.

Nacisnęła mi na ramię, usadziła siłą na pniu, po czym okryła moje plecy starym kocem.

– Wskakuj na swoje miejsce, Wielkie Usta – zaśmiała się paskudnie. Szybko dotarło do mnie, że jednak nie zamierzała być moją przyjaciółką.

Wielkie Usta znalazł się koło mnie w mgnieniu oka i zrobił to, na co liczyła Bomba. Objął mnie ręką i zaczął się ocierać o mój bok.

– Sama chciałaś. – Paskudny śmiech Bomby nie ustawał. – No i jak? Przyjemnie ci, mała? Przecież o to ci właśnie chodziło.

Miriam stała z boku i nic nie mówiła. Nie była zachwycona pomysłem Bomby i tym, że Wielkie Usta maca mnie po plecach, ale najwyraźniej i ona chciała dać mi nauczkę.

Wielkie Usta nagle przestał mi się podobać, definitywnie i na zawsze. Stał się oślizgłym palantem bez żadnych zasad. Czułam, że robi mi się niedobrze, że jeśli tylko przesunie łapę w kierunku mojego brzucha, to zemdleję. Nie zaryzykował, ale wpadł za to na inny pomysł. Wcisnął mi do ust tłącego się skręta, którego podała mu Bomba, i zacisnął mój nos, tak że musiałam wciągnąć w płuca dym. Popłynęły mi łzy. Poślałam Miriam błagalne spojrzenie, żeby przerwała tę męczarnię, bo czułam, że mój mózg zaraz eksploduje. Jeszcze przez chwilę widziałam, jak Bomba klaszcze w ręce, śmieje się i krzyczy „Dawaj, mała!”, a potem nagle wydarzyło się coś dziwnego. Nie czułam już na sobie rąk Wielkich Ust ani smaku skręta. Przestałam czuć własne ciało. Usłyszałam za to jak przez mgłę:

– Coś ty jej zrobił?! – Bomba już się nie śmiała. Widziałam, jak macha w powietrzu rękami i jak jej pociągła twarz wydłuża się jeszcze bardziej. – Ona się nie rusza... co jest, do diabła!

Wielkie Usta zabrał łapy i wysunął się spod koca. Wstał z pnia i stanął przy tryskających z ogniska iskrach. Moje ciało z braku podparcia natychmiast przewróciło się na bok i huknęło o ziemię. Nic mnie nie zabolalo. Moje ciało niczego nie odczuło, a przecież powinno. Nie mogłam poruszyć ani ręką, ani nogą, ani nawet powiekami. Za to wszystko słyszałam i widziałam, że leżę zbyt blisko ognia i jeśli mnie zaraz od niego nie odsuną, spłoną mi najpierw włosy, a potem stopi mi się twarz. Od żaru dzieliło mnie nie więcej niż metr.

– Co jej jest? – Bomba najpierw wysunęła do przodu szyję, po czym złapała za jakiś patyk. Trąciła nim moją nogę, całkowicie zdrętwiała. Potem kij powędrował wyżej, ku barkom. Musiała wbić go niemal do kości, bo pchała go w moją stronę z wysiłkiem, ale i tak nie czułam bólu.

– Nie porusza oczami, jest sztywna... O, kurwa... Ona nie żyje! Ty idioto, po jaką cholere dałeś jej tego jointa?! Ona naprawdę fiknęła!

– Kto mi podał zioło, no kto?! – wrzasnął Wielkie Usta. – Załatwiłaś tę gówniarę na cacy!

Ja, czyli gówniara, wciąż leżałam przy płomieniach, coraz bardziej czerwona. Miriam była za to blada jak płótno. Bomba krzyczała, a moja siostra

nie mówiła zupełnie nic, jakby nagle oniemiała. Po chwili złapała mnie za nogi i odciągnęła od ogniska. Przykucnęła przy mnie i nachyliła się, przystawiając ucho do mojego serca. Gdy się podniosła, pokręciła głową na znak, że przestało bić.

– Nie daruję ci tego – wysyczała w końcu do Wielkich Ust. – Zabiję cię za to, gnoju! Wyrwę ci jaja i wepchnę do gardła, żebyś i ty się udusił!

Wyjęła z plecaka scyzoryk, który pierwotnie miał służyć do otworzenia konserwy z szynką, i wysunęła nożyk z najdłuższym ostrzem.

– Przytrzymaj go! – wydała polecenie Bombie. Ta, choć pękata, była na tyle zwinna, że podeszła Wielkie Usta od tyłu i złapała go za nadgarstki. Wykręciła je na tyle boleśnie, że chłopak osunął się na kolana.

Na polanie byliśmy już wtedy zupełnie sami. Widziałam kątem oka ogniska pozostawione przez wycieczkowiczów, jak się tlą, przysypane piaskiem, i jedno nasze, a właściwie ich, wciąż sycące się suchymi badyłami przytarganymi z lasu. Słyszałam, jak Wielkie Usta zaczyna się rzucać i wrzeszczeć, żeby ten drugi koleś, który z nimi był (chyba wołali na niego Szajba), mu pomógł, ale Miriam szybko go uciszyła. Wcisnęła mu do gardła swoją grubą frotkę zdjętą z włosów.

– Ani słowa, skurwielu! A teraz przygotuj się na wiesz co... jaja.

Patrzyłam na tę scenę z przerażeniem tym większym, że żadne z nich nie pomyślało, by wezwać pogotowie. Miriam zajęta była realizowaniem swojej zemsty, a Bombie chyba też zrobiło się mnie szkoda, bo zapytała nawet, ile Miriam dałaby za to, żebym nagle zmartwychwstała. Moja siostra odpowiedziała, że wszystko, co ma. Ryczała i dobierała się do rozporzka Wielkich Ust. Naprawdę miała zamiar go wykastrować. Gdyby nie Szajba, który w końcu ją odciągnął, nie skończyłoby się na kilku ranach zadanych w okolicach pachwin.

To, co mnie spotkało tamtego wieczora, nazywa się katalepsją. Dokuczliwa pozostałość po neuroinfekcji, która paraliżuje ciało poprzez zeszywnienie mięśni. Nie czuje się niczego: ani ciepła, ani zimna, ani bólu – niczego. Wtedy dotknęło mnie to po raz pierwszy. I pewnie żałowałabym, że zrobiłam z siebie trupa przy przyjaciółkach mojej siostry, gdyby nie to, że dowiedziałam się o niej czegoś, co diametralnie zmieniło naszą relację. Miriam na serio wystraszyła się, że mnie straci. Zrozumiałam, że jednak jestem dla niej kimś bardzo ważnym.

Nie ucięła jaj Wielkim Ustom tylko dlatego, że nagle na polanie pojawiła się konkurencyjna paczka jakichś studentów z sześciopakiem piwa.

Widząc scyzoryk w rękach Miriam i powalonego na ziemię gościa z kneblem w buzi, zadzwonili po policję. A policja po pogotowie. Pogotowie natomiast zadzwoniło po naszą matkę.

Blokada mięśni puściła po kilku godzinach, kiedy leżałam już w szpitalnym łóżku. Usłyszałam, jak lekarz mówił matce, że takie sytuacje mogą się powtarzać i że trzeba mnie na to przygotować, bo za każdym razem ludzie będą mnie brali za martwą. To mało przyjemne i może odbić się na mojej psychice. Wiedział, co mówi. Przypadek na polanie był dopiero preludium do tego, co działo się z moim ciałem później. Był zaledwie drobną niedogodnością, która przytrafiła się w momencie, kiedy byłam dzieckiem. Z biegiem lat te powtarzające się stany pozornej śmierci stały się przyczyną mojego towarzyskiego sabotażu. Zrozumiałam, co musi czuć epileptyk, który nie wie, kiedy przytrafi mu się atak padaczki i narobi sobie wstydu przed ludźmi.

Odsunęłam się od świata. Wybrałam życie na uboczu, utrzymując się ze spadku po matce i sprzedanego mieszkania (Miriam wspaniałomyślnie zrzekła się swojej części, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że na dobre przestała mnie nienawidzić), nieprzerwanie lecząc się pigułkami i naświetleniami, które miały rozgrzewać moje zwoje mózgowe. Wciąż liczyłam na to, że ataki przeminą bezpowrotnie i że zacznę żyć normalnie. Tak jak żyła Miriam. Dostała od życia nie tylko ładną buzię i końskie zdrowie, ale też talent i idealnego męża. Dostała wszystko, o czym można zamarzyć. Dla mnie los pozostawił okruchy i byłam tego świadoma.

Kochałam moją siostrę, ale jeszcze bardziej kochałam myśl, że powinnam być taka jak ona. Bardzo tego pragnęłam. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo.

Problem w tym, że nie mogłam.

KONRAD

Kiedy parkuję samochód pod komisariatem, zaczynam czuć się nie-swojo. Jeszcze kilkadziesiąt minut temu, gdy ruszałem sprzed domu, wydawało mi się, że jestem kuloodporny i zniosę wszystko, zwłaszcza sytuację tak banalną jak ponowne przesłuchanie w obecności jakiegoś dupka-mądrali. Dlatego nie rozumiem, co się teraz ze mną dzieje. Coś kłuje mnie w okolicy serca, do tego bulgocze mi w żołądku. Zdaję sobie sprawę, że jednak kurewsko się stresuję. Sypię się.

Parking przy komendzie jest śmiesznie mały, jakby był przeznaczony dla dziecięcych samochodzików napędzanych pedałami, a nie dla normalnych aut. Do tego nie ma ani jednego wolnego miejsca. Wciskam się więc na trawnik. Machającemu do mnie z okna młodemu policjantowi pokazuję bezradnie rozłożone ręce, choć tak naprawdę mam ochotę pokazać mu zupełnie inny gest. Facet po chwili odpuszcza. Zgaduję, że musi być przyzwyczajony do trawnikowych najazdów interesantów.

Zamykam za sobą auto i wchodzę do budynku. Melduję się przy szklanym okienku i siadam na jednym z dwóch krzeseł. Po kilku minutach widzę idącą w moją stronę skośnooką funkcjonariuszkę. To ta sama, która była z nami podczas identyfikacji zwłok. Mała, czarnowłosa, o szybkich ruchach. Shi Coś Tam.

– Śledczy Nauman czeka na pana – słyszę.

Podnoszę się z krzesła. Kobieta wiezie mnie windą na piętro, po czym prowadzi do klitki z oknem zasłoniętym żaluzjami, tej samej, do której wprowadzono mnie dzień po zaginięciu Miriam. Meble też są te same: biurko, trzy krzesła i metalowa szafa ustawiona w rogu pokoju. Znów jest duszno i nieświeżo, na zielonej wykładzinie wciąż maluje się zaschnięta plama po kawie albo coli.

Wszystko jest takie samo, tylko Nauman jest zupełnie inny, niż go sobie wyobrażałem. Na oko ma pięćdziesiąt pięć, może sześćdziesiąt lat. Nie wiem, czy jest wysoki, bo siedzi za biurkiem. Okularnik w bezoprawkowych fotochromowych szklach stylizujący się na kogoś o wiele młodszego

z racji farbowanych włosów. Z miejsca widzę, że na czubku głowy są zbyt ciemne, a po bokach mocno posiwiałe. Fryzjerska niedoróbka w okolicach skroni wygląda, jakby balwierzowi zabrakło farby i zarzucił barwienie włosów poniżej linii uszu. Jest ubrany w cywilne ciuchy i pachnie tanimi perfumami, co akurat zupełnie mnie nie zaskakuje. To żadna tajemnica, że budżetówka słabo przędzie, więc coś, co pachnie jak Czar Peerelu, jest jak najbardziej adekwatne do policyjnej pensji.

– Proszę usiąść. – Nauman wskazuje mi miejsce naprzeciw niego.

Shi Coś Tam też siada, ale dalej od nas, pod ścianą. Jak praktykantka, która ma się nie wtrącać, a jedynie słuchać i pilnie uczyć.

Na biurku leży tekturowa aktówka. Widzę na niej nazwisko Miriam, numer katalogowy, jakieś sygnatury i stemple. Nauman otwiera teczkę i moim oczom ukazuje się niezbyt pękaty stosik pojedynczych kartek.

– Nie nazbieraliście tego dużo – zauważam. – To wszystko, co macie na temat zaginięcia mojej żony? Marnie.

Facet spogląda na mnie spode łba i zaraz potem przenosi wzrok na przypięte do akt zdjęcie Mi. Na pogodną twarz z lekkim uśmiechem na ustach, na niebieskie oczy i jasne włosy z przedziałkiem pośrodku głowy.

– To są jedynie nieścisłości, jakich się doszukałem, badając sprawę – odpowiada zupełnie spokojnym głosem. – Nie nazwałbym tej ilości marną. Chyba nigdy dotąd nie spotkałem się z aż tyloma znakami zapytania.

Dla przeciwwagi mój głos zaczyna brzmieć bardzo nerwowo:

– Od początku wiedziałem, że macie tu niezły bajzel. Coś panu powiem. Kiedy zasugerowałem wizję lokalną, ten typ, pana poprzednik, wziął mnie za wariata. Mało tego. Od razu uderzyło mnie, że nikt nie nagrywał mojego zeznania. Robił jakieś notatki, jak studencina na wykładach. Nieścisłości... Straciliście kilka miesięcy na niczym, a teraz nagle wypłynęły wam nieścisłości. Widział pan ciało mojej żony?

– Ja widziałam – odzywa się głos spod ściany. – Przykry widok.

Pięści, które trzymam pod biurkiem, zaciskają się momentalnie.

– Przykro to wam dopiero będzie. Pan, jak rozumiem, nie miał ochoty się pofatygować?

Nauman bawi się przez chwilę brzegiem kartki z przypiętym zdjęciem Miriam. Robi to bez emocji, co jeszcze bardziej wytrąca mnie z równowagi. Gdy kończy miętoszenie papieru, wskazuje palcem na metalową szafę.

– Tam, na górze, jest rejestrator wizji i dźwięku. Zapewniam pana, że wszystko, co pan powiedział, zostało zaprotokołowane. Każde pańskie

słowo.

Małe czerwone szklane oczko. Nie dam głowy, że było tam poprzednim razem. Muszę mu jednak wierzyć na słowo.

– Tak więc nieścisłości dotyczące zaginięcia pańskiej żony nie wynikają z błędów policji, niestety.

– Tylko...?

– Tylko z pańskich zeznań.

Mierzymy się wzrokiem. Bawimy się w „kto wymięknie pierwszy”.

– Zabawne. – Wychodzi na to, że to ja muszę zacząć. – Twierdzi pan, że celowo minąłem się z prawdą?

– Ładnie to pan nazywa. – Twarz Naumana się wykrzywia. – To jakby nazwać szalejącą kobrę tańczącym wężem. Powiem panu coś, panie Macharow, i dobrze panu radzę, niech pan to weźmie sobie do serca. Im szybciej zacznie pan mówić, co tak naprawdę wydarzyło się tamtej doby, tym lepiej dla pana. Proponuję, by zaczął pan to robić już teraz i opowiedział nam wszystko od samego początku. Od tego, jak rozpoczął się poranek siódmego marca. Chociaż właściwie... co pan na to, żebyśmy cofnęli się w czasie jeszcze dalej. Do dnia, w którym pańska żona uległa wypadkowi. To było na trzy miesiące przed jej zaginięciem. Konkretnie w grudniu, również siódmego, zgadza się?

– Tak się złożyło.

– Wygląda na to, że siódemki nie są szczęśliwymi liczbami pańskiej żony. Wtedy, zdaje się, również był pan w delegacji.

– To niczego nie dowodzi. Powtarzam, że to zwykły zbieg okoliczności.

– Do tego bardzo niefortunny. Tak się składa, że lubię się przyglądać takim przypadkom. Proszę mówić.

Wszedłem z przesłuchania jak otepiały. Ciśnienie musiało mi gwałtownie podskoczyć, bo czułem w uszach szum. Wsiadłem do auta i odruchowo sięgnąłem do schowka po paczkę cameli. Uchyliłem okno i zapaliłem. Kiedy spojrzałem w stronę okien komisariatu, zobaczyłem za szybą tę kobietę, asystentkę Naumana. Stała na korytarzu i gapiała się na mnie tym swoim skośnym spojrzeniem. Pod pachą trzymała teczkę z nieścisłościami i notatkami, które jej szef robił podczas mojej spowiedzi.

Powiedziałem im wszystko, co wiem o tamtym grudniowym dniu. O mały włos, a doszłoby do nieszczęścia, kiedy zawiodły hamulce w morri-

się należącym do Mi. Nie poruszałem tego tematu wcześniej, bo nie widziałem ani takiej potrzeby, ani związku z jej zniknięciem. Ale Nauman i tak dogrzebał się do sprawy. Czułem się jak dzieciak przyłapany na kłamstwie i nieudolnie próbowałem z tego wybrnąć.

W warsztacie stwierdzono podcięcie przewodów hamulcowych przy przednich kołach. Miriam jechała wtedy pustą drogą gdzieś za Piasecznem, a na liczniku miała ponad sto kilometrów na godzinę. To mnie akurat nie zdziwiło, bo wiem, jak bardzo lubiła szybką jazdę i skoki adrenaliny. Hamulce wysiadły, gdy próbowała wziąć ostry zakręt przed torami kolejowymi. Auto straciło stabilność i wylądowało w rowie. Ja byłem wtedy na konferencji w ośrodku oddalonym o trzydzieści kilometrów od Warszawy. Zadzwoił któryś z ratowników i powiedział, że zdarzył się wypadek. Pół godziny później byłem już na miejscu i patrzyłem na wycięte piłą drzwi kierowcy i lekarza reanimującego moją żonę. Długo nie reagowała. Odzyskała przytomność w karetce, ale z tego, co wiem, bredziła. Adela zna więcej szczegółów tego, co mówiła. Mnie interesowało jedynie to, czy Miriam przeżyje. To był cud, że się z tego wylizała.

Kiedy, będąc już w szpitalu, odzyskała świadomość na tyle, by mogła mówić, od razu poprosiła, żebym podał jej wszystkie rzeczy, jakie miała na sobie i przy sobie w tamtym dniu. Właściwie to interesowała ją głównie zawartość jej torebki. Wysypałem z niej na pościel zaledwie kilka rzeczy: portfel, telefon, opakowanie tamponów, puderniczkę i smartwatcha, którego musiała niedawno kupić, bo widziałem go pierwszy raz w życiu. Potem poprosiła, żebym na chwilę wyszedł z sali. Miałem wrażenie, że chciała do kogoś zadzwonić.

Właśnie to powiedziałem Naumanowi. Dodałem, że obiecałem Miriam nowe auto, bo tamto nadawało się już tylko na złom. Miriam kochała Morrisa mini, więc wybór marki był oczywisty.

– Ucieszyła się na pana widok? – zapytał, pstrykając włącznikiem długopisu.

– Była na prochach. Nie wiem, czy w ogóle miała świadomość tego, co się z nią dzieje.

Odnótował, że się nie ucieszyła.

– Ale chciała z kimś porozmawiać przez telefon?

– Chyba tak. Na to wygląda.

– Wie pan z kim?

Pokręciłem głową. Spełniłem prośbę Mi i wyszedłem. Stałem pod drzwiami szpitalnej sali i starałem się podsłuchać, co i do kogo mówi, ale nie słyszałem zupełnie nic. Domyśliłem się, że musiała wysłać komuś esemesa. Wróciłem do pokoju i odczekałem, aż Miriam uśnie. Wtedy sprawdziłem rejestr połączeń i skrzynkę z wiadomościami. Nic nie znalazłem, ani w e-mailach, ani w esemesach.

– Sprawdzimy to u operatora – powiedział Nauman. – A do naszej rozmowy jeszcze wrócimy.

– Nie wiem nic więcej o tym wypadku. O zaginięciu też powiedziałem już wszystko.

– Powiedział pan to, co chciał powiedzieć. Wydawało mi się, że zaleciłem jasno, by mówił pan prawdę. Nie posłuchał mnie pan.

– Chyba pan sobie ze mnie kpi!

Nauman skrzyżował ręce na piersiach i pokiwał się na krześle.

– Tak pan sądzi? Dwa razy zapytałem pana o to, w jaki sposób auto żony zniknęło z garażu zaraz przed tym, jak znaleziono je spalone w Ursusie, i dwa razy usłyszałem, że zostało skradzione. To bardzo, bardzo ciekawe. Rozumiem, że zgłosił pan kradzież?

– Taki miałem zamiar. Ale na drugi dzień znaleziono ciało.

– I uznał pan, że...

– Że to nie była żadna kradzież. To Miriam wróciła po morrisa.

– Słyszałaś, Shi? – rzucił Nauman do siedzącej pod drzwiami policjantki. – Niezły jest. Kobita znika na sześć miesięcy, po czym przypomina sobie, że zapomniała zabrać auto. Wraca i wyprowadza je z garażu. I to tylko po to, żeby później w nim spłonąć. Oby tak dalej, doktorze Macharow! – Pokiwał z uznaniem głową. – Niemniej zbadamy i to tajemnicze zniknięcie, może pan być tego pewien.

Potem zapytali mnie, co robiłem w dniu zaginięcia żony. Miałem opowiedzieć im wszystko, godzina po godzinie. Zacząłem od porannego pożegnania z Miriam, zdałem szczegółową relację z tego, co robiłem na konferencji, a skończyłem na tym, jak dziesięć minut po północy dotarłem pod dom, gdzie stała już policja. Końcówka mojej opowieści chyba im się nie spodobała, bo spojrzeli po sobie wymownie.

Wyjeżdżam spod komendy i w tej chwili uświadamiam sobie, że oni już wiedzą. Mają raport od operatora mojej sieci komórkowej i widzą

wszystko. Dla pewności sprawdzą wykaz jeszcze raz i tylko się upewnią, że byłem w okolicy Rukoli dużo wcześniej, niż zeznałem.

Wygląda na to, że jestem kłamcą, Mi.

FLORIAN

Zamek w drzwiach jak zwykle się zacina. Szarpię się z kluczem, który przekręca się dopiero za piątym razem.

Od progu czuję zapach palonych ziół. Miriam jeszcze kilkakrotnie powtarzała smużenie, więc ich aromat zatrzymał się w niepranych od lat zasłonach i w farbie na ścianach, w poduszkach na kanapie i babcinym fotelu. Najmocniej czuć go jednak w kuchni. Kilka zeschniętych wiechci szaławii i kopru, które leżą na parapecie, wciąż uwalnia z siebie bardzo już słaby aromat.

Dziwnie jest wrócić do tego miejsca. Zbyt wiele się tu wydarzyło i zarazem zbyt mało. Nie zliczę, ile razy nachodziła mnie myśl, aby dać ogłoszenie o sprzedaży mieszkania, zgarnąć okrągłą sumkę i zamknąć za sobą warszawską przeszłość. Wciąż jednak coś mnie przed tym powstrzymywało. Potem miałem fazę na wynajem. Znalazłem nawet wesołą parkę chętną uiścić dwa tysiące plus opłaty za liczniki. Ale to też nie wypaliło. Zrezygnowałem z nich zaraz po tym, jak wyobraziłem sobie, że to nie my z Miriam chodzimy po skrzypiącym ze starości parkiecie, nie my leżymy w ciasnym łóżku i nie my gapimy się nocą w sufit, po którym przesuwają się światła padające z ulicy. Miałbym im to wszystko zostawić, żeby bawili się w nas? Nie było takiej opcji.

Traktowałem te cztery kąty jako naszą przystań i łudziłem się, że przyjdzie dzień, w którym Miriam znowu się w niej pojawi. Że wróci. Dałem jej osobny komplet kluczy, więc gdyby coś się w jej życiu nagle spieprzyło, miałyby dokąd uciec.

Teraz wiem, że tak nie będzie.

Stawiam torbę pod łóżkiem i ściągam z pleców przesiąknięty potem podkoszulek. Daję sobie godzinę na prysznic i odgrzanie kurczaka po chińsku kupionego w budzie pod blokiem. Potem zajmę się tym, co powinienem zrobić o wiele wcześniej, zanim zaczął się ten cały koszmar związany z poszukiwaniami Miriam. Zacznę przygotowywać plan.

Mam świadomość, że to zabrzmiało jak oklepany motyw z filmów o szpiegach i agentach FBI, ale zaraz po tym, jak wciągnąłem Miriam w tę cholerną Grę, wynająłem skrytkę na pocztę – mały blaszany schowek, który opłaciłem za rok z góry. W filmach takie skrytki służą do przechowywania tajnych szyfrów zwalniających pocisk atomowy lub do kitrania szmuglowanych krwawych diamentów, ale mnie potrzebny był on do czegoś zupełnie innego. Chodziło o drugi warunek, jaki postawiłem Miriam w związku z Grą. Zażądałem, by każde zadanie, które dostanie od Hetmana, zapisała na kartce i by ową kartkę zdeponowała w tej właśnie skrytce. Skrytkę wynająłem na moje nazwisko, ale klucz miał być tylko jeden i trafić do rąk Miriam z zastrzeżeniem, że będzie go przechowywała w umówionym miejscu. Najpierw mnie wyśmiała. Wykonała przy tym taki ruch rękami, jaki robił tajemniczy Don Pedro z kreskówki dla dzieci. Z tym że on miał czarną pelerynę, a ona machnęła mi przed nosem jakąś swoją podomką. Dobrze się bawiła, bo wciąż nic z tego nie rozumiała. Złapałem ją za nadgarstki i odczekałem, aż ten chichotliwy nastrój jej minie. Musiało ją zabość, bo szybko znieruchomiała. To, co zobaczyła w mojej twarzy, też zrobiło swoje. Przez dłuższą chwilę milczała. Wpatrywała się w mój gniew, jakby liczyła na to, że jednak powiem coś w stylu „Ale cię nabrałem!”, ale się nie doczekała. W końcu kiwnęła głową.

Za bardzo jej zależało.

A dlaczego zależało mnie? Ja, w przeciwieństwie do Miriam, dobrze wiedziałem, jak Gra może się dla niej skończyć. Żaden uczestnik nie zakłada najgorszego, ale lepiej jest mieć jakąkolwiek opcję ratunkową, niż nie mieć nic i utonąć. Tą opcją miałem być ja – pod warunkiem, że dostanę się do skrzynki i znajdę w niej to, na co się umówiliśmy. Przestałem już liczyć na to, że Miriam się wycofa. Coś pchało ją do igrania z ogniem, do zagładania śmierci w oczy.

Więc to było minimum zabezpieczenia.

Jakbym przeczuwał.

Bo w końcu naprawdę zniknęła. A ja czuję jej krew na swoich rękach.

Pchnąłem ją w ciemność i jestem jedyną osobą, która wie, jak mogło dojść do tej tragedii i co teraz z tym zrobić. Jeszcze nie zdecydowałem, czy komuś o tym powiem, czy zostawię ten sekret dla siebie. Być może będzie lepiej, jeśli zostanie tak, jak jest, i wszyscy uznają, że śmierć Miriam przydarzyła się wskutek fatalnego zbiegu okoliczności. Stwierdzą: „To takie straszne, że znalazła się w niewłaściwym miejscu i o niewłaściwej porze”.

Prawda wygląda tak, że miała się tam znaleźć.

Cokolwiek postanowię, najpierw muszę dostać się do skrytki pocztowej. Od tego, co w niej znajdę, zależy, czy jej bliscy dowiedzą się, co zabiło Miriam, czy też wyłącznie ja, jako jedyny człowiek znający okoliczności jej śmierci, będę musiał dźwigać ten ciężar wiedzy do końca swojego życia.

Piątek, 4 września

STAN

Byłem zmuszony odsunąć Konrada od wczorajszej operacji. Zapewniłem pacjentkę z obwisłą po czterech ciążach skórą na brzuchu, że doktor Macharow zajmie się nią dziś z samego rana. „Ważne sprawy rodzinne” – wyjaśniłem, licząc na zrozumienie. Nie zrozumiała. Zamierzała napisać skargę do Izby Lekarskiej, ale gdy dorzuciłem jej rarytas w postaci dwóch terapii laserem na gojenie się blizn pooperacyjnych, w końcu odpuściła.

To nie była pierwsza operacja, którą przełożyliśmy. Nie wiem, ile ich jeszcze będzie, jeśli Konrad zamierza po raz kolejny przyjść tu cuchnący procentami. Wybrał sobie kiepski moment na tankowanie, ale tym razem postanowiłem nie robić mu wyrzutów. Wiem, przez co przechodzi. Kiedy wrócił po spowiedzi na komendzie, minął mnie na korytarzu bez słowa i zamknął się swoim zwyczajem w gabinecie. Zajrzałem do niego po godzinie i widziałem, że odpłynął na wąskiej kozetce. Narzuciłem mu na plecy pled i wycofałem się do swoich spraw. Wiem, że nie wrócił na noc do domu.

Rano mój kumpel budzi się świeży niczym majowy poranek.

– Machnę tę babkę od zwisającej skóry, a potem wyskoczymy gdzieś razem – proponuje.

Ewidentnie znów chce się zalać.

Operacja, przy której ja również dla bezpieczeństwa asystuję, przebiega podręcznikowo. Konrad chce mnie przekonać, że mimo tego, przez co przechodzi, jest w świetnej formie, i zaczyna nawet dowcipkować. To dość nietypowy sposób na radzenie sobie z żalobą, ale jeśli ma mu pomóc, jest tak samo dobry jak każdy inny. Problem w tym, że dowcipy mu nie wychodzą,

a on sam wygląda na zestresowanego. Mam więc cichą nadzieję, że w jakiś cudowny sposób odechce się mu balować i wybierze spokojny sobotni wieczór w domu, ale gdy tylko zrzuca z siebie fartuch i odkaża ręce, proponuje wypad do klubu albo picie u mnie, w głębokim lesie.

– Chciałbym wreszcie zobaczyć to twoje odludzie – mówi, wciągając na grzbiet marynarkę. – Nie nudno ci tam?

– W mojej świątyni spokoju? Nigdzie nie było mi tak dobrze jak tam.

– Przypomnij mi, jak ją głupio nazwałeś.

– Aranya.

– To jakiś buddyjski slang?

– Żebyś, stary, wiedział.

– No, mów, mów. Uchyl rąbka.

– Oznacza miejsce odpoczynku. Idealne do medytacji.

– Jednym słowem: dzicz.

– Cisza, bracie, czysta idylla.

– Brzmi nieźle. Więc... – Konrad kręci mi przed nosem kluczykami do auta.

– Knajpa, jeżeli już.

Jest wyraźnie niezadowolony.

– Liczyłem na oddech w raju.

– Mój raj jest tylko dla mnie.

Mówię to tak stanowczo, że Konrad zaczyna się ze mnie złośliwie nabi-jać.

– Buddyjskie ołtarzyki, kadzidła i paciorki? Energia słońca i mantry przy kole modlitewnym? Spoważniej, Stan. Zamiast głaskać po brzuchu Budde, pogłaskałbyś wreszcie jakąś pannę.

– Może już głaszczę?

Konrad zaczyna bić mi brawo. Ostentacyjnie, powoli. Plask, plask. Pełna komedia. Rozkwit emocjonalnego rozchwiania.

– Może wreszcie dowiesz się czegoś o kobietach – mówi z nadzieją w głosie. – Zaraz... Ale, jak rozumiem, jej też nie zapraszasz na to swoje uroczysko. Bo czułbym się urażony.

– Lubię mieć czystą aurę bez zbędnych zakłóceń.

Konrad zatrzymuje się w połowie drogi do drzwi. Czekam, aż zmiecie mnie kolejną uszczypliwością, ale jestem w błędzie.

– Miriam też lubiła – słyszę, i wcale to nie brzmi jak docinek. – Mówiła dokładnie tak samo: że lubi czystą aurę. Pod tym względem byliście do sie-

bie podobni. Zaraziłeś ją tymi bzdurami.

Wyczuwam w jego głosie pretensję, że ktoś taki jak ja zdołał zainteresować sobą i tym, co wyznaje, kogoś takiego jak Miriam. Zatem znów bawimy się w „kto komu bardziej dopieprzy”.

– Najwidoczniej tego potrzebowała – odpowiadam.

– Mhm. Ciebie potrzebowała. Jesteś dokładnie tym, o czym marzyła.

Puszczam tę kąśliwość mimo uszu. Przełączam się na pełny zen. Dogryzanie Konrada jest ostatnio jak mój chleb powszedni. Wiem, że robi to nieświadomie.

– Nie dorastałeś jej do pięt – dokłada mi jeszcze raz.

Jak cholerny chleb...

Zen.

Prawda jest taka, że mało kto jej dorastał. Łączyła w sobie zewnętrzne piękno i wewnętrzne szaleństwo. Nie każdy o tym szaleństwie wiedział. Ten, kto poznałby Miriam zaraz po jej ślubie z Konradem, nie uwierzyłby, że kochała życie na krawędzi. Gdy Konrad wsunął jej obrączkę na palec, przystopowała ze swoim kozakowaniem, nagle o nim zapomniała. Skoncentrowała się na mężu i chorej matce. To mógł być jeden z powodów, dla którego zmieniła się w grzeczną dziewczynkę. Dopiero całkiem niedawno, bo zeszłorocznej jesieni, wyznała mi, że nie wie, ile jeszcze wytrzyma. To wydarzyło się w ich domu przy Rukoli. Każdy zna tę klasyczną sytuację: zbieranie talerzy po kolacji, kuchnia i gotująca się woda na kawę. Miriam oparła się wtedy o zlew i powiedziała półszepem:

– Muszę coś zrobić, bo inaczej zwariuję.

– Coś między wami nie gra? – zapytałem.

– Męczy mnie takie życie. Chcę czegoś więcej.

– Czego chcesz, Miriam?

Była lekko wstawiona. Lekko, ale wystarczająco, żeby zebrało się jej na zwierzenia.

– Chcę coś pocuć. Mocno, aż do kości – wyznała.

– Chodzi ci o seks? Konrad za tobą nie nadąża?

Zaśmiała się i poklepała mnie dłonią po policzku.

– Zwariowałaś? Typowy facet... Chodzi o coś dużo większego niż seks.

– Czyli?

– Jeszcze nie wiem. Ale bardzo tego potrzebuję.

– Cokolwiek to jest, zrób to.

– To nie takie proste, Stan. Boję się, że jeżeli w to wejdem, popłynę i stracę wszystko, co mam – dodała z przejęciem.

Przyjrzałem się jej uważnie. Ewidentnie się w niej kotłowało. Była rozbawiona i przerażona zarazem.

– Jak bardzo zależy ci na tym, co masz, Miriam?

– Bo ja wiem? Podobno nie powinno się do niczego przywiązywać – westchnęła. – Tak mówi ten twój buddyzm, prawda?

Kiwnąłem głową. Przez kilka długich sekund patrzyliśmy, jak woda w czajniku zaczyna bulgotać.

– Umiałbyś to we mnie wytłumaczyć? – odezwała się pierwsza.

– Wytłumaczyć?

– Zgasić. To, co powiedziałam, to szaleństwo... Muszę o tym zapomnieć. Zatrzymaj mnie, Stan, zanim będzie za późno. Wiem, że masz na to swoje sposoby. Nie pozwól, żebym...

Przerwało nam wejście Konrada. Miriam zaparzyła kawę i na tym rozmowa się zakończyła. Tego wieczora więcej do niej nie wracaliśmy. Jednak gdy po północy odprowadzała mnie wraz z Cookiem do furki, powiedziała mi jeszcze:

– Nie wspominaj o tym, co ode mnie usłyszałeś, nikomu. Gadałam bzdury. Udajmy, że tego w ogóle nie było. Obiecuj mi to, Stan.

– Wybacz, stary. – Czuję, jak Konrad zakłada mi przyjacielskiego nelsona na szyję. – Przecież wiem, że chciałeś dla niej dobrze.

– Pomogłem jej odnaleźć spokój, ot co. Potrzebowała się wyciszyć. Tak jak ja teraz potrzebuję powietrza.

Konrad chyba nie słyszy, że zaczynam się dusić.

– Fakt. Dzięki temu znów zaczęła rysować, po dwóch latach – liczy szybko w głowie. – Odblokowałeś ją. Złapała za kredki i farby i wróciła do siebie. Była dobra w tym, co robi.

– Najlepsza. – Poklepuję Konrada po zaciśniętym na moim gardle ramieniu. – Zabieraj łapy!

Łądujemy w Studni, najbliższej mordowni z lanym piwem i grillem cuchnącym spaloną karkówką. Jest spory tłum, wszystkie stoliki są zajęte. Siadamy przy barze na wysokich krzesłach bez oparc. W tle słychać Barry'ego White'a i buczenie sokowirówki. Światła są przygaszone. Poblaskują mię-

dzy etykietkami butelek stojących na półkach, odbijając się w wielkim lustrze wiszącym za plecami barmana. Składamy zamówienie. Przed Konradem staje kufel z piwem zwieńczonym wylewającą się pianą, a po chwili na stół wjeżdża tekturowa tacka z mięsem. Ja, choć moje ciało nieustannie domaga się białka, zadowolam się butelką mineralnej z gazem.

– Żebyś się nie przejadł. – Konrad wskazuje widelcem na wodę. – Widziałeś się ostatnio w lustrze? Mój pies waży więcej.

– Znasz moje zasady. Nie jem niczego, co kiedyś miało oczy. Ty też nie powinieneś.

– Moja świnia urodziła się bez oczu – rzuca dowcip. Dość nędzny, ale ważne, że jemu się podoba.

Wypija półtora kufła lanego piwa i twierdzi, że na tym kończy. Odsuwa od siebie talerz ze śladami po kleksach z musztardy i keczupu.

– Opowiedz mi o niej – mówi nagle, rzucając sztucę na tackę. – Jaka jest? Ładna?

W pierwszej chwili nie załapuję, o kogo pyta.

– Mówię o tej, której nie chcesz wpuścić do swojej jaskini. Pokaż zdjęcie.

– Nie mam.

– Jasne. – Konrad zagląda mi w oczy. – A może w ogóle nie istnieje.

Nie wierzy mi. Wyjmuję więc z kieszeni marynarki coś, co może go przekonać.

Konrad nie tylko marszczy w zaskoczeniu czoło, ale i przeciągle gwizdże.

– Zawsze nosisz przy sobie lakier do paznokci? Elegancik z ciebie, chłopie.

– To dla niej. Pierwszy raz kupowałem coś takiego. Nawet nie wiesz, ile się nagimnastykowałem przy stoisku z lakierami.

– Żeby wybrać najładniejszy czy najtrwalszy?

Konrad z trudem zachowuje powagę. W pierwszym odruchu zaczynam żałować, że w ogóle poruszyłem ten temat, ale radość tego idioty jest moją radością.

– Jeszcze powiedz, że będziesz robił jej manicure własnymi lekarskimi rączkami.

– Ty nigdy tego nie robiłeś Miriam?

Konrad patrzy na czerwoną buteleczkę i miele coś pod nosem.

– Chyba zwariowałeś – stwierdza w końcu, odginając się na hokerze.

Domyślam się, że nie robił.

Wiem też, że dałby wszystko, by móc zrobić dla niej cokolwiek, byleby tylko żyła. Miriam była najlepszym, co go w życiu spotkało, i doskonale o tym wiedział.

Kończy na stwierdzeniu, że pozwoliłem się wykastrować i że już po mnie. Słyszę też kilka miłych słów, że to wszystko przez tę posuchę w relacjach z kobietami, którą przechodziłem w czasach licealnych i na studiach. Wypaliła mi mózg do cna i teraz robię z siebie wazeliniarza.

Ewidentnie spuszcza z siebie powietrze. Robi to stopniowo, ale sukcesywnie. Pozbywa się emocjonalnego szlamu, a ja toleruję wszystko, cokolwiek z siebie wypłuje.

To test dla mnie. Próba ognia. Nic mnie nie dotyka, odkąd patrzę na życie z innej perspektywy. Nie odbieram świata dosłownie. Wiem, że to, co widzę, co czuję i o czym myślę, to stan przejściowy, iluzja, do której nie powinienem się przywiązywać i której nie wolno mi ulegać. To tylko etap.

Po prostu zen.

Chowam lakier do kieszeni. Kiedy Konrad idzie do łazienki, płacę za jego piwo, karkówkę i wodę, rzucając barmanowi pięćdziesiątka. Chcę się już stąd ulotnić. Dochodzi dwudziesta, a ja mam zamiar dotrzeć do mojej samotni, zanim zrobi się noc.

Gdy mój przyjaciel wraca z WC, stoję już przy wyjściu. Wychodzimy bez słowa. Jednym spojrzeniem porozumiewamy się, że lepiej będzie, jeśli Konrad nie usiądzie dziś za kierownicą. Pakujemy się do mojego auta i jedziemy w kierunku Rukoli. Po dwudziestu kilku minutach gaszę silnik na podjeździe przed jego domem.

Konrad jeszcze nie wysiada. Przez przednią szybę wpatruje się w okno pracowni Miriam.

– To nie był wypadek – mówi, nie odwracając głowy od ciemności zgromadzonej w małym pokoju na piętrze. – Chciała umrzeć.

Kładę dłoń na jego ramieniu i zaciskam na nim palce.

– Nie wiesz, jak naprawdę było.

– Chciała odejść – powtarza. – Męczyła się.

– Policja nie zakłada, żeby to było samobójstwo.

Konrad obraca twarz w moją stronę. Wygląda, jakby nagle przybyło mu sto lat.

– Masz rację – odpowiada. – Nie zakłada.

– A ty?

– Co: ja?
– Myślisz, że pojechała pod starą fabrykę i odebrała sobie życie w aucie?
Niby jak?

– Mogła mi coś zwinąć. Wiedziała, gdzie trzymam leki.
– Szybko zmieniasz wersje, stary. Jeszcze kilka dni temu o zabójstwo Miriam podejrzewałeś tych gówniarzy, co to się kręcą po ruinach – przypominam mu naszą rozmowę.

Przez chwilę zastanawia się, co ma mi odpowiedzieć.

– Wzięła coś i sobie wstrzyknęła. A oni...
– Podpalili ją, żeby nie było śladów na skórze. Umówiła się z nimi, żeby wyświadczyli jej przysługę. Może nawet im za to zapłaciła. To chciałeś powiedzieć?

Widzę, jak Konrad marszczy brwi. Nie wierzę, że w ogóle zastanawia się nad tym, co właśnie ode mnie usłyszał.

– Skończmy już te bzdury. – Kręcę głową. – Słaba ta bajka o chłopcach z zapałkami.

Mam ochotę dodać, żeby wysilił wyobraźnię i wymyślił coś bardziej oryginalnego, ale gryzę się w język. Chyba obaj już czujemy, że od pewnego czasu między nami zrobiło się niezręcznie. Brakuje nam dawnego luzu, a ten, co jeszcze jest, robi się coraz bardziej wymuszony. Jedyne, o czym jeszcze ze sobą rozmawiamy, to Miriam.

Konrad odpina pasy i zdecydowanym ruchem ciągnie za klamkę. Zatrzymuję go w ostatniej chwili. Jeśli teraz odejdzie, stracę z nim kontakt na cały weekend. Mamy umowę, że bez potrzeby nie zawracamy sobie głowy w dni wolne od pracy, a ja mam do niego kilka pytań. Więc albo teraz, albo dopiero w poniedziałek.

– Nie powiedziałaś mi, jak było u glin – zagaduję.

Konrad cofa rękę od drzwi i w wolnym tempie opada na fotel.

– Myślą, że maczałem w tym palce. Ten nowy ewidentnie próbuje mnie udupić. Twierdzi, że coś przed nim ukrywam.

– A ukrywasz?

Konrad krzyżuje ręce na piersiach i zaczyna nerwowo poruszać kolanami w sposób, w jaki poruszają się wycieraczki w starych autobusach – na zewnątrz i do środka.

– Jeszcze ty mi dołoż – powarkuje. – Dowal mi tak, żebym miał o czym myśleć przez kolejną noc.

Widzę, jak się w sobie kurczy. Ponownie włączam w głowie tryb „to mój jedyny prawdziwy przyjaciel”. Coraz częściej mam problem z tym, żeby o tym nie zapominać.

– Pamiętaj, że mnie też będą chcieli przesłuchać. Jeśli mam ci w czymś pomóc, muszę to wiedzieć – wyjaśniam, bo widzę, co jest grane. Konrad zdaje się mieć wątpliwości, czy nadal stoję po jego stronie. – To, co im wtedy powiedziałem...

– Powtórzysz co do słowa.

– Wiesz, że mógłbym...

– Co do litery!

Znów patrzy w ciemne okno na piętrze. Jego kolana już nie uderzają o siebie. Nagle robi się dziwnie spokojny.

– Pogrzeb zaplanowałem na przyszłą sobotę – mówi. – Będzie skromny, właśnie taki, jakiego by chciała. Pożegnanie odbędzie się przy zamkniętej trumnie. Nie chcę, by na nią patrzono. Chyba rozumiesz dlaczego.

– Rozumiem. Jednak na twoim miejscu nie śpieszyłbym się z tym pogrzebem.

– Nigdy nie byłeś na moim miejscu, więc... Po prostu chcę mieć to za sobą.

– Co z wynikami DNA?

– Wiem, jakie będą, to tylko formalność. Przyjdiesz?

– Posłuchaj, stary...

– To ona, Stan. I bardzo chciałaby, żebyś ją pożegnał, zanim zostanie skremowana.

– Tak jak jej matka? Ją też spopielono.

– Dokładnie tak.

– Fatalny ciąg.

Obiecuje, że za tydzień wspólnie pożegnamy Miriam. Nie zamierzam się z nim spierać o datę pogrzebu, bo wiem, że Adela i tak do niego nie dopuści.

Konrad najwyraźniej czyta w moich myślach.

– Wyświadczysz mi przysługę, jeśli przekonasz jej opętaną siostrę, że Mi należy się spokój – słyszę jego proszący głos. – Jeżeli chcesz coś dla mnie zrobić, zrób właśnie to.

Wysiada z auta i kieruje się do drzwi swojego domu. Widzę, jak je otwiera i jak z przedpokoju wyskakuje Cookie, merdając przy tym ogonem. Konrad wymija go, ledwie musnąwszy palcami jego głowę.

Nie odjeżdżam jeszcze z ulicy. Przystawiam auto nieco dalej, za szerokie drzewo, skąd mnie nie widać. Robię to tylko dlatego, że widzę, iż Konrad wciąż nie zapala w domu świateł. Nie wiem, co można zrobić po ciemku przez tyle czasu, ale to mnie niepokoi. Domyślam się, że mógł pójść od razu na górę, do sypialni. Chyba nie ma sensu, żebym się o niego zamartwiał.

Uświadamiam sobie, że to już sześć miesięcy, odkąd tu nie zaglądałem. Jakby coś mnie blokowało przed powrotem w to miejsce. Mam wyrzuty sumienia, że w pewnym sensie porzuciłem ten dom i Konrada, że przestałem tu bywać. Zanim się to wszystko wydarzyło, regularnie wpadałem na grę w kości i wychodziłem grubo po północy. Konrad dawał mi wtedy jasny sygnał, że choć Miriam świetnie się bawi, on wolałby, żebym już się stamtąd zawinął. Rozumiałem. Miriam była piękna, a jemu po wypiciu kilku kieliszków testosteron zalewał mózg. Po pewnym czasie znów wracałem i wszystko się powtarzało. Trudno zaakceptować fakt, że więcej powtórek nie będzie.

Zbieram się, żeby włączyć silnik i odjechać, ale coś mnie przed tym powstrzymuje. I oto widzę, jak drzwi domu Konrada się otwierają i jak staje w nich mój przyjaciel. Wychodzi, zatrzymując w środku psa, który wyrywa się, by podbiec do jakiegoś krzaka, ponieść łapę i sobie ulżyć. Nie jest mu to dane. Konrad zatrząskuje drzwiami i zbiega po schodach. Wychodzi za furtkę, przystaje na chwilę i rozgląda na boki. Nie widzi mnie, nawet nie patrzy w moją stronę. Przez chwilę się waha, jakby zastanawiał się, co ma zrobić, ale w końcu rusza w lewo. Trzyma ręce w kieszeniach spodni. Wyjmuje je dopiero, gdy dociera na miejsce.

Owo miejsce to dom Adeli. Konrad najwidoczniej nie zamierza czekać na moją przysługę i woli wziąć sprawy w swoje ręce.

Gałęzie zasłaniają mi to, co dzieje się pod jej drzwiami. Mimo opuszczonych w aucie szyb nie słyszę też, o czym mówią. Czekam na najgorsze, bo już powinno dojść między nimi do spięcia. Jednak wciąż jest spokojnie, nie ma krzyku ani wyzwisk.

Spoglądam na zegarek, zbliża się dwudziesta pierwsza. Od dawna powinienem być w drodze do mojej samotni, a jednak nadal tu tkwię. Z rozsądku, bo wiem, że rozmowa tych dwojga może się w każdej chwili wymknąć spod kontroli. Nie znam powodu, dla którego Adela i Konrad

skaczą sobie od jakiegoś czasu do gardeł, ale nietrudno się domyślić, że jedno obwinia drugie o to, co stało się z Miriam. A konkretnie: ona obwinia jego. On zaś nagle zmienił front i zaczyna bredzić o samobójstwie żony.

W ciszy, jaka panuje na ulicy, słyszę, jak Cookie szczeka, domagając się wyprowadzenia. Drzwi domu Konrada nie są zamknięte na zamek, a tylko na klamkę, furka zaś wciąż jest uchylona, więc na dobrą sprawę mógłbym tam pójść i wypuścić psa, ale przecież Konrad zaraz wróci. Kocha Cookiego, więc nie pozwoli mu cierpieć ani minuty dłużej, zwłaszcza że jego rozpaczliwe wycie słychać już na całej ulicy.

Dwudziesta pierwsza zero zero.

Dwudziesta pierwsza piętnaście.

Jednak nie ma sumienia. Postanawiam, że zrobię z siebie sklerotyka, który zapomniał doładować telefon, będąc jeszcze w Studni, i musi to zrobić teraz, zwłaszcza że przede mną długa droga przez las. Tylko w ten sposób usprawiedliwię swoją przedłużającą się obecność na Rukoli. Nic mądrzejszego nie przychodzi mi do głowy.

Podchodzę pod dom Konrada i staję pod jego drzwiami. Uderzam kołatką i jednocześnie walę pięścią tuż nad zamkiem. Cookie wariuje, kiedy naciskam klamkę. Wybiega prosto na trawę i robi, co musi, pod lawendą. Obaj czujemy ulgę, choć on chyba trochę większą.

Dla niepoznaki wchodzę do domu, nawołując Konrada. Wiem, że nikt mi nie odpowie, ale muszę zachować pozory. W międzyczasie Cookie wydaje z siebie oznaki zadowolenia, radośnie popiskując. Poczciwa psina.

Zaledwie po kilku sekundach spędzonych w domu znów jestem na zewnątrz. Rozglądam się dokoła, wypatrując przyjaciela, ale najwyraźniej zasiedział się w domu po drugiej stronie ulicy.

– Dobry Cookie, mądry. – Klepię psa po głowie.

Wymyka się spod moich palców i biegnie w lewo, tam gdzie pół godziny temu zniknął jego pan. Staje na tylnych łapach pod drzwiami Adeli i zaczyna drapać w nie pazurami. Skowyczy przy tym, by ktoś go wpuścił. Obserwuję to, znajdując się dziesięć metrów dalej, ukryty za murowanym śmietnikiem.

Pies nie czeka długo. Na progu pojawia się Adela, ma rozczochrane włosy i rozchełstany szlafrok. Zaciska go na piersiach rękami, ale piersi są duże i wymykają się spod jej palców. Twarz ma zarumienioną, jakby zgrzaną.

– To ty, Cookie? Jak tu przyszedłeś, łobuzie... – Nachyla się nad psem i drapie go za uchem.

– Miriam nauczyła go naciskać na klamkę.

To głos Konrada, mojego przyjaciela. Nie brzmi, jakby byli świeżo po kłótni. Najwyraźniej dogadali się.

Dobrze, że tego nie widzisz, Miriam.

– Powinienem wracać. Zamykać drzwi go, niestety, nie nauczyła – mówi Konrad, ale jeszcze nie opuszcza domu Adeli. Może też jest niekompletnie ubrany i musi doprowadzić się do porządku. Tego nie widzę, bo jego głos dobiega z głębi przedpokoju.

Mam zaledwie kilka minut na to, by dobiec do auta i zniknąć.

Nauman

Gabinet śledczego był ciasny, ale taki właśnie sobie wybrał. Duże przeszczerzenie go przytłaczały i nie pozwalały zebrać myśli. Tylko te klaustrofobiczne pozwalały mu trzymać zawile koncepcje i dedukcję krótko przy sobie.

Mimo że dzień dobiegał już końca, a słońce właśnie zachodziło za horyzont, wciąż nie rozsuwał żaluzji, by wpuścić do wnętrza choćby odrobinę naturalnego światła. Zapalił za to stojącą na biurku lampę na teleskopowej nodze, po czym sięgnął pod blat po stojący przy nim nesoser. Wyjął z niego metalową tabliczkę z napisem „ZAKAZ WSTĘPU”, którą wiele lat temu kazał sobie zrobić na zamówienie, i zawiesił ją po zewnętrznej stronie drzwi. Wrócił do biurka i sięgnął po kopie akt z zeznaniami Konrada Macharowa. Część z nich była pozakreślana żółtym markerem, reszta wciąż czekała na rozwój wypadków.

Nie zdążył przesunąć wzrokiem po pierwszej linii tekstu, kiedy rozległo się pukanie.

– Naucz się czytać! – Nauman krzyknął w stronę drzwi.

I tak się otworzyły. Stała w nich drobna postać kobiety o czarnych włosach i lekko skośnych oczach.

– Już umiem. Nawet dość płynnie. Mogę wejść?

Do tej małej Azjatki miał akurat słabość. Bez podtekstu seksualnego, bo nie gustował w kobietach młodszych od niego o połowę; nie potrafił też określić, czy egzotyczna uroda Shi Lu jest czymś, co trafia w jego gust. Była po prostu wpatrzonym w niego narybkiem, miękką gliną, którą mógł dowolnie ukształtować własnymi rękami. Kiedy przeszła już etap zachwyty nad jego geniuszem i zaraziła się bakcyłem ambicji, pracowała więcej, niż musiała, i nigdy nie dawała po sobie poznać, że ma serdecznie dość roboty, jaką na nią zrzucał. Oddanie miała we krwi. Jej matka, imigrantka z Wietnamu, wpoila jej ideę posłuszeństwa, i choć kobieta po przeżyciu dwudziestu ośmiu lat z polskim paszportem powinna już przesiąknąć nadwiślańskim temperamentem, wciąż trwała w mentalnym półzgięciu. Adoptował ją

duchowo wkrótce po tym, jak skończyła szkołę policyjną. Przy okazji jednego z branżowych wykładów poprosiła go o autograf na policyjnej ulotce z jego zdjęciem. Od razu zauważył w niej potencjał. I, co najbardziej go cieszyło, głód sukcesu. Z biegiem lat zaczęła stawać się nim – młodszą, skośnooką wersją starego wygi. Pachniała też tak, jak lubił, jej ubranie przesiąknięte było zapachem kurzu z policyjnego archiwum.

– O co chodzi, Shi?

Wsunęła się do gabinetu i kiwnęła przepaszająco głową, po czym wyciągnęła przed siebie rękę z szarą kopertą.

– Przyniosłam to, o co pan prosił z rana.

– Szybka jesteś, dziecinko. Niech ci ten, no... w co wy tam wierzycie, da zdrowie. Jak go po waszemu nazywacie?

– Bóg.

– Bóg – Smok?

Westchnęła ciężko.

– Bóg – Bóg.

– Ale że taki normalny?

– Niech się pan nie wygłupia. Rok temu był pan na moim chrzcie.

Nauman wysilił pamięć. Jeśli to było wtedy, gdy przechodził zaawansowane stadium grypy, to bardzo możliwe, że chodziło właśnie o to. Powoli zaczął kojarzyć dźwięk kościelnych dzwonek, który wwiercał mu się w mózg, i czyjeś pełne przejęcia oczy. Ciemne i skośne. Cała reszta tonęła w mrokach gorączki.

– Taaa... To była wyjątkowo piękna uroczystość. Miałaś na sobie białą sukienkę.

– Niebieską bluzkę.

– Oczywiście, że bluzkę. – Nauman odchrząknął. – Sprawdzalem cię tylko, czy zapamiętałaś z tego ważnego dnia wszystko, jak należy. A teraz pokaż, co tam dla mnie masz.

Otworzył podaną przez Shi Lu kopertę i wyjął z niej trzy kartki. Odłożył na bok pierwszą, tytułową, i ostatnią, która zawierała luźne spostrzeżenia jego podwładnej. Zatrzymał wzrok na środkowej.

– Tego się właśnie spodziewałem – mruknął po chwili pod nosem. – Muszę być jednak pewien, że...

– Dane są wiarygodne – przerwała mu Shi Lu. – Operatorzy dwukrotnie sprawdzili dane z wież nadawczych.

Śledczy raz po raz przesuwiał wzrokiem po cyfrach oznaczających strategiczne godziny.

– Ze wszystkich?

– Co do sztuki. Nie ma pudła.

– Dane pokrywają się z tymi sprzed pół roku. Dobra robota, postarałaś się. Masz szansę zajść naprawdę daleko, wiesz o tym?

Kobieta spuściła skromnie wzrok, by nie dojrzał, jak świecą się jej oczy.

– To naprawdę drobiazg.

– Nie, dziecinko – powiedział Nauman, nie odrywając wzroku od raportu. – W tej robocie nie ma czegoś takiego jak drobiazg. Liczy się wszystko, co pomoże złapać za dupę tego, komu zachciało się posłać drugiego człowieka do piachu.

– Myśli pan, że ofiary widzą z zaświatów, jak kara dosięga tych, którzy je skrzywdzili?

Nauman rzucił kartki na biurko i rozparł się wygodnie w fotelu.

– Nie interesuje mnie, co się dzieje w zaświatach. To działka facetów w czarnych sukienkach, niech oni się o to martwią. Mnie obchodzi...

– Zemsta?

– Sprawiedliwość, Shi. Wystawienie rachunku za gangsterkę. Utrzymanie równowagi we wszechświecie. Nazwij to, jak chcesz. A bliskim ofiar należy się prawda.

– Gdyby to było takie proste.

– Te wszystkie sprawy, które ciągną się przez dekady, są dla mnie niczym gwóźdź w kręgosłupie. Ta bezsensowna strata czasu, którego nie da się w żaden sposób odzyskać, boli mnie, rozumiesz? Kiedy widzę tony akt gnijących w policyjnych archiwach, to wiesz, o czym od razu myślę? Myślę, jak wielkie jest nasze niedołęstwo.

– Zawsze to jednak jakaś ulga, gdy nawet po latach...

– Nie, Shi. Żadne po latach... W tej robocie liczy się każda godzina. Te ludzkie gnidy, które były zdolne podnieść rękę na swoją ofiarę, powinny odpowiadać za swoje zbrodnie jeszcze za życia. Nie z za grobu. Ani też nie wtedy, kiedy mają już po osiemdziesiąt lat i przeżyli, co ich. Trzeba im to odebrać natychmiast, a w zamian dać dużo czasu na powolne gnicie za kratami. Im więcej, tym lepiej. Rozumiesz mnie?

– Dość jasno powiedziane.

Śledczy ponownie sięgnął po raport. Z jego twarzy nie sposób było wyczytać, czy ich rozmowa już się zakończyła, czy Shi ma czekać na dal-

sze polecenia.

– Mam przygotować coś jeszcze? – zapytała.

Odpowiedziało jej kręcenie głową.

– To mi na razie wystarczy. Możesz odejść.

Wykonała ledwie zauważalny ukłon w stronę Naumana, po czym naciśnęła klamkę.

– Zaczekaj – zatrzymał ją w ostatniej chwili. – W raporcie napisałaś, że być może istnieje nagranie z monitoringu zrobione z domu sąsiadującego z willą Macharowów.

– Tak, ale to nic pewnego. Kiedy pojechałam rozejrzeć się po okolicy, widziałam tam kamerę. Wydaje się amatorska, więc jeśli nagranie z niej nadal istnieje, może mieć kiepską jakość. Ale owszem, mogła coś zarejestrować.

– Dlaczego nikt z naszych do tej pory o niej nie wiedział?

Odpowiedziało mu bezradne rozłożenie rąk Shi.

– O tym właśnie mówię... – jęknął Nauman. – Co to za dom, ten obok?

– Należy do kobiety o nazwisku Kunik. Zamieniłam z nią słowo. Samotna, po rozwodzie. Zainstalowała kamerę, bo jej były mąż dostał sądowy zakaz zbliżania się do niej na mniej niż sto metrów. Chciała mieć dowód, że facet z tym stosowaniem się jest nieco na bakier. Kiedy zapukałam do drzwi i zobaczyła mój mundur, pomyślała, że ja właśnie w tej sprawie, że chodzi o jej eks. Podobno już składała doniesienia, że wchodzi na jej teren, ale jak dotąd nikt nie zareagował...

– Nic już mnie nie zdziwi. Mów dalej.

– ...więc miała nadzieję, że pojawiłam się u niej właśnie z tego powodu.

– Będziemy musieli tam wrócić z nakazem zabrania nagrań. Dodatkowo weźmiesz to z trzydziestego pierwszego sierpnia. Według Macharowa właśnie wtedy z jego garażu zniknęło auto Miriam.

– Z tym drugim nie powinno być problemu, ale gorzej z nagraniem z marca. Mało kto przechowuje dane sprzed sześciu miesięcy. Poprosiłam panią Kunik, żeby to sprawdziła.

– Doskonale, Shi. Nakaz będzie gotowy jutro do południa. I jeszcze raz, dobra robota z tym raportem. Dzięki niemu mamy nasze brakujące czterdzieści minut z nocy zaginięcia Miriam, o których jej mąż raczył zapomnieć. Cały czas był tak blisko... A teraz idź już, dziecinko. Daj mi pomyśleć.

Wycofała się z pokoju i delikatnie zamknęła za sobą drzwi. Metalowa tabliczka lekko uderzyła o ich zewnętrzną stronę, po czym zrobiło się cicho.

Nauman zagłębił się w raport. Większość z obserwacji, które poczyniła Shi Lu, pokrywała się z jego wcześniejszą teorią o kłamstwach Konrada Macharowa. Gdy skończył czytać, sięgnął po słuchawkę telefonu i wcisnął w nim guzik.

– Shi?

– Tak, panie komisarzu.

– Bądź tak miła i sprawdź w moim terminarzu, na kiedy zaplanowałem spotkanie z siostrą pani Miriam.

– Robi się... – Kobieta zaczęła uderzać palcami w klawiaturę, po czym potwierdziła: – Przyszły wtorek, dziewiąta rano.

– Zmień to.

– Mam odwołać?

– Przełoż. Na pojutrze.

– Pojutrze wypada niedziela. Ma pan wolne.

– Już nie. Wpisałaś?

– Niedziela, dziewiąta – powtórzyła.

– Doskonale, Shi. Musimy jak najszybciej porozmawiać z Adelą Bier-nacką. A konkretnie, to zaraz po tym, jak obejrzymy nagrania z kamery pani Kunik.

Sobota, 5 września

ADELA

Jest środek nocy. Druga, może trzecia. Nie jestem ciekawa, ile zostało do świtu. I tak nie usnę.

Mury domu są nagrzane od upału. Wrzesień tego roku jest wyjątkowo gorący, jakby lato miało się dopiero zaczynać, a ja zamiast ochładzać ciało, leżę zawinięta aż po czubek głowy w puchową kołdrę. Co pewien czas przychodzi mi na myśl, by wysunąć z tego kokonu choćby stopę, ale nie jestem w stanie się ruszyć.

Do tego wszystkiego ledwie oddycham. Po tym, co wydarzyło się wczoraj wieczorem, ciężko mi łąpać powietrze.

Kiedy kilka godzin temu usłyszałam dzwonek do drzwi, zrobiłam to, co robię zawsze, gdy ktoś się do mnie dobija: wyrzałam zza firanki w górnym oknie. Stamtąd widać wszystko, chyba że dzwoniący stoi zbyt blisko wejścia i zasłania go zainstalowane nad wejściem zadaszenie.

Na zewnątrz panował już zmrok, ale sylwetkę Konrada z łatwością rozpoznaję w znacznie większych ciemnościach. I wcale mnie nie zdziwiło, że pojawił się u mnie o tej porze. Przyszedłby jeśli nie dziś, to jutro. W południe, w środku nocy – to on decyduje, kiedy chce ze mną gadać, nie ja. To, że będzie chciał mnie docisnąć w sprawie pogrzebu, też było oczywiste. Dlatego na potyczkę z nim przygotowywałam się już od chwili, w której przegnałam spod drzwi tamtego gościa z domu pogrzebowego, Papierkiego. O ile z nim poszło mi gładko, o tyle do walki z Konradem szykowałam o wiele większe działa. Na szczęście nie jest kimś, przed kim trzęsę portkami. Zwykle podczas konfrontacji odczuwam tsunami stresu. Pocę się, jąkam i generalnie zapominam języka w gębie. Tak mam. Ale nie z nim.

Tym razem miało chodzić nie o formę, ale o treść. O argumenty. Wiedziałam, z jakimi pretensjami przyjdzie, więc zawczasu przećwiczyłam kilka potencjalnych dialogów, jakie z dużym prawdopodobieństwem mogłyby się między nami odbyć. Przy okazji wykułam na blachę typowo filmowe odzywki i sformułowania, po których zwykle awanturnik idzie po rozum do głowy („Konsekwencje tego, co zamierzasz zrobić, zostaną z nami na zawsze, pomyślałeś o tym?”, „Ona by tego z pewnością nie chciała” i takie tam). Nawet opracowałam przed lustrem parę dramatycznych gestów.

Teoretycznie byłam gotowa. Pozostawało mi tylko na niego czekać i wcielić wszystko w życie.

Kiedy się u mnie pojawił, odbywałam właśnie swoją codzienną sesję z lampą nagrzewającą, jako że od lat naświetlam nią niedoleczone w dzieciństwie zatoki. Otworzyłam mu drzwi z czerwoną twarzą. Nie musiałam długo czekać, by na jego ustach pojawił się drwiący uśmieszek.

– Znowu trzymałaś głowę w piekarniku? – Konrad rozejrzał się po ulicy, po czym wcisnął się do mieszkania. – Musimy pogadać. Wiesz o czym.

Domyśliłam się, że nie chodzi o sukienkę, którą miałam dać facetowi z przedsiębiorstwa pogrzebowego, by ubrał w nią Miriam. Nie traciłby czasu na wojnę o kawałek szmatki. Na upartego sam mógłby kupić jakąś ciemną w rozmiarze S i też byłoby dobrze. Byle miała długie rękawy i zasłaniała kolana.

– O co chodzi? – spytałam i od razu cofnęłam się w głąb do przedpokojku.

– Ustaliliśmy, że możesz do woli grzebać w rzeczach Miriam, ale nie w moich.

– Wyobraźnia cię ponosi.

– Mój gabinet, biurko, prawa dolna szuflada. Drewniana szkatuła z zamkiem i białą zaklejoną kopertą z napisem „Nie otwierać”. Może kojarzysz?

Owszem, białą zaklejoną kopertę kojarzyłam.

– Nie bardzo.

Zacisnął powieki tak mocno, jakby bał się, że zaraz wypłyną mu gałki oczne.

– Komu wciskasz kit? Naprawdę myślałaś, że tego nie zauważę?

– Na litość boską, nie wchodziłam do twojego gabinetu!

– A ja jestem małą dziewczynką z warkoczykami. Powiedz lepiej, co chcesz na tym zyskać? No, dalej. Chcę to usłyszeć.

– Zejdź z tonu, Konrad – burknęłam. – Będziemy gadać spokojnie albo wcale. Jeśli masz zamiar się awanturować, to trafiłeś pod zły adres.

To było jedno z przygotowanych wcześniej zdań, które miałam powiedzieć w odpowiednim momencie. Powinno wypaść bardziej zdecydowanie, ale nie wypadło. Może dlatego, że z trudem przechodziło mi przez gardło z dość oczywistego powodu. Mimo wszystkich naszych tarć Konrad był jedynym mostem, jaki wciąż łączył mnie z Miriam.

– Zatem porozmawiajmy spokojnie – odparł. Minał mnie i ruszył do salonu.

W lustrze wiszącym w przedpokoju uchwyciłam swoje odbicie; purpurowe policzki i zdenerwowany wzrok. Ten widok był mi dobrze znany i zawsze prezentował się tak samo żenująco.

Utrzymując dwumetrowy dystans, poszłam za Konradem. Nie spuszczałam wzroku z jego pleców. Wolałam mieć go w bezpiecznej odległości i pod kontrolą. W swoim domu lubię się czuć pewnie i nie życzę sobie niespodzianek.

Miałam nadzieję, że usiądzie w fotelu, co unieruchomiłoby go i nie musiałabym wędrować za nim oczami od ściany do ściany, ale nie zamierzał siadać. Wcisnęłam się więc w kąt między telewizorem a słupkiem z książkami i czekałam.

– Po prostu oddaj mi to, co zabrałaś, i o wszystkim zapomnimy. – Spojrzał wreszcie na mnie już o wiele łagodniej. Dorzucił nawet uśmiech. – Wiele razem przeszliśmy, więc puszczę ci to płazem.

Wzruszyłam ramionami, co od razu zauważył. Dobrze, że nie widział, jak pod cienkim materiałem szlafroka pojawiła się na nich gęsia skórka.

– Więc gdzie to masz?

– Nadal nie wiem, o czym mówisz – powiedziałam głosem dziesięciolatki, która przyłapana przez ojca na gorącym uczynku, wypiera się, że podwędziła mu z kieszeni kilka fajek.

Tyle dobrego, że wreszcie się zatrzymał. Stał pośrodku pokoju i wbił we mnie wzrok.

– Jak uważasz.

Potem się zaczęło. Najpierw rzucił się do wyciągania szuflad z komody i wywalania z nich wszystkiego na podłogę, a w następnej kolejności pofrunęły poduszki z kanapy.

– Nie wierzę, że mnie do tego zmuszasz – wycedził przez zęby. – Naprawdę chcesz, żebym ci to robił?

– Chcę, żebyś przestał.

Zaśmiał się cynicznie pod nosem. Nie wiedziałam, co mu się kotłuje pod czaszką, ale wiedziałam, że ten rodzaj wesołości jest o wiele gorszy niż otwarcie wyrażana wściekłość.

– Złodziejka. Pieprzona złodziejka...

To o mnie.

Kolorowe magazyny z wystrojem wewnątrz, jakie układałam równo na brzegu ławy, były już przekartkowane, poszarpane i leżały na dywanie. Nawet nie zdążyłam ich przejrzeć, przyszły pocztą z samego rana i czekały na późnowieczorne czytanie przed snem. Pomyślałam, że może uda mi się je posklejać, jeśli sama dożyję nocy.

Odruchowo zacisnęłam szlafrok na piersiach. Teraz powinnam przytoczyć jakieś kolejne przygotowane wcześniej zdanie, ale nie zdążyłam. Konrad biegł już po schodach na piętro. Uznałam, że to może nawet dobrze. Polewanie ognia benzyną jest dobre, ale tylko podczas strażackich ćwiczeń, i to gdzieś daleko, najlepiej na pustyni. Na pewno nie w domu, w którym brakuje gaśnicy. Nie chciałam, by mój dom spłonął.

Zsunęłam się tylko plecami po ścianie i usiadłam w kucki, zaciskając usta. Czekałam. Każde szaleństwo w końcu musi minąć.

Na górze odchodziło trzaskanie drzwiczkami szafek, jakieś szkło też się przy okazji stłukło. Stojące lustro lub lampa. Bardziej lustro, bo huk był większy.

Pozwoliłam mu zrobić z mojego domu śmietnisko. Nie odezwałam się ani słowem, gdy przeszukiwał sypialnię, łazienkę i małą garderobę bez okna. Wiedziałam, że jeżeli niczego nie znajdzie, drugi raz tu nie przyjdzie. Wpadł nawet do pokoju po mojej matce. Tego, do którego się nie zagląda. Miriam, odkąd zmarła matka, nie weszła do niego ani razu. Do mojego domu też nie. Ale Konrad nie miał z tym żadnego kłopotu.

Po kwadransie zszedł na dół zziębnięty i z pustymi rękami. Czekałam już wtedy na niego przy drzwiach wejściowych, gotowa, by pozbyć się go z domu. Teraz ja stałam z uśmiechem, który niemal kosztował mnie zawał.

– Za dużo sekretów, prawda, Konradzie? – wydusiłam z siebie.

Nachylił się nade mną i powiedział:

– Myślisz, że taka jesteś sprytna? Jesteś cholernie głupia, wiesz?

Poczułam, jak zaciska palce na rozchylających się brzegach mojego szlafroka i jak przyciąga mnie do siebie bardzo, bardzo blisko.

Potem usłyszałam dochodzące sprzed domu drapanie pazurów i znajomy skowyt. Cookie! Nie miałam pojęcia, skąd się tam wziął, ale to było jak dar z nieba. Wyszwoleciłam się z uścisku Konrada i otworzyłam drzwi. Od razu podrapałam psa po głowie.

– To ty, Cookie? Jak tu przyszedłeś, łobuzie...

Przybycie psa definitywnie kończyło tę koszmarną wizytę. Jednak zanim Konrad się wyniósł, usłyszałam:

– Twój jeden błędny ruch... Jeden ruch... Pamiętaj.

Wciąż się uśmiechałam. Mięśnie mojej twarzy były sztywne jak po podwójnej dawce botoksu.

Konrad zniknął z mojego domu, prowadząc przy nodze Cookiego.

Zatrzasnęłam drzwi i zamknęłam za nim zamki. Pobiegłam na górę, by poukładać porzucane ubrania i wieszaki. Leżały wszędzie, nie tylko na podłodze w garderobie, doleciały nawet do mojej sypialni. Garderobę doprowadziłam do porządku, ale na resztę nie starczyło mi sił. Nawet nie wciągnęłam w odkurzacz potłuczonych odłamków lustra. Rzuciłam na nie tylko kilka ciuchów, żeby chodząc po podłodze, nie pokaleczyć nóg. Potem pogasiłam wszystkie światła, wskoczyłam pod kołdrę i zamarłam w pozycji płodu.

Jestem mokra od potu. Mięśnie też mi zeszywniały. Muszę się wygramolić z łóżka i je rozchodzić. Przy okazji upewnię się, czy na pewno poprzekręcałam wszystkie zasuwki, bo na dziś starczy mi już niespodzianek. Kilka godzin temu działałam jak w transie, więc mogłam o którejś zapomnieć.

Idę boszo schodami na dół i sprawdzam. Jednak wszystko zarygnowałam.

Na tym mogłabym już zakończyć mój nocny obchód, ale wciąż stoję pod drzwiami. Nie ma co się oszukiwać – nie wyskoczyłam spod kołdry tylko ze względu na zamki.

Robię mały ruch w lewo, ku ścianie z licznikami ukrytymi za drewnianą osłonką. Tam trzymam na haczykach klucze do mieszkania i garażu. Wyjmuję z nich kopertę z napisem „Nie otwierać” i idę z nią na górę, do zde-molowanej sypialni. Omijam cały ten bajzel i siadam przy toalecie. Włączam lampę do naświetlań – wciąż mam do dokończenia mój leczniczy seans. Czekaając, aż lampa się nagrzej i niebieska dioda da znać, że mogę kontynuować zabieg, wyjmuję z koperty jej zawartość. To trzystronicowy dokument z podpisem i pieczętką. Oryginał, który miał zostać zniszczony

cztery lata temu. Wiedziałam, że wciąż istnieje, był swego rodzaju trofeum, a trofeów nie jest łatwo się pozbyć. W tym właśnie celu wracałam do domu Konrada i Miriam regularnie. Węszyłam i przerzucałam w nim dosłownie wszystko. Poza schowkiem pod schodami.

Koperta włożona była między kartki tego samego kalendarza, z którego wyrwano dwie strony: tę z datą tragicznego wypadku Miriam i drugą, która z niczym mi się nie kojarzyła. Początkowo myślałam, że należał do Konrada, właściwie miałam tego pewność. Byłam w błędzie aż do dziś, do chwili, w której usłyszałam „biurko, dolna szuflada, szkatułka z zamkiem”. Wtedy mnie oświeciło.

Owszem, mogłam mu powiedzieć, że powinien zajrzeć do swojego sekretnego schowka dużo wcześniej, a nie po tylu latach. Zobaczyłby, że zamek w szkatułce jest zerwany od dawna, a po kopercie nie ma śladu. Tylko czy uwierzyłby, że to nie ja ją stamtąd wykradłam?

Coś ty najlepszego zrobiła, Miriam...

Nigdy nie powinnaś była tego zobaczyć. Co poczułaś, gdy to przeczytałaś? Szok, rozpacz?

Zanim wrócę do przerwanej seansu przed leczniczą lampą, obracam w palcach dokument z pieczętką. Ja również nie widziałam go wcześniej. Nie licząc chwili, w której wyniosłam tę białą kopertę z domu Konrada, to pierwszy raz, kiedy trzymam go w rękach. Ale wiedziałam, że istnieje i co zawiera.

Ten dokument to karta zgonu. Jest na nim nazwisko naszej matki. Data śmierci też jest, wszystko jak należy, w odpowiednich rubrykach i z podpisem lekarza, który stwierdził, że to już koniec.

Miriam nie było przy matce, gdy ta umierała. Był lekarz i ja. Nasza matka odeszła, tulona w ramionach przeze mnie – mniej kochaną, młodszą córkę.

Kiedy było po wszystkim, opowiedziałam Miriam, jak się to wszystko odbyło. Chciała znać szczegóły i wciąż wracała z tymi samymi pytaniami, a ja dawałam jej te same odpowiedzi. Nigdy nie robiłam uników.

Tak mi się wydawało, że powtarzam to samo, ale Miriam kilka razy zła-pała mnie na nieściskościach. Okazało się, że za każdym razem dodawałam jakiś szczegół lub zmieniałam kolejność zdarzeń. Początkowo miała mi to za złe, ale w końcu odpuściła. Dotarło do niej, że jeśli komuś umiera na

rękach matka, rozum przestaje funkcjonować i mózg zamienia się w papkę. Wszystko może się wtedy pomylić i o wielu drobnych rzeczach przez to się zapomina. Przeprosiła i na tym zamknęłyśmy temat. Od tego czasu każda z nas przechodziła żałobę osobno.

O jedno Miriam nigdy mnie nie zapytała, a mianowicie o nazwisko lekarza, który wypisał ten koszmarny dokument. Ja też się z tą informacją nie wrywałam.

Dlatego gdy patrzę na kartę zgonu i przyglądam się pieczętce z nazwiskiem, coś we mnie pęka. Wyobrażam sobie, jak Miriam otwiera szufladę, szkatułkę i sięga po kopertę. Widzę jej twarz, kiedy jej wzrok biegnie po rubrykach i danych opisujących przyczynę śmierci. I w końcu jak trafia na podpis tego, który stwierdził, że to już koniec.

Konrad Macharow.

Tak, Miriam... W tych ostatnich momentach byliśmy tam we dwoje. Pewnie trudno ci było zrozumieć, jak do tego doszło. A jednak nie zapytałaś o to ani mnie, ani swojego męża. Jakbyś z góry wiedziała, że nie usłyszysz prawdy.

Jeśli to właśnie przeczuwałaś, to nie pomyliłaś się. Prawda jest taka, że miałaś się tego nigdy nie dowiedzieć.

SHI LU

— Notatka służbowa z rozmowy przeprowadzanej z panią Renatą Kunik, sporządzona w formie zapisu dźwiękowego na dyktafon zarejestrowanego przez Shi Lu w randze młodszej aspirant. Data: piąty września dwa tysiące dwudziestego roku. Godzina: trzynasta zero siedem. Adres: Warszawa, ulica Rukoli osiem. Dom zamieszkuje jedna lokatorka, wspomniana Renata Kunik, lat pięćdziesiąt dziewięć. Zapis magnetofonowy pani zeznań jest konieczny, proszę nie mieć mi tego za złe.

– Będzie pani nagrywać dosłownie wszystko?

– Tak, dosłownie wszystko. Mogę wejść?

– Zapraszam do środka. Uwaga na chodnik, zawija się. Proszę tam, do pokoju w głębi domu. Prosto i do końca. Można usiąść na tym wiklinowym fotelu, jest całkiem wygodny.

– Siadam na wskazanym przez panią Kunik miejscu. Pokój wychodzi na ogród, kierunek...

– Południowy zachód. Nie lepiej było to nagrać kamerą? Jeszcze trochę, a każą wam to wszystko rysować. Wie pani, o czym mówię. Tak, jak rysują w Ameryce podczas procesów.

– Południowy zachód. Na kredensie stoją świeże kwiaty i jedno zdjęcie w ramce, które przedstawia młodego człowieka w mundurze.

– To mój najmłodszy. Przyjeżdża tylko na święta, bo służba... Ale kartki na urodziny zawsze wysyła, pamięta o mnie. Nawet to musi pani rejestrować?

– Chodzi o pełną dokumentację. Niech pani nie zwraca uwagi na to, co mówię do dyktafonu.

– Postaram się, choć to szalenie dziwne. A co do kamer... Przyszła pani po ten zapis z siódmego marca?

– I z ostatniego dnia sierpnia. Tu jest pozwolenie. Przedstawiam pani Kunik dokument zezwalający na przejęcie nagrań z monitoringu obejmującego teren przed domem przy ulicy Rukoli osiem.

– Przyniosę te nagrania. Mam je zgrane na dysku. Zrobiłam to zaraz po tym, jak pani zadzwoniła.

– Doskonale. Całą dobę?

– Od szóstej rano do szóstej następnego dnia. Nie wiem, co tam jest, nie zaglądałam. Chciałam je przejrzeć, ale postanowiłam, że tego nie zrobię. Nie dałabym rady. Wciąż nie mogę uwierzyć, że tej kobiety już nie ma. To taka smutna sprawa, wręcz niewiarygodna. Podobno była malarką?

– Graficzką. Projektowała afisze teatralne.

– Artystka... Tak niewiele się wie o sąsiadach. Za mało ze sobą rozmawiamy, nie wydaje się pani? Jako społeczeństwo schodzimy na psy. Każdy żyje w swoim świecie. Chyba tylko po to, żeby później nikt nie mógł mu pomóc w razie nieszczęścia. Mnie też nikt nie pomógł. Nie wierzę, żeby żaden z sąsiadów nie słyszał tego, co robił mi mój były mąż. Tego nie dało się nie słyszeć. Ale nikt nie zajrzał, nie sprawdził, nie zapytał. A co do niej... wydawała mi się, nie wiem, jak to ująć...

– Proszę spróbować.

– Kiedy się tu sprowadzili, wszędzie było jej pełno. Mam na myśli, że dużo kręciła się wokół domu. Pilnowała malarzy i ogrodników, żeby szybko doprowadzili całe obejście do porządku. Zależało jej głównie na ogrodzie. Gdy skończyli, wszystkie ciepłe poranki spędzała tam.

– Pani Kunik wskazuje na zadaszoną altanę, widoczną za ogrodzeniem.

– Nie widziałam, co robi, ale wielokrotnie słyszałam, jak z kimś rozmawia przez telefon. Te rozmowy odbywała w każdy poniedziałek, o tej samej godzinie, o wpół do dziewiątej. Jakby była umówiona.

– Słyszała pani, o czym mówiła?

– Trudno powiedzieć, te rozmowy były ciche, dyskretne. Chwilę wcześniej jej mąż przynosił kawę do altany i zaraz potem wyjeżdżał do pracy. Czulałam ten aromat. Altana stoi niedaleko, więc zapach niósł się z wiatrem. On sam, to znaczy doktor Macharow, nie zostawał z żoną. Nie pijał kawy razem z nią. Zawsze się dokądś śpieszył, ale o żonie nigdy nie zapominał. Tak było każdego dnia, ten sam rytuał. Wie pani, co wtedy myślałam?

– Proszę powiedzieć.

– Pewnie to teraz dziwnie zabrzmie, ale owszem, powiem. Myślałam, że ta dziewczyna wygrała los na loterii.

– Doprawdy?

– Czytała pani Czechowa?

– Co ma z tym wspólnego Czechow?

– Byli jakby żywcem wyjęci z jego opowieści. Tak ich właśnie widziałam, w tym ogrodzie i przy filiżankach.

– Jednej filiżance.

– No tak, on nigdy... może tylko w wolne weekendy. Teraz i jej już nie ma, więc nie ma co do tego wracać. Ale wtedy szczerze zazdrościłam tej kobiecie. Byle tylko mnie pani źle nie zrozumiała, bo nie życzyłam jej żadnej krzywdy. Siebie mi było tylko szkoda, że tak niefortunnie wybrałam. Nie to, co ona. Gdyby mogła pani usunąć to, co powiedziałam, ze swojego nagrania... Da się?

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Procedury... Zawsze to samo... Za mało z ludźmi przebywam i dlatego potem za dużo plotę. Brakuje mi towarzystwa. Lepiej pójdę już po ten dysk. To chwilę potrwa, proszę poczekać.

– Pani Kunik wychodzi z salonu i idzie na piętro. Mam kilka minut, zanim znów się pojawi, więc wychodzę przed front domu. Zamierzam dokładnie przyjrzeć się zamontowanej kamerze. To czarna obrotowa kula, wygląda na Zintronic. Nie widzę uszkodzeń ani pęknięć, więc nie powinno być problemu z odczytem. Co do okolicy: zadbana, typowa dla wyższej klasy średniej. Domy głównie piętrowe, oddalone od siebie o około dwadzieścia metrów z każdej strony. Dom Macharowów znajduje się na prawo od wyjścia. Podjazd jest pusty, brama garażowa zamknięta. Przechodzę przez ulicę i idę kilka kroków dalej, w lewo, w kierunku domu Adeli Biernackiej, siostry Miriam. Chcę sprawdzić, czy widok z jej okien obejmuje podjazd Macharowów. Podczas składania pierwszych zeznań nie wyraziła się wystarczająco jasno, więc zanim pojawi się na kolejnym przesłuchaniu, chcę mieć co do tego pewność. W połowie drogi jednak zawracam, pani Kunik przywołuje mnie z powrotem. Pod dom Adeli Biernackiej podejść po zakończonej wizycie. Tymczasem wracam do pokoju.

– Z nią też warto porozmawiać. Mam na myśli siostrę pani Miriam.

– Jak by pani określiła ich relacje?

– Wyglądały na bardzo zażyłe.

– A coś więcej?

– Mało o nich wiem. Ale musiały być sobie bliskie, skoro zdecydowały się zamieszkać na jednej ulicy.

– Często się odwiedzały?

– Raz na kilka dni. Ale, tak dla ścisłości, to były spacery w jedną tylko stronę. Pani Miriam do niej nie zachodziła. A tamta owszem, nawet pod jej

nieobecność. Miała klucze, zaglądała do ich domu, kiedy tylko chciała. Nawet teraz, po tym, jak pani Miriam zniknęła, przychodzi. Podobno do psa, żeby wyprowadzić. Mąż pani Miriam tak mówi, choć mi to wszystko wydaje się dziwne.

– Że mieszkająca tuż obok szwagierka zajmuje się zwierzakiem?

– Że do tego, by zająć się psem, potrzeba godziny albo dwóch. Wychodzi z nim, ale potem szybko wraca. Może po kwadransie. I przesiaduje tam, jakby była u siebie. Co tam robi przez pozostały czas, to ja nie wiem. Najwidoczniej nie ma swojego życia, żeby miała do czego wracać. Nie śpieszy się jej zupełnie.

– A Miriam? Często wychodziła? Mam na myśli nie spacer z psem, ale wyjazdy samochodem.

– Jak na kogoś, kto dużo pracuje w domu, zbyt często.

– Czyli?

– Dwa razy w tygodniu.

– To, według pani, za dużo?

– Zakupy wystarczy zrobić raz w tygodniu.

– Tak, rozumiem...

– Znikała na wiele godzin, ale zawsze wracała przed powrotem męża. To była porządna kobieta. Na noce nie wychodziła, a wieczory zawsze spędzali razem, jeśli on nie wyjeżdżał w delegacje. Wtedy zdarzało się jej wrócić później, słyszałam, jak wjeżdżała do garażu. W nocy nasza ulica cichnie, więc trudno nie słyszeć warkotu silnika.

– Czy w wieczór zaginięcia działo się coś nietypowego? Ktoś podjeżdżał pod dom Macharowów?

– W wieczór? Nie, nie słyszałam. Latem mam zwykle otwarte okna, ale to był marzec, a powietrze w marcu jest zbyt chłodne, żeby spać przy uchylonych. Poza tym na zimne miesiące przenoszę się ze spaniem na drugą stronę domu, tę od ogrodu. Tam jest znacznie przyjemniej.

– Zatem nic pani nie zaniepokoiło?

– Owszem, ale dopiero przed północą. Słyszałam tłuczone szkło. A potem przyjechała policja.

– A wcześniej? Żadnych krzyków, żadnej szarpaniny?

– Absolutnie nic. Jeśli cokolwiek działo się przed ich domem, pokaże to nagranie z kamery.

– Na to liczymy. Gdyby jednak przypomniała sobie pani coś jeszcze, co wydarzyło się tamtej doby lub na krótko przed zniknięciem sąsiadki, proszę

dzwonić. Pani Kunik odprowadza mnie do wyjścia. Gdy się żegnamy, jest czternasta zero jeden. Planowane sporządzenie pisemnego raportu z rozmowy wyznaczam do godziny szesnastej. We wnioskach ująć, co istotne: bezwzględnie sprawdzić, z kim ofiara regularnie kontaktowała się telefonicznie w godzinach porannych. Tymczasem kieruję się w stronę domu jej siostry. Odległość między posiadłością Macharowów a niewielkim budynkiem znajdującym się po przeciwnej stronie ulicy wynosi około trzydziestu metrów. Widoczność między domami jest ograniczona z racji rozrosłego drzewa, które częściowo zasłania okna domu Adeli Biernackiej. Niemniej gatunek drzewa wskazuje na to, że w miesiącach zimnych pozostaje bezlistne, a to oznacza, że w dniu zaginięcia Miriam Macharow z łatwością można było zobaczyć podjazd i bramę garażową jej domu.

FLORIAN

Od dziewięćdziesięciu czterech godzin myślę tylko o tym, że nie żyjesz. Nieważne, co wtedy robię: jem, piję, szczotkuję zęby czy siedzę na kiblu. Widzę wciąż te same obrazy – zakopują cię, a ty leżysz potem dwa metry pod ziemią, w drewnianej skrzyni wyłożonej świeżutkim białym atłasem z koronkami i z głową na równie koronkowej poduszce. Sama, w ciszy i w całkowitej ciemności. Wyobrażam też sobie, że za kilka tygodni to, co znajduje się w trumnie, nie będzie już ani białe, ani tym bardziej świeże. Ani te piękne koronki, ani ty, Miriam. I nawet te twoje ukochane kadzidelka w niczym ci już nie pomogą. Wydarzyło się najgorsze i nic już tego nie odczaruje.

Od dwudziestu godzin myślę o tym, jak niepostrzeżenie wejść do twojego domu. Chodzi o kluczyk do skrytki pocztowej – mam nadzieję, że go nie zgubiłaś i że uda mi się go znaleźć, jeśli schowałaś ten klucz w umówionym przez nas miejscu. Dom nie należy do najmniejszych, więc obym nie musiał przekopywać obu pięter, a zwłaszcza pomieszczeń, które dzieliłaś ze swoim mężem: łazienek i sypialni. Nie chciałbym grzebać w waszych wspólnych rzeczach, to chyba zrozumiałe.

A jeśli chodzi o niego, tego twojego doktorka z bożej łaski – nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo ułatwiłaś mi obecną robotę. Dzięki wylewności, z jaką podczas naszych cotygodniowych rozmów opowiadałaś mi o swoim życiu, dobrze poznałem rozkład jego dnia. Wiem, o której wstaje, o której bierze prysznic i o której wychodzi z domu. Już nie podaje ci kawy do ogrodu, ale swojej porannej rutyny z pewnością nie zmienił. Wiem też, że masz psa, którego kochasz ponad wszystko. Mała poprawka: kochałaś. I że przed twoim domem rosną kępy lawendy, a brama do twojego garażu jest ciemnoszara, podobnie jak dachówki.

Wiem to wszystko, bo stoję na ulicy, przy której mieszkałaś, i patrzę na to, na co ty patrzyłaś przez ostatnie lata. Mam nadzieję, że było ci tu dobrze. W końcu nie bez powodu zrezygnowałaś ze mnie, prawda, Miriam? Ode mnie byś tego nie dostała. Poszłaś na łatwiznę, przyznaj. Nigdy mi

tego nie powiedziałaś wprost i zręcznie omijałaś ów temat, wymyślając różne bzdurne przyczyny naszego rozstania, ale czy mógł być jakiś inny powód? Co to znaczy, że musiałaś się poświęcić? Jeśli tak ma wyglądać poświęcenie, to tylko pozazdrościć.

Ładnie się ustawiałaś, przyznaję. Nad krzakami lawendy i tymi kulistymi bukszpanami, które rosną przy wejściu do twojego domu, ktoś się musiał porządnie napracować. Ty czy ogrodnik? Chciałbym móc podziwiać każdy detal, jakim się otaczałaś, ale to, niestety, niemożliwe. Jestem tu intruzem, więc zamiast sycić oczy bogactwem snobistycznego przedmieścia, muszę się rozglądać na boki, by nie nadzieć się na kogoś z twoich sąsiadów. Nie potrzebuję stać się obiektem czyjegoś zainteresowania i odjechać stąd radiowozem. O, nawet jest tu jeden, stoi niemal pod twoim domem. Nie zauważyłem go, wjeżdżając w przecznice.

Przez moment myślę, żeby się wycofać, zwłaszcza że policjantka (u mundurowych robi się jakby międzynarodowo, sądząc po jej skośnych oczach) krąży po ulicy w tę i z powrotem. Jest jednak za późno, już mnie zauważyła. Kiwam jej na powitanie głową, ona robi to samo. To kulturalna okolica, więc należy się dostosować. Prześlizguje się po mnie spojrzeniem, ale najwidoczniej nie wydają się jej interesujący, bo idzie dalej. Mówi coś do dyktafonu, dyskretnie, więc nie słyszę co. Zaraz potem zawraca, znów mnie mijają, ale tym razem zatrzymuje na mnie wzrok na dłużej. Nic dziwnego, ulica jest teraz pod specjalnym nadzorem, a ja kręcę się po niej bez wyraźnego celu.

– Pan tu w jakim celu? – słyszę jak na zawołanie.

Mam zaledwie nanosekundę, żeby wymyślić jakieś sensowne wytłumaczenie. Przez głowę przelatuje mi najpierw klasyczny kit o zaginionym psie, który urwał się ze smyczy i zapewne krąży gdzieś po okolicy. Problem w tym, że nie mam przy sobie smyczy. Zahaczam więc o pomysł o chińskich bańkach stawianych przez prywatnego znawcę medycyny naturalnej. Pewnie jest tu gdzieś taki, podobnie jak super-hiper-thai-spa i ęą-sushi-z-białą-truflą. Na koncept o bańkach wpadam nie bez powodu; w końcu patrzą na mnie lekko skośne oczy policjantki, więc sugestia nasuwa się sama.

Z tych tortur ratuje mnie dzwoniący telefon kobiety. Nie ma już dla mnie czasu, musi odebrać, a zaraz potem znika w swoim wozie.

Teraz czuję, że porządnie się spociłem. A to dopiero pierwsza część mojego pobytu na twojej ulicy. Pierwszy akt mojego występu, który choć

z żalem, ale muszę natychmiast zakończyć. Nie ze względu na wścibską
glinę, bo ta właśnie odjeżdża i dzięki temu mam czyste pole, ale w związku
z kobietą, która stoi w oknie domu w twoim najbliższym sąsiedztwie i przy-
gląda się mi z uwagą. Dom ma zainstalowaną kamerę, co tym bardziej każe
mi się stąd zwinąć. Nie mogę ryzykować. Nie stać mnie na to, by stracić
choćby dobę na tłumaczenie się na komendzie. Jestem facetem, z którym
coś cię wiązało, a nie przypadkowo zabłąkanym wędrowcem. I tak do mnie
dotrą, kiedy już przejrzą twoje telefoniczne billingi, ale do tego czasu
muszę mieć wolne ręce. Bez tego nie doprowadzę mojego planu do końca.
Pamiętasz, jak mówiłaś, że jeśli się coś zaczęło, trzeba to dokończyć? Więc
sama rozumiesz, że inaczej się nie da.

 Nie odchodzę stąd na zawsze, Miriam.

 Jeszcze tu wrócę, obiecuję.

Poniedziałek, 7 września

KONRAD

Krawat ciśnie mnie pod szyją, a na twarzy czuję nieprzyjemną lepkość. Prosiłem, żeby makijaż był możliwie najlżejszy, jednak kobieta z charakterystycznymi nie przejęła się moją prośbą i wtarła mi w skórę kilogramową warstwę podkładu. Mam wrażenie, że moja twarz wygląda żółto, jakbym miał chorą wątrobę, ale tak ma podobno być. Kamera woli żółć, nie czerwień, a ja wcześniej wyglądałem, jakby moja twarz płonęła. Wszystko przez pośpiech.

Gnałem na to nagranie nie bez powodu. Moje zgłoszenie do *Gdziekolwiek jesteś* nie załapało się na wrześniową edycję, ale w ostatniej chwili jakaś rodzina zaginionego dzieciaka spod Gdańska wycofała swój udział i zadzwoniono do mnie jako awaryjnego uczestnika. Mieli piętnaście minut czasu antenowego do wykorzystania. Asystentka producenta zaznaczyła, że warto brać, bo do kilku najbliższych wydań nie mam szans się dostać. Latem trafiła do nich ponad setka zgłoszeń, w tym gros spraw dotyczyło nieletnich, więc byli zawałeni robotą, a program nie jest przecież z gumy.

– Może po Nowym Roku coś dla pana znajdziemy – powiedziała – chce się panu tyle czekać?

Zgodziłem się od razu i mam już nawet wszystko dogadane z prowadzącym. Jestem tu, by zaktualizować informacje i wyjaśnić, że znaleziono ciało Miriam, w związku z czym jest już nie zaginiona, ale martwa. Producenci programu nie zdążyli przygotować żadnych nowych materiałów dotyczących sprawy i mają tylko zdjęcie Mi, to samo, które przyniosłem im podczas mojej pierwszej wizyty w studiu, czyli w maju. Liczą, że złamany żalem opowiem o tym, gdzie znaleziono jej zwłoki i co ją zabiło. Mam grać

na emocjach widzów i prosić o jakąkolwiek informację na temat tej tragedii.

Makijażystka ostatni raz posypuje mi twarz pudrem i już prowadzą mnie do studia. Oślepia mnie światło lamp. Mrużę oczy, po czym siadam na wskazanym mi miejscu.

– Wracamy do sprawy zaginionej Miriam Macharow – słyszę. – Jak państwo pamiętają z jednego z naszych poprzednich odcinków, kobieta zniknęła ze swojego domu w nocy z siódmego na ósmy marca tego roku i od tamtej pory jej los pozostawał nieznany. Niestety, sprawdziły się najgorsze przypuszczenia rodziny. W ubiegły wtorek odnaleziono ciało pani Miriam. Jest z nami mąż ofiary, który mimo trudnych chwil, jakie obecnie przechodzi, zdecydował się podzielić z państwem informacjami na temat tej sprawy i prosić o pomoc w ustaleniu tego, co mogło doprowadzić do tragicznej śmierci jego żony.

Widzę na telewizyjnym podglądzie, jak zdjęcie Miriam wraz z datą jej zaginięcia pokazuje się już na antenie. Ja natomiast mam w głowie obraz z kostnicy i skarpety z Mona Lisą. Czuję odór spalenizny dochodzący z ubrania zdjętego z ciała mojej żony i ten z samych zwłok. I zaraz muszę poluzować krawat pod szyją, bo w przeciwnym razie się uduszę. Jakaś kobieta z obsługi sali podaje mi szklanekę z wodą i upewnia się, że ze mną wszystko okej, bo podobno nagle zrobiłem się bardzo błydy. Nie mam pojęcia, jak to dostrzegła pod centymetrową warstwą pudru.

– Nic mi nie jest – deklaruję.

Kobieta nachyla się nad moim uchem.

– Na pewno? Bo będzie pan na antenie jeszcze przez co najmniej dziesięć minut.

– Wytrzymam.

Kobieta daje głową znać prowadzącemu, że możemy kontynuować, po czym znika mi z pola widzenia.

– Gdyby mógł pan przybliżyć naszym widzom okoliczności odnalezienia ciała pańskiej żony – mówi prezenter. – Być może znajdzie się ktoś, kto ma wiedzę na temat tego, co zaszło, i pomoże w odnalezieniu zabójcy.

– Nie doszło do morderstwa. Moim zdaniem Miriam popełniła samobójstwo, a ciało z niewiadomych przyczyn podpalono.

Po raz pierwszy odważam się wypowiedzieć to publicznie. Słyszę, jak nielicznie zgromadzona w studiu widownia zaczyna szumieć.

– Co nie oznacza, że nie interesują mnie szczegóły całego zajścia – dodaję. – Nie wykluczam też, że ktoś mógł ją do tego popchnąć lub zmusić. Prowadzący jest ewidentnie skonsternowany.

– Policja podziela pańskie obawy?

– Na pewno wkrótce je potwierdzi.

Teraz mam opowiedzieć, gdzie znaleziono Miriam.

Mówię o starej fabryce na terenie Ursusa i spalonym morrisie. Zupełnie niepotrzebnie dodaję, że z trudem patrzyłem na to, co zostało z ciała Miriam, bo jak widać na zdjęciu, była wyjątkowo piękną istotą. Nie wiem, dlaczego używam słowa „istota”, zamiast mówić po prostu, że była piękną kobietą. Plotę coś o jej poparzeniach i o tym, że już wcześniej miała problemy z emocjami, gdy umarła jej matka. Nie wiem, czy to kogokolwiek interesuje, ale czuję się w obowiązku przedstawić choćby przybliżony powód tego, co sobie zrobiła. Dodaję, że czuję się winny, że być może bagatelizowałem sygnały, jakie wysyłała, i gdyby dało się cofnąć czas, zrobiłbym wszystko, żeby ją uratować, bo była moim dobrym aniołem. Zapewniam, że nie miała wrogów i wiodła spokojne życie u mojego boku, aż nagle coś się zmieniło.

Prowadzący daje mi sygnał, żebym powoli kończył.

To już?

Zanim zejść ze swojego fotela, powtarzam, że jeśli ktokolwiek był świadkiem tego, jak Miriam wjechała na teren fabryki i w jakim była stanie, to chciałbym, żeby się odezwał. Osobie, która przybliży mnie i policję do prawdy, oferuję pięćdziesiąt tysięcy złotych nagrody. Niech wiedzą, że mi na tym zależy.

Schodzę ze sceny. Siadam na widowni ze spuszczoną głową i w pozycji człowieka przegranego. Czuję na sobie spojrzenia dwudziestu zaproszonych do studia widzów. Nie są tu ani dla mnie, ani dla żadnego z bliskich ofiar, o których mówi się w programie. To przypadkowi ludzie zgarnięci z telewizyjnych korytarzy albo wprost z ulicy po to, by za pięć dych siedzieć przez godzinę na niewygodnych krzesłach. Mam jednak wrażenie, że patrzą na mnie ze współczuciem, a każdy z nich myśli: „Dzięki Bogu, że to spotkało nie mnie, a jego”. Być może któryś z nich podejrzewa, że aż tak dobrze Miriam ze mną nie było, skoro wolała zabić się w jakiejś ruinie.

Po mnie wchodzi na scenę kolejny facet. Opowiada o zabójstwie siostry. Wyłączam się, choć sprawa jest ciekawa, bo tę siostrę znaleziono z dość nietypowym listem pożegnalnym. Podobno sfabrykowanym. Gdybym ja

miał taki list od Miriam, skończyłyby się spekulacje co do mojego udziału w jej zniknięciu. Niestety, niczym takim nie dysponuję.

Dyskretnie spoglądam to na zegarek, to na telefonistki, które odbierają połączenia od widzów programu. Trudno mi uwierzyć, że ci, którzy dzwonią, mają coś ciekawego do przekazania. Może jeden procent z nich cokolwiek naprawdę wie o prowadzonych sprawach, reszta to ściemniacze chcący zaistnieć na antenie.

Jeszcze siedem minut i zgasną światła.

Sześć.

Pięć...

Jedna.

Koniec nagrania.

Podnoszę się, żeby wyjść z dusznego studia, i jestem o kilka kroków od drzwi, kiedy ktoś chwytą mnie za łokieć. To jedna z telefonistek.

– Pan Macharow?

Kiwam głową.

– Proszę za mną. To ważne.

Dołącza do nas prowadzący i wychodzimy we troje przez inne drzwi prowadzące w głąb studia. Kobieta otwiera pokój, najwyraźniej służący za jedną z telewizyjnych przebieralni, bo pod ścianami stoją wieszaki z ubraniami, po czym wskazuje ręką na krzesło.

Nie chcę siadać. Chcę stąd wyjść i zgarnąć po drodze Stana, by towarzyszył mi, kiedy będę się znieczulał setką wódki. Po chwili przypominam sobie, że Stan wziął za mnie wieczorny dyżur w klinice, a zaraz potem ma zamiar wyjechać do swojej dzikiej Aranyi.

– Nie wiem, na ile ta wiadomość jest wiarygodna... – zaczyna mówić kobieta. Jest mała, krępa i z lekko obwisłym podgardlem. Odruchowo włącza mi się faza zabiegowa, mam ochotę zapytać ją, czy nie myślała może o wycięciu nadmiarowego płatu skóry.

– Ktoś do nas zadzwonił – dopowiada prowadzący. – Zaraz po tym, jak skończył pan mówić. Chodzi o pana żonę. Ten ktoś ją rozpoznał.

– Widział ją w dniu śmierci?

– Nie.

– W przeddzień?

– Też nie. Ale ma dla pana ważną informację.

Zmuszam się, żeby przestać myśleć o podgardlu kobiety, i z grzeczności udaję zainteresowanie. Z grzeczności, bo przecież wiem, że wizerunek

Miriam, który w setkach kopii Adela rozwiesiła w mieście, musiał zapaść komuś w pamięć i teraz po prostu jakiś telefoniczny pajac dopasował go do tego z telewizora na zasadzie skojarzenia. W ten sposób mogło ją widzieć i tysiąc osób. Tylko co z tego? Chcę wiedzieć, czy ktoś był świadkiem tego, jak umierała, a nie, że miesiąc wcześniej kupowała kawę w Starbucksie. Czy nie wyraziłem się wystarczająco jasno?

– Ach, jak miło... – przytakuję.

Kobieta z wolem i prowadzący program patrzą na mnie jak na dziwadło. Najwyraźniej spodziewali się po mnie zupełnie innej reakcji.

– Mam na myśli, że taką osobę jak Miriam łatwo jest zapamiętać – prostuję, by jakoś z tego wybrnąć. – Jak mówiłem, była piękną kobietą, a plakaty zrobiły swoje.

Wciąż im mało. Muszę się bardziej postarać, choć koniec końców wychodzi jeszcze gorzej.

– Jeśli ten ktoś ma zamiar wyłudzić ode mnie pieniądze...

– Decyzja należy do pana.

Zaczynam się zastanawiać, czy to nie jakiś blef. Życie nauczyło mnie, by być ostrożnym. Za mało znam prowadzącego. Nie wiem, czy mogę mu wierzyć i czy nie jest w zмовie z kimś, kto stoi za kulisami i nakręca akcję z telefonami. Są różne sposoby na zgarnięcie darmowych pieniędzy, może to właśnie jeden z nich. Zbolały po stracie żony mąż z własnej woli chce dać pięćdziesiąt patyków, więc czemu nie zaryzykować? Potem każdy dostaje swoją dolę.

Przesadzam?

Być może.

Kurwa, nic już nie wiem... Niczego nie jestem pewien... Ale płacić za informacje wyssane z palca nikomu nie zamierzam.

Kobieta z wolem przygląda mi się z zaciekawieniem, pewnie obserwuje, jak drży mi żyłka na czole.

– Mam oddzwonić do tej kobiety i powiedzieć, że nie jest pan zainteresowany?

Odpowiadam na jednym wydechu, że na naciągaczy, którzy wprowadzają rodziny ofiar w błąd, powinien być osobny paragraf. I że powinna się nimi zająć policja.

– Dzięki takim informacjom udało się rozwiązać wiele spraw. – Kobieta broni się, jak może.

Pewnie też jest w zмовie, bo zależy jej aż za bardzo.

– Przekażcie to, co powie, kryminalnym. Jeśli jej informacje na coś się przydadzą, dopiero wtedy zapłacę.

Wydaje mi się, że wybrnąłem. Niech tę zabawę w ciuciubabkę przejmie policja, w końcu od tego jest.

– Ta kobieta chce rozmawiać tylko z panem. I żeby była jasność: nie żąda pieniędzy.

– A czego chce? Przecież musi czegoś chcieć.

– Porozmawiać z panem. Osobiście. Na pana miejscu bym się zgodziła.

Już wszystko jasne. Właśnie stałem się łakomym kąskiem dla jakiejś panienczki poszukującej wdowca z tak zwanych wyższych sfer. Do tej pory sądziłem, że polowanie na jeleni z grubym portfelem odbywa się w zupełnie innych miejscach. W klubie golfowym lub na sali do squasha, ale jak widać, kobieca perfidia poważnie wyewoluowała.

Może jednak przesadzam? Ta cała sprawa powoli mnie przerasta i dlatego zaczynam wariować?

– Wie pani, kim ona jest? – pytam, próbując zachować się racjonalnie.

– Nie przedstawiła się. Sądząc po głosie, to dojrzała kobieta. Jest pewna, że widziała pańską żonę. Co prawda nie wyglądała dokładnie tak, jak opisał ją pan podczas poprzedniego nagrania.

– Zdjęcie z ogłoszenia zostało zrobione na długo, zanim Miriam zagięła.

– Miała inne włosy i podobno była ubrana na czarno. Cała, od stóp do głów.

– W takim razie to nie mogła być Miriam. Moja żona nienawidziła czerni – próbuję zamknąć rozmowę. – Nie miała ani jednej czarnej rzeczy, bo uważała, że to wyjątkowo przygnębiający kolor, a do tego czyni ludzi niedostrzegalnymi.

– Może właśnie o to jej chodziło, żeby nikt jej nie rozpoznał?

– To pomyłka. Niemniej... dziękuję.

– Pan, zdaje się, wciąż nie rozumie. Zastanawiam się, po co właściwie przyszedł pan do naszego programu.

Do tej pory uważałem, że potrafię rozmawiać z ludźmi i że wyrażam się na tyle jasno, by pojęli, co mam im do przekazania. Być może tak nie jest.

– Nie szukam już Miriam – tłumaczę ze spokojem. – Może pani nie dosłyszała, ale kilka dni temu znaleziono jej ciało.

– Więc nie interesuje pana to, co ma do powiedzenia ta kobieta. Że nie dalej jak dwa dni temu widziała Miriam żywą?

Czuję, jak moja krew zamienia się w beton. Sztywnieją mi szyja i barki. Paraliż zstępuje coraz niżej, powoli przestaję mieć czucie w kolanach. Chyba blednę jeszcze bardziej niż pół godziny temu, jeszcze w studiu, bo widzę niepokój na twarzy telefonistki. Zwłaszcza że otwieram usta, ale nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Dwa dni temu? – dukam.

– Nie wiem zbyt wiele na ten temat. Tylko tyle, że widziano ją w podziemnym przejściu metra. Była w tłumie, ale twarzy pańskiej żony, jak sam pan był łaskaw wspomnieć, trudno nie zauważyć. Słucha mnie pan?

Słucham bardzo uważnie. Serce mi wali.

– Rozumiem, co pan czuje. To musi być dla pana prawdziwy wstrząs, panie Macharow.

Chyba kiwam głową, choć nie jestem pewien, czy moje kręgi szyjne pracują.

– Jeżeli istnieje choć cień szansy na to, że zwłoki, które oglądał pan w prosektorium, nie należą do pańskiej żony, powinien pan zrobić wszystko...

Dobrze wiem, co powinienem zrobić.

Powoli odzyskuję kontakt z własnym ciałem. Wyciągam rękę po kartkę z numerem telefonu starszej pani. Patrzą na dziewięć cyfr nakreślonych niebieskim tuszem, po czym chowam zwitek do wewnętrznej kieszeni marynarki.

A więc podobno widziano ją w tłumie. Nie wiem, co to za gra i kto ją prowadzi, ale nie jestem na nią przygotowany.

To nie może być prawda.

Jak to możliwe, Miriam... jak to jest, do cholery, możliwe?

Odchodzę bez słowa. Jestem już przy drzwiach, kiedy widzę, że kobieta z wolem znów do mnie macha.

– Proszę poczekać, panie Macharow! Mamy jeszcze jedno zgłoszenie, sprzed chwili.

Podchodzę do stanowiska z telefonami.

– Też kobieta?

– Tak się składa.

– I też widziała Miriam? Gdzie tym razem, w operze?

– Widzę, że pan nadal wątpi. Ale nie, ta jej nie widziała.

– Więc o co chodzi?

– Podobno ma informacje o kimś, kto przyłożył rękę do śmierci pańskiej żony. Powiedziała, że to pewne, że wie coś, o czym pan raczej nie ma pojęcia.

– Raczej nie mam pojęcia – powtarzam jak echo.

– Nie chcę być niedelikatna, ale z tego, co zrozumiałam, chodzi o zażyłość, jaka łączyła pańską żonę z pewnym mężczyzną. To jej numer. Myślę, że warto się przekonać, czy mówi prawdę.

STAN

Z gmatwaniny słów rzuconych przez Konrada wnioskuję, że wydarzyło się coś szokującego. Każę mu wziąć kilka głębokich oddechów i zacząć opowiadać wszystko od początku. Po kolejnych paru sekundach wiem już, że był na nagraniu do *Gdziekolwiek jesteś* i że albo ktoś robi sobie z niego jaja, albo Miriam jakimś cudem zmartwychwstała. Wyczuwam, że nie jest z nim najlepiej. To rzadka sytuacja, bo mój przyjaciel zwykle nie miewa gorszych dni. Jednak nie tym razem. Po głosie poznaję, że jest roztrzęsiony. Mówi, że chce się ze mną spotkać. To akurat mnie nie dziwi. Jak zauważyłem, odkąd znaleziono ciało jego żony, wciąż szuka wymówek, by nie wracać do domu.

Muszę mu jednak odmówić. Nie mogę mu teraz towarzyszyć ani pomóc w żaden inny sposób. Nie w tej chwili.

Dochodzi dwudziesta druga, czyli jestem po dwunastogodzinnym dyżurze i jedyne, na co mam ochotę, to zrzucić z siebie kitel, złapać za kluczyki do auta i zniknąć z miasta. Być może to łąjdackie z mojej strony, że nie poświęcę mu kilku następnych godzin, podczas których będzie odchodził od zmysłów, ale na ten wieczór mam własne plany. Jedyne, w czym mogę mu ulżyć, to potwierdzić, że dobrze robi, chcąc skontaktować się z kobietą, która widziała Miriam w podziemnym przejściu metra.

– Jeszcze nie wiem, czy to zrobię – mówi w odpowiedzi. – Być może ktoś próbuje się bawić moim kosztem.

– Dowiedz się, o co chodzi. Załatw to, stary. Najlepiej od razu – ponaglę go. – Nieważne, że jest późno. Najwyżej ją obudzisz. W takich sprawach nie można czekać do rana. Jak skończysz, daj mi znać. Dzwoń bez względu na porę.

Wchodzę do windy i zjeżdżam do podziemnego parkingu kliniki. Siadam za kierownicą, ale nim włączę silnik, słyszę, że ktoś puka w okno.

– Chyba pan o czymś zapomniał, doktorze.

Opuszczam szybę. Linda z recepcji uśmiecha się słodko i podaje mi klucze do mojej samotni za miastem. Przez tę rozmowę z Konradem zupełnie

zapomniałem zgarnąć je z biurka.

– Powinien pan odpocząć. – Linda przygląda się mi uważnie. – Żle pan ostatnio wygląda. Za dużo pracy, co? Od razu widać. Dobrej nocy, doktorze Koch.

– Dobrej nocy, Lindo.

Widzę w lusterku wstecznym, jak macha mi na odjazdne ręką. Puszczam jej sygnał światłami. Cieszy się, pokazując równe, białe zęby. Nie robi tego z sympatii do mnie. Mało która kobieta jest mi przychylna, chyba że ma w tym interes. Lindzie akurat kończy się okres próbny w recepcji i obecnie szykuje się do objęcia stałego etatu. Dostanie go albo i nie – to zależy nie tylko od Konrada, ale i ode mnie.

Odkąd tylko pamiętam, nie miałem szczęścia do dziewczyn. Jeśli jakieś stawały na mojej drodze, okazywały się zainteresowane bardziej tym, co mam w portfelu, aniżeli mną samym. Ja byłem zaledwie dodatkiem do moich kart kredytowych, czego naturalnie zupełnie nie zauważałem. Sądziłem, że wystarczy mieć dyplom porządnej uczelni, umieć się zachować w towarzystwie i pachnieć armanim, by spodobać się jakiejś pannie. Ale bardzo się myliłem. Pewnej nocy, kiedy byłem w klubie Fiesta!, wreszcie przestałem wierzyć w cuda. Wytoczyłem się wtedy z pewną szatynką o brązowych oczach z kabiny damskiego WC i zapinając rozporek, zapytałem, czy byłaby uprzejma stać się moją partnerką na nieco dłużej niż kwadrans w kiblu. Nie wiem, co mnie opętało, chyba te jej orzechowe oczy i wirujące w żyłach procenty. Postawiła mnie przed lustrem wiszącym nad umywalką i powiedziała: „Popatrz na siebie, gościu. Serio? Ty i ja? Serio...?”. Kiedy wróciłem do mieszkania, w spodniach nie znalazłem swojego portfela. Nie wiem, kiedy zdążyła go zwinąć, pewnie wtedy, gdy zatrzasnęliśmy za sobą drzwi kabiny. Odleciałem i skupiłem się na czymś całkiem innym niż pilnowanie tego, co miałem w kieszeniach.

Tak więc mam ten swój dyplom, pachnę całkiem nieźle, umiem gadać do rzeczy i zszywać ludzi, za co zgarniam miesięcznie trzydzieści patyków. Mam też niecały metr siedemdziesiąt wzrostu, łysą czaszkę i rysy tak pospolite, że gdybym był jedynym mężczyzną w opustoszałym po globalnej epidemii mieście, i tak żadna nie zwróciłaby na mnie uwagi.

Z tą myślą wyjeżdżam z parkingu i kieruję się na południe, prosto ku mojej Aranyi. Największy korek, jaki tworzy się po całym dniu pracy, już dawno się rozładował. Gładko wymijam pojedyncze auta, których z każdą minutą, jaka oddala mnie od rogatek miasta, jest coraz mniej. Do celu wciąż

pozostaje mi około dwudziestu kilometrów. Powinienem już czuć odpływ całodniowego stresu, rozluźnić mięśnie i myśleć jedynie o przyjemności z Pat, która cierpliwie na mnie czeka.

Ale nic takiego nie czuję, nie dziś. Po tym, co usłyszałem od Konrada, trudno jest mi myśleć o czymś innym niż o Miriam. Jeszcze pół godziny temu byłem skłonny uwierzyć, że to może być prawda. Teraz sam już nie wiem, co o tym sądzić. Na głos tego nie powiem, ale... Nie, to jednak niemożliwe. Takie rzeczy się nie zdarzają.

Telefon przypomina mi krótkim sygnałem, że w paczkomacie, tym zaraz przy klinice, czeka na mnie przesyłka. Klnę w myślach, bo odjechałem już daleko i cofanie się do miasta nie jest mi na rękę. Ale mimo że chcę jak najszybciej znaleźć się w moim domu na odludziu, zawracam. Zawartość przesyłki jest mi potrzebna.

Ulice są już mocno przerzedzone, więc wciskam gaz, by załatwić sprawę jak najszybciej. Płynę z powrotem pod klinikę i już po kwadransie wciskam kod zwalniający zamek w metalowym boksie. Karton jest lekki, ale pokaźny, i zajmuje największą ze skrytek. Zamykam skrytkę, wrzucam przesyłkę do bagażnika i zawijam się sprzed paczkomatu.

Znów jestem na wylotówce. Gnam jak wariat i zwalniam jedynie na czerwonych światłach. Wykorzystuję te krótkie postoje, by sprawdzić w telefonie, czy nie mam jakichś nowych wiadomości od Konrada, ale nic nie pisze ani nie nagrywa się na pocztę głosową. Powinien już coś wiedzieć, w końcu upłynęło czterdzieści minut, odkąd rozmawialiśmy.

A jednak się nie odzywa.

To oznacza tylko jedno, że kobieta okazała się oszustką. Dlatego milczy.

Wszystko więc wraca na stare tory. Powoli się uspokajam i nic już nie zaprzęta moich myśli. Teraz skupiam się jedynie na tym, by dotrzeć do domu w lesie. Nie zaglądałem tam od zeszłego weekendu.

Jest już zupełnie ciemno, gdy mijam przydrożny baner reklamujący punkt sprzedaży wędzonych ryb. To doskonały punkt orientacyjny, dzięki niemu wiem, że do celu mam jeszcze tylko osiemset metrów. Zaraz zacznę odliczać boczne drogi, by skręcić w tę właściwą. O wiele wygodniej byłoby mi włączyć GPS i nie jechać po zmroku na czuja, ale odkąd nabyłem te swoje cztery hektary głuszy, ani razu nie użyłem lokalizatora, by do nich dotrzeć. Powód jest dość banalny: ten adres po prostu nie istnieje – nie ma ulicy ani numeru domu.

Zacząłem już odliczać boczne trakty. Przy czwartym skręcam kierownicą w prawo i wjeżdżam w leśną ścieżkę. Prowadzi przez zagajnik, który łączy się z polaną, a ta dochodzi do granicy siatki porośniętej dzikim winem. Jego liście są przerośnięte, gęste i tworzą szczelną kurtynę, która oddziela Aranyę od reszty świata. Ogrodzenie jest niemal niewidoczne. Tylko ja wiem, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy.

Światła reflektorów przesuwają się po pniach drzew i po zielonych pędach wina. Zaraz będę na miejscu, jeszcze kilkadziesiąt metrów. Bramę można otworzyć tylko ręcznie, więc wysiadam z auta. Przy okazji po raz kolejny sprawdzam, czy Konrad się nie odezwał. Wciąż zapominam, że z zasięgiem tu kiepsko, ale jedna kreska jakimś cudem wciąż jest widoczna.

Jak się spodziewałem, nie ma wieści.

Wyciszam telefon, by nic nie zakłócało mi już spokoju. Przekraczam bramę, gaszę światła w aucie i silnik. Wyjmuję z bagażnika karton i idę z nim prosto do domu.

Dokładnie zamykam za sobą zamek. W kuchni zapalam lampę i nim sięgnę po nożyczki, by rozciąć taśmę zabezpieczającą pudło, wchodzę do jadalni.

– Przepraszam, że tak długo mnie nie było – wołam do Pat.

Stawiam pudło na podłodze i podchodzę do stołu. Nie przeszkadza mi mrok panujący w pomieszczeniu, w końcu znam każdy centymetr tego domu i każdy przedmiot, jaki się w nim znajduje. Własnymi rękami wieszałem zasłony, ustawiałem kredens, stół i te cztery krzesła. Podchodzę do jednego z nich. Patrzę na siedzącą na nim postać, na miękki zarys jej ramion i kładę na nich swoje dłonie. Nachyłam się nad włosami, które wciąż trzymają w sobie zapach truskawkowego szamponu, i całuję je delikatnie.

– Wybacz, że kazałem ci na siebie czekać – mówię, rozmasowując jej barki. – Gdyby nie Konrad i jego sprawy, byłbym tu dużo wcześniej. Znów miałem za niego zastępstwo, wyobrażasz sobie? Ale to już nie potrwa długo. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Na przeprosiny coś ci przywiozłem. Myślę, że się ucieszysz. Zaraz ci wszystko pokażę, ale najpierw zjedzmy coś. Co powiesz na omlet? Dawno nie robiłem, a wiem, że za nimi przepadasz. Nie ruszaj się, ja się tym zajmę. Umyję tylko ręce i za kilka minut kolacja będzie gotowa.

Całuję ją w aksamitne usta. Pat spogląda na mnie czule, jak nikt dotąd. Zalewa mnie fala spokoju. Zanim wyjdę do kuchni i rozgrzeję patelnię, jeszcze raz wciągam w nozdrza rajski zapach truskawek.

FLORIAN

Fortuna podobno sprzyja odważnym. Albo zuchwałym idiotom, bo taką wersję też słyszałem. Z pewnością jednak pomaga tym, którzy znają rozkład dnia mężów swoich dawnych kochanek.

Wracam na ulicę Rukoli i staję pod domem Miriam. Wszystko wskazuje na to, że schemat pracy owdowiałego przedwcześnie doktorka nie zmienił się ani trochę i że zakończy swoją zmianę równo za godzinę. W żadnym z okien nie pali się światło, co znaczy, że w domu nie ma nikogo. Oczywiście istnieje też wersja alternatywna: facet wrócił wcześniej, usiadł w ogrodzie, by sączyć schłodzone whisky, i przespał moment zmierzchu. Z tym też muszę się liczyć. Pukam więc do drzwi, trzymając pod pachą rekwizyt, jakim jest czarna teczka. W środku znajduje się pół ryzy niezapisanego papieru i dwa długopisy. Ja natomiast właśnie staję się przedstawicielem firmy instalującej fotowoltaikę. Jeśli Macharow jest w domu, moja wizyta nie powinna go zdziwić. Po pierwsze, jego dom jest jednym z nielicznych bez zainstalowanych paneli słonecznych, a po drugie, czas moich odwiedzin jest jak najbardziej stosowny – tacy jak on rzadko kiedy wracają do domu o siedemnastej. Zwykle orzą od rana do nocy, bo przecież nie ma nic przyjemniejszego w życiu niż powiększająca się sumka na koncie w banku. Proste.

Pukam i nadśluchuję. Nikt mi nie otwiera. Dla pewności uderzam kołatką, ale zza drzwi dobiega mnie jedynie szczekanie psa. Obudziłoby zmarłego, więc skoro brak innego ruchu w przedpokoju, mam już pewność, że bycie zuchwałym idiotą najwyraźniej się opłaciło.

Znikam sprzed domu na kilka minut, by ucichło szczekanie psa, i idę na koniec ulicy, wciąż przyciskając do siebie teczkę. W drugiej ręce trzymam kluczyki do auta. Nawet nimi co pewien czas pobrzękuję. Gdyby ktoś mnie zauważył, będzie wiedział, że przyszedłem w interesach, i właśnie zaraz się stąd elegancko ulotnię. Pozory czynią cuda.

Ulatniać się stąd jednak wcale nie zamierzam. Mijam auto i idę dalej.

Kiedy byłem tu za dnia, miałem wystarczająco dużo czasu, by rozpoznać teren. Wysondowałem, że jeden z ogrodów znajdujących się po prawej stronie ulicy graniczy z dzikim terenem, który zakupił jakiś deweloper. Teren jest niedostępny, odizolowany od reszty osiedla siatką oraz drewnianą bramą wjazdową. Za bramą, poza dzikimi chaszczami i składowiskiem przypadkowych materiałów budowlanych, nie ma jeszcze nic. Za to na siatce wiszą dwie tablice: jedna zwykła, z zakazem wstępu, a druga żółta, urzędowa. Mówi, że deweloper wybuduje na placu bliźniaki i że roboty mają się rozpocząć w październiku.

Rozglądam się, czy mam czyste pole do działania. Ulica jest pusta.

Zuchwały idiota, jaki się we mnie obudził, nie zamierza przerwać dobrej passy. Przeciskam się przez szczelinę w bramie, rozrywając przy okazji koszulę na brzuchu. Równocześnie wdeptuję w coś ciągnącego, co wygląda na smołę. Teczka nie jest mi dłużej potrzebna, więc ląduje w krzakach. Nie wyglądam już na przedstawiciela handlowego. Nie w podartych ciuchach i upapranych butach.

Lawirując między krzakami, idę prosto ku ogrodowi Miriam. Tu wyrasta kolejna przeszkoda, dużo bardziej solidna niż siatka dewelopera, a mianowicie płot sięgający mi do szyi. Muszę podstawić coś pod nogi, bo w przeciwnym razie go nie przeskoczę. Przyciągnięty bloczek gazobetonu jest w sam raz. Podciągam się na rękach i już po chwili ląduję po drugiej stronie, między nasadzonymi gęsto cisami. Ostrożnie omijam niewielkie lampy solarne, które podświetlają gałęzie.

Trzeba przyznać, że wygląda to całkiem światowo.

Nie mam czasu na podziwianie tego miejsca, choć coś mnie pcha, by poznać choćby zaciszny kącik z altaną. Tą, z której Miriam wysyłała mi co poniedziałek kilka miłych słów przez telefon. Być może to jedyna okazja. Podchodzę do altany tylko na chwilę. Patrzą na dwa białe fotele wyłożone kolorowymi poduszkami i biały dach pawilonu, z którego zwisają pędy bluszczu. Mam tylko ułamek sekundy, by wyobrazić sobie Miriam siedzącą w tym miejscu. Widzę ją w niebieskiej letniej sukience, lekką i swobodną, z rozwianymi przez wiatr włosami.

Chciałbym zatrzymać ten obraz na dłużej, ale zamiast tego muszę zrobić to, po co przyszedłem. Odrywam wzrok od altany i kieruję się w stronę domu. Zamierzam dostać się do pokoju na poddaszu, znaleźć klucz do skrytki i się stąd ulotnić. Żałuję, ale brakuje mi czasu na sentymenty.

Przed wejściem na taras z jasnego trawertynu zdejmuję buty. Smoła z podeszew mogłaby zostawić odciski, a tego bym nie chciał. Za to bardzo chcę jak najszybciej znaleźć się na górze. Mogę się tam wdrzeć, rozbijając uprzednio tarasową szybę, lub spróbować wspiąć się po murze i wejść bezpośrednio przez okno w gabinecie Miriam. Z pierwszej opcji od razu rezygnuję. Zakładam, że na parterze domu zainstalowany jest alarm. Poza tym przy szybie kręci się pies. Właśnie na niego patrzę. Ziaje z otwartego pyska i macha ogonem. Zagaduję do niego i już mnie lubi. Nie zamierzam jednak ryzykować.

Sprawdzam gzymsy przy oknach. Są eleganckie, ale gipsowe, kruche. Za to róże pną się na całkiem solidnych podpórkach. Jednak co drewno, to drewno. Jeśli tylko nie ześlizgnę się z wąskich szczelbi, powinno się udać. Wierzę, że mi się poszczęści, w końcu jestem zuchwałym idiotą.

Nie patrzę w dół. Zaledwie metry dzielą mnie od pracowni Miriam. Idzie mi całkiem nieźle. Na koncie mam tylko dwa osunięcia i jedno rozdarcie skóry na dłoni. To przez wystający z drewna gwóźdź.

Docieram na górę i wydaję z kieszeni spodni nóż do cięcia szkła. Przygotowałam się na tę wizytę, inwestując w niego całe czterdzieści złotych. Jako że szyby są podwójne, mam co robić; najpierw wycinam większy otwór, by swobodnie operować nadgarstkiem, a później nieco mniejszy. Tylko po to, by móc chwycić od wewnątrz klamkę i ją przekręcić. Potem czymś te dziury zasłonię. Na pewno Miriam trzymała w swoim pokoju mnóstwo bibelotów.

Zuchwały idiota.

Zwykle pod oknami ludzie stawiają biurka, więc zakładam w ciemno, że Miriam też miała taki zwyczaj. Wyczuwam pod stopą blat i – jak mogłoby być inaczej – trącam coś szklanego. Brzęk automatycznie podrywa psa. Wbiega po schodach i staje w drzwiach. Ale nie ujada, burczy coś po swojemu i zaraz potem szybko cichnie.

Po diabła wam taki pies, Miriam?

Jestem już pośrodku pokoju. O zapaleniu górnej lampy mogę zapomnieć, więc musi mi wystarczyć dyskretne światło latarki. Zaglądam do komody, gdzie w jednej z szuflad powinno się znajdować pudełko po zapalniczkach, a w nim kluczyk do skrytki pocztowej. Przerzucam całą zawartość i nie znajduję w niej nic poza stertą pobazgranych kartek z pierwowzorami szkiców. Wysuwam po kolei pozostałe szuflady, choć już wiem, że Miriam mnie wyrolowała. I jakoś mnie to nie dziwi, w końcu dla niej Gra stanowiła

tylko zabawę. Jak widać, umowa ze mną również. Była typem człowieka, który nie znosi przewidywalności, za to zdecydowanie ceni sobie o wiele bardziej wyrafinowane sporty. Dlatego nie żyje.

Doigrałaś się, Miriam.

Zagłądanie pod dywan leżący pod biurkiem nie ma sensu. Nie mogła zostawić klucza w miejscu, do którego ktoś miałby tak łatwy dostęp. Zresztą kto teraz ma wysuwane klepki w podłodze.

Więc?

Omiotam światłem latarki pozostałe meble. Nie ma ich wiele, podręczny stolik na kółkach i dwa fotele, z których jeden stoi przy biurku, a drugi pod ścianą vis-à-vis-okna. Na drewnianym regale wysokim do moich ramion widzę mnóstwo książek o malarstwie oraz albumy z rysunkami jakichś artystów, o których istnieniu, rzecz jasna, nie mam pojęcia. Te nazwiska są mi całkiem obce, nawet jeśli mi kiedyś o nich wspominała, niczego z tych lekcji nie zapamiętałam. Nie czułem tego i nie rozumiałem, co jest pięknego w kilku maźnięciach ołówkiem. To nie mój świat, te grafiki w albumach i na ścianach, bo takie też, z tego, co widzę, kolekcjonowała.

Zaraz... Nie, to nie jest kolekcja obcych kreślarzy. Obrazki wyszły spod jej ręki, widzę inicjały w prawym dolnym rogu. MB, Miriam Biernacka, co oznacza, że albo powstały, zanim zdążyła związać się z Konradem, albo z jakiegoś powodu nie chciała się podpisywać jego nazwiskiem.

Rysunki są cztery, wiszą po dwa w każdym rzędzie i optycznie tworzą kwadrat. Na trzech są przedstawione ptaki – jak na mój gust zbyt abstrakcyjnie je przedstawiła. Rozpoznaję, że to one, po dziobach utworzonych przez foremne trójkąty. Reszta ich ciał składa się z kół i bliżej nieokreślonych figur geometrycznych. Ptaki mają chyba połamane skrzydła. Są tak powykręcane, że przykro na nie patrzeć. Aż mnie samego coś boli w środku.

Co z tobą, Miriam? Co siedziało ci w głowie, kiedy je rysowałaś?

Niech no spojrzę... Data na grafikach pokazuje rok, w którym zmarła jej matka. Tak... to wiele wyjaśnia.

Przesuwam wzrok na ostatni z obrazków. Musiało ją wiele kosztować, by go stworzyć. Widzę na nim coś, co przypomina leżącą na łóżku kobietę. Tuż obok stoją dwa cienie.

To miała być terapia po tym, jak twoja matka odeszła, a ty zaczęłaś tonąć w poczuciu winy? Wciąż była młoda, mogła jeszcze pożyć. Ile miała lat, gdy ją chowałaś? Pięćdziesiąt trzy, cztery? O wiele za wcześnie.

Cholernie depresyjny jest ten obrazek. Myślę, że temat musiał być dla Miriam szalenie cierpki, skoro włożyła w niego tyle uczuć. Nagle przypominam sobie, co mi mówiła: że w rzeczach martwych tkwi żywa energia. Tym bardziej muszę go dotknąć, może poczuję to, co czuła ona. Zdejmuję grafikę z gwoździa i owszem, coś wyczuwam. Ale nie energię, a przytwierdzony z tyłu niewielki przedmiot.

Więc tak to sobie wykombinowała. Sprytnie. Taśma klejąca mocno trzyma kluczyk do skrytki pocztowej, ale wystarczy podważyć ją paznokciem i już jest mój. Do klucza przytwierdzony jest numer przegródki. Muszę cię pochwalić, Miriam, za to, że nie przyszło ci do głowy zakopać tego klucza gdzieś w ogrodzie. Pożartowałaś sobie moim kosztem, ale w granicach zdrowego rozsądku. Brawo, kochanie.

Wreszcie czuję, że zaczynam panować nad sytuacją. Koniec końców myślę, że to nawet dobrze, iż ukryłaś ten kluczyk w bardziej dyskretnym miejscu, tak by nie wpadł w ręce policji podczas przeszukania waszego domu. Po nitce do kłębka, a konkretniej: od skrytki z zadaniami od Hetmana dotarliby w końcu i do mnie, a tego bardzo bym nie chciał. Nie zrozumieliby naszej zabawy. Ty też nie do końca znałaś jej zasady.

Chodzi o to, że nie powiedziałem ci wszystkiego, Miriam. Teraz jest już za późno, żeby to miało ci w czymkolwiek pomóc, ale sumienie nie daje mi spokoju, więc muszę to z siebie wyrzucić. Właśnie tu, w tym miejscu, gdzie wszystko jest twoje.

Wystawiłem cię. Byłaś ostatnim, trzecim zadaniem, które miałem wykonać. Wiedziałem, że to ryzykowne i że cała historia może się źle skończyć, ale nie miałem wyjścia. Musiałem cię zwerbować. Poszło mi łatwiej, niż mogłem się tego spodziewać. Nie byłem do końca pewien, czy połkniesz haczyk, ale podskórnie czułem, że ciągnie cię do ostrej zabawy. Wystarczyło ci powiedzieć, że nie powinnaś się w to mieszać, bo stawka jest zbyt wysoka, i już świeciły ci się oczy. Masz pełne prawo nazwać mnie pieprzonym skurwysynem i oszustem. Jeśli zaś chciałybyś wiedzieć, czy przyświecały mi złe intencje... Jak myślisz, Miriam? Zamierzałem cię skrzywdzić? Żałuję, że sobie już o tym nie pogadamy w cztery oczy.

Nie żyjesz i nic nie jesteś w stanie zrobić ani niczego zmienić, choćbyś nawet bardzo chciała.

Ale ja nadal mogę.

SHI LU

Był kwadrans przed północą, kiedy śledczy Nauman podszedł do biurka Shi Lu i nachylił się nad jej głową. Po trzygodzinnej drzemce, jaką uciał sobie w służbowym fotelu, nie zdążył jeszcze założyć na nos swoich fotochromowych szkieł, więc to, co wyświetlało się na monitorze komputera, stanowiło dla niego kilka rozmazanych, poruszających się plam.

– Widziałaś może...

– Są na półce – odparła Shi, nie odrywając wzroku od ekranu. – Powinien pan sobie kupić do nich łańcuszek. Ciągłe je pan gubi.

W okularach widać było o wiele wyraźniej. Plamy przybrały dużo bardziej konkretne kształty.

– Od dawna ślęczysz nad tym nagraniem od Kunik?

– Odkąd pan odpłynął.

– Mam wrażenie, jakbym nie zmrużył oka od tygodnia. – Ton głosu Naumana brzmiał jak usprawiedliwienie.

– Bez urazy, ale pańskie ubranie tak samo długo nie widziało pralni.

– Chcesz powiedzieć, że zaczynam śmierdzieć?

Shi wzruszyła ramionami.

– Nocowanie w komisariacie to nie najlepszy pomysł. Radzę jechać do domu, wziąć prysznic i zmienić koszulę.

Nauman dyskretnie wciągnął w nos powietrze spod marynarki. Nie było najlepiej, ale też nie tragicznie.

– Przesadzasz – stwierdził, po czym przyciągnął do biurka swój fotel. – Posuń się, dziecinko. Też chcę sobie pooglądać.

– Uprzedzam, że to wyjątkowo nudny serial.

– Aktorzy są do bani?

– Raczej kamerzysta. A tak naprawdę wszystko w tych zapisach jest do chrzanu. Jeśli chodzi o tego morrisa mini, co to go podobno ukradziono, to na moje oko do żadnej kradzieży nie doszło. Nikt się nie kręcił koło garażu ani nie majstrował przy zamku do bramy. Zresztą brama była cały czas opuszczona. W pewnym momencie podniosła się i morris wyjechał jak

gdyby nigdy nic. Fakt, że bez włączonych świateł, ale i bez wyraźnego pośpiechu.

– Dało się rozpoznać, kto siedział za kółkiem?

Shi Lu pokręciła głową.

– Było zbyt ciemno. To mógł być każdy.

– Niedobrze, dziecinko... A co z drugim nagraniem?

– Właśnie nad nim ślęczę. Przed domem Macharowów coś się dzieje, ale trudno wywnioskować, co konkretnie – przyznała z rozczarowaniem Shi. – Niech pan spojrzy, nagranie pokazuje tylko dolną część obrazu. Górną zasłaniają gałęzie. Gdyby nie to drzewo, mielibyśmy wszystko jak na dłoni. A tak to możemy sobie co najwyżej pooglądać czyjeś nogi, ale nie twarze.

– Pokaż.

Nauman przekręcił monitor w swoją stronę, a Shi Lu cofnęła zapis do momentu, w którym na nagraniu pojawia się jakaś postać.

– To ma być najlepsze ujęcie?

– O tym właśnie mówię – westchnęła. – Spróbujmy jednak wyciągnąć z niego, co się da. To co, jedziemy?

– Jedziemy, dziecinko.

– Zacznijmy od tych nóg. Obstawiam, że należą do mężczyzny, bo wyraźnie widać męskie buty. Ale co do spodni, to nie chcę przesądzać. Kobiety też mogą nosić tego typu dresy, choć może nie tak szerokie. Wolimy raczej wąskie, podkreślające...

– Wasze uda i tyłki. To akurat wiem.

– Ale buty wyglądają mi na typowe miękkie cichobiegi. Żadna młoda kobieta takich nie założy. Poza tym chód tego człowieka wydaje mi się dość niezgrabny. Mam na myśli to, że nie jest tak płynny i miękki jak kobiety. Zresztą niech pan sam oceni.

Włączyła zapis. Trwał około dziesięciu sekund. Cofnęła go i odtworzyła jeszcze dwa razy.

– Ten ktoś stawia niezbyt duże kroki – zauważył Nauman. – Są za to stabilne, zdradzają pewność siebie. Nie przesądzałbym jednak, że to mężczyzna. Kobiety dawno temu przestały kołysać biodrami podczas chodzenia i poruszają się niezgrabnie. Dokładnie jak ta osoba z nagrania. Rozumiem, że to wszystko, co mamy, jeśli chodzi o wizerunek naszego sportowca?

– Niestety.

– Niedobrze, Shi. Wieje nędzą.

– Wieje, i to porządnie. Ale niech pan patrzy dalej. Ten człowiek najprawdopodobniej wszedł do domu, bo skierował się do głównego wejścia i na około kwadrans zniknął z pola widzenia. Potem pojawił się ponownie. Widać, jak oddala się sprzed posesji Macharowów, skręca ulicą w lewo i idzie dalej.

– Co jest dalej?

– Na końcu ulicy? Dom pani Kunik, a potem nic. Płot, ogrodzenie... pewnie tam zaparkował wóz.

– Pokaż mi to jeszcze raz.

Shi pokręciła palcem po myszce komputera.

– Cała akcja zaczęła się o dwudziestą pierwszą czterdzieści, czyli krótko po tym, jak doktor Macharow rozmawiał ze swoją żoną, będąc na konferencji.

Nauman, nie odrywając oczu od ekranu, pokręcił głową.

– Z billingów od operatora wiemy już, że owszem, zarejestrowano połączenie między ich numerami telefonów, ale sygnał z komórki Macharowa nie pochodził z miejsca, w którym, jak twierdził, wtedy przebywał.

– Fakt. Jego telefon znajdował się dużo bliżej. Facet był już w drodze powrotnej. Jakies sto kilometrów od domu.

– A sto to nie trzysta. Chyba zdajesz sobie sprawę, ile czasu zajmuje przebycie takiego dystansu dobrym autem.

– Zależy, jak ciężką ma się nogę. Ale gdyby się postarał, mógłby dotrzeć na Rukoli na krótko przed dwudziestą drugą.

– Czemu zaprzeczył.

– I to dwukrotnie. Podobno szukał w okolicy nocnej kwiaciarni.

– Bardzo długo szukał. Aż do północy. Biedy miś.

– Poza tym, według jego zeznań, jechał prosto z bankietu.

– Bo to elegancki doktorek, dziecinko.

– Dlatego musiałyby mieć na sobie garnitur, nie dresy.

Nauman spojrzał pobłaźliwie na Shi Lu.

– Tak trudno jest ci to sobie wyobrazić?

– Że powszechnie ceniony lekarz wyskakuje gdzieś na leśnej drodze z garnituru po to, żeby przebrać się w luźne spodnie? Owszem, mógłby to zrobić. Tylko po co?

– Na pewno nie po to, żeby dla rozrywki zamienić się w 50 Centa. Cofnij nagranie jeszcze raz.

Shi Lu wykonała polecenie.

– Kamera zarejestrowała, jak dresiarz wychodzi z domu i idzie w stronę ulicy, tak? – zapytał Nauman. – Czyli że jego auto nie wjechało ani do garażu, ani na podjazd, tak?

– Właśnie to przed chwilą powiedziałam.

– Powinniśmy więc założyć, że jeśli Macharow zamieszany jest w sprawę zniknięcia swojej żony, to przygotował się do tego zniknięcia idealnie. Wiedział, że Miriam jest w domu sama. Adela kilka godzin wcześniej zjadła swój kawałek tortu i grzecznie wróciła do siebie. To oczywiste, że wiedział również o kamerze pani Kunik, w końcu każdego dnia przejeżdżał obok jej domu. A skoro wiedział, musiał działać ostrożnie. Nie mógł się pojawić w jej zasięgu ubrany w smoking, bo to byłoby jak pozostawienie odcisku palca. Nie mógł też wjechać autem do garażu. Zostawił je gdzieś dalej, a sam wszedł do domu w luźnym ubraniu, takim jakie nosi połowa młodziaków z Pragi. Dzięki niemu stał się nierozpoznawalny. Żona, rzecz jasna, rozpoznała go od razu. Otworzyła mu drzwi, no a potem wydarzyło się coś, czego nie wiemy.

– To się nazywa czarna dziura.

– Ja nazwałbym to mniej subtelnie, ale uszanuję twoje uszy, dziecinko.

– Wie pan, co przychodzi mi na myśl?

– Że tamtej nocy zabił ją i ukrył ciało w chłodni. Na pewno widziałaś zamrażalnik w ich garażu. A kilka dni temu sobie o niej przypomniał i rozmroził jak kurczaka. Wsadził do auta, podpalił i liczy, że uwierzemy, że została zabita tydzień temu. To chciałaś powiedzieć?

– Nie. Nie zabił jej. Nie popełniła też samobójstwa, jak to próbuje insynuować Macharow. Ale przyznam, pana teoria brzmi jak scenariusz całkiem przyzwoitego horroru.

– Brzmi idiotycznie, Shi. To miał być żart.

– Jeżeli tak, to dość słaby. Stać pana na lepsze. A jeśli chodzi o ten tort, to owszem, wszystko się zgadza. Obejrzałam dokładnie nagranie i Adela pojawia się na nim tylko raz, o siedemnastej. I to na krótko, bo po niecałej godzinie opuszcza dom Miriam. Czyli że jest dokładnie tak, jak zeznała podczas pierwszego przesłuchania. Od tamtej pory nikt do domu nie wchodził ani z niego nie wychodził, aż do momentu, który właśnie panu pokazałam. Może pan to sprawdzić osobiście.

– Nie ma potrzeby. Wierzę ci, dziecinko.

– Jedno jest więc pewne, że późne popołudnie i wieczór Miriam spędziła samotnie.

Nauman się zamyślił.

– Jaki więc miałyby cel, żeby zniechęcać męża do wcześniejszego powrotu? Chyba że Macharow zinterpretował jej słowa tak, by rzucić na nią fałszywe podejrzenie. Podobne insynuacje zawsze robią zamęt wokół śledztwa.

– Że niby czekała na kogoś, kto w rezultacie miałby ją skrzywdzić? Chyba wiem, do czego pan zmierza. To byłoby całkiem sprytnie posunięcie: gość sugeruje nam, że żona jest wobec niego nielojalna i że za jego plecami spotyka się z kochankiem, po czym zrzuca winę za zbrodnię właśnie na niego, na nieistniejącego mężczyznę, podczas gdy to on sam wymierza kobiecie sprawiedliwość. Stwarza przy tym pozory, jakoby podczas popełnienia morderstwa znajdował się gdzieś daleko, co ma mu dać niezbite alibi.

– To dość luźna interpretacja tego, co mogło się wydarzyć przed północą. Niemniej całkiem wiarygodna.

– Obawiam się, że... nie. To, co przed chwilą powiedziałam, nijak się ma do faktów. – Shi Lu wzięła głęboki oddech. – Kimkolwiek był człowiek w dresie, nie skrzywdził Miriam.

Nauman odkręcił się na fotelu i wbił wyczekujące spojrzenie w twarz kobiety.

– Zamieniam się w słuch.

– Po tym, jak opuścił dom, Miriam zrobiła to samo. Wyszła wkrótce po nim. Dokładnie to... – przesunęła suwak czasu na monitorze – ...niecałe pół godziny później. Na nagraniu widać, jak o dwudziestej drugiej zbiega w pośpiechu po schodach i idzie szybkim krokiem w stronę ulicy. Niesie coś, jakby torbę. Widzi pan?

– Poza torbą niewiele – mruknął Nauman. – Macharow podobno kazał sprawdzić Kochowi, czy z garderoby nie zginął żaden bagaż.

– Taka torba to nie bagaż. Wygląda bardziej na sportowy worek. Poza tym naprawdę sądzi pan, że którykolwiek mąż wie, ile toreb ma jego żona?

– Miriam do biednych nie należała. Mogła mieć ich nawet tuzin.

– A on z tego tuzina rozpoznałby może dwie, i to przy dobrych wiatrach. Więc takie sprawdzanie było czystą pokazówką. Wróćmy lepiej do nagrania.

Zapis z kamery ruszył ponownie.

– Znów widać jedynie nogi. – Nauman mlasnął z niesmakiem. – I z pewnością są to nogi kobiety. Powiadasz, że to Miriam...

– Tak sędzę. Do tego jej chód jest niespokojny. Mam nadzieję, że pan też to widzi?

– Fakt, idzie bardzo szybko. Zatrzymaj, Shi. A teraz rozjaśnij obraz. Chyba rozpoznaję te dzinsy.

– Miała je na sobie ofiara z morrisa.

– Zrób dla pewności przybliżenie na jej biodra. Tak... Widzisz te ćwieki przy kieszeniach? Wyglądają identycznie: srebrne, poprzeczne, bardzo nietypowe. Zwykle przy kieszeniach wbija się małe okrągłe. Buty też wyglądają znajomo.

– Białe tenisówki.

– Więc wyszła sama, bez żadnego przymusu, i już nie wróciła?

Shi kiwnęła głową.

– Na to wygląda.

– To zmienia nam cały obraz sytuacji.

– Przez kolejne półtorej godziny nic się nie dzieje. Dopiero kwadrans przed północą pod dom Macharowów podjeżdża srebrne audi. – Shi Lu przesunęła kadry.

– Wspomniany doktor Koch – stwierdził Nauman. – To jego auto?

– Jego.

– Mam wrażenie, Shi, że to jedyne, co się nam zgadza, poza wizytą Adeli. Pokaż go. Taaa, to na pewno Koch... – Nauman zapatrzył się w monitor. – Którą mamy wtedy na zegarze?

– Dokładnie dwudziestą trzecią czterdzieści trzy.

– A radiowóz wjeżdża na Rukoli równo o północy... Pokaż mi jeszcze, dziecinko, moment, w którym Macharow oficjalnie wraca z delegacji.

Sprawny ruch palców Shi Lu po raz enty przesunął nagranie.

– Jest dziesięć minut po północy, kiedy parkuje lexusa przed garażem. Jak pan widzi, ma na sobie spodnie od oficjalnego ubrania. Wygląda na to, że od smokingu. Buty też ma wyjściowe. Niesie ze sobą kwiaty. I... rzuca je gdzieś na bok. Według mnie to klasyczne zachowanie, kiedy pod domem widzi się patrol. Nikt wtedy nie myśli o kwiatkach i chce się ich pozbyć, żeby nie przeszkadzały. – Shi zatrzymała nagranie. – Chce pan poznać moją prywatną wersję wydarzeń? Uprzedzam, że różni się od tej z nieistniejącym kochankiem i rozmrażaniem zwłok.

– Prywatną, mówisz. Umieram z ciekawości.

Shi Lu odgięła się na fotelu.

– Wiemy już, że Miriam Macharow nie została uprowadzona.

- Nic na to nie wskazuje – przytaknął Nauman.
- I że to ona wybiegła z domu w pośpiechu wkrótce po tym, jak odwiedził ją podejrzany typ w dresach.
- Bez dwóch zdań.
- Założmy więc, że dresiarz zjawia się na Rukoli, bo chce o czymś z Miriam pogadać. Ta go wpuszcza. Niestety, z nagrań nie wynika, czy robi to od razu, bo go zna, czy też stoją przez chwilę na zewnątrz, bo Miriam musi najpierw poznać powód tej wizyty. Niemniej człowiek w dresie wchodzi do środka. Przez kilka minut dyskutują i nawet jest przyjemnie, ale nagle sytuacja się zmienia. Spokojna rozmowa wymyka się spod kontroli i albo zamienia w pyskówkę, albo dzieje się coś, co wyprowadza Miriam z równowagi.
- Mogło tak być.
- Dresiarz wychodzi. Miriam co prawda zostaje, ale jest na tyle wzburzona, że nie może usiedzieć w miejscu i również postanawia się stamtąd ulotnić.
- Typowy odruch. Mów dalej.
- Wrzuca do torby kilka swoich drobiazgów i wybiega w nerwach z domu. Zamierza wszystko sobie przemyśleć i nabrać dystansu do tego, co się właśnie wydarzyło. Wyłącza przy tym telefon. Nie chce, żeby ten typ znowu zaczął ją dręczyć, bo tego właśnie się po nim spodziewa. Jedyne, czego jej trzeba, to święty spokój. Przypominam, że mniej więcej w tym czasie wieża przestała odbierać sygnał z jej komórki.
- To by się zgadzało. Kontynuuj.
- Chce się gdzieś zaszyć. Na przykład w hotelu.
- Stać ją na najlepszy.
- Bez dwóch zdań. Nie użyje jednak swojej karty kredytowej, a nie robi tego z prostego powodu: ma wystarczającą ilość gotówki, a poza tym nie chce, by ktoś ją namierzył.
- Zauważ, że nie bierze morrisa, auto wciąż pozostaje w garażu.
- Od czego są taksówki, zwłaszcza gdy jest się w nerwach? Może to i lepiej, że nie usiadła za kierownicą. – Shi Lu po raz ostatni przesunęła kadry w nagraniu. – Jak mówiłam, lewa strona ulicy kończy się zaraz za domem pani Kunik. Nagranie pokazuje, że po wyjściu za furtkę Miriam kieruje kroki właśnie w lewo.
- Jaka jest szansa, że pobiegła do niej?

– Według mnie żadna. Nie sędzę, żeby znały się na tyle, by Miriam miała szukać u niej pocieszenia. Z tego, co wyczułam, była dla pani Kunik całkiem obcą osobą. Poza tym kamera by to pokazała.

– Jaki z tego wniosek?

– Pierwotnie myślałam, że idąc w lewo, Miriam dotrze do głównej ulicy, gdzie będzie czekała na nią taksówka. To miałoby sens, gdyby zamierzała schronić się na noc w jakimś wynajętym pokoju. Tylko że tu sprawa się komplikuje.

– Chodzi o ten wyłączony telefon?

– Widzę, że pan nadąza. Tak, o telefon. Nie znam nikogo, kto by to zrobił, czekając na taxi. To nielogiczne. Powinna zablokować typa, ale pozostawić sobie możliwość kontaktu z taksówkarzem.

– Pozostaje więc tylko jedna możliwość. – Nauman skrzyżował ręce na piersiach.

– W rzeczy samej, tylko jedna. Że Miriam nigdzie nie odjechała.

– A jedynie przeszła na drugą stronę ulicy.

– Gdzie znajduje się dom Adeli.

Śledczy pokiwał głową.

– W końcu nikt tak dobrze nie potrafi otrzeć łez jak rodzona siostra.

Shi Lu schyliła się i wyjęła ze swojej torby butelkę z jogurtem. Odkręciła korek i przyssała się do ciepłej mazi.

– Od południa jadę na pustym baku – wyjaśniła, przełykając pierwszy haust. – Z tego głodu zaczynam mieć mroczki przed oczami.

– Pij, dziecinko. A co do Adeli, bardzo mnie zawiodła.

– Raczej: klasycznie zrobiła pana w konia – stwierdziła Shi, odrywając usta od butelki. – Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy zadzwoniła i powiedziała, że nie stawi się w niedzielę. Czego to niby miała atak, bólu głowy?

– Podobno od dawna choruje. Spodziewam się, że wkrótce osobiście mi to wyjaśni. Umówiłaś ją na jutro, jak prosiłem?

– Stawi się z samego rana. Pomyślałam, że ósma będzie w sam raz.

– Doskonale. Już za kilka godzin dowiem się, dlaczego i ona kłamała.

– A ja chcę przy tym być. Zamierzam usłyszeć nieco więcej na temat tej paraliżującej choroby. Choć nie to interesuje mnie najbardziej. – Zauważyła, że na twarzy Naumana pojawił się czujny uśmiech. – Mam powiedzieć czy już pan wie, o co mi chodzi?

Powstrzymał ją szybkim ruchem ręki.

- Pozwól, że strzelę.
- Och, z przyjemnością. Daję dwie dychy, że pan nie zgadnie. No więc?
- Pytanie, jakie cię nurtuje, brzmi...
- Ależ pan przeciąga.
- Postaram się to ująć najtrafniej, jak tylko się da. Zatem: czy tamtej nocy Miriam pobiegła do Adeli, żeby się jej wypłakać, czy żeby zażądać wyjaśnień?
- Hmm... – Shi się zamyśliła. – Nie wiem, czy mogę to uznać. Ale jest nieźle.
- Dobrze wiesz, o czym mówię. Mogła w niej widzieć albo przyjaciółkę, albo śmiertelnego wroga.
- Jeszcze lepiej.
- Może ich siostrzana miłość nie była do końca tak czysta, jak nam się dotąd wydawało. Po tym, co usłyszała od gościa w dresach, mogła się porządnie wkurzyć. Na niego, na nią i... na nich razem.
- Shi ponownie sięgnęła do torby. Tym razem wyjęła z niej portfel, a z niego dziesięciozłotowy banknot.
- Więcej nie mam. Z reszty wypłacę się jutro. Przygotowałam dla pana specjalną atrakcję.
- Nauman schował pieniądze do kieszeni marynarki.
- Mam nadzieję, że mi się spodoba.
- Jest warta o wiele więcej niż brakująca dycha. Pokażę ją panu tuż przed spotkaniem z Adelą Biernacką.
- Biernacka... Nie mogę się doczekać jej wersji wydarzeń – powiedział Nauman już zupełnie poważnie. – Mówisz, że kiedy byliście w kostnicy, zdecydowanie zaprzeczyła, iż okazywane zwłoki należą do jej siostry?
- Nie inaczej. Mnie też to zastanowiło. Zwłaszcza że niemal nie spojrzała na ciało. Zachowywała się, jakby doskonale wiedziała, że to nie może być Miriam. Ewidentnie nie chciała tam być. Opuściła salę pod pretekstem zasłabnięcia i więcej tam nie wróciła.
- Fascynujące. Muszę się nad tym wszystkim spokojnie zastanowić.
- Rozumiem, że mam się stąd wynieść i zostawić pana samego?
- Będę wdzięczny.
- Shi Lu dźwignęła się z fotela.
- Dochodzi pierwsza w nocy. Powinien pan wrócić do domu i porządnie się wyspać. Pamiętaj pan, co mówiłam: prysznic, mydło, świeże ciuchy?
- Nauman wyjął z szuflady pęk kluczy i położył je na biurku.

– Przywieź mi coś czystego na kark. Znasz adres.

– Znam – westchnęła Shi Lu z rezygnacją. Podniosła klucze i podrzuciła je w dłoni. – To wszystko?

– Wszystko. Chociaż...

– Tak?

– Dlaczego powiedziałaś, że Miriam miałyby popełnić samobójstwo?

Kobieta zdjęła z oparcia krzesła swoją służbową marynarkę i przewiesiła ją sobie przez ramię.

– Oglądał pan ostatnie *Gdziekolwiek jesteś?* – zapytała, wyglądając jednocześnie materiał uniformu.

Odpowiedzią było kręcenie głową.

– To nowa teoria jej męża – wyjaśniła. – Zaczął przebąkiwać w telewizji, że sama się zabiła.

– W życiu nie słyszałem podobnego absurdu.

– Podobno ciężko przeżyła jakąś rodzinną sytuację.

– Mówił jaką?

– Na ten temat się nie zająknął. Ale na dobrą sprawę, gdyby Miriam naprawdę chciała to zrobić, miała taką możliwość. Facet ma dostęp do różnych leków, a ona... Coś się panu stało?

Nauman siedział, wpatrując się w nią, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

– Zrób coś dla mnie, Shi – odezwał się po chwili. – Pogrzeb trochę...

– Tu i tam? – zgadła. „Tu i tam” było jednoznaczne z siedzeniem przy komputerze i telefonie do rana.

– Wszędzie, gdzie to tylko możliwe. Idź do siebie i czekaj, aż podeślę ci listę miejsc, do których masz zadzwonić. Chcę wiedzieć, co to była za tragedia, która tak bardzo mogła dotknąć Miriam.

– Zobaczę, co da się zrobić. A co z czystym ubraniem?

Nauman wyciągnął rękę, żądając zwrotu kluczy.

– Zawracanie głowy... A teraz idź już. Muszę pomyśleć.

Wstał z fotela i podszedł do okna. Podciągnął żaluzje i pocierając palcami brodę, zapatrzył się w ciemność miasta.

KONRAD

Od mojego wyjścia ze studia minęły dwie godziny. To wystarczający czas na to, by dotrzeć do starej fabryki w Ursusie i miejsca, w którym spłonął morris mini.

Teren tonie w ciemności i poza pojedynczymi światłami świec lub latarek, jakie błyskają z różnych zakątków dawnego zakładu, nie widać tu nic. Świecę sobie pod nogi telefonem i kieruję się w stronę największej z hal. Pod moimi stopami chrzęści potłuczone szkło i drobne kamienie.

– Kto idzie? – słyszę męski głos. Dochodzi od strony ceglanego hangaru.
– Mów, ktoś ty! Hej, jełopie, słyszysz, co do ciebie mówię? Stój!

Przystaję, bo nie chcę kłopotów. Z tego, co mi wiadomo, kilka porzuconych magazynów zamieszkują bezdomni i grupki zbuntowanej młodzieży potrzebującej drobnych na swoje zabawki. Przyda im się więc wszystko: od kluczyków do auta po zegarek. Szybko dochodzę do wniosku, że lepiej się takim nie stawiać.

Chłopak ewidentnie nie wzbudza mojego zaufania. Wygląda na niewiele ponad dwadzieścia lat i jest wyrosnięty na dwa metry. Nosi dżinsową kurtkę narzuconą na nagi tors, a na tyłku ma wytarte portki. W wyciągniętej w moim kierunku ręce trzyma płonąca zapalniczkę, żeby oświetlić mi twarz.

– Chcę się tylko rozejrzeć – mówię, odsuwając się od ognia.
– Czyli że spacerowicz.
– Lubię pospacerować przed snem.
– Tam dalej jest park. – Chłopak wskazuje brodą na coś, co podobno znajduje się za moimi plecami. – W sam raz na przechadzkę. Ale tu nie wolno.

Kapituluję. Wiem, że jeśli będę się stawiać, jednym gwizdnięciem ściągnie resztę swoich ziomków.

– Posłuchaj, młody. Kilka dni temu znaleziono tu moją żonę.
Drażał wykrzywia z niesmakiem usta.
– Tego trupa?

– Tak. Byłeś przy tym?

– Może i byłem. To zależy.

Nie chce mi się tracić czasu. Wyjmuję portfel i wyciągam z niego pięć dych.

– Pokaż, gdzie to się stało.

– To duży teren, a ja po ciemku słabo widzę.

Dokładam drugą pięćdziesiątkę.

– Lepiej?

– Może trafię. Chodź.

Idę za nim jakieś sto metrów. Kluczemy pomiędzy poczerniałymi budynkami w smrodzie, jaki dolatuje z zapuszczonych hal i kilku dzikich śmietnisk.

– Nie radzę kręcić się tu w pojedynkę – mówi chłopak, nie oglądając się na mnie. – To nasz teren. Wpuszczam cię, gościu, tylko dlatego, że mam dziś dobry humor.

Nie płonę z ciekawości, ale młody ma najwyraźniej fazę na gadanie.

– Ojcem zostanę – mówi z dumą.

– Gratuluję.

– No, kurde, raczej!

Skręcamy za kolejny budynek. Ma powybijane okna i osmolone ściany.

– To było tam, gdzie ta banderola – twierdzi chłopak i wskazuje popękany betonowany plac, zarośnięty do połowy chwastami i okolony policyjną taśmą.

Podchodzę bliżej i staję nad plamą o bliżej nieokreślonym kolorze.

– Byłeś tu, kiedy to się stało? – pytam ponownie.

– Mówiłem już, że nie pamiętam.

– Za młody jesteś na sklerozę.

– A jednak.

Sięgam po kolejny banknot.

– Masz, będziesz miał na lekarstwa.

Chłopak chucha w papierek, po czym chowa go do kieszeni kurtki.

– Jarała się jak skwarka. Zrobiła straszny smród.

– Widziałeś coś jeszcze?

– Nie było czasu. Szybko pojawiła się straż i gliny. Musieliśmy zwinąć majdan.

– A wcześniej?

– Czyli że przed glinami?

– Przed glinami.

– To też nie. Kiedy poczułem smród, nikogo nie było na placu. Tylko ten morris się pojawił. Ale za to coś słyszałem.

– Mów.

– Ktoś tu był, tam dalej. – Chłopak obrócił się w kierunku, z którego nadeszliśmy. – Słyszałem samochód.

– Jesteś pewien?

– Przyjrzyj się, gościu, na czym my stoimy. Może gdyby zamiast szkieł i kamieni leżał tu perski dywan, to nic bym nie usłyszał. Ale na tym śmietniku niesie się każdy odgłos spod buta, a co dopiero spod ciężkiego auta.

– Skąd wiesz, że było ciężkie?

Chłopak uśmiecha się, pokazując pożółkłe od papierosów zęby.

– No na pewno nie było to cinquecento ani nic w stylu tego mini. To musiał być solidny wóz na grubych oponach. Mercedes albo coś w tym stylu. Robił za dużo hałasu. Ty czym tu przyjechałeś?

– Lexusem.

– Mhm, lexus też mógł być.

– Ale nie był.

– Spokojnie, koleś, ja niczego nie sugeruję. Mówię tylko, że grube opony dobrze słyszą. Dlatego ciebie też usłyszałem. Więc mówisz, że to żona. Lubieś ją czy nie bardzo?

– Bardzo ją lubiłem, może być?

Chłopak wzrusza ramionami. Wyjmuje z portek paczkę fajek bez filtra i przypala papierosa zapalniczką. W świetle płomienia widzę, że ma rozszerzone źrenice.

– Moja panna jest w ciąży, mówiłem?

– Mówiłeś.

– Zajebicie, co?

Jego chude ramiona drżą nieskoordynowanie pod dżinsową kataną. Nie znam jego panny, ale to, co widzę, wystarczy, żebym już zaczął współczuć jej i ich przyszłemu dziecku.

– Często przychodzisz pod tę halę? – zagaduję.

– Tylko wtedy, jak chce mi się lać. To szczalnia. W niej nikt nie chce mieszkać, bo kiedy pada, wszystko leci na łeb. Więc wszyscy tu leją.

– A tamtego dnia jak często lałeś? Pytam, bo chcę wiedzieć, od jak dawna stał tu morris. Widziałeś go wcześniej, zanim pojawił się ten duży wóz z dużymi oponami?

– Rano go jeszcze nie było. Musiał stanąć tu zaraz po zachodzie słońca. Wtedy odprawiamy hippie.

– Hippie?

– Tańce, człowieku. Przy muzyce. Więc nie słyszałem, jak morris zaparkował pod szczalnią. Dopiero jak wyszedłem się odlać...

– Zrozumiałem. Dzięki, młody.

Odwracam się i kieruję ku wyjściu z zakładu. Mam nogi jak z gumy, a w głowie kołacze mi się tylko jedno: koniec z historyjką o samobójstwie. Jest świadek, który widział, że w dniu, kiedy spłonął morris, był tu ktoś trzeci. Chłopak nie wygląda co prawda na wyjątkowo bystrego, ale gdybym był gliną, uwierzyłbym w to, co mówi. Zwłaszcza że jego słowa może poprzeć cała zgraja kumpli.

– Zaczekaj, gościu! – słyszę wołanie za plecami.

Przystaję i patrzę na chudzielca. Podchodzi do mnie z szerokim uśmiechem na ustach.

– Mam dziś święto.

– Tak, dziecko.

– Ty masz dzieci?

– Nie.

– I do tego straciłeś kobietę, którą lubiłeś. Więc jak by nie patrzeć, masz przejebane. Dobra, do rzeczy. Trzymaj.

Chłopak odpina guzik w górnej kieszeni swojej dżinsowej kurtki i po chwili wyjmuje z niej coś, co kładzie mi na dłoni.

– Kiedy zobaczyłem ten pożar, pomyślałem, że to oklepany numer na wydębienie forszy z ubezpieczenia. Ogień dopiero co się tlił, więc zajrzałem do środka. Chciałem uratować, co tylko się da, zanim środek całkiem się zjara. Ludzie potrafią zostawić w samochodach takie cacka, że każdy paser weźmie je z pocałowaniem ręki. Ale kiedy podszedłem, zobaczyłem trupa kobiety. Trzymała ręce na kierownicy. I wtedy zobaczyłem to. Zdjąłem i schowałem. Mojej pannie tego przecież nie dam, a do pasera też jakoś z tym nie za bardzo... Powinna wrócić do ciebie.

Dryblas klepie mnie przyjacielsko po ramieniu, po czym odchodzi w kierunku jednej z hal.

Stoję pośrodku potłuczonych szkieł i patrzę na połyskującą złotem ślubną obrączkę Miriam. Ma mały diament, który kazałem wtłoczyć na zamówienie.

Więc miała ją na palcu aż do końca.

Wracam do auta i włączam silnik. Wkładam obrączkę do kieszeni marynarki i czuję w niej dwa świstki papieru.

Powinienem to wreszcie zrobić. Najwyższy czas, by odezwać się do kobiet, które zatelefonowały do *Gdziekolwiek jesteś*.

Ruszam spod fabryki, zostawiając za sobą plac ze zdemolowanymi magazynami, i wjeżdżam na ulicę. Po prawej stronie widzę ciemną plamę miejskiego parku, o którym mówił młody. Zatrzymuję samochód na chodniku i już po chwili idę alejkami w głąb zieleńca oświetlonego przez kilka latarni. Otaczają skwer z nieczynną o tej porze dnia fontanną i krzakami fioletowych rododendronów. Siadam na ławce i drogą szybkiego losowania wybieram jedną z kartek z zapisanymi numerami telefonów.

W głębi duszy nie spodziewam się po tej rozmowie zbyt wiele. Przeczucie mówi mi, że usłyszę historię o tym, że znajomy znajomego widział, jak za autem Miriam jechał tamtej nocy jakiś podejrzany typ. Jest też opcja, że nikt nie odbierze połączenia, bo telefon do studia był głupim żartem wykreconym przez jakąś małolatę. Kto zna zabawę w „zakręć kołem i wylosuj zadanie, a dostaniesz za nie darmowego shota”, ten wie, o co chodzi.

Po trzecim sygnale ktoś się jednak odzywa. Zdecydowanie nie jest to głos podlotka z „zakręć kołem”, lecz głos dorosłej kobiety.

– Moje nazwisko Macharow – mówię, po czym zupełnie bez sensu dodaję: – Doktor Macharow.

Brzmi to tak pretensjonalnie, że aż sam się krzywię z zażenowania.

Kobieta woli się nie przedstawiać, co od razu zaznacza. Chce pozostać anonimowa, nie podaje nawet swojego imienia. Po chwili mówi coś jeszcze, ale mam wrażenie, że tym razem nie do mnie. Na dodatek jej głos grzęźnie w hałasie dochodzącym z głębi mieszkania. Słyszę jakby marudzenie dziecka pomieszane z szuraniem. Kobieta ucisza dziecko, po czym wraca do rozmowy.

– Miałam nadzieję, że pan zadzwoni. Gdyby pan tego nie zrobił, popełniłby pan wielki błąd.

Z miejsca nadaję jej ksywę Pani Troskliwa. Z góry wie, co jest dla mnie dobre, a co nie.

– Dlaczego nie chciała pani rozmawiać z policją? – Delikatnie zmieniam kierunek rozmowy. Zanim usłyszę to, co ma mi do powiedzenia, chcę, by podała przyczynę, dla której tak bardzo nalegała, by ta rozmowa odbyła się tylko między nami. Obstawiam jeden powód, dość oczywisty: kto nie chciałby darmowej forsy, jaką obiecałem w programie.

– Z przyczyn osobistych – odpowiada. – Nie zrozumie pan, to zbyt skomplikowane.

Jej głos znów zanika. Jakby odłożyła telefon i zajęła się czymś innym. Ponownie słyszę dziecko. Dzieciak marudzi, najwyraźniej obudzony dzwonkiem telefonu. Nie mam wyrzutów sumienia. Nie mogłem wiedzieć, że ma w domu niemowlaka.

– Przepraszam, musiałam... Nieważne. Więc co do pańskiej żony, ona nie żyje, prawda?

– Tak.

– Bardzo mi przykro.

Ton jej głosu mówi co innego.

– Miałam nadzieję, że odnajdzie się cała i zdrowa. Taka strata musi bardzo boleć. Być może bolałaby mniej, gdyby pan wiedział, kim tak naprawdę była.

– O czym pani mówi?

– Raczej o kim. O niej, o Miriam. I o tym, co się działo za pana plecami.

Wyczuwam gorycz w jej głosie. Nie wiem, co Miriam jej zawiniła i czy w ogóle się znały. Gdyby tak było, z pewnością skojarzyłbym tę kobietę. Miriam nie miała przede mną tajemnic, więc przyjaciółkę z dzieckiem bez wątpienia bym zapamiętał. Dla pewności włączam w głowie tryb szybkiego przeszukiwania informacji. Jednak nie, nie było takiej. Zatem w tym momencie powinienem już się rozłączyć i nie marnować czasu na historie wyssane z palca.

– Kim pani jest i czego ode mnie chce? – pytam tonem na tyle szorstkim, że kobieta po drugiej stronie milknie na dłuższą chwilę. Teraz to ona zastanawia się, czy brnąć w tę dyskusję dalej.

– Mówiłam już, że nie podam swojego nazwiska. Za to chętnie podzielę się tym, co wiem na temat pańskiej żony.

– Umieram z ciekawości.

– Powinien pan. Miriam miała drugie życie. Dość bujne. Pan, zdaje się, o tym nie wiedział. Nie wiedział pan, z kim mieszka pod jednym dachem.

Co za bzdura. Miriam była uczciwą i prostolinijną dziewczyną, a tylko od czasu do czasu wpadało jej do głowy coś szalonego. Jak na przykład przekraczanie barierki na moście Siekierkowskim i trzymanie się jej jedną ręką, by nie spaść do Wisły. Ale to było kiedyś. Z tego, co mówiła, miała wtedy szesnaście lat. Kto w tym wieku nie eksperymentuje?

– Po co mi to pani mówi?

– Bo mi pana szkoda. Tęskni pan za nią i myśli, że stracił kogoś, dla kogo był pan ważny.

Pani Troskliwa znowu wie lepiej ode mnie, co czuję i myślę.

– Chcę tylko powiedzieć, że nie warto. Jest pewien typ ludzi, których nie obchodzą uczucia innych i którzy nastawiają radary na siebie, mając całą resztę w głębokim poważaniu. Nie, nie oceniam pańskiej żony, ocenę zostawiam panu.

– Nadal nie wiem, do czego pani zmierza.

– Oczywiście, że pan wie... – Nuta drwiny aż kłuje mnie w uszy. – A przynajmniej już się pan domyśla. Ale żeby nie było niedomówień, postawię sprawę jasno. Miriam, zanim jeszcze za pana wyszła, utrzymywała zażyłe relacje z pewnym mężczyzną. Znali się od dawna, to stara sprawa. Zwykle po ślubie zrywa się podobne znajomości, ale podejrzewam, że oni tego nie zrobili. Prawdę mówiąc, jestem tego pewna.

Znów słyszę szum. Ale tym razem to nie jest ani dziecko w tle, ani odgłos wydawany przez jakiegokolwiek urządzenie. Szum pochodzi ze środka mojej głowy.

– Skąd pani to wie?

– To informacje z pierwszej ręki.

– Od niego? Niby od tego mężczyzny?

Słyszę ciche westchnienie.

– Pan mi nie wierzy.

– Ani trochę. To bzdura.

– Szkoda. Bo to przez niego zginęła. Zaufała mu i źle na tym wyszła. Proszę posłuchać, co mam panu do powiedzenia.

Powinienem się czuć jak nagi człowiek stojący pośrodku wielkiego placu i wystawiony na publiczne pośmiewisko, ale tak nie jest. Nie zalewa mnie fala upokorzenia. Moje ego nie wyje. To, co we mnie kipi, to gniew.

– Cokolwiek usłyszę, dziękuję, że nie opowiedziała pani o tym publicznie.

– Naturalnie. Dobrze wiem, kim pan jest. Mogłoby na tym ucierpieć pańskie dobre imię, tylko co by to dobrego dało? Nie szukam taniej sensacji, a wywoływanie skandali jakoś mnie nie cieszy.

– Tym bardziej jestem wdzięczny.

Dodaję, że interesują mnie jedynie twarde dowody i teorie, które można potwierdzić. Jeśli rzeczywiście jest tak, jak mówi ta kobieta, to tylko w ten

sposób uda mi się przekonać policję, że to nie ja stoję za śmiercią Miriam. Podejrzenia skierowane w moją stronę cholernie mnie irytują.

– Mam kilka zdjęć skopiowanych z jego laptopa – słyszę w telefonie. – Są na nich we dwoje.

Mało. O wiele za mało, żeby go o cokolwiek posądzić.

– Chce pan usłyszeć, kim jest ten człowiek? Jak powiedziałam, może mieć wiele wspólnego z tym, co przytrafiło się pańskiej żonie.

Naprawdę wyjmuję z kieszeni marynarki długopis. Przytrzymuję komórkę ramieniem, dociskając ją do ucha, i już jestem gotów do pisania.

– Proszę mówić.

Kobieta podaje mi nazwisko. W chwili gdy je słyszę, odrywam długopis od kartki i chowam go z powrotem do kieszeni. Nie muszę zapamiętywać tego imienia. Znam je. Usłyszałem o Florianie rok po naszym ślubie. Tamtego dnia Miriam zamelinowała się z telefonem w altanie. Mówiła półszepcetem, ale na tyle głośno, że usłyszałem ich rozmowę. To był czysty przypadek, bo nigdy jej świadomie nie podsłuchiwałem. Była zapewne przekonana, że wyjechałem już do kliniki, i przez to straciła czujność. Przyłapana, tłumaczyła się potem, że ma z tym gościem kilka niedomkniętych spraw, jeszcze z czasów pracy w teatrze. Mówiła prawdę. Słyszałem, jak się śmiała, kiedy opowiadała mu o projektowanych ubraniach dla pacynek czy lalek. Nie miałem powodu, by jej nie wierzyć. Czy kontaktowała się z nim przez kolejne miesiące i lata, tego nie wiem. W moich oczach była najuczciwszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem. Dlatego nigdy więcej nie wróciliśmy do tematu Floriana.

– Miał na jej punkcie obsesję – mówi dalej kobieta. – Całe jego życie kręciło się wokół Miriam. Ale w pewnym momencie taka zwykła zażyłość przestała mu już wystarczać. Wplątał się w coś, co nie mogło się dobrze skończyć, a potem wciągnął w to pańską żonę. Jak pan wie, czasem wystarczy zrobić o jeden krok za daleko, żeby doszło do tragedii.

– Jest pani pewna, że maczał palce w śmierci Miriam?

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Tych samych sztuczek próbował ze mną, tylko że ja okazałam się mądrzejsza.

– Jeśli ma pani na to dowody, dobrze zapłacę.

Kobieta nie chce pieniędzy. Mówi, że nie po to dzwoni. Nie wspomina jednak nic o chęci pomocy stroskanemu wdowcowi ani o współczuciu z powodu śmierci jego żony. Ma własne powody, żeby dokopać Florianowi, i nie zamierza się z nich tłumaczyć. Nic mi do tego, nie zamierzam w to

wnikać. Ważne, że podobnie jak ja chce zetrzeć tego typa na miazgę. Po tym, w jaki sposób o nim opowiada, wiem, że bardzo jej na tym zależy, więc najprawdopodobniej znalazłem to, czego szukałem.

– Powiem panu wszystko, co wiem. Ale zaznaczam, że to, co pan usłyszy, może pana mocno zdziwić.

– Zapewniam panią, że mnie nic już nie zdziwi. Przejdźmy do rzeczy.

– Doskonale. Więc niech pan słucha mnie uważnie. Słyszał pan może o Grze?

NATALIA

Mówię mu, co wiem o tych cotygodniowych porannych telefonach i o Grze, w którą Florian wkręcił Miriam. Mnie też próbował w nią wciągnąć, ale szybko zrezygnował. Byłam wtedy w piątym miesiącu ciąży, o której nie zamierzałam go wcześniej informować, choćby dlatego, że przez kilka poprzednich tygodni mieliśmy ze sobą na pieńku. Ale teraz już musiałam. Gdy tylko o tym usłyszał, od razu zmienił front. Doszedł do wniosku, że ryzyko jest zbyt duże. Nie chodziło mu, oczywiście, o to, że to mnie stanie się jakaś krzywda. Gdyby nie nasz dojrzewający w moim brzuchu syn, prawdopodobnie spotkałoby mnie to, co spotkało Miriam. Zreflektował się wtedy natychmiast i próbował obrócić wszystko w żart, ale mnie nie było do śmiechu. Nawet gdy nie miałam jeszcze pojęcia o skutkach tej zabawy. Jednak zanim do tego doszło, zanim Florian usłyszał o ciąży, zdążył mi co nieco o Grze powiedzieć.

Wyglądało to tak, że zahaczył mnie akurat w chwili, gdy przeszukiwałam internet w poszukiwaniu informacji o skurczach Braxtona-Hicksa, i zagaił, czy nie miałabym ochoty na coś ekscentrycznego.

– Na przykład ogolić się na łyso? – zapytałam i puściłam do niego oko. Tamtego dnia po raz pierwszy poczułam, jak w moim brzuchu poruszyło się nasze dziecko, więc miałam wyjątkowo dobry humor. – Jakoś nie bardzo.

Wróciłam do czytania, ale znów mi przerwał. Odebrał mi laptopa i nie zaglądając do treści o skurczach, zamknął monitor.

– Chodzi mi raczej o dołączenie do pewnego klubu.

– Klubu?

– To by nam pomogło się do siebie zbliżyć.

Pomyślałam, że to miłe i że wreszcie zaczyna się między nami układać tak, jak tego od zawsze chciałam.

– Masz na myśli klub tanga? – zapytałam, bo to było kolejne moje marzenie. – Nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciała. Odkąd pamiętam, pragnęłam nauczyć się tańczyć, ale... to musi poczekać.

Położyłam znacząco dłoń na brzuchu, ale Florian zupełnie tego nie zarejestrował.

– Nie chodzi o taniec. To, o czym mówię, działa na zasadzie tontyny – powiedział przyciszonym głosem. Nie wiem dlaczego, bo w mieszkaniu byliśmy zupełnie sami. – Nie do końca legalny zakład, w którym można dużo zyskać.

– Pieniądze? – zapytałam zaskoczona.

– Ogromne. Ale można też wiele stracić.

Rzadko widywałam go tak podnieconego. Miał policzki purpurowe z ekscytacji.

Niewiele wiedziałam o zasadach działania tontyny. Kiedyś to słowo obilo się mi o uszy, chodziło o coś na kształt piramidy finansowej. Rzecz zupełnie nie w moim stylu. Powiedziałabym, że wręcz obrzydliwa, bo z gruntu nieuczciwa.

– Wystarczy wykonać trzy zadania, by sięgnąć po główną wygraną – wyjaśnił mi Florian. – Za dwa pierwsze, dziecinnie proste, wpada najpierw pięć, a potem dwadzieścia tysięcy.

– Które najpierw trzeba zabrać innym – dopowiedziałam bez ogródek.

Kiwnął głową.

– Takie są zasady. Trzeba wpłacić frycowe i czekać na swoją kolej.

– Ilu jest graczy? – spytałam.

– Dziesięciu, stu... Tego nikt nie wie.

– Nikt?

– Poza tym, który jest u steru.

– Czyli?

– Nikt go nie zna. Nie osobiście.

Zachciało mi się śmiać.

– Serio? Co za błazenada!

Florian nawet się nie uśmiechnął. Moja uwaga go zirytowała, przez co miły nastrój natychmiast prysł. Mimo to spróbowałam go uratować.

– Dobrze więc – powiedziałam już całkiem poważnie. – Założmy, że dwa pierwsze zadania zostaną wykonane i zgarnie się trochę grosza. Co dostaje się za wykonanie ostatniego?

Milczał przez dłuższą chwilę. Czekałam, aż powie, że główna wygrana to dom na karaibskiej wyspie i renta płatna w wysokości miliona złotych rocznie, ale się nie doczekałam. Nie takiej odpowiedzi, na jaką liczyłam.

– Sto tysięcy.

– I to mają być te ogromne pieniądze? Spodziewałam się fajerwerków, a nie kapiszonów.

– I życie – dodał po chwili. – Główną stawką w Grze może być życie.

Do dziś pamiętam, jak po plecach przeszedł mi dreszcz. Nie chciałam wiedzieć niczego więcej. Nie chciałam słyszeć ani jednego słowa o tym, jakie zadania się dostaje ani o czyje życie chodzi.

– Można dużo zyskać, ale i dużo stracić. – Florian nie zamierzał ustępować. – Zastanów się.

– Miałabym zabić kogoś dla pieniędzy?

– To się rzadko zdarza, ale kategorie zadań mogą być różne.

– Ty to mówisz na poważnie? Zaczekaj... A jeśli tego nie zrobię, to...

Zacisnął usta.

– To wtedy zginę ja – domyśliłam się natychmiast. – Na tym polega ta zabawa, prawda?

– To byłaby ostateczność. Ale nigdy nie wiadomo, jakie zadanie przypadnie uczestnikowi. Gra to loteria. Może trafić się coś prostego, ale może być i tak, że...

– Lepiej nic już nie mów.

– Prześpij się z tym i jutro wrócimy do tematu.

W tamtym momencie powiedziałam mu o dziecku. Pobladł i przez dłuższą chwilę przetrawiał to, co właśnie usłyszał.

– Na pewno? – odezwał się w końcu. – Jesteś pewna, że to moje?

Wtedy przeklęłam go po raz pierwszy.

Kolejny raz zrobiłam to, gdy dowiedziałam się, że Miriam wciąż jest w jego życiu. Miałam nadzieję, że po tym, jak wyprowadziliśmy się z Warszawy, przestał się z nią kontaktować. W końcu sam tego chciał. Jak się okazało, na krótko. Nie zrezygnował z niej nawet wtedy, gdy urodziłam naszego syna. Skąd o tym wiedziałam? Wystarczyło, by pewnego dnia przyniósł kilka rysunków wykonanych przez Miriam. Miały zawisnąć w pokoju Krzysia jako wesołe ściennie dekoracje. Na każdym z nich widniał podpis „Dobra Wróżka M.". Musiał dostać je bezpośrednio od dobrej wróżki, a to znaczyło, że regularnie spotykali się w swoim zaczarowanym ogrodzie. Nie muszę chyba tłumaczyć, dlaczego żaden z obrazków nie znalazł miejsca w dziecięcym pokoju. Zniszczyłam je wszystkie i wyrzuciłam tam, gdzie ich miejsce – do kosza na śmieci.

Już wtedy bardzo chciałam, by wraz z nimi i Miriam zniknęła na zawsze.

Ona i on. Duet, który zniszczył mi życie.

Mówię mężowi Miriam, co wiem o Grze, ale o tym, co łączyło mnie z Florianem, nie chcę opowiadać. Nie wspominam też o nienawiści, jaką czułam do dobrej wróżki. Pewne sprawy lepiej jest zachować dla siebie, zwłaszcza jeśli mogą sprowadzić nam na głowę kłopoty. Jednak to, co ode mnie usłyszał, wystarczy, by zaczął działać.

KONRAD

Nie wierzę, że Miriam dobrowolnie dała się wciągnąć w tontynę. Ludzie potrafią zrobić wiele głupich rzeczy dla pieniędzy, ale akurat jej forsy nie brakowało. Na nic jej nie żałowałem, więc nie miała powodu, dla którego warto byłoby aż tak ryzykować. Co innego, gdyby ktoś ją omał i zapomniał uświadomić, jak wielkie może ponieść ryzyko. Co innego, gdyby zrobiła to pod przymusem. Wybranie odpowiedniej wersji zamierzam pozostawić policji.

Mimo całej tej absurdalnej sytuacji zaczynam mieć przeczucie, że opatrność jednak wciąż nade mną czuwa. Miriam miała rację, mówiąc, że widzowie *Gdziekolwiek jesteś* potrafią pomóc w nieszczęściu. Ta kobieta od marudzącego dzieciaka z pewnością do nich należała. Dzięki niej mam motyw śmierci Mi i nazwisko faceta, który zbliżył się do niej za bardzo. Założę się, że śledczy nie mieli go dotąd na radarze. A jeśli nawet, był tylko zwykłym facetem od pacynek i teatru, nikim więcej.

Nie ma za co, panowie.

Jeśli chodzi o tę drugą informatorkę, która podobno widziała Miriam, to na razie odpuszczam. Nie zamierzam słuchać opowieści o duchach, bo najwyraźniej właśnie to zobaczyła w metrze. Poza tym zrobiło się już bardzo późno.

Wracam do auta przyjemnie lżejszy, jakby ubyło mi parę kilogramów. Dawno nie czułem takiej ulgi. Każdy koszmar ma swój koniec i wygląda na to, że przynajmniej ten jeden właśnie dobiega końca. Niech teraz martwi się o swoją skórę ten pajac, Florian.

W drodze do domu zahaczam o sklep całodobowy. Kupuję piwo – zero-procentowe, bo jutro z rana mam stanąć przy stole operacyjnym. Od teraz postanawiam być jak Stan, czysty i nieskażony alkoholem.

Przed włożeniem kluczyka do stacyjki przypominam sobie, że obiecałem do niego zadzwonić, jak tylko skończę rozmawiać z tą kobietą od Floriana. Wybieram ze spisu kontaktów numer do Stana i czekam, aż się odezwie. Mam nadzieję, że jeszcze nie śpi na tym swoim uroczysku.

Odbiera po czwartym sygnale. Nie śpi, ale za to dyszy.

– Chyba nie biegasz po krzakach w tych ciemnościach? – pytam z niedowierzaniem. – Zamierzasz schudnąć jeszcze bardziej?

– Nie pytaj, tylko mów, czego się dowiedziałeś.

Streszczam w kilku zdaniach rozmowę. Stan nie przerywa mi ani słowem. Nie wiem, czy dlatego, że wciąż biegnie, czy tak bardzo przeżywa temat mojej dyskusji z Panią Troskliwą. Jego oddech wciąż jest szybki, ale coraz cichszy.

– Uwierzyłeś? – słyszę w końcu.

– Że ten frajer ją do tego namówił?

– Że w to weszła.

– Jeżeli już, to nieświadomie.

– Mhm.

– Serio, stary. Każdy, tylko nie ona.

Czekam, aż mi przytaknie.

– A ja myślę, że zrobiła to z pełną premedytacją.

Aż mnie zatyka.

– Odbiło ci, Stan.

– Nie sądzę.

– Zamoczyło cię od nadmiaru tlenu. Albo od tych twoich kadzideł.

– Myślę bardzo trzeźwo i mówię ci zupełnie poważnie, że Miriam mogło przyjść do głowy coś tak szalonego jak zakład o życie.

– Chyba na tym skończymy – decyduję, bo czuję, że ta rozmowa nie ma sensu.

– Masz rację. Lepiej będzie, jak ochłoniesz.

Mówi jeszcze na odczepnego, że pogadamy jutro w klinice.

Wydaje mi się, że w tle słyszę cichą muzykę, typową pościelówkę. Zatem nie chodzi o żadne bieganie przed snem. Stan okłamał mnie, mówiąc, że nie sprowadza do swojej dziczy kobiet. Złamał się i przywiózł tam tę swoją pannę, stąd to sapanie. Wolę nie wyobrażać sobie mojego przyjaciela w sytuacji łóżkowej, ale przynajmniej rozumiem, dlaczego bredzi o tym, że Miriam dobrowolnie mogła wpakować się w kłopoty. W momentach seksualnej euforii ludzie potrafią pleść, co im ślina na język przyniesie. Kocham tego faceta jak brata, którego nigdy nie miałem, więc tym razem mu daruję.

Nie zamierzam mu przeszkadzać.

Życzę mu dobrej zabawy i kończę rozmowę.

Wtorek, 8 września

ADELA

Z czeluści mojej szafy wyciągam to, co wydaje mi się najbardziej stosowne, jeśli mam wypaść wiarygodnie na przesłuchaniu. Od tej rozmowy będzie wiele zależało. Zdaję sobie sprawę, że same ciuchy nie wystarczą, by Nauman uwierzył w to, co mówię, jednak zdrowy rozsądek i tak każe mi wybrać czarną, skromną i nieco workowatą sukienkę zamiast krzykliwej czerwieni taliowanego garnituru. W takich sytuacjach lepiej jest być męczennicą niż gwiazdą wybiegu. Zwłaszcza gdy ten jest krótki i prowadzi od drzwi pokoju przesłuchań do krzesła przy biurku śledczego.

Poranne naświetlanie chorych zatok zastępuję tabletką przeciwbólową. Moja twarz ma wyglądać na świeżą, niezaczerwienioną, nienoszącą śladów zdenerwowania. Pokrywam ją jasnym fluidem, który wtapia się w skórę, i już wyglądam prawie jak uosobienie ideału. Usta pociągam szminką w odcieniu nude, rzęsy pozostawiam bez tuszu.

W końcu jestem siostrą ofiary. Cierpię.

Na miejscu zjawiam się kilka minut przed czasem, żeby Nauman nie pomyślał, że mi nie zależy i że bagatelizuję nasze spotkanie. Po tym, jak odmówiłam przyjazdu w niedzielę, nie mogę ponownie nawalić.

Od wejścia do pokoju, w którym odbędzie się przesłuchanie, prowadzi mnie funkcjonariuszka o wschodnich rysach twarzy, ta sama, która była przy rozpoznaniu zwłok Miriam. Sadza mnie na jednym z trzech krzeseł i znika na kilka minut. Również o ósmej drzwi otwierają się i staje w nich ta sama policjantka, ale tym razem towarzyszy jej mężczyzna. Zgaduję, że to właśnie Nauman, nowy do prowadzenia śledztwa. Ma obojętną twarz ukrytą za przyciemnianymi okularami i pachnie tanią wodą po goleniu.

Wyobrażałam go sobie jako młodego, energicznego mężczyznę w dopasowanym garniturze i pod krawatem, a mam przed sobą faceta grubo po pięćdziesiątce, bez krawata i w wygniecionej koszuli, która wygląda, jakby nosił ją od tygodnia. Marynarka też nie jest lepsza, i do tego nie pasuje do spodni.

Za to Nauman nie zwraca uwagi ani na mój ubiór, ani tym bardziej na prezentowaną przeze mnie minę zbitego psa. Na razie w ogóle na mnie nie patrzy. Robi jedynie to, co musi, siada, podciągając nogawki, włącza nagrywanie i otwiera teczkę z aktami. Nachyla się nad mikrofonem i klepie formułkę: kto się stawił, o której i tak dalej. Jest tak samo jak wtedy, gdy trafiłam tu zaraz po zgłoszeniu zaginięcia Miriam. Teraz czekam tylko, aż powie: „Proszę opowiedzieć, co tak naprawdę wydarzyło się w nocy z siódmego na ósmego marca”. Ale nic takiego się nie dzieje. Nauman otwiera akta i powoli kartkuje dokumentację. To typowa strategia, mam zacząć gryźć z nerwów palce i słowo daję, że mam na to ochotę.

– Mam tylko dwa pytania – mówi w końcu, ale wciąż nie patrząc mi w oczy. Za to jego skośnooka asystentka obserwuje mnie tak, jakbym była rzadkim okazem jakiegoś zwierzęcia. Jakby urosły mi rogi i zamiast człowieka zaczęłabym przypominać muflona. – Pewnie zastanawia się pani jakie.

Akurat w tej chwili zastanawiam się, czy przez fluid nie zaczynają przebijać czerwone placki na mojej twarzy, ewidentny dowód na to, że już siada mi psychika. Jak mówiłam, wychodzenie z domu jest dla mnie tak samo przyjemne jak uderzenie się po plecach rzemiennym pejczem.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Wydawało mi się, że poprzednim razem powiedziałam już wszystko.

Nauman zsuwa z nosa swoje fotochromowe szkła. Teraz widzę, że jego oczy przypominają dwa wyblakłe, szare ziarna fasoli.

– Podobno w protokole jest kilka nieścisłości – mówię dalej, żeby zabić narastającą ciszę, przerywaną jedynie bębnieniem jego palców o blat. – Jestem tu, żeby pomóc.

– Nie posiadamy się z radości, prawda, Shi?

– Chcę jednak zapewnić, że wszystko, co do tej pory powiedziałam, jest prawdą – dodaję.

Nie umiem kłamać. Za kłamanie matka sadzała mnie w kącie łazienki, gasiła światło i nie pozwalała się ruszyć do momentu, w którym trzykrotnie

zastukam w żeberkowy kaloryfer, dając tym samym sygnał, że chcę przyznać się do winy.

– Słyszałaś, Shi?

To nie jest pytanie, na które Nauman oczekuje odpowiedzi. Zadaje je tylko po to, by wytrącić mnie z równowagi. Nie wiem, jakie atrakcje dla mnie zaplanował, ale już na starcie idzie mu całkiem nieźle. Czuję, że poca mi się końcówki palców. Specjalnie nie włączyli klimatyzacji, żebym się męczyła. Proszę o wodę. Nauman daje kobiecie sygnał głową, żeby przyniosła. Słyszę, jak ze stojącego na korytarzu baniaka z wodą wydobywa się bulgot. Po chwili staje przede mną plastikowy kubek wypełniony do połowy lodowatą cieczą. Wypijam od razu całość. Kiedy odstawiam kubek, śledczy przechodzi do rzeczy:

– Wróćmy do nocy, w której zaginęła pani siostra. Świątowała wtedy czwartą rocznicę ślubu.

– Tak było. – Kiwam głową.

– To, że odwiedziła ją pani około siedemnastej, już wiemy. Są nagrania.

– Z domu obok?

– Widzę, że się pani orientuje.

– Do tej pory nikt się tą kamerą nie interesował.

– Nad czym ubolewam.

– Nie bardziej niż ja.

Jeżeli to miała być ta bomba, która rozwaliłaby mnie na strzępy, to chyba mogę już zacząć spokojnie oddychać.

– Co z drugim pytaniem?

– Myśli pani, że jedno ma już za sobą? Że ciągnęliśmy tu panią, żeby usłyszeć coś, o czym już wiemy? Muszę panią zmartwić, bo dopiero teraz rozpoczniemy nasz quiz. Mam nadzieję, że jest pani gotowa.

– Niech pan wreszcie powie, o co chodzi.

– Pozostałmy przy tamtej nocy. Jest dwudziesta druga, kiedy Miriam opuszcza dom. Robi to w pośpiechu, co zarejestrowała wspomniana kamera. Po sposobie, w jaki się oddała, można wywnioskować, że robi to pod wpływem silnych emocji.

– Nic o tym nie wiem.

– Pół godziny wcześniej wpuściła kogoś do domu.

– Konrad miał dotrzeć dopiero przed północą. Był daleko.

– Zapewniam, że był wtedy bardzo blisko. Niemniej to miłe, że próbuje pani znaleźć dla niego alibi.

– Źle mnie pan zrozumiał. Mówię tylko, co wiem.

– I akurat pan Macharow przyszedł pani na myśl, nikt inny?

– Na przykład...?

– Włamywacz, sąsiad, przyjaciółka, tajemniczy kochanek... Mam wymieniać dalej?

– Wystarczy. Załapałam.

– Więc się rozumiemy. Wracając do feralnego wieczora i pani siostry. Przypuszczalnie dowiedziała się od tego człowieka o czymś istotnym i zareagowała impulsywnie.

– I?

– Jak powiedziałem, wybiegła. Prosto w kierunku pani domu. Robi mi się gorąco. Czarna sukienka zaczyna lepić mi się do ciała.

– Co pan sugeruje?

– Że przyszła do pani.

– Rozczaruję pana. Nie było jej. Gdyby przyszła do mnie, jaki miałabym powód, żeby to zataić?

– Więc pani zaprzecza.

– Jak najbardziej. Miriam przestała zaglądać do mojego domu wiele lat temu.

– To bardzo ciekawe. Proszę mówić.

– Właściwie to nie ma o czym. Po prostu nie lubiła w nim przebywać. Wiązały się z nim złe wspomnienia.

– Ktoś ją tam napadł, obraził? Zaraziła się dżumą?

Niezła taktyka, ale ja też mam swoją. Nazywa się „zachowaj zimną krew”.

– Cztery lata temu w tym domu zmarła nasza matka – odpowiadam. – Miała tam swój pokój. Teraz stoi pusty.

– I od tego czasu pani siostra nie zajrzała do pani ani razu.

Kiwam głową i mówię:

– Niech pan posłucha. Widziałyśmy się po południu. Nawet jeśli coś zdenerwowało Miriam, to prędzej zadzwoniłaby, zamiast przychodzić.

– Z powodu dawnej traumy? – Nauman obraca w palcach długopis. – Myślisz, Shi, że to mogło ją powstrzymać?

– Poza tym dobrze wiedziała, że przed snem regularnie odbywam swoje lecznicze sesje, i za nic nie chciałaby mi w tym przeszkadzać. Tym bardziej że tamtego dnia od rana czułam się fatalnie. Umiem rozpoznać, kiedy nad-

ciąga atak bólu, i Miriam miała świadomość, że wieczorem nie zechcę się z nikim widzieć. Nawet z nią.

– Miała go pani? Ten atak.

– Przecież powiedziałam.

– Być może pani siostra była aniołem współczucia i zamierzała dać pani spokój, ale wszystko wskazuje na to, że tamtej nocy stało się coś, z czym nie mogła czekać dłużej i czego nie dało się przedyskutować telefonicznie.

Nie wiem, co mam im powiedzieć. Nauman siedzi niewzruszony, nie drga mu żaden mięsień w policzkach. Shi Lu też ma nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Próbujecie mnie w coś wrobić, prawda? – pytam, przesuwając wzrok z jednej twarzy na drugą. Przyglądam się dłużej twarzy kobiety, co od razu skłania ją do reakcji.

– W procesie o zabójstwo mataczenie może pani poważnie zaszkodzić – słyszę.

Proces. Właśnie dociera do mnie, że nie chodzi już o zaginięcie, a o zbrodnię. Tak bardzo odsuwałam od siebie wizję tego, że ciało, które widziałam w kostnicy, należy do Miriam, że przestałam myśleć racjonalnie. Jest ofiara, będzie i spowiedź przed prokuratorem. Usiądę na sali rozpraw jako świadek lub, co staje się coraz bardziej prawdopodobne, osoba podejrzana. Jeśli to, w jaki sposób będę współpracować z Naumanem i Lu, ma mieć na to wpływ, to chyba najwyższy czas, żebym zaczęła się bronić.

– Zatem? – Nauman zaczyna się niecierpliwić.

– Podtrzymuję to, co powiedziałam. Nie widziałam Miriam tamtego wieczora i nie wiem, dokąd poszła. Nie do mnie – odpowiadam stanowczo. Czuję, jak po plecach cieknie mi strużka potu.

– I nie wie pani, co tak bardzo mogło ją zdenerwować.

– Żałuję, ale nie.

Moja twarz musi wyglądać fatalnie, bo Lu podaje mi chusteczkę. Ocieram nią skórę, przy okazji zmazując beżowy fluid. Teraz już na pewno wyglądam jak siedem nieszczęść.

– To przez moją chorobę – wyjaśniam, bo widzę, że oboje przyglądają się czerwonym plamom na mojej buzi. – Tłumaczyłam już, że mam chore zatoki.

– Rozumiem, że choroba uniemożliwiła pani dotarcie do nas w niedzielę, jak się umawialiśmy.

– Tak właśnie było. Podczas ataku nie jestem w stanie funkcjonować. Chciałam przyjść, ale ból okazał się nie do zniesienia. To pamiątka z dzieciństwa, potrafi być wyjątkowo dokuczliwa. Zamknęłam się w domu i włączyłam aparat do naświetlania. Zawsze tak robię, żeby jakoś przetrwać atak.

– Dziwna choroba, prawda, Shi? Czy te ataki... – Nauman zawiesił głos.
– Są regularne?

Odpowiadam, że przytrafiają mi się co najmniej raz w tygodniu. Dla uwiarygodnienia moich słów dodaję, że jestem pod stałą kontrolą kliniki MediCare i prowadzę rejestr, w którym skrupulatnie zapisuję daty i godziny erupcji bólu. Dorzucam nawet nazwisko mojego laryngologa. Wbrew moim oczekiwaniom, Nauman nie zapisuje go w swojej dokumentacji. Skoro jednak nagrywa całą rozmowę, nie musi.

– Prowadzi pani spis? – pyta w zamian. – Mam na myśli częstotliwość ataków.

– To nieodłączna część terapii.

Kiwa ze zrozumieniem głową. Jestem pewna, że uwierzył i chyba nawet zaczyna mi współczuć.

– Zostało mi jeszcze drugie pytanie. – Nauman stuka końcówką długopisu w teczkę z moimi poprzednimi zeznaniami.

– Jeżeli łączy się w jakikolwiek sposób z tym, o czym właśnie rozmawialiśmy, to...

– Czyta pani w moich myślach, Adelo.

– Będzie mi pan bił brawo? – Zdobywam się na kumpelski uśmieszek, bo Nauman robi to samo. Też się uśmiecha. Wygląda na to, że wreszcie zaczynamy się dogadywać.

– Nie zamierzam. Nawet mało rozgarnięte dziecko domyśliłoby się, o czym będzie dalszy ciąg tej rozmowy.

Już po przyjaźni.

– Nie mam nic do ukrycia.

– Nawet pani nie wie, jak mnie to cieszy.

– Więc?

– Chodzi o panią i Konrada Macharowa.

– Nie rozumiem.

– Chcę wiedzieć, które z was odwołało przed laty ślub i dlaczego? Mowa o waszym ślubie. Pani i męża denatki.

W tej chwili serce przestaje mi bić.

Kurwa... Kurwa, kurwa, kurwa!

Wytrzeszczam oczy, bo żadne słowo nie jest w tej chwili w stanie przejść mi przez gardło. Nauman za to dostaje skrzydeł.

– Widzi pani, lubimy sobie z Shi pogrzebać tu i tam. Zwłaszcza Shi jest w tym bezkonkurencyjna. Tym razem była uprzejma poszperać w rejestrach urzędu stanu cywilnego. Przyznam, że nieczęsto się zdarza, żeby szukając danych o ofierze i jej najbliższej rodzinie, natrafić na taką rewelację. Czysty przypadek, co, dziecinko?

– Interesowało mnie, jak szybko po odnalezieniu ciała pan Macharow zgłosił zgon swojej żony.

– Jak szybko? – powtarzam jak automat. – Pewnie poleciał tam jeszcze tego samego dnia. Szkoda tylko, że zapomniał o wynikach DNA. Dopóki laboratorium nie potwierdzi, że Miriam to Miriam, nie dostanie do ręki aktu zgonu.

Shi Lu i Nauman mają miny, jakby chcieli powiedzieć, że akt zgonu już istnieje.

Nie wierzę. To wszystko nie dzieje się naprawdę.

– Wiecie, że robi nas wszystkich w konia? Nas i urząd. Przekupił kogoś, prawda? Dał komuś w łapę. To lekarz, ma znajomości. Wystarczy, żeby zagadał z kim trzeba, a dostanie każdy kwit. Chyba nie zamierzacie tego tak zostawić?

– Teraz z kolei mówi pani o nim nieładnie. Niechże się pani zdecyduje. Lubi go pani czy nie?

– Czego pan ode mnie chce? – pytam podniesionym głosem. To wszystko zaczyna mnie przerastać. – Zamierzacie zrobić ze mnie kozła ofiarnego?

– Shi, jak myślisz, zamierzamy? Bądź tak dobra i wyjaśnij pani, czego tak naprawdę od niej oczekujemy. Pociągnij temat, dziecinko, bo mnie ta rozmowa zaczyna już nudzić.

Widzę, jak Lu przysuwa się ze swoim krzesłem bliżej mnie.

– Zacznę od tego, że baza urzędu powiązała nazwisko Macharow z Bierneckimi. To wasze panięńskie nazwisko, pani i Miriam.

– Tak – potwierdzam bez sensu, bo wszyscy, jak tu siedzimy, mamy tego świadomość.

– Baza trzyma zarówno aktualne dane, jak i archiwalne – mówi dalej Lu. – Wszystkie formularze i wnioski. Domyśla się już pani, o co nam chodzi?

Na moje wzruszenie ramion reaguje niemal natychmiast:

– Według tych danych, na pół roku przed ślubem pani siostry wpłynął wniosek o ...

– Nie chcę tego słuchać – próbuję zamknąć temat. – To nie ma żadnego związku ze śmiercią Miriam.

Nauman kręci młynka palcami.

– Pani nie chce słuchać. To niedobrze, prawda, Shi?

– Bardzo niedobrze.

– Ale rozumiemy i to. Relacje w pani rodzinie wyglądają na skomplikowane, a to zwykle nie pomaga na wspomnienia. Zwłaszcza gdy jeden z członków tej rodziny zostaje znaleziony martwy. Jak długo chciała pani ukrywać przed nami ten niewinny szczegół? Mówię o waszym ślubie.

Shi Lu kładzie mi przed nosem wydruk. W jego lewym górnym rogu czerwieni się odbita pieczętka USC, przez środek biegnie kilka linii jakichś liter. Gdy próbuję się w nie wczytać, zaczyna mnie rwać w głowie. Obraz ciemnieje mi w oczach i widzę wyraźnie tylko dwa słowa: „Rezerwacja terminu”. Mniej ostro widzę też własne nazwisko i nazwisko Konrada.

– Miriam go pani odebrała? – Shi Lu wskazuje wzrokiem na pismo. – Musiała pani mieć do niej o to wielki żal. Takie upokorzenie potrafi zabołeć. Wtedy zwykle przychodzi myśl o zemście. Kiedy ktoś zgarnia sprzed nosa całą przyszłość, pragnie się odwetu. To całkowicie naturalne, w końcu jesteśmy tylko ludźmi. Pani też tego chciała? Żeby siostra za to zapłaciła? Jak to było, Adelo?

– Proszę nam o tym opowiedzieć. – Nauman mości się wygodnie w fotelu, jakby siedział w teatrze i czekał na występ. – Co takiego się stało, że doszło do zamiany sióstr?

– To przeszłość – bełkoczę. – Zdążyłam o wszystkim zapomnieć.

– Jednym słowem, nie ma o czym gadać. – Nauman kiwa głową na boki, jak piesek zabawka w samochodzie. – Ja jednak bym posłuchał, a ty, Shi?

– Lubię łzawe historie.

– To, co robicie, jest obrzydliwe – wyrzucam z siebie. – Dręczenie ludzi sprawia wam przyjemność?

Lu chce coś powiedzieć, ale Nauman powstrzymuje ją ruchem ręki.

– Pani, zdaje się, wciąż nie rozumie, po co tu jesteśmy. Zabito człowieka. Zabito i podpalono. Więc jedyne, co sprawi nam przyjemność, to odnalezienie tego, kto mu to zrobił. Czuje się pani dręczona? Może chce pani porównać swoje cierpienie do cierpienia siostry? Tak bardzo uwierają panią nasze pytania, że czuje się pani poszkodowana... Cóż, nie pozostaje

nam nic innego, niż przeprosić panią za ten dyskomfort. Shi, kontynuuj. Zapytaj o to, czy Miriam mogła mieć podejrzenia co do obecnej relacji swojej siostry i męża. Tylko ostrożniej dobieraj słowa. Pani Biernacka może nie wytrzymać co bardziej bezpośrednich sformułowań.

– Postaram się.

– Nie trzeba – wypalam. – Chcę adwokata. Bez niego nic więcej wam nie powiem.

Tylko tyle mogłam z siebie wydusić.

STAN

Nie było okazji, żeby pogadać z Konradem w cztery oczy. Operacja, na którą mieliśmy się obaj stawić w klinice, została odwołana ze względu na zapalenie płuc pacjentki. Zostałem więc w Aranyi i postanowiłem zająć się własnymi sprawami. Zająłem się Pat.

Pat jest moją słodką tajemnicą. Poza tym, że zdradziłem Konradowi jej imię, nikt nie wie o jej istnieniu, a ona nie wie o tym, co dzieje się kilkadziesiąt kilometrów dalej, tam gdzie wieżowce sięgają nieba. Nie potrzebuje tego. Wystarczy jej, że jest u mojego boku. Z uśmiechem i oczami pełnymi miłości. Mówiąc wprost: ja jej wystarczam.

Owszem, skłamałem mojemu przyjacielowi, że nikogo tu nie zapraszam. Nie chciałem usłyszeć: „Stary, jeśli ona może wpadać na tę twoją wioskę, to ja chyba też?”. A takie pytanie by przecież padło. Musiałbym go tu przywieźć. Czy tego chcę? Bynajmniej. Wolę, żeby wszystko zostało po staremu. Przechodzę teraz najważniejszy etap mojego życia i zamierzam go przeżyć na własnych warunkach. Nie potrzebuję dzielić się z Konradem ani tym miejscem, ani perspektywą duchowego spełnienia, jaka się właśnie przede mną otwiera. Nie zrozumiałby tego.

Co do Pat – powiedziałem mu o niej pod przymusem i dużo później, niż bym mógł. Było mi łatwiej, gdy wciąż myślał o mnie jak o ułomnym gnomie, który zanim zagada do kobiety, trzy razy spoci się pod pachami. Dzięki temu miałem święty spokój. Niepotrzebnie się zламаłem, ale stało się. Teraz jest już za późno, żeby to odkręcić.

Dzień zapowiada się przyjemnie. Wlewam wodę do wanny i pomagam Pat usadowić się wygodnie w jednym jej rogu, a sam moszczę się naprzeciwko. Pat zsuwa się lekko, tak że końcówki jej ciemnych włosów zanurzają się w wodzie i podrygują delikatnie wraz z każdym jej ruchem.

– Nie za zimna? – pytam i przezornie dolewam wrzątku z czajnika. Niestety, ciepła woda tu nie dochodzi, więc pozostaje mi grzać ją na ogniu.

Odczuwam nagłą chęć, by przytulić Pat. Miniona noc była wyjątkowa, więc dzień też taki być powinien. Przyciągam ją do siebie i sadzam sobie na udach. Opieram jej plecy o swoją klatkę piersiową, splatając ręce na jej brzuchu. Jest miękki i aksamitny. Odgarniam jej wilgotne włosy, które przylepiły się mi do twarzy.

– Dziękuję za to, że jesteś – szepczę jej do ucha. – Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem na Ziemi, wiesz?

Ma rozszerzone źrenice i lekko rozchylone usta, których kąciki unoszą się w dyskretnym uśmiechu. Są tak inne od ust kobiet, które przyjeżdżają drogimi autami do naszej kliniki. Idealne, niewymagające żadnej ingerencji.

Popołudnie spędzamy trochę w łóżku, a trochę gotując. Tak naprawdę gotuję tylko ja. Mam przewiązany przez biodra fartuch i mieszam w garnku, chcąc wynagrodzić Pat nie tylko miniony tydzień, który musiała spędzić tu sama, ale i ten, który właśnie się zaczął. Jutro znów zniknę na kilka kolejnych dni, więc chcę najlepiej wykorzystać czas, jaki mamy.

Jak dotąd nie miałem kogo karmić. Jadałem sam, zapychałem się dowożoną w styropianowym pudełku ciecierzycą z kurczakiem. Gapiłem się przy tym w telewizor i przełączałem kanały sportowe, udając, że jest mi zajębiście dobrze.

A było zajębiście źle.

Tu nie ma telewizora ani wi-fi. Bywa, że i telefon traci zasięg. Jest za to błogi spokój.

Zdejmuję z ognia patelnię i kładę na jeden talerz curry z fasolką, ryżem i rybą, a na drugi, przeznaczony dla mnie, rzucam garść orzechów zmieszanych z jagodami – nie potrzebuję wiele, właściwie już coraz mniej. Stawiam wszystko na stole, przynoszę jeszcze dwie szklanki i schłodzoną lemoniadę dla niej. Do mojej szklanki wlewam zwykłą wodę z solą. To oczyszcza ciało i umysł.

Nim zaczniemy jeść, moczę ścierkę i przecieram dłonie Pat. Są drobne i delikatne.

Wciąż nie mogę uwierzyć, że to wszystko się dzieje. Nie chcę stąd wyjeżdżać ani jutro, ani pojutrze. Chcę z nią zostać.

– Chyba ktoś tu porządnie zgłodniał – mruczę i całuję Pat w czubek głowy. – Będzie ci smakować, przywiozłem ten przepis z Azji. Gdybyś wiedziała, jak tam jest pięknie. Potem pokażę ci zdjęcia. Mam ich setki. Ale teraz jedz już, bo ostygnie.

Po wszystkim zmywam naczynia i wstawiam wodę na napar z igliwia i z kory sosny. Obok słoika, w którym trzymam je szczelnie zamknięte, w górnej szafce stoi jeszcze jedno naczynie. Jego zawartość jest absolutnie wyjątkowa; to sproszkowane drzewo lakowe. Jeszcze nie zdążyłem go spróbować, czekam z tym na specjalną okazję.

Popołudnie zapowiada się sielsko. Dom otacza cisza i poza szumem drzew nie dociera tu żaden odgłos. Przez na wpół otwarte okno widzę Pat, jak siedzi na rowerze, ubrana w czerwoną letnią sukienkę, ledwie dosięgając stopami ziemi. Już dawno powinienem obniżyć jej siodełko, żeby się nie męczyła i nie napinała niepotrzebnie łydek. Sama tego nie robi, do tego trzeba mieć siłę w rękach. Model roweru jest na tyle stary, że bez specjalnych kombinerek śruba pod siodełkiem nawet nie drgnie.

Również chciałbym wskoczyć na rower, ale mam coś do zrobienia w opuszczonej stodółce za domem. Zabierałem się do tego już dwukrotnie, ale zawsze z jakiegoś powodu odkładałem. Gdyby była tu Miriam, pewnie powiedziałyby: „Stan, skoro postanowiłeś coś zacząć, musisz to dokończyć”. To było jej życiowe credo. I miałyby rację. Nie można odkładać rzeczy w nieskończoność.

– Będę tuż obok – mówię do Pat, która siedzi już wygodnie na dopasowanym siodełku. – Wiem, że obiecałem ci cały dzień razem, ale ta piwniczka sama się nie wykopie.

Idę do stodoły i od razu przepasuję się roboczym fartuchem. Rozglądam się za łopatą, choć tak naprawdę bardziej przydałyby mi się porządna koparka i ekipa, która szybko załatwiłaby sprawę. Kilka machnięć zębatą łyżką i byłoby po robocie. Pewnie bym tak zrobił, gdyby nie moje wewnętrzne przekonanie, że wszystko od a do zet muszę wykonać własnymi rękami. Tylko wtedy to będzie miało sens.

Puszczam do mojej pięknej cyklistki oko i znikam z łopatą za drzwiami stodółki.

ADELA

Podczas jazdy do domu co rusz spoglądam w lusterko wsteczne mojego fiata. Bo nie wracam sama, Shi Lu sunie swoim autem niemal zderzak w zderzak z moim punto. Nauman chyba jednak nie do końca uwierzył w to, co mu wyklepałam, bo gdy tylko skończył nagrywać moje zeznania, nakazał jej pojechać ze mną. Oficjalnie, nie w charakterze zakamuflowanej tajniaczki. Zapytał nawet, czy nie mam nic przeciwko temu, że Lu rozejrzy się po moich kątach bez nakazu rewizji. Co miałam mu powiedzieć – że sobie nie życzę? Jak by to wyglądało? Zastrzegłam jedynie, że nie zamierzam odpowiadać na jej pytania bez obecności adwokata (którego oczywiście nie mam), a poza tym niech sobie zagląda, bo i tak niczego nie znajdzie.

Jadę więc, mając na karku nieoznakowany wóz, który co jakiś czas daje mi znać migaczami, żebym zwolniła. Mam ciężką nogę, więc odkąd dwukrotnie rozdzieliły nas czerwone światła, jestem zmuszona jechać w tempie czterdziestu kilometrów na godzinę. Lu ślimaczy się aż do przesady i, jak to glina, zwalnia przed każdymi pasami.

Pod dom przy Rukoli dojeżdżamy w tym samym momencie, jak na gwizdek. Shi Lu parkuje przed kuchennym oknem i od razu idzie do furtki. Staram się być twarda i jak zapowiedziałam – nie odzywam się do niej za bardzo, poza zdawkowymi „Zapraszam” i „Proszę za mną”. Ona też nic nie mówi. Otwiera usta, dopiero gdy zatrzasnęję za nami drzwi domu. Idzie prosto do salonu, rozgląda się po kątach, ale nie siada, nawet gdy wskazuję ręką fotel. Nie nastawiam się na to, że poprosi o szklankę wody, choć jest cholernie ciepło, a tym bardziej że zacznie chwalić to, jak się urządziłam. Nauman nie po to ją przysłał, co natychmiast daje mi do zrozumienia.

– Chcę zobaczyć rejestr – mówi, obracając się w moją stronę. – Ten, w którym zapisuje pani ataki swojej choroby.

Serio? Po to jechała ze mną przez pół miasta? Co z grzebaniem w szufladach lub w garażu? Nie tam powinna zajrzeć, by znaleźć cokolwiek, co

połączy mnie z zabójstwem Miriam? Miałabym przynajmniej zabawę, obserwując, jak się miota.

– Coś nie tak? – pyta i przygląda mi się w taki sposób, jakby wyrosła mi druga głowa.

Nie umiem się zachować, kiedy coś mnie zaskoczy. Mam to po matce. Raz, kiedy liczyłam sobie piętnaście lat, dałam temu spektakularny dowód. Był wtedy ponury letni wieczór, a ja planowałam nocować u mojej przyjaciółki Nany. Jej starzy często wyjeżdżali w interesach i wtedy miała całą chatę dla siebie. Zaplanowałyśmy dwuosobowe party z lekkim drinkowaniem i oglądaniem horrorów. Kiedy jednak dotarłam na miejsce, okazało się, że z imprezy nici. Drzwi otworzyła mi ciotka Nany. Powiedziała, że Nanę ukąsiła pszczoła i że musi jechać z nią na pogotowie, bo Nana puchnie. Tym samym odprawiła mnie z kwitkiem. Powłokłam się więc z powrotem do domu. Na klatce schodowej minęłam się z facetem, który kiedyś malował nam ściany w mieszkaniu. Był ohydny, tłusty i nosił rude wąsy. Kiedy weszłam do przedpokoju, od razu krzyknęłam do matki: „Spotkałam tego kloca, co nam odpacykował ściany. Boże, co za oblech, bleee!”. Wtedy matka wyszła z pokoju. Zobaczyłam, że ma czerwoną, rozpulchnioną twarz i dziwnie rozbiegane oczy. Pomyślałam, że po raz setny oglądała *Przemięło z wiatrem*, ale szybko okazało się, że tego popołudnia oglądała coś zupełnie innego. Na moje pytanie, co się stało, bąknęła: „Nie interesuj się, zrozumiesz, jak dorośniesz”. Byłam wystarczająco ogarnięta i nie musiałam posiadać dowodu osobistego ani umysłu Einsteina, żeby zrozumieć, co oznaczają dwa kieliszki schnące na suszarce do naczyń ani zmiana pościeli w środku tygodnia. I jeszcze ta jej rozgrzana od pulsującej krwi twarz.

Więc teraz wyglądałam dokładnie tak samo głupio jak nasza matka wtedy, gdy nakryłam ją po igraszkach z wąsatym malarzem.

– Nad czym się pani tak zastanawia? – popędza mnie Lu. – Pokaże mi pani ten rejestr czy nie?

Nie znoszę agresji, a to zabrzmiało agresywnie. Zawsze gdy myślałam o Chińczykach, wydawali mi się grzeczni i uprzejmi. Ona nie jest ani grzeczna, ani uprzejma. Może nie jest Chinką.

– Proszę za mną – mówię i kieruję się na piętro. Mam zamiar udowodnić jej, że nie ściemniałam z moją chorobą.

Wchodzimy do sypialni. Jeden rzut oka wystarczy, by zobaczyć stół, a na nim lampę do naświetlań mojej obolałej głowy. Obok niej stoi kilka butelek z lekami na migrenę i maść do wcierania w skronie.

Chyba teraz wszystko jest już jasne. Na mojej twarzy maluje się tryumf, ale Lu to najwyraźniej nie wystarcza.

– Rejestr – powtarza z naciskiem. – Potem dam pani spokój.

Odruchowo sięgam po blister z imigranem. Nie jest to żadna manifestacja, po prostu zaczyna mnie porządnie łupać w czaszce. Połykam tabletkę, popychając ją śliną, bo nie mam pod ręką ani kropli wody.

Co do tego rejestru, nie jest to nic profesjonalnego. Zwykły zeszyt w kratkę, w którym każdą stronę własnoręcznie podzieliłam na kolumny „Data”, „Godzina” oraz „Poziom bólu”. Skala jest szeroka, bo od zera do dziesięciu, gdzie dziesięć to poziom młota pneumatycznego.

Podaję jej zeszyt. Lu kartkuje go cierpliwie, szukając daty rocznicy ślubu Miriam i Konrada. Jeśli to ma ją uspokoić, a mnie dać alibi, niech patrzy w te rubryki, ile dusza zapagnie. I to właśnie robi, po czym kładzie rozłożony zeszyt na stole i sięga po swój telefon. Robi dwa zdjęcia tabelkom; jedno z odległości, a drugie z bliska, celując w datę siódmego marca.

– To wszystko – mówi po chwili, chowając komórkę do kieszeni. – Mówiłam, że szybko pójdzie.

– Mam nadzieję, że dostała pani to, czego chciała?

Nie odpowiada. Zamiast tego wskazuje wzrokiem na otwarty zeszyt.

– Coś nie tak? – pytam, bo ewidentnie coś jest na rzeczy.

– Nie lepiej było wymyślić jakąś lepszą historyjkę?

O co jej, do diabła, chodzi?

– W noc zaginięcia Miriam nie doznała pani żadnego ataku, brak śladu choćby lekkiej migreny.

Czuję, że serce zaczyna mi walić. Dopadam do biurka i patrzę w zeszyt. Shi Lu ma rację, rubryka w tym dniu jest zupełnie pusta. Nie rozumiem, jak to się stało, nic już nie rozumiem...

– Proszę mnie nie odprowadzać, trafię do wyjścia – słyszę jak przez mgłę.

Dopadam do drzwi pokoju i staram się zatarasować wyjście ciałem. Nie mogę jej teraz stąd wypuścić. Nie może odejść z przeświadczeniem, że skłamałam.

– To nie tak – bełkoczę, jakbym miała w gardle kłęb waty. – Nie wiem, dlaczego... Musiałam zapomnieć... To był gigantyczny ból, pamiętam

dreszcze, potworne, to były tortury... Łyknęłam tabletki, pewnie potem usnęłam, a później... później siedziałam przed lampą. Do diabła, niech pani na mnie tak nie patrzy! Dlaczego miałabym kłamać?

Lu, w przeciwieństwie do mnie, jest opanowana, jakby sama nałykała się pigułek na uspokojenie.

– Jeśli chodzi o pani chorobę...

– Katalepsja – przerywam jej. Chcę, by dobrze zapamiętała, co mi jest. – Nagłe utraty przytomności.

– Wciąż się pani przytrafiają?

Robi gest, jakby chciała ponownie zajrzeć do zeszytu. Wolę, żeby już tego nie robiła.

– Od pewnego czasu mam spokój – przyznaję zgodnie z prawdą.

Jeśli liczyłam, że pogratuluje mi polepszającego się stanu zdrowia, to się zawiodłam.

– Od kiedy? – pyta.

Chciałabym się wykręcić niepamięcią, ale wystarczy jeden jej krok i znów znajdzie się przy moich notatkach.

– Od kilku miesięcy – mówię oględnie.

– Odkąd zaginęła pani siostra?

– Może. Tak, chyba tak. Nie wiem, czym to wytłumaczyć. Wygląda na to, że mój mózg zajął się czymś innym niż czekanie na kolejny atak.

– Gratuluję.

Nie o takie gratulacje mi chodziło.

– Może pani myśleć o mnie, co tylko pani chce – mówię na wydechu, czując, że naprawdę zaraz zacznę się dusić. – Prawda jest taka, że dla mojej siostry... Robiłam wszystko, żeby ją odnaleźć.

– Na przykład?

– Plakaty! – rzucam. W porę sobie o nich przypominam i od razu wraca mi pewność siebie. – Wszystko jest w moim pierwszym zeznaniu. Radzę się z nim zapoznać.

Lu stoi z założonymi na piersiach rękami. Ma oczy zimne jak Łądolód Patagoński. Patrzy nimi to na mnie, to na różne meble w moim pokoju.

– Mówi pani o wizerunku zaginionej?

– Mówię o wydrukach z podobizną mojej siostry.

– Naprawdę miała pani nadzieję, że to coś da?

Naprawdę to mam ochotę jej przyłożyć.

– Chyba każdy, komu ginie bliski, ma taką nadzieję – cedzę przez zęby.

– I?

– Niestety – przyznaję z rozczarowaniem – nie zawsze się udaje.

Lu wymija mnie i schyla się po coś, co powinno być wsunięte głęboko pod łóżko.

Nie mam pojęcia, jak mogła to dostrzec, ale znów zalewa mnie fala gorąca. Wyciąga gruby rulon ściśnięty gumką.

– Może dlatego. To te plakaty? – pyta, zrywając recepturkę. Rozwija rolkę, na której nawiniętych jest kilkanaście ogłoszeń z nazwiskiem, wiekiem i wizerunkiem Miriam. Patrzy ze współczuciem na jej twarz. Ja też to robię, bo trudno mi odwrócić wzrok od tych wielkich niebieskich oczu. – To dzięki tym plakatom miała pani odnaleźć siostrę? Szkoda, że zapomniała ich pani porozwieszać.

Lu robi kolejne zdjęcia, dorzucając je do dedykowanej mi kolekcji pod tytułem „Zgnijesz w pierdłu”.

– Milczenie też jest jakąś formą odpowiedzi – stwierdza, wciąż naciskając guzik w swoim telefonie.

To oczywiste, że wybieram ciszę. Po pierwsze, nie mam już żadnej amunicji, by się obronić. Po drugie, cokolwiek bym jej teraz powiedziała, i tak mi już nie uwierzy. Więc po co?

FLORIAN

Przedemną najtrudniejszy dzień w całym moim dotychczasowym życiu. Odkąd otworzyłem oczy, co rusz patrzę na zegarek.

Jest ósma rano, trzy godziny po tym, jak podniosłem się z mokrej od potu pościeli. Dwie i pół godziny po tym, jak wyszedłem spod lodowatego prysznica. Godzina po tym, jak wypaliłem ostatniego papierosa z rozpoczętej wczoraj paczki. Minuta przed tym, jak pracownik poczty podejdzie do drzwi i przekręci od wewnątrz zamek, by wpuścić mnie do środka.

Wciąż odliczam. Już nie godziny, a sekundy.

Przez niedomytą szybę widzę, jak trzy kobiety siadają w swoich okienkach, z których już za chwilę zaczną wydawać paczki i listy polecone, oraz jak chudzielec w szarym uniformie i z pękiem kluczy w ręku kręci się między tymi okienkami a gablotami z wystawionym towarem. Kiedyś poczty były po prostu pocztami, teraz stały się wielobranżowymi sklepami sprzedającymi dropsy, poradniki, dewocjonalia i wszelkie inne duperele, jakie nie schodzą w kioskach.

Chudzielca muszą bardzo interesować plotkarskie artykuły w jednym z brukowców, bo chciwie przerzuca kolorowe kartki. Nieśpieszno mu, choć jest już trzy po ósmej.

Pukam w szklane drzwi i przywołuję go ruchem dłoni. Udaje, że się zagapił z otwarciem, patrzy na zegarek i z niedowierzaniem kręci głową. Przekręca zasuwę, wpuszcza mnie do środka i z miejsca kaja się za spóźnienie. Mówię mu krótkie: „W porządku, nic się nie stało”, byle go zbyć. Chcę jak najszybciej dostać się do skrytki.

Dopadam do ściany z wbudowanymi schowkami. Teraz wystarczy już tylko wcelować kluczem do zamka.

No i już. Nareszcie.

Trzymam w rękach metalową kasetkę na zatrask. Nie jest własnością poczty, należy do Miriam. Zamknięcie jest tak słabe, że rozrywam je jednym pociągnięciem. Odchodzę z pudełkiem w kąt, chowam się przed wzro-

kiem kasjerek za jednym z regałów. Nie chcę być widziany, potrzebuję intymności.

W pudełku leży koperta, z tyłu jest napisane jedno słowo. Moje imię. Uśmiecham się gorzko na widok znajomego charakteru pisma. Coś ściska mnie w gardle. Czuję się fatalnie, bo nigdy dotąd żadne wyrzuty sumienia nie bolały mnie aż tak.

Nie zamierzam tkwić tu zbyt długo. Składam kopertę na pół i chowam ją do tylnej kieszeni spodni. Pudełkiem celuję do kosza na śmieci. Nie będzie już potrzebne, podobnie jak skrytka. W okienku dostaję wniosek o jej likwidację. Podpisuję kwit i oddaję kluczyk.

Już po wszystkim.

Niemal biegnę do samochodu, by tam w spokoju zajrzeć do koperty. Gdy rozrywam perforację, mam dłonie mokre od potu. Wyjmuję trzy złożone na pół kartki. Są ponumerowane, nietrudno się domyślić dlaczego – to kolejne kroki, które doprowadziły Miriam do śmierci.

Zaczynam od tej z numerem jeden. Rozkładałam ją i widzę to samo, co zobaczyłem niecały rok temu, gdy sam rozpoczynałem Grę.

Zadaniem Uczestnika jest wyjawienie komuś bliskiemu najgorszej prawdy o sobie.

Nagrodą za wykonanie zadania jest 5000 zł.

Banał. Hetman się nie postarał. Nie znam zasad, jakimi się kieruje przy doborze zadań, więc albo zabrakło mu pomysłów, jak koncertowo spieprzyć ludziom życie, i zaczął je powtarzać, albo losuje je na chybił trafił i padło na nią to samo, które kiedyś padło na mnie.

Dobrze pamiętam, jak zareagowałem, gdy dowiedziałem się, jakie zadanie mnie czeka. Najzwyczajniej w świecie zdębiałem. Ty też pewnie dziwnie się z tym poczułaś, przyznaj, Miriam. Zadanie nie należy może do najbardziej karkołomnych, ale też nie jest ani trochę przyjemne. Mało kto lubi się chwalić popełnionymi przez siebie świństwami. Powiem wprost: trzeba mieć do tego niezłe jaja. I niech nikt nie stara się mi wmówić, że nie wiedziałby, co ma wyznać. Że niby nie ma na sumieniu żadnych ciemnych sprawek. Każdy je ma. Nie każdy jednak lubi robić z siebie kanał w oczach najbliższych sobie ludzi.

Mimo wszystko pierwsze zadanie to dopiero rozgrzewka na miarę zabawy w piaskownicy. Dlatego termin na jego wykonanie jest krótki: sie-

dem dni od momentu, w którym na aplikacji w smartwatchu, jaki otrzymuje uczestnik Gry, uruchomi się stoper i zacznie odmierzać sto sześćdziesiąt osiem godzin.

Jeśli chodzi o moją wstydliwą sprawę, to ciągnęła się za mną, odkąd skończyłem dziewiętnaście lat. Był wtedy wieczór, zabawa na rynku Starego Miasta, i była ona, piętnastoletni dzieciak. Wcale nie zamierzała znaleźć się wraz ze mną na tylnym siedzeniu mojego starego renault. Chyba do ostatniej chwili wierzyła, że mam jedynie zamiar odstawić ją bezpiecznie do domu, żeby nie pałętała się samotnie po zmroku. Ufała mi, bo wiedziała, kim jestem. Mieszkaliśmy na sąsiednich ulicach i mijaliśmy się regularnie między blokami. Akurat wtedy natknęliśmy się na siebie na starówce. Traf chciał, że ja byłem lekko wstawiony, a ona czekała samotnie na koleżanki, które nie dotarły. Zaczynało się robić ciemno, a na dodatek zbierało się na burzę. Nie mogłem jej tam zostawić. I do niczego by nie doszło, gdybym ja nie był na gazie, a jej spódniczka nie była zbyt krótka. Miała niesamowicie dobre nogi, jędrne uda, a kostki tak wąskie, że można je było objąć palcami. Te jej wąskie kostki... jak to u dziewczynki. Tak, była, do cholery, jeszcze dziewczynką... Po wszystkim kazałem jej obiecać, że nikomu się z tego nie wygada. Nie pisnęła ani słowa. To nie był gwałt. Nie zrobiłem tego na siłę, a ona szczególnie się nie opierała, ale i tak przegiąłem. Zachowałem się jak debil i tyle w temacie.

Zdecydowałem się wyznać tę haniebną tajemnicę dopiero tobie, Miriam. Nazwałaś mnie świnią i zapytałaś, dlaczego ci o tym opowiadam. Odparłem, że jeśli w moim nędznym życiu jest ktoś, kto zasługuje na szczerłość, to tym kimś jesteś właśnie ty, i chcę, by między nami było czysto. Uznałaś, że skoro tak, to choć ze mnie łajza, należy mi dać drugą szansę i zaufać. Nie mogłaś wiedzieć, że realizuję swoje pierwsze zadanie. I nie miałaś pojęcia, że postanowiłem powiedzieć ci pół prawdy. W twoich oczach byłem frajerem, bo całowałem się z piętnastolatką. Kropka.

Jak widzisz, nie po raz pierwszy grałem nie fair. I, co też już wiesz, nie ostatni. Bo okłamałem cię ze skutkiem śmiertelnym.

Teraz zastanawiam się nad jednym: co i komu ty wyznałaś jako swoją najgorszą tajemnicę. Przed kim się wyspowiadałaś ze świństwa, jakie zrobiłaś drugiemu człowiekowi. Tego się już nigdy, niestety, nie dowiem.

Pora na kartkę z numerem dwa.

I znów oczom nie wierzę. To jest jak *déjà vu*. Czy naprawdę Hetmanowi aż tak bardzo brakowało pomysłów?

Zadaniem Uczestnika jest wystawienie się na próbę, ryzykując własne życie.

Nagrodą za wykonanie zadania jest 20 000 zł.

Jeśli wydawało ci się, że pierwsze zadanie jest przykre, to jestem ciekaw, jak zareagowałaś na to. Poczulaś ciarki na skórze? Założę się, że tak. Ale chyba pamiętałaś, co ci mówiłem: każde kolejne zadanie będzie trudniejsze i coraz bardziej niebezpieczne. Myślałaś, że żartuję? Nie, Miriam. Sama jednak już o tym doskonale wiesz, skoro dotarłaś do końca Gry.

Co ja zrobiłem, kiedy dostałem to zadanie? Jak już się pewnie domyślasz, znów poszedłem po linii najmniejszego oporu. Postanowiłem załatwić sprawę, udając się nad morze. Dotarłem do jakiejś dziury pod Gdańskiem i nawet nie zarezerwowałem hotelu. Chciałem mieć to za sobą i wrócić bezpiecznie do domu. Tak, Miriam, bezpiecznie. Ale pozory stworzyłem, że mucha nie siada. Wybrałem plażę, dość odludną. Godzina też nie była przypadkowa, bo po dwudziestej, kiedy nikt się już nie opala, ale brzegiem wciąż snują się pojedynczy spacerowicze. Zrzuciłem z nóg buty i wszedłem w ubraniu do wody. Najpierw do pasa, potem aż po szyję. Woda była kurewsko zimna, ale zadanie to zadanie. Zanurzałem się bardzo powoli, żeby mi serce nie stanęło. I nie tylko dlatego. Dwoje ludzi przystało na brzegu i patrzyło, jak oddalam się i powoli znikam pod wodą. Przystałem czuć grunt pod nogami, ale za to czułem, jak lodowaty morski prąd zaczyna ściągać mnie w głąb morza. Słyszałem nawoływania z brzegu, które chwilę później przerodziły się w krzyki. W oczach tych ludzi tonąłem. Z głową zanurzoną pod wodą nie mogłem niczego kontrolować, ale co kilkanaście sekund wystawiałem usta, by zaczerpnąć tlenu. Nie, nie bałem się, że zginę. Z wypełnioną powietrzem obręczą, jaką miałem zaciśniętą wokół pasa, nie tak łatwo jest utonąć. Musiałem tylko udawać, że znikam w otchłani morza, trochę pomachać rękami, pokrzyczeć „Pomocy!” i... tyle. Straż przybrzeżna zaalarmowana przez spacerowiczów pojawiła się w ciągu kilku minut. Usłyszałem silnik motorówki, która pruć fale. Gdy była już na tyle blisko, że musiałbym mieć wyjątkowego pecha, by nie udało się im mnie wyłowić, odwiązałem obręcz i puściłem ją wolno. Odpłynęła w mgnieniu oka, porwana przez morski prąd. Mnie zgarnięto do łodzi. Plułem słoną wodą, charczałem i słańałem się na nogach jak pijak. Byłem wiarygodny. To wydarzenie obwołano cudem. Musiałem się tylko wytłumaczyć, dlaczego w ogóle wszedłem do tego morza. Powiedziałem, że ciężko

przechodzę zawód miłosny. Kto by mi nie uwierzył? Dostałem skierowanie do psychiatryka, przesiedziałem w nim dwa miesiące, po których lekarze doszli do wniosku, że z moim łbem wcale nie jest tak źle.

Ty nie potrafiłabyś tak robić ludzi w konia, co, Miriam? Zawsze byłaś uczciwa, nie uznawałaś półśrodków. W stosunku do Hetmana też chciałaś być w porządku. Jak już się do czegoś zabierałaś, to na poważnie.

I znów – nie jestem do końca pewien, w jaki sposób zaryzykowałaś i czy twój grudniowy pobyt w szpitalu miał z tym coś wspólnego, ale domyślam się, że owszem. Kiedy spotkaliśmy się tuż przed Nowym Rokiem, wciąż byłaś obolała. Musiałem bardzo uważać, by mój dotyk i wszystkie moje pieszczoty nie sprawiały ci bólu. Najważniejsze, że przeżyłaś. Wiesz, co myślę? Że może jednak miałem o tobie złe wyobrażenie. Kilku uczestników Gry nie dotrwało nawet do trzeciej rundy, wyobrażasz to sobie? Ale ty tak. Dlatego dostałaś kolejne, ostatnie już zadanie.

Kartka z numerem trzy niemal parzy mnie w dłonie. Wciąż mam nadzieję, że tym razem plan Hetmana nie zakładał powtórki z tego, co zafundował mnie. To by cię całkiem rozwaliło. Nie masz pojęcia, w jaki sposób wpadłem, gdy przeczytałem, co mam zrobić. Liczyłem na kolejne ryzykowne zadanie, na przykład kradzież, z którą jakoś dałbym sobie radę, a potem zgarnął swoją wypłatę i o wszystkim zapomniał, ale zamiast tego dostałem nakaz zwerbowania najbliższej mi osoby. Wydaje ci się, że to banał? Nie, Miriam. Nie wtedy, gdy zna się ryzyko ruletki z przydzielanymi zadaniami.

W tym przypadku też zamierzałem przycwaniakować. Byłem w dość luźnym związku z Natalią, więc wskazanie jej jako kolejnego uczestnika wydało mi się naturalne. Nie zamierzałem jej skrzywdzić, choć z drugiej strony liczyłem się z zagrożeniem, na jakie mogę ją wystawić. Czy wpadłaby na pomysł obwiązania się pasem ratunkowym? Albo czy zdążyłaby uciec przed rozpędzonym pociągiem? Tego nie wiem. Być może nie dotrwałaby do trzeciej fazy.

Tak czy owak, mój plan nie wypalił. Wyskoczyła z informacją o ciąży i wtedy mnie ścięło. Poświęcenie nienarodzonego dziecka, to byłoby już zbyt wiele, nawet jak na moje standardy. Więc... Wybacz, Miriam – padło na ciebie. Chyba za bardzo chciałem wierzyć, że jeśli będziesz się stosować do moich rad, to jakoś przez to przebrniesz. Ty jednak wolałaś walczyć sama.

Otwieram kartkę. Pocę się przy tym, jakbym wpadł do rozpalonego pieca.

Już widzę, że nie dostałaś tego zadania, co ja.

Twoim zadaniem było... Chryste, Miriam...

Mam mroczki przed oczami, chyba po raz pierwszy w moim szmatłowym życiu.

Nie dałabyś rady tego zrobić, za nic w świecie. Nie ma mowy. Nawet ja bym tego nie zrobił. To jakiś horror... Wybacz mi, Miriam, gdziekolwiek jesteś.

Czytam jeszcze raz te cztery krótkie zdania, bo wciąż nie dowierzam.

Zadaniem Uczestnika jest odebranie życia wybranej przez siebie osobie.

Kryteria doboru ofiary określa Uczestnik.

Jeśli zadanie nie zostanie wykonane, życie zostanie odebrane Uczestnikowi lub Polecającemu. Nagrodą za wykonanie zadania jest 100 000 zł.

Rozpadam się na milion kawałków. Boli mnie całe ciało, gdy dociera do mnie, co zrobiłaś. Poświęcenie... Nie, to słowo wyraża o wiele za mało. Jednak nie znajduję innego. Mam w głowie pustkę. Nie wiem, jak mam to wyrazić, Miriam. Nie wiem, jak mam ci dziękować za to, że mnie ocaliłaś. Że ocaliłaś swojego Polecającego.

Środa, 9 września

SHI LU

— **M**iał pan rację.
— Wiadomo, zawsze mam. A o czym konkretnie mówisz, dziecinko?

Nauman uregulował swój ręczny zegarek, by wskazywał dokładnie tę samą godzinę, co czasomierz wiszący na ścianie komisariatu. Gdy ustawił wskazówki na ósmą zero dwie, poprawił mankiet koszuli, zakrywając nim dokładnie kopertę zegarka, po czym przeniósł wzrok na Shi. Siedziała przy biurku, pochylając się nad laptopem, i tylko co jakiś czas odrywała od niego zmęczone oczy. Teraz też zamrugła zaróżowionymi powiekami, które piekły ją, jakby ktoś sypnął pod nie piaskiem.

— Mówię, że... zaraz, bo jeszcze chwila, a oszaleję... — powiedziała, sięgając do swojej torby. Wyjęła z niej krople nawilżające. Zdjęła z białej buteleczki zakrętkę i, odchylając do tyłu głowę, wkropiła lek do wewnętrznych kątek oczu. — Niedługo całkiem oślepnę od tego ślęczenia po nocach.

— Stanowczo odradzam. Oczy jeszcze ci się przydadzą. Skośne, bo skośne, ale bez nich daleko nie zajedziesz.

Uśmiechnęła się krzywo, słysząc żart roku.

— Miał pan rację co do tej Biernackiej. Jest taka... niepolubialna.

— Chciałaś powiedzieć: nie do polubienia.

— Jak zwał, tak zwał.

— O mnie też tak mówią. A jak wiesz, od przyjaciół nie mogę się opędzić.

Kolejny dowcip. Jeszcze lepszy od poprzedniego. Odkąd pojawili się w tym komisariacie, Nauman nie zakolegował się z nikim, nie mówiąc

o nawiązaniu przyjaźni. Nawet nie starał się zapamiętać imion ludzi, których mijał każdego dnia na korytarzach.

– Nie potrafiłam jej rozgryźć. Ewidentnie kręciła, ale z drugiej strony sprawiała wrażenie zdruzgotanej tym, co spotkało jej siostrę.

Nauman wyjął z szafki torbę z cebulowymi chipsami.

– Tylko to mamy na śniadanie. Jak już skończysz z oczami...

– Pójdę po kawę i kanapki.

– Dla mnie z szynką i serem. A jeśli chodzi o Adelę, nie zwracaj sobie głowy tym, jaka jest.

– Wydawała się rozchwiana.

– Bo dotarło do niej, że tonie. Zapamiętaj sobie, Shi, na pozorach zbudowane jest piekło.

– Myślałam, że na dobrych chęciach.

– Też. To wszystko jedno wielkie grzęzawisko: chęci i pozory. Węsz w jej życiu, szukaj twardych dowodów. Te plakaty i notes to zaledwie drobne symptomy tego, że Adela lubi mijać się z prawdą. Musimy wiedzieć, co mogło poróżnić obie siostry.

– To chyba oczywiste: stracone małżeńskie życie z Macharowem.

– Dla prokuratury to za mało. Powiedz, zabiłabyś własną siostrę za to, że odebrała ci faceta? Ano właśnie... Raczej zerwałabyś z nią kontakt, pocięłabyś jej opony, ale żeby zaraz mordować?

– Dlaczego więc Adela wprowadziła się na tę samą ulicę?

– Dobre pytanie, Shi. Z jej wcześniejszych zeznań wynika, że po tym, jak zachorowała ich matka, postanowiły być blisko siebie, we trzy. Z miłości i ze względu na chorobę.

– Matki.

– I głowy Adeli.

– Pechowa rodzinka.

– Właśnie temu musimy się przyjrzeć. Miałaś poszperać tu i tam.

– Szperam. Czekam na dane ze szpitali, żeby dowiedzieć się, na co umarła ich matka. Jeśli zaś chodzi o tę katalepsję i ataki bólu Biernackiej...

– Tak, dziecinko?

– Wątpię, żeby chociaż w połowie były tak uciążliwe, jak o nich mówi. Skoro jest w stanie usiąść za kierownicą, nie może być aż tak źle.

– Chyba że robi to dla swojej siostry. Ryzykowała życie, wskakując za kółko i szukając jej po ulicach. Tak było?

– Podobno.

– To się nazywa poświęcenie, Shi.
– Wzruszające.
– Mnie też zbiera się na płacz. Dlatego w tym wszystkim musi tkwić coś więcej i ty masz się tego dowiedzieć.

Shi skrobnęła coś w swoim notesie.

– Obstawiam, że Biernacka chciała mieć ich na oku. Miriam i jej męża – stwierdziła.

Nauman podszedł do drukarki i wyjął z niej kartkę papieru. Położył ją przed Shi, dokładając jeszcze długopis.

– Masz godzinę, żeby zapisać dziesięć powodów, dla których ktoś miałby interes, by sprzątnąć tę dziewczynę. Weź pod uwagę wszystkich z jej otoczenia, nie tylko siostrę.

– Chce pan, żebym zgadywała?

– W zabójstwie wszystko zaczyna się od motywu. Puść wodze fantazji, choć zapewniam cię, Shi, rozwiązanie okaże się banalnie proste. – Nauman położył dłoń na teczce z napisem „Miriam Macharow”.

– Byłoby mi o wiele łatwiej, gdyby choć jedna z tych osób mówiła całkowitą prawdę.

– Wtedy zamknęlibyśmy ten bajzel. Ja wyjechałbym na Hawaje, a ty pewnie do swoich.

– Na Bakalarską?

– Miałem na myśli Hanoi.

– Nie mam nikogo w Hanoi. Wszyscy moi stacjonują na Bakalarskiej. A co do tych dziesięciu powodów, to co z kanapkami i kawą?

– Wyręczy cię któryś z moich przyjaciół. Ty rób swoje. Chcę poznać każdy, nawet najbardziej absurdalny pomysł, jaki ci przyjdzie do głowy. I radzę ci się pośpieszyć. – Nauman ponownie skonfrontował swój zegarek z tym ze ściany. – Czas nam ucieka, dziecinko.

Sam wyjął z marynarki portfel, a z niego dwudziestozłotowy banknot, po czym wyszedł z nim na korytarz.

– Halo, przyjacielu! – zawołał do wbiegającego właśnie po schodach młodego policjanta. – Tak, ty, do ciebie mówię.

KONRAD

Zatem już wiedzą. Po wizycie w komisariacie Adela nie omieszkała zakomunikować mi, że znają naszą przeszłość. Wiadomo było, że w końcu się do niej dokopią, ale nie przypuszczałem, że zaczną nią terroryzować kogokolwiek z nas. Powiem wprost: to, co się kiedyś wydarzyło z Adelą, nie miało żadnego znaczenia dla mojego związku z Miriam. Co więcej, ten cały przypał z niedoszłym ślubem wymazałem z pamięci na tyle skutecznie, że całkiem go zbagatelizowałem, i do głowy mi nie przyszło, by o nim wspominać podczas przesłuchania. Teraz również nie mam zamiaru robić z tego wszystkiego dramatu na taką skalę, jak robi to Adela. Zwłaszcza że mam co innego do roboty.

Za trzy dni odbędzie się pogrzeb Miriam. Urna jest już gotowa, piękna, z czarnego marmuru. Nie chcę żadnego metalu ani podpicowanego plastiku. Miriam zasługuje na wszystko, co najlepsze.

Garnitur też już mam. Ciemnoszary w delikatne prążki. Ten sam, w którym brałem ślub. Chcę go mieć na sobie również w tym smutnym dniu. Wisiał w szafie przez ostatnie cztery lata zupełnie nieużywany, więc jest wciąż w dobrym stanie. Po weselu od razu trafił do pralni. Tam go odświeżono i wyprasowano. Tych kilka brunatnych plam, które pozostały po idiotycznej scysji z Adelą zaraz po północy, też dokładnie usunięto. Niestety, ale cios wyprowadzony przez nią prosto w mój nos okazał się nad wyraz celny i popłynęło parę kropli krwi. Na szczęście kość nie została złamana. Krwawienie ustało po kilku minutach. Kelnerka z wynajętej firmy cateringowej natychmiast zareagowała i mimo moich zapewnień, że jako lekarz sam sobie z tym problemem świetnie poradzę, zaprowadziła mnie do kuchni. Odchyliła mi do tyłu głowę i przyłożyła do czoła lód. Po kwadransie nie było śladu po walce i Miriam, zajęta zabawianiem gości, niczego nie zauważyła. Oprócz tego, że krzesło Adeli do końca wesela pozostało puste.

Na metalowym wieszaku od garnituru wisi mała koperta. Gdy ją otwieram, wzruszenie bierze górę. To liścik, który Miriam wręczyła mi zaraz po tym, jak usłyszeliśmy „Gorzko! Gorzko!”. Przeleżał w kieszeni, zapomniany. „Nie mogę się doczekać naszych kolejnych rocznic”.

Tak niewiele ich było.

Nawet nie wiesz, jak mi przykro, Miriam. Kto mógłby przypuszczać, że nasz związek skończy się tak tragicznie.

Długo się zastanawiałem nad tym, czy nie powinienem wziąć kilku dni wolnego na czas przygotowań do pogrzebu i zaraz po nim. Ludzie robią tak z dwóch powodów. Żeby przeżyć w spokoju żałobę albo żeby inni dali im spokój. Komentarze w stylu: „Nie rozumiem, jak mogłeś tak szybko się pozbierać, ja bym chyba nie potrafił”, owszem, potrafią, ale tylko dobić. Postanawiam wziąć wolne dopiero po ceremonii. Myślę, że dwa dni w zupełności wystarczą.

Na dziś mam zaplanowany zabieg w klinice, tym razem liposukcję. Nie mogę jej przełożyć. Zauważyłem, że odkąd sprawa z zaginięciem Miriam stała się publiczna, z mojego kalendarza zniknęła blisko połowa konsultacji, a co za tym idzie, mój grafik operacji też się skurczył. Jakie były powody rezygnacji z moich usług? Dość oczywiste: słynny pan doktor maczał palce w zniknięciu własnej żony. Musiałem naprawdę fatalnie wypaść w pierwszym *Gdziekolwiek...* i ludzie po swojemu zinterpretowali moje rozdrażnienie całą sytuacją. Drugie wystąpienie w programie zamiast poprawić mój wizerunek, najwyraźniej wypadło jeszcze gorzej. Tak czy inaczej, nie stać mnie na przekładanie żadnego z zabiegów.

Odwieszam garnitur i zbiegam po schodach z kluczami do auta.

Do kliniki docieram w momencie, gdy instrumentariuszka zaczyna rozkładać narzędzia. Proszę o pół godziny zwłoki. Zamykam się w swoim gabinecie i wołam Stana. Zjawia się natychmiast, w przeciwieństwie do mnie radosny jak skowronek. Na widok mojej poszarzałej gęby poważnieje. Zdecydowanie wolę jego poprzednią wersję. Poza tym wystarczy, że jeden z nas się męczy. Drugi nie musi.

– Nie bądź taki posępny, Stan – mówię. – Powiedz lepiej, co to za harce wyczyniasz nocami na tej swojej wiosce. Draniu ty.

Ostatnimi czasy nie wiem właściwie, co u niego słyhać, poza tym, że regularnie wikła się w jakieś buddyjskie mityngi, nuci pod nosem *Hare Krishna* i pije mleko z cynamonem. Też raz spróbowaliśmy z Miriam – za jego gorącą namową. Wyplułem wszystko po pierwszym łyku, Miriam była bardziej wytrwała. Wyszńczyła to świństwo do ostatniej kropli. Stan był wniebowzięty.

Teraz też się uśmiecha. Znam ten jego uśmieszek: uniesiona prawa część ust, lewa zupełnie sztywna. Chce mi coś powiedzieć, ale najpierw musi zbudować napięcie.

– Mów, chłopie! Cokolwiek... Daj staremu kumplowi odrobinę radości. Choć na chwilę chcę przestać myśleć o pożarach samochodów, pogrzebach i przesłuchaniach.

– Co konkretnie chciałbyś usłyszeć?

– Chociażby o tej dziewczynie od czerwonego lakieru do paznokci. Jeszcze od ciebie nie uciekła?

Stan siada na wąskiej kozetce, na której od czasu do czasu przysypiam między zabiegami. Zakłada nogę na nogę i splata na kolanie palce dłoni.

– Nie odpuścisz, co?

– Nie zamulaj, tylko gadaj.

– Wiesz, jak nie lubię opowiadać o tym, co robię po godzinach.

– Wiem. Cholerny Dexter z ciebie – drwię, wyobrażając sobie Stana szalejącego z siekierą po mieście i mówiącego „Dziś jest ta noc”.

– Ta od lakieru...

– Jakoś się nazywa czy tak już będziemy o niej mówić: ta od lakieru?

– Ma na imię Pat...

– ...rycja? – kończę.

– Po prostu Pat.

– Pat i Stan. Nieźle. Jak z czeskiej bajki o sąsiadach.

– W bajce byli Pat i Mat.

– Nieważne. Więc co z nią?

– Mieszka u mnie.

– Zdążyłem się już domyślić. Od dawna?

– Od kilku tygodni.

– Poważna sprawa. Jak na twoje możliwości, to niemal złote gody.

– Spierdalaj.

Cieszę się jego szczęściem, widząc, że znów się uśmiecha. Jednak zauważam w nim zmianę. Dawny Stan chwaliłby się wspólnym zamieszka-
niem jak wariat i co chwilę popadałby w euforię. Dawny, czyli ten sprzed
jeszcze roku, będący przy kości. Nowy Stan, odchudzony o ponad trzydzie-
ści kilo, jest wystudzony i radość okazuje dużo bardziej zachowawczo.

– Wolaleś o tym nie mówić, żeby nie zapeszyć? – strzelam w ciemno. –
Bałeś się, że dziewczyna zwieje, jak poprzednie?

– Pat nie jest jak poprzednie. I nie zamierza zwiewać.

– Tego nie wiesz.

– Zostanie ze mną na zawsze.

– I dlatego zamierzałeś mi ją przedstawić dopiero, jak będziesz na emeryturze? Niezły z ciebie chytrus. Ale jeśli jest tak dobra, jak o niej mówisz, to w pełni popieram. Dobre dziewczyny powinny trzymać się z dala od takich łajdaków jak ja. Pokaż mi tę Pat. Masz chyba zdjęcie?

Stan się waha.

– Wolałbym nie.

– A ja wolałbym, żebyś przestał się zachowywać jak bojaźliwa dziewczica. Od kiedy to masz przede mną tajemnice, co, Stan? Pokaż mi Pat. W przeciwnym razie nie uwierzę, że w ogóle istnieje.

– Umówmy się, że zobaczysz ją raz i na tym koniec. Nie będziesz też więcej o nią wypytywał.

– Jak sobie życzysz, stary. Twoja panna, twoje zasady.

Przełykam gorzką pigułkę, ale prawda jest taka, że od nocy, gdy zaginęła Miriam, między mną a Stanem zaczęło się luzować. Najpierw niezauważalnie, choć może sam na początku nie chciałem tego dostrzec. Gdy znaleziono zwłoki Mi, zachowywaliśmy już tylko pozory naszej przyjaźni, a to, co nas łączyło, przypominało raczej wymianę informacji o całej sprawie aniżeli kumpelską relację. Ale i te pozory już powoli topnieją. Czuję, że mam przeciwko sobie klientów kliniki, Adele, policję, no i jego, choć jeszcze ciągle brak mu odwagi, by mi to powiedzieć wprost. W końcu wciąż trzymają nas ze sobą wspólny biznes oraz pieniądze, za które Stan utrzymuje swoją Aranyę i, jak się właśnie dowiedziałem, Pat.

Z naszej wspólnej szafki, w której obaj trzymamy ubrania (własnej sobie nie zdążył jeszcze kupić), Stan wyjmuje telefon. Kilkoma kliknięciami w ekran wywołuje katalog ze zdjęciami, po czym podsuwa mi jedno z nich.

– To ona – mówi z ewidentnym zakłopotaniem.

Pat siedzi na rowerze, jest ubrana w czerwoną sukienkę i sportową czapkę z daszkiem. Na stopach ma adidasy. Jej ciemne długie włosy sięgają łopatek i spływają na część policzka, ale nie na tyle, by zasłonić różowe, lekko rozchylone usta. Zdjęcie nie jest bardzo wyraźne, bo robione pod słońce, ale i bez ostrości widzę, jak bardzo jest piękna. I już rozumiem, dlaczego Stan chce ją trzymać z dala ode mnie. Zna historię moją, Adeli i Miriam.

Na końcu języka mam pytanie o to, jak znalazł takie cudo, ale się powstrzymuję.

– Dbaj o nią – mówię tylko i oddaję mu telefon. – Dużo bardziej, niż ja dbałem o Miriam.

– Nie zasługiwałaś na nią.

Niechący lub celowo, ale wreszcie to z siebie wyrzucił. Każdy pęcherz, w którym zbiera się ropa, pewnego dnia musi pęknąć. Ten rósł w moim przyjacielu przez całe sześć miesięcy.

– Nie zapędzaj się, Stan.

– Była wyjątkowa, a ty nie umiałeś tego docenić.

Ta rozmowa przestaje mi się podobać.

– Powinienem się przygotować do operacji – mówię, żeby nie dać się do końca sprowokować. – Idź już i zostaw mnie samego.

Stan jeszcze przez chwilę patrzy na zdjęcie swojej dziewczyny. Nie widzę wcześniejszego zachwytu w jego oczach. Spogląda na nią dość obojętnym wzrokiem, jedynie z ledwie wyczuwalną miękkością. Tak patrzy się na ładny obraz w galerii lub na szczeniaka, którego widzi się w przejeżdżającym obok aucie. Ale na pewno nie na kogoś, kogo kocha się do szaleństwa. Może Stan nie potrafi już kochać, choć bardzo się stara. To, że się z kimś mieszka pod jednym dachem, też nie jest równoznaczne z miłością.

Dostrzegam coś jeszcze. Na jego dłoniach, w których trzyma telefon, widoczne są małe zażółcone wypukłości. Odciski, które dopiero co zaczęły kiełkować spod skóry. Domyślam się, że praca w jego samotni nie należy do lekkich, a on nie chce włączać do niej Pat. Traktuje tę kobietę jak okaz rzadkiego ptaka, którego nie chce płoszyć żadnymi wymaganiami, by zniechęcony nie odfrunął. Chyba wszystko już rozumiem. Szkoda mi tego romantycznego idioty, ale to jednak nie najlepszy moment, żeby wypytywać go o to, co tak naprawdę się między nimi dzieje. Jedyne, co mógłbym mu teraz zaoferować, to użytek z moich mięśni przy pracy w jego dziczy. Mnie samemu też przydałaby się jakaś odskocznia od mojej własnej sytuacji, ale przecież wiem, że Stan odmówi. Nie wpuści mnie do swojego sanktuarium. Zwłaszcza teraz, gdy urzęduje w nim Pat.

Mimo że dałem mu delikatnie do zrozumienia, by sobie poszedł, wciąż tu jest.

– Coś jeszcze? – pytam.

Zwykle gdy ludzie słyszą „Coś jeszcze?”, automatycznie odpowiadają „Nie, to wszystko” i ulatniają się. Stan się nie ulatnia.

– A ten drugi telefon – mówi, mrużąc oczy. – Mam na myśli osobę, która zadzwoniła do *Gdziekolwiek jesteś*.

– Jakaś starsza kobieta.

– Tak. Mówiłeś, że się do niej odezwiesz.

– Mówiłem, że się zastanowię.

– I? Zastanowiłeś się?

– Nie teraz, Stan. Nie mam do tego głowy.

– Mija druga doba. Nie interesuje cię, co ta kobieta ma do powiedzenia?

Stan nawet nie wie, jak bardzo mnie to nie interesuje. Może dlatego, że dobrze wiem, co usłyszę.

– Starsi ludzie mają skłonność do konfabulacji i tragizowania – odpowiadam, sięgając po klucz do drzwi gabinetu. To kolejny sprawdzony sposób, by pozbyć się kogoś, kto powinien znaleźć się już na zewnątrz. Stan jednak ani drgnie. – Ale to miłe z twojej strony, że rozliczasz mnie z tego, co robię dla Miriam.

– Sprawa jest poważna, a ty pajacujesz.

– Moja żona nie żyje, a staruszka kłamie – ripostuję. – Czego nie rozumiesz?

– Ciebie. Zastanawia mnie, jak możesz żyć w takiej niepewności.

– Dobrze – mówię na odczepnego. – Zadzwoń później, wieczorem.

– Zrób to teraz. Przy mnie.

Mimo całej miłości, jaką mam do Stana, coraz bardziej mam ochotę mu przyłożyć. Odnoszę wrażenie, że z każdą minutą posuwa się za daleko.

– Nie podoba mi się to, co robisz – mówi, patrząc mi centralnie w źrenice. – A właściwie to, czego nie robisz. Bo musi być jakiś powód, dla którego tak bardzo nie chcesz dowiedzieć się...

Nie kończy, bo nie może. Miałem trzymać ręce przy sobie, ale zamiast tego tracę nad sobą kontrolę i zaciskam je na kitlu Stana, tuż pod jego szyją.

– Daj mi do niej numer, a sam to zrobię – syczy, łapiąc powietrze.

Nigdy dotąd, a znam go grubo ponad dwadzieścia lat, nie użyłem wobec niego siły. Dochodziło między nami do spięć o te maltretowane żaby z Wawra, a potem o to, kto jest lepszy: Legia czy Polonia, ale zwykle kończyło się na szczeniackich pyskówkach, które w rezultacie zaczynały być tak głupie, że aż śmieszne. Po wszystkim szliśmy na kebab do Sułtana i zapominaliśmy o sprawie. Przynajmniej do kolejnego meczu.

Tym razem czuję, że na pyskówce może się nie skończyć. Stan najwyraźniej szykuje się do solidnej szarpaniny, bo wciąż powtarza to samo: że za mało interesuję się sprawą Miriam.

– Daj mi numer – charczy.

Jest w tej przedziwnej sytuacji coś, co już po chwili nakazuje mi poluzować palce. Dociera do mnie bowiem, że mam przecież przed sobą nowego

Stana, emocjonalnie wywróconego na drugą stronę przez związek z Pat. Uaktywniona opiekuńczość nakazuje mu stanąć po stronie słabszych, i to właśnie się dzieje na moich oczach. Co natomiast robi jego najlepszy kumpel? Z wdzięczności za troskę o zmarłą żonę zaciska mu palce na gardle.

– Wybacz, stary – mówię. Puszczam go i wyglądam pomietą część jego kitla. – Zachowałem się jak idiota. To nie powtórzy się nigdy więcej.

– Dzwon.

– Za dwie minuty muszę zacząć szorować ręce do zabiegu. – To moja ostatnia próba wymigania się.

Stan jest przeczulony na punkcie punktualności, więc chociaż to powinno go ruszyć.

– Zdążysz.

Nie pozostaje mi nic innego niż wyjąć telefon i odszukać kartkę z numerem do starszej pani. W głębi duszy mam nadzieję, że nie odbierze, ale już po dwóch sygnałach słyszę lekko zachrypnięty głos. Ustawiam telefon na głośnomówiący. Chcę, by Stan był świadkiem tej rozmowy, bo w przeciwnym razie nie da mi spokoju.

Przedstawiam się i od razu kajam się za to, że nie zadzwoniłem zaraz po programie. Zasłaniam się pilnymi sprawami rodzinnymi i przygotowaniem do pogrzebu, co w tej sytuacji musi wypaść wiarygodnie. Dodaję, że jestem bardzo wdzięczny za chęć pomocy, ale jeśli coś jej się przywidziało lub zdawało, to oczywiście rozumiem i nie ma sprawy.

– Widziałam ją. – Kobieta charkocze. Jak na moje oko, ma zapalenie krtani. – Widziałam pańską żonę – powtarza.

– Na pewno słyszała pani, co powiedziałem w programie. Moja żona nie żyje.

– Słyszałam. Ale teraz niech pan posłucha mnie. To było dwa dni przed nagraniem, w sobotę. Wtedy ją zauważyłam.

Spoglądam porozumiewawczo na Stana. Już chyba dotarło do niego to, co mówiłem mu o starszych ludziach. Wizerunek Miriam został na tyle rozpowszechniony w mediach, że u kobiety wystąpił efekt paramnezji, typowe zaburzenie wspomnień.

– To musiał być ktoś inny – tłumaczę spokojnie, wypychając jednocześnie Stana z gabinetu. Wsuwam klucz do zamka i kieruję się do windy. Rozmowa i tak zaraz się skończy, a ja powinienem już mydlić ręce do zabiegu.

– Metro Stare Bielany, było wtedy kilka minut po piętnastej. Stała na peronie. Wyglądała na wystraszoną. Rozglądała się na boki, jakby bała się, że ktoś za nią idzie.

Mam zamiar rozłączyć rozmowę, ale Stan mnie powstrzymuje.

– Widziałam ją dokładnie. Poznałam, choć miała inne włosy niż na zdjęciu, które pokazywano w programie. Nadal jasne, ale krótkie. I chudsza była, bardzo mizerna. Jakby zmęczona.

– Miriam za nic nie ścięłaby włosów – mówię bardziej do Stana niż do kobiety z telefonu.

Ona jednak też wszystko dokładnie słyszy.

– Może musiała to zrobić? – sugeruje.

– Musiała?

– Żeby zmienić wygląd. Odwrócić od siebie uwagę, wtopić się w tłum.

– I mimo tych starań pani ją rozpoznała. Czy to nie dziwne?

– Może dla pana tak, ale nie dla mnie. Pańska żona jest w wieku mojej najmłodszej córki. Nie widziałam jej od lat, choć mieszkamy na sąsiadujących osiedlach. Postanowiła mnie unikać, jakby się mnie wstydziła. Tylko co jakiś czas zadzwoni, zwłaszcza wtedy, gdy brakuje jej na życie.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z Miriam.

– Nic. Staram się tylko wytłumaczyć panu, że nie mam omamów. Wypatruję jej, swojej córki. Wszędzie, bo przecież musi się jakoś poruszać po okolicy. Mam nadzieję, że pewnego dnia ją spotkam. Przyglądam się młodym kobietom, które są do niej podobne. Szczupłe, z jasnymi włosami i z...

– Nie chcę być niemiły, ale muszę kończyć – mówię, bo winda stoi już na moim piętrze. – Jeszcze raz dziękuję za dobre chęci.

– Jednak mi pan nie wierzy.

– Ja pani wierzę. – To Stan, który odbiera mi telefon i nie pozwala wsiąść do dźwigu. – Proszę powiedzieć coś więcej. Co konkretnie pani widziała wtedy w metrze?

– Kim pan jest? Nie wiem, z kim rozmawiam.

– Stan Koch. Miriam była moją przyjaciółką. Razem z jej mężem prowadzimy klinikę. Chcemy się dowiedzieć o wszystkim, co może dotyczyć zaginięcia Miriam.

– Z tą różnicą, że pan, w przeciwieństwie do męża zaginionej, daje wiarę moim słowom. Musi być pan rozsądnym i dobrym człowiekiem.

– Staram się.

Stan jest rzeczywiście dobrym człowiekiem. I do tego niezwykle cierpliwym.

– Wsiadła do pociągu czy opuściła stację? – Stan ciągnie temat.

– Wsiadła do ostatniego wagonu. Ja zrobiłam to samo. Jechałyśmy w jedną stronę.

– W którą? Na północ czy na południe?

– Na północ. Wsiadła na ostatniej stacji metra.

– Młociny.

– Tak. Tam nasze drogi się rozeszły. I pewnie zapomniałabym o całym zdarzeniu, gdyby nie pewien drobiazg.

Kręcę z niedowierzaniem głową i bezgłośnie żądam, by Stan zwrócił mi telefon. Odsuwa się ode mnie o kilka kroków, poza zasięg moich rąk.

– Proszę powiedzieć.

– Wspomniałam już, że przyglądam się młodym kobietom, które przypominają moją córkę. Ostatnim razem, gdy się do mnie odezwała, a było to dwa miesiące temu, wspomniała, że jest w ostatnich tygodniach ciąży.

– Miriam nie była w ciąży – mówię, próbując dać im do zrozumienia, że ta rozmowa zakrawa na obłąd. – Możemy zakończyć już tę bezsensowną dyskusję?

– Jak pan sobie życzy. – Kobieta chrypi już tak bardzo, że od słuchania jej głosu mnie samego zaczyna boleć gardło. – I, owszem, ma pan rację. Pańska żona nie była w ciąży.

– To chyba zamyka temat.

– Pan naprawdę nie rozumie, co staram się panu przekazać? Pańska żona już nie była w ciąży. Miała przy sobie niemowlę. Maleńkie, trzymała je przed sobą w nosidełku. Jej piersi były nabrzmiące. Przez lekką bluzkę wszystko widać, zwłaszcza jak pojawi się na niej plama z mleka. Laktacja, rozumie pan? Proszę mi nie przerywać, tylko słuchać. Rozumiem, że to, co teraz mówię, może być szokujące, ale niech się pan tylko zastanowi. Ile czasu minęło od jej zniknięcia? Pół roku? Co, jeśli nie zdążyła panu powiedzieć, że spodziewa się dziecka? Może nawet sama jeszcze o tym nie wiedziała albo wolała poczekać z tą informacją, aż potwierdzi swoje przypuszczenia u lekarza. Z tego, co pan mówił w studiu, to wszystko wydarzyło się w rocznicę waszego ślubu. Może akurat wtedy chciała to panu wyznać. Chyba się pan ze mną zgodzi, że to idealny moment, by zrobić mężowi niespodziankę. Halo, jest pan tam?

ADELA

Gliny wiedzą już o mojej przeszłości i związku z Konradem. Nie trzeba być geniuszem dedukcji, by się domyślić, że to nie stawia mnie w najlepszym świetle, jeśli chodzi o motyw zaginięcia Miriam. Konrad również jest na celowniku, z tą różnicą, że on z presją radzi sobie o wiele lepiej ode mnie. Psychika w takich sprawach jest kluczowa, a u mnie z nią wyjątkowo kiepsko.

Odkąd usłyszałam słowo „proces”, zaczęło też do mnie docierać, że nie ominie mnie konfrontacja z dowodami, a co gorsza, z domysłami, jakie przedstawi mi prokuratura. Wybronię się przed nimi albo polegnę, innych opcji brak. Uznałam więc, że czas zacząć się przygotowywać do tego, co bez wątpienia wkrótce nastąpi.

Na dzisiejszy poranek zaplanowałam wizytę u coacha od asertywności. Wykupiłam dwie pełne godziny, żeby przynajmniej spróbować, jak to jest umieć o sobie zawalczyć. Mam świadomość, że przede mną długa droga, ale od czegoś muszę zacząć, zwłaszcza że potrzebuję tego jak diabli, co uświadomiła mi wizyta Shi Lu. Nie wybroniłam się, bo nie umiałam. Jak ostatnia ciemiega pozwalałam jej mieszać mnie z błotem, zamiast wyjaśnić, jak naprawdę było z tymi plakatami.

Prawda jest taka, że większość z nich rozwiesiłam w mieście. Kilka zostawiłam jednak celowo. Chciałam, aby zawisły w miejscach, gdzie prze-wija się jak najwięcej ludzi. A chyba nie ma na to lepszej lokalizacji niż witryny wielkich galerii handlowych. Wędrowałam z tym rulonem od centrum do centrum, prosząc o zgodę, ale żaden z zarządców nie wyraził chęci na umieszczenie wizerunku Miriam w sklepowych witrynach – „Smutek źle się sprzedaje, nie wie pani o tym?”.

Fakt. W tych plakatach nie było nic wesołego. Mogłaby przez to ucierpieć sprzedaż gaci albo perfum. Lepiej jest wywiesić baner z wyretuszowaną i szczerzącą się do klienta modelką z przekłutym pępkiem.

Co do braku adnotacji w notesie, to byłam pewna, że umieściłam je wraz z opisem poziomu bólu. Pamiętam, że wcześniej wzięłam ziołową kąpiel.

Miała mnie rozluźnić i złagodzić napięcie w głowie. Przesiedziałam godzinę w wannie, aż skóra na palcach zaczęła mi się marszczyć. Potem złapałam jakieś czasopismo po angielsku. Celowo, bo tylko po angielsku czytam wolno, a zależało mi na tym, żeby zabić pływające kwadransy. Ani zioła, ani czytanie nie pomogły, bo zaczęło mnie porządnie łupać w skroniach. Połknęłam pigułki i właśnie siadałam do mojego notesu, kiedy ten rudy chłopak sąsiadów zaczął wrzeszczeć na kota. Wyjrzałam na ulicę i odłożyłam długopis.

Ale zamiast spokojnie opowiedzieć o tym wszystkim Shi Lu, spanikowałam. Zachowałam się jak typowy cykor, który ma coś na sumieniu.

Jestem pewna, że gdyby to samo przytrafiło się Miriam, wybrnęłaby z takiej sytuacji bez najmniejszego zadraśnięcia. Moja siostra wiedziała, jak ma się zachować. Może tylko raz straciła pewność siebie – przed swoim ślubem, tym, o który niby miałam być tak bardzo zazdrosna.

Nasza matka bardzo chciała dożyć dnia, w którym ja, jej mniej udane dziecko, ułożę sobie życie i zniknę jej z oczu. Ciężyła jej – tak myślę – świadomość, że to może nigdy nie nastąpić, więc tym bardziej ucieszyła się na wieść, że zamierzamy się z Konradem pobrać. Jej radość trwała krótko, bo na scenę nagle wjechała Miriam. Śmiało i bezceremonialnie. Matce się to nie spodobało. To był pierwszy i jedyny raz, kiedy zwróciła się przeciwko niej. Czy to mnie zaskoczyło? Jasne, że tak. Od zawsze faworyzowała Miriam. Była jej pierwszym dzieckiem, a te matki kochają szczególną miłością. Jednak tym razem wściekła się na nią tak, że postanowiła zbojkotować całą ceremonię. To uderzyło w Miriam do tego stopnia, że rozryczała się przed uroczystością. Mało brakowało, a wzięłaby ślub z rozmazanym tuszem pod oczami. Wkrótce potem matce zaczęło się coraz bardziej pogarszać i szanse na ich porozumienie zmalały. Słabła z tygodnia na tydzień. Miriam była pewna, że to przez nią. Zarządziła sprzedaż mieszkania, w którym wciąż stacjonowałam z matką, i przeprowadzkę na Rukoli, żebyśmy wszystkie były blisko siebie. Jakby to miało w jakikolwiek sposób uchronić matkę przed najgorszym.

Więc tak, wtedy przed ślubem to był jeden jedyny raz, kiedy Miriam straciła pewność siebie. Z poczucia winy.

Ja żyję z nim od lat, ale jeżeli istnieje szansa, że się go pozbędę i na powrót stanę się sobą, to nic mnie nie powstrzyma.

Pora skończyć z tym, że czuję się gorsza.

Chcę poczuć dumę z tego, kim teraz jestem.

Chcę, żeby wreszcie coś zależało ode mnie, nie tylko od innych.

STAN

Informacja o tym, że ktoś widział Miriam w podziemiach metra, zwała mnie z nóg. Jednak o wiele bardziej wstrząsnęło mną zachowanie Konrada. Kiedy skończyliśmy rozmowę ze starszą panią, powiedział:

- Zapomnij o tym i nie wracajmy więcej do tego tematu.
- Nic z tym nie zrobisz? – zapytałem, nie wierząc w to, co mówi.
- Nie zamierzam nawet kiwnąć palcem. Za dwa dni odbędzie się pogrzeb, zgodnie z planem.

Sam jeszcze kilka dni temu wierzyłem, że zwęglone ciało należy do Miriam. Cokolwiek zasugerował Konrad, przyjmowałem to bez mrugnięcia okiem. Byłem nawet skłonny dać wiarę temu, że zanim spłonął jej morris mini, popełniła w nim samobójstwo. Już od pewnego czasu była rozkojarzona i roztargniona, więc, owszem, istniało prawdopodobieństwo takiego kroku.

Kiedyś zauważyłem u niej świeżo zabliźnione nacięcia nad lewym nadgarstkiem. Za głupich lat robiło się je dla szpanu zapałką, bo po żyletce lub scyzoryku nacięcia nie były aż tak efektowne. Dorośli podobnych rzeczy nie robią, jeśli nie mają powodu. To, że Miriam uszkadzała swoje ciało, stanowiło więc jasny sygnał, że tylko pozornie jest szczęśliwym człowiekiem. Więc, owszem, miała powody, żeby zrobić kolejny krok i się zabić.

Dobrze pamiętam pewną sytuację, która mogła mieć z tym coś wspólnego. To było cztery miesiące przed jej zniknięciem, dokładnie siódmego listopada. Akurat kilka dni wcześniej Miriam odstawiła swoje prochy, a brała je regularnie, odkąd zmarła jej matka. Podobno czuła się gotowa na powrót do normalnego życia. Na moje oko było inaczej. To zaś, co wydarzyło się w tamten późny wieczór, tylko mnie w tym utwierdziło.

Dochodziła północ, a my z Miriam siedzieliśmy w klubie karaoke (RockHouse czy SongHouse, jakoś tak...). Lubiła popisywać się przed mikrofonem, czego Konrad wręcz nie znosił, więc od czasu do czasu prosił mnie, bym to ja jej towarzyszył. Nigdy mu nie odmawiałem, toteż i tym razem się zgodziłem.

Wszystko przebiegało jak zwykle. Przyjemny klimat, dobra muzyka i kolorowe drinki. Miriam dużo się śmiała i niecierpliwie czekała na swoją kolej na scenie. Kiedy już się dorwała do mikrofonu, stała przy nim przez cztery piosenki z rzędu. Puszczano szlagiery z lat osiemdziesiątych. Całkiem niezłe. Ale Miriam wstawiła się trochę za mocno i wciąż myliła słowa. Na początku to było nawet zabawne, ale szybko przestało. Każdy, kto doświadczył przyjemności słuchania śpiewu człowieka będącego na gazie, dobrze wie, o czym mówię. Ściągnąłem ją stamtąd po piętnastu minutach. Nie protestowała. Opadła na krzesło i łapiąc szybkie oddechy, powiedziała:

– Wykończyłam moją matkę.

Myślałem, że się przesłyszałem. Muzyka wyła, ludzie wrzeszczeli, więc o pomyłkę nietrudno.

– Co zrobiłaś? – krzyknąłem jej do ucha.

– Moja matka umarła przeze mnie.

Pamiętam, że na chwilę najzwyczajniej w świecie mnie zatkało.

– Jesteś pijana. Nie wiesz, co mówisz.

– Wiem doskonale. Zabiłam ją.

– Do tego masz syndrom odstawienia leków. Przyniosę ci wody, to może otrzeźwiejesz.

Wstałem od stołu z zamiarem pójścia do baru, ale pociągnęła mnie za rękaw i przytrzymała.

– Usiądź, Stan, i mnie wysłuchaj. Muszę to wreszcie wyznać komuś bliższemu – powiedziała, nachylając się nad blatem, na którym stało chyba z dziesięć pustych kieliszków. – Muszę ci zdradzić tajemnicę dotyczącą mnie samej.

– Za dużo alkoholu, Miriam. Pogadamy, jak wytrzeźwiejesz.

– Wtedy nie dam rady. Muszę teraz. Siadaj i nie ruszaj się przez pięć minut. Możesz?

Miałem wrażenie, że rozgląda się na boki, jakby kogoś wypatrywała albo jakby chciała się zorientować, czy ktoś będzie słyszał to, co zamierza powiedzieć.

– Wiesz, jak bardzo była chora. – Miriam oparła się łokciami o blat stołu. – Pamiętasz, jak ściągnąłeś dla niej ten proszek z Tybetu?

Tak naprawdę nie był z Tybetu. Dałem jej zwykły piołun, by oczyścić organizm matki Miriam z toksyn. Przy okazji napomknąłem, że proszek ma cudowne właściwości i działa również na mózg.

– Miał jej pomóc, a zamiast tego matka przez trzy doby męczyła się z zaśnięciem. Zaczęła też mieć halucynacje – powiedziała z wyrzutem Miriam.

– Efekt uboczny – przyznałem.

– Mogłeś uprzedzić. Wydawało się jej, że jest ptakiem. Leżała z rozłożonymi rękami i patrzyła w sufit, mówiąc, że ma pod skrzydłami Himalaje. Mało brakowało, a przysłoby jej do głowy stanąć na parapecie. Tyle było w tym dobrego, że kiedy miała te swoje zwidy, ciało przestawało odczuwać ból. Ale potem wracał jej rozum, a razem z nim cierpienie. Wiesz, Stan, jak to jest, kiedy ktoś bliski męczy się, a ty nic nie możesz z tym zrobić? Jasne, że wiesz, przecież jesteś lekarzem. Co prawda nie onkologiem, ale coś tam ci świta.

– Co nieco – przytaknąłem skwapliwie.

Na chwilę przerwała i zaczęła zaglądać do każdego z kieliszków w poszukiwaniu resztek alkoholu. Nic nie znalazła, więc kiwnęła palcem na kręcącego się obok kelnera i zamówiła następną kolejkę. Najwyraźniej zamierzała wypowiedzieć się przede mną, będąc już na totalnym odlocie. Postanowiłem jej nie powstrzymywać.

– Dlatego musiałam to zrobić – wróciła do tematu, gdy tylko przełknęła shota. – Pomysł nie był mój. To Adela zasugerowała, że jest sposób, aby jej ulżyć.

– Od kiedy to Adela zna się na medycynie?

– Źle mnie zrozumiałeś. Chodziło jej o to, że naszą matkę zacznie leczyć nowy lekarz. Mówiła o nim „cudotwórca”. Miał jej pomóc, żeby nie cierpiała. Musiałam się tylko na to zgodzić. Podsunęła mi jakiś świstek do podpisu.

– Podpisałaś?

– Nie. Zostawiłam to Adeli. Powiedziałam, że zdaję się na nią i niech ona zadecyduje, co dalej. Chciałam, by wiedziała, że jej w pełni ufam. Nawet nie przeczytałam go dokładnie.

– Nie wiesz, co na nim było?

– Spojrzałam tylko na kilka pierwszych słów. Chodziło o to, że jako najbliższa rodzina zgadzamy się na tego nowego. Kwit był na wszelki wypadek, gdyby szpital zaczął się czepiać. Ten nowy miał przychodzić do matki regularnie, co wydawało się idealnym rozwiązaniem.

– Więc w czym problem?

– W tym, że matce już wkrótce po tej zmianie zaczęło się pogarszać. Dużo szybciej niż poprzednio.

– Chryste, Miriam...

– Nie przyszła nawet na mój ślub.

– Myślałem, że ze względu na Adelę.

– To też. Była na mnie wściekła za to, co zrobiłam.

– Dziwisz się?

– Ani trochę. Ale matka nie miała pojęcia, jak to naprawdę z nami było. Zmarła niecałe trzy miesiące po weselu. Przez kolejne tygodnie dręczyła mnie myśl, że to o wiele za szybko. Zdaniem lekarzy ze szpitala powinna żyć dłużej.

– To był rak, Miriam.

– Dawali jej szanse na kolejne dwa lata. Całe dwa lata. Rozumiesz, Stan?

– Nie możesz się o to obwiniać.

– Co ty wiesz... Straciłam czujność. Jak mogłam być tak głupia! Wiesz, co ten nowy napisał w karcie zgonu? Że zmarła z przyczyn samoistnych. Znalazłam tę kartę niedawno w jego rzeczach. Schowaną tak skrętnie, że...

– Zaraz... Jakim cudem...

– Rusz głową, Stan! – syknęła.

Miała łzy w oczach, a na twarzy wypisany wstyd tak wielki, że samo patrzenie na nią bolało.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Nie był nawet jej lekarzem! Zaczęłam szukać informacji, czy to, co zrobił, jest legalne, i czy karta zgonu jest w takiej sytuacji w ogóle ważna.

– I dowiedziałas się, że jeśli dyplomowany lekarz, nawet ten prywatny, prowadzi pacjenta przez trzydzieści dni, to wystarczy, żeby mógł stwierdzić jego zgon i wypisać stosowne dokumenty.

– Co do słowa. Wykiwali mnie jak dziecko.

Wyglądała jak siedem nieszczęść. Słodka i rozśpiewana Miriam stała się nagle brzydką i zasmarkaną kobietą, która wyciera nos brzegiem dłoni.

– Co mam z tym zrobić? – spytałem, bo dla mnie sama informacja o tym, co zrobił mój najlepszy przyjaciel w porozumieniu z Adelą, zupełnie nie zamykała sprawy.

– Jeszcze nie wiem. Na razie nie róbmy z tym nic.

To wyznanie musiało ją wiele kosztować. Czułem, jakby złożyła w moje dłonie całą siebie.

– Pomogę ci – zapewniłem. – Nie wiem jeszcze jak, ale coś wymyślę. Uwolnię cię od tego, Miriam.

Popatrzyła na mnie z wdzięcznością. Chyba mi uwierzyła.

– Tak mało jest ludzi, którym jestem w stanie zaufać – oznajmiła, a ja utwierdziłem się w swoich przeczuciach co do jej emocjonalnej kruchości. – Gdyby nie wy...

Spojrzałem na nią pytająco. Nie żebym rościł sobie prawo do bycia jej jedynym lojalnym przyjacielem. Najzwyczajniej w świecie byłem ciekawy, kogo jeszcze ma na myśli.

Opowiedziała mi o Ginie, która od czasów ich dzieciństwa jest dla niej niczym druga siostra. Mówiła dużo i wylewnie, na zmianę śmiała się i wzruszała. Nie zamierzałem jej przerywać. Słuchałem o tym, przez co razem przeszły i co scementowało ich zażyłość. Szybko stało się dla mnie jasne, że rzeczywiście tamta kobieta jest dla Miriam kimś wyjątkowym. Nie mam brata ani siostry, ale jestem sobie w stanie wyobrazić, co czuje ktoś, mówiąc, że gdyby miał powierzyć komuś swój największy skarb, nie powierzyłby go nikomu z biologicznego rodzeństwa, lecz komuś takiemu jak właśnie Gina. To dość dołujące, chyba każdy się ze mną zgodzi.

Kwadrans później wyszliśmy z baru. Wpakowałem ją do jednej takśówki, sam wskoczyłem do drugiej. Rozjechaliśmy się w przeciwnych kierunkach i przez kilka kolejnych tygodni nie widzieliśmy się ani razu. Unikałem jej. Przede wszystkim dlatego, że wciąż nie wiedziałem, jak mam zareagować, bo przecież wsadzenie Konrada i Adeli do pierdła w ogóle nie wchodziło w rachubę, a poza tym całkowicie i intencjonalnie wpadłem w wir buddyzmu. Miał być ucieczką od wszelkich brudów, jakie niósł ze sobą świat. Bez całkowitego oczyszczenia umysłu nie mogłem pójść dalej. Co gorsza, ten sam umysł wciąż podsuwał mi widok nacięć na przedramieniu Miriam. Nie zrobiła ich sobie przecież dla przyjemności ani tym bardziej przez przypadek.

Miriam cierpiała, a ja razem z nią. Coś jej przecież obiecałem, i to niejednemu raz.

Czy Konrad miał świadomość tego, że opowiedziała mi o wszystkim? Do tej pory tego nie wiem. To uprzytomniło mi też, że jeśli jedno z nich miałyby zabrać ten makabryczny sekret do grobu, to drugie będzie całkowi-

cie wolne. Z pewnym drobnym zastrzeżeniem co do tego „jeśli” – na gorszej pozycji w tym układzie zdecydowanie stała Miriam.

Gdy ślad po niej zaginął, wciąż miałem nadzieję, że jednak żyje. Przemysli wszystko i wróci. Przecież w końcu przygotowałem plan, który miał ją ocalić. Zajęło mi to trochę czasu, ale nic, co dobre, nie dzieje się na pstryknięcie palcami. Nawet go jej przedstawiłem. Szkoda, że się jej nie spodobał, bo opracowałem go w najdrobniejszych szczegółach.

Powinna była mi zaufać.

ADELA

Kurs asertywności okazał się klapą. Jestem już po dwóch tabletkach od bólu głowy, a mimo to wciąż wszystko we mnie pulsuje.

Na sesji kazano mi się położyć na podłodze, zamknąć oczy i przywołać w pamięci sytuację, w której byłam na kogoś wściekła. Przychodziło mi na myśl tyle epizodów, kiedy to wiałam się z gniewu i bezradności, że aż mnie to przeraziło. Zwykle ludzie mają w pamięci kilka podobnych spraw, które i tak z biegiem czasu bledną i przestają straszyć niczym widma. Ja mam takich widm dziesiątki, do tego wciąż żywych. Za cholerę nie chcą wyblaknąć. I to właśnie sobie dziś uświadomiłam, że jestem jedną wielką raną.

Leżałam więc na tej podłodze na wznak i wbijałam paznokcie w wykładzinę. Co pewien czas podnosiłam rękę i wycierałam brzegiem dłoni to jedno oko, to drugie. Instruktor mówił, że to dobrze, że trzeba się oczyścić, ale nie mógł przecież wiedzieć, że w każdym z moich złych wspomnień widziałam Miriam. Stała nade mną z pogardliwym uśmiechem, jakby знаła wszystkie moje porażki, i mówiła: „Ogarnij się wreszcie i przestań partaczyć życie sobie i innym”.

Nie trzeba być geniuszem, żeby dojść do wniosku, że całe moje życie podporządkowałam mojej starszej siostrze i jej opiniom na temat tego, co robię. Jakbym nie mogła sobie znaleźć większego autorytetu. Uczepiłam się jej niczym zżuta guma balonowa podeszwy. Od jej reakcji na moje szczenięce poczynania zależało wszystko. Nawet gdy stałam się dorosłą, niewiele się pod tym względem zmieniło. Chciałam być jak ona. Tak samo mówić, poruszać się, wyglądać, mrugać oczami i pachnieć. Ale nie potrafiłam. To Miriam była tą fajniejszą, a fajniejszym należy się dużo więcej niż mniej fajnym.

Dlatego musiałam przełknąć fakt, że fajniejsza siostra pakuje się w buciorach do mojego życia i skrupulatnie je demoluje. To jej przypadł w udziale ślub i biała sukienka, nie mnie. „Chyba rozumiesz, że nie ma innego wyjścia, więc się z tym pogódź. I uwierz mi, robię to dla twojego dobra”. To były jej słowa. I choć coś bardzo głęboko się we mnie bunto-

wało, drugie coś mówiło, że może mieć rację. Jak zwykle zresztą. Ona wszystko wiedziała lepiej.

Potem dostałam flamaster i plik żółtych karteczek samoprzylepnych. Miałam napisać na nich to, co czułam, kiedy leżałam plackiem na podłodze, nazwać to po imieniu, a następnie przyklepić je wszystkie do ściany. Z pisanem jakoś sobie poradziłam i już po chwili wieszałam kartki z „żalem”, „poczuciem krzywdy”, „zazdrością”, „niespełnieniem” itd. Nie wiem, ile ich było, nie liczyłam. Niemniej ściana wyglądała, jakby eksplodowała na nią żółta farba.

– A teraz zastanów się, co czujesz, kiedy myślisz o stracie. Co cię przez to wszystko – facet powiódł ręką po żółtych kartkach – w życiu ominęło. Musisz być ze sobą szczerą do samego końca, Adelo. Wiem, że może być ci trudno, ale musisz przez to przejść. W dalszych krokach skupimy się na tym, co ci się w życiu udało.

Usiadłam na podłodze i gapiłam się na ścianę i na te cholerne kartki. Było ich tak dużo, że nie potrafiłam myśleć o niczym innym jak o tym, że jestem jednym wielkim przegrywem. Bo w sekcji „sukcesy” nie powiesiłabym ani jednej samoprzylepki. Czułam się tak żałośnie, że po chwili wszystkie je zdarłam, porwałam i wyrzuciłam do kosza.

– Bez tego nie pójdziemy dalej. – Instruktor był wyraźnie niezadowolony. – Kolejnym etapem w naszych spotkaniach będzie zawalczenie o siebie w każdej z tych trudnych sytuacji. Do tego potrzebna jest analiza twoich uczuć.

Powiedziałam mu, że chrzanię analizę i chrzanię jego.

Miało być miło, a skończyło się na tym, że moja niewyparzona gęba (jest niewyparzona wtedy, kiedy nie powinna) wykrzyzczała coś o dorabianiu się na ludzkiej krzywdzie i o tym, że naciąganie mnie na całą serię sesji po dwieście złotych każda nie przejdzie.

Oprzytomniałam dopiero po wyjściu na ulicę. Usiadłam na ławce przed kamienicą i patrząc na swoje odbicie w oknie, uderzyłam się w twarz. Ten obcy facet chciał mi pomóc, a ja pod przykrywką oburzenia stchórzyłam po raz kolejny. Cyrk, który odstawiłam, był nie tyle dziecinny, co wręcz szczeniacki. Kompletne ludzkie dno.

Nie ma co mydlić sobie oczu – wciąż nie byłam gotowa na to, by stawić czoła samej sobie, i żadne zaklinanie rzeczywistości tego nie zmieni. Boję

się grzebać w swojej psychice. Podobno lepiej jest nie otwierać puszek Pandory, zwłaszcza tej, którą ma się w swojej głowie, bo można obudzić w sobie potwora. Mój przysnął na wiele lat i zastąpiło go jego całkowite przeciwieństwo, czyli megacykor.

Wyszłam więc ze spotkania tak samo asertywna, jak byłam przed nim. Jednak obiecuję sobie jedno. Po powrocie do domu wezmę kartkę i napiszę na niej, czego pragnę i co muszę w swoim drętym życiu zrobić. Chodzi mianowicie o jedną rzecz. Choć raz chcę się komuś na coś naprawdę przydać. Jeśli mam odzyskać szacunek dla samej siebie, bez tego nie ruszę. I nie chodzi o przeprowadzenie ślepej staruszki przez pasy. Potrzebuję poczuć, że robię coś ważnego i że jestem coś warta. Można to nazwać misją, spełnieniem czy kompensowaniem błędów. Mam już serdecznie dość życia we własnym cieniu.

Kiedy wysiadam pod domem z samochodu, aż odejmuje mi mowę. Pod domem Miriam stoi kilkanaście osób z sąsiedztwa. Poznają twarze, bo obserwuję ich wszystkich z okna swojej sypialni, kiedy się naświetlam (coś wtedy muszę robić, więc gapię się na ulicę). Stoją odwróceny tyłem do ulicy, więc mnie nie widzą. Podchodzę nieco bliżej, ale nie aż tak, by się z nimi zrównać. Prawdopodobnie i tak by mnie nie rozpoznali, zwłaszcza że na nosie mam przyciemniane okulary, ale wolę dmuchać na zimne. Nie chcę z nikim rozmawiać, zwłaszcza że dostrzegam znicze i pożegnalne kartki, które stawiają pod płotem. Nie jestem w nastroju na przyjmowanie kondolencji.

Jak widać, już się dowiedzieli, że znaleziono Miriam, i chcą się ładnie zachować. Po zachodniemu, robiąc z domu mojej zmarłej siostry pałac Buckingham w żałobie. Dobrze, że nie kładą kwiatów, bo po kilku godzinach by zmarniały, a poza tym kto miałby je potem pozbierać?

Wolę się wycofać. Nie chcę, by któryś z tych ludzi zdążył mnie zaczepić, więc idę szybkim krokiem w swoją stronę i po chwili znikam za drzwiami mojego domu. Wbiegam po schodach i staję w oknie, żeby jeszcze sobie na to wszystko z góry popatrzeć.

Wiem, że powinnam pojawić się na pogrzebie, bo inaczej nie wypada. Stałabym się czarną owcą w rodzinie i tutaj, wśród moich sąsiadów. O tym, jak policja odczytałaby moją nieobecność, już nie wspomnę.

Pojutrze, równo w południe, rozpocznie się ceremonia. Kogoś pochowają. Jakąś kobietę. Bez względu na to, kto nią jest, będę musiała udawać, że żegnam się z Miriam.

Nie wiem, czy dam radę to wytrzymać.

Później się nad tym zastanowię. Teraz muszę jak najszybciej włączyć lampę i nagrzać sobie głowę. Od tego patrzenia na znicze i pożegnalne kartki zaczyna pulsować mi w skroniach.

Piątek, 11 września

KONRAD

Najwyższa pora, bym zamówił wieniec. Mam w tym pewne doświadczenie i wiem, że na grób zmarłej młodej kobiety najlepiej jest położyć białe kwiaty, by podkreślić tym samym jej niewinność i seraficzną dobroć. Wtedy żałobnikom będzie się wydawać, że żegnają anioła. Tak po prostu wypada, nawet gdyby anioł okazał się w rzeczywistości złem wcielonym. Ale to nie przypadek Miriam, ona była aniołem bez skazy. Dostanie zatem pięćdziesiąt białych róż i szarfę, również białą, z jakimś pożegnalnym napisem.

Wybór studia florystycznego, w którym właśnie zamierzam złożyć zamówienie, również nie jest przypadkowy. Wizytówkę Róż i Fiołków znalazłem w rzeczach Mi, przez co założyłem, że to właśnie tu kupowała cięte kwiaty na wszystkie rodzinne uroczystości. A skoro tak, z pewnością byłoby jej miło, gdyby zaufana kwiaciarka przygotowała i dla niej pożegnalną wiązaną.

Od progu wita mnie kobieta w wieku około trzydziestki, lekko otyła, lecz o żywych ruchach. Ma niespotykane pociągłą twarz, długie jasne włosy związane w kucyk, ubrana jest w biały T-shirt i fartuch z rysunkiem dłoni trzymającej bukiet – tu bez zaskoczenia – róż i fiołków. Odkąd wszedłem do sklepu, bacznie mi się przygląda. Nie jak typowa sprzedawczyni, która ma na celowniku jedyne pałętające się po sklepie interesanta, ale jakoś inaczej, z ewidentnym zafrapowaniem.

– Widziałam pana w telewizji – mówi bezceremonialnie. – W tym programie o zaginionych. To pan?

– Może – odpowiadam neutralnie.

Nie mam nastroju na rozmowę inną niż ta o kwiatach. Zamierzam wybrać róże, zapłacić i zamknąć za sobą drzwi.

– Nawet pan nie wie, ilu ludzi z różnych programów do mnie trafia.

Nie wiem i prawdę mówiąc, mało mnie to interesuje.

– Z tych o zaginionych również. A ja mam dobrą pamięć do twarzy. Dlatego od razu pana rozpoznałam.

– Miło mi.

– Bardzo mnie interesują takie przypadki jak ten pana żony. – Kobieta opiera się plecami o ladę, na której stoi kilka pojemników z bilecikami i serduszkami w stylu „W dniu Twoich urodzin” czy „Najlepszej Babci na świecie”, i powolnym ruchem głaszcząc się po wysuniętej w moją stronę brodzie. – Sekundowałam jej, żeby się odnalazła cała i zdrowa. Miała wysokie noty w moim rankingu.

Wymijam wiadra z ciętymi liliami, których zapach jest tak słodki, że aż mdli. Podchodzę do lady i pstrykam palcami w odcięty kawałek łydki, który został po jakiejś sprzedanej wcześniej wiązance.

– To pani hobby? Obstawia pani, kto z poszukiwanych umrze, a kto przeżyje?

Kobieta wzrusza ramionami.

– Nie ja jedna to robię.

– Dziwne upodobanie.

– O którym chyba nie należało panu wspominać. Przepraszam, ale pańska żona... nie powinna była... To takie nieprawdopodobne, że znaleziono ją martwą. Och, znów to robię. – Kwiaciarka macha niezdarnie ręką, jakby chciała coś przegnać. – Proszę nie mieć mi tego za złe. Lepiej będzie, jeśli zmienimy temat. Wspominał pan, że chce róże?

– Jak to pani robi? Na jakiej zasadzie?

Kobieta patrzy na mnie pytająco.

– Jak ich pani kwalifikuje? Tych, którzy mają przeżyć lub umrzeć.

Zmieszana idzie za ladę. Sięga po kubek z kawą, która pewnie już wystygła na amen, bo kobieta krzywi się, upiwszy łyk.

– Nie wiem, czy to wypada, zwłaszcza teraz, kiedy... Nie sądzę, żeby chciał pan to ode mnie usłyszeć – mówi, kręcąc zza tego kubka głową.

Klasyczna babska zagrywka. Rzucić temat, a potem jakby nigdy nic wycofać się z niego rakiem. Więc ja też zagrywam klasycznie. Wzruszam ramionami i odchodzę od niej, by pokręcić się w milczeniu między wystawionymi kwiatami.

– Naprawdę jest pan ciekaw? – dobiega mnie jej głos. Po chwili staje tuż za mną. Ruchem głowy wskazuje jedno z dwojga drzwi prowadzących na zaplecze. – Jeśli tak, to coś panu pokażę, tam, za ścianą. Zwykle nikogo obcego tam nie zapraszam, ale dla pana mogę zrobić wyjątek.

– Bo znała pani moją żonę?

– To też. Ale chodzi mi głównie o pana. Jest pan inny.

– Jak to „inny”?

– Nie widzę w panu cierpienia.

Powinienem tarzać się po podłodze z rozpacz?

– Żeby było jasne, to nie jest zarzut – reaguje szybko kobieta. – Po prostu nie chcę nikomu przysparzać dodatkowych przykrości.

– Zdążyłem już przywyknąć do myśli, że moja żona nie wróci.

– A ja byłem pewna, że ocaleje. Wszystko na to wskazywało. To jak, chce pan tam wejść czy nie?

Wydaje mi się, że od kilku chwil słyszę ciche pomiaukiwanie. Nie wiem, skąd dochodzi, chyba właśnie zza ściany.

– Samotna kotka ma małe – tłumaczy florystka. – Przybłąkała się kilka dni temu. Zajrzę do niej na chwilę. Niech pan poczeka.

Nie mam pojęcia, jak ktoś, kto ledwie znał Miriam i wie o jej zaginięciu tylko tyle, ile przekazują media, miałby podstawy osądzać, czy powinna ocaleć lub nie. Rozumiem jednak, że dla kwiaciarki z Róż i Fiołków to rodzaj zabawy. Dość koszarnej, ale jednak.

Kobieta znika za jednymi z drzwi, po minucie jest już z powrotem i staje pod drugimi. Koty za ścianą cichną, najwyraźniej wsyła im coś do miski.

– Jest pan gotów?

Patrzy na mnie okrągłymi, błyszczącymi oczami. Jej zachowanie przypomina zachowanie dziecka, które znalazło pod drzewem zdechłą wiewiórkę i przebiera nogami, żeby pokazać ją starszemu bratu.

Kiwam głową, że okej, w końcu co mi szkodzi. Kobieta jeszcze nie otwiera drzwi, przypomina sobie, że powinna odwrócić tabliczkę przy wejściu na „Zaraz wracam”, po czym ponownie staje pod magazynkiem.

Gdy wpuszcza mnie do środka, moim oczom ukazuje się graciarnia. Pod ścianami stoją puste metalowe wiadra na kwiaty, a w kolorowych pojemnikach leżą zwoje barwnych cienkich wstążek. W innych, nieco większych, znajduje się spory zapas szarf, właśnie takich, jakich ja będę potrzebował, czyli na wieńce. Na ścianie przeciwległej do drzwi wisi coś na kształt

zamykanej płaskiej szafki naściennej. Nic nadzwyczajnego, tanizna metr na metr, własnoręcznie przytwierdzona do muru kilkoma gwoździami.

Kwaciarka podchodzi do drzwiczek i je otwiera. Szybko okazuje się, że cały sekret jej znajomości wszechrzeczy pochodzi z dwóch korkowych tablic, które znajdują się w szafce.

Patrzę na wydrukowane na domowej drukarce zdjęcia dziewięciu twarzy. Są przypięte do tablicy pinezkami. Tuż pod nimi wiszą białe miniaturowe kartki. Na każdej widnieją trzy-, czterozdaniowe informacje: imię, nazwisko, wiek, miejsce i okoliczności zaginięcia.

– Ci po lewej są bez szans – mówi florystka, wskazując brodą na cztery zdjęcia. – Tę pijaczkę ostatni raz widziano zimą w okolicach Zegrza. Podobno nie była sama i ledwo ciągnęła za sobą nogi. Obstawiam, że jej towarzysz porzucił ją na mrozie i po prostu zamarzła. Potem ukrył ciało, żeby nie mieć glin na karku. Znajdą jej kości albo i nie.

– A ten? – Staram się wykazać zainteresowanie.

– Ten młody chłopak w okularach wygląda mi na kujona. Nie wrócił z noworocznej imprezy. Nikt nic nie wie, nikt niczego nie widział i nie słyszał. Ani jego koleżanki, ani koledzy. Miał wyjść z imprezy i udać się prosto do domu. Jak się nietrudno domyślić, nigdy tam nie dotarł. Jego telefon przestał wysyłać sygnał około drugiej nad ranem. Zakładam, że leży zakopany gdzieś razem z jego właścicielem.

Ta zabawa zaczyna mi się nawet podobać.

– Przyczyna śmierci? – podpuszczam kobietę.

– Podczas zabawy doszło do mordobicia i okularnik dostał zbyt mocno, a żaden z dzieciaków nie zamierzał spać sobie życia już na starcie, więc dogadali się między sobą i trzymają języki za zębami.

– A tych dwoje?

– Małżeństwo biznesmenów spod Poznania. Wpakowali się w nielegalny handel tytoniem, a konkurencja nie lubi nowych. Nie pomogły ostrzeżenia... Wie pan, że dostali dwa anonimy?

– Nie znam sprawy.

– Wysłała na światło dzienne przed dwoma laty. Wtedy jeszcze nie miał pan powodu, by śledzić *Gdziekolwiek...* Te anonimy dalsza rodzina znalazła w ich domu wkrótce po tym, jak zniknęli. Okazało się, że groźby nigdy nie były zgłoszone na policję. Może gdyby było inaczej, ci ludzie wciąż by żyli. A tak ktoś wyeliminował ich szybko i skutecznie. Ślad po nich zaginął.

– Pani jest fanką? Mam na myśli program.

- Obejrzałam wszystkie odcinki.
- To tak jak moja żona. Gdyby żyła i zobaczyła to, co ja teraz, byłaby zachwycona.
- Lubiłam ją, pańską żonę.
- Zamawiała u pani mnóstwo kwiatów. Domyślam się, że i pani nie była jej obojętna.

Kobieta nie odpowiada. Chwila ciszy, jaka między nami zapada, ciągnie się trochę za długo.

– Powinniśmy już wrócić do sklepu – decyduję. – To wszystko jest niezwykle ciekawe, ale nie ma nic wspólnego z Miriam.

– Oczywiście, że nie ma. Ta czwórka jest już stracona. Zdjęcie pańskiej żony wisi obok, w sekcji „Żywi”.

Rzeczywiście, podobizna Miriam wisi w drugim rzędzie od góry, pomiędzy zdjęciami innej roześmianej kobiety w jej wieku i młodego mężczyzny pod krawatem. Pod nimi jest jeszcze kilka innych fotografii.

Gołym okiem widać, że prawa strona tablicy jest bardziej zatłoczona niż lewa. Florystka musi być wyjątkową optymistką, zwłaszcza że już po szybkim zerknięciu na twarze tych ludzi rozpoznaję jedną postać, która z pewnością nie żyje. To dwunastoletnia dziewczynka, która zaginęła wraz ze swoim rowerem, jak tylko zaczęło się lato. Podchodzę więc do tablicy i odpinam jej zdjęcie.

– Znalaziono ją kilka dni temu, sponiewieraną – wyjaśniam.

Jak można było nie zauważyć tej informacji, wchodząc na pierwszą lepszą stronę WWW? Zaginiona Agnieszka B. znalazła się na ustach, a raczej na klawiaturach wszystkich reporterów zajmujących się sprawami kryminalnymi. Przekazuję zdjęcie dziewczynki kobiecie, bo sam nie zamierzam go niszczyć.

Kwiaciarka traci rezon tylko na chwilę.

– Hmm... Byłam pewna, że jednak ją oszczędzą. Kto to był, przypadkowy obcy?

– Ojciec – odpowiadam. Teraz ja jestem górą. – Zamierzał pozbyć się całej swojej rodziny. Zaczął od najsłabszego ogniwa.

– Nie do wiary, co za bestia... Ale jeśli chodzi o pańską żonę...

– Jej zdjęcie też powinna pani zdjąć.

Przez chwilę oboje wpatrujemy się w roześmianą twarz Miriam.

– Może jednak warto liczyć na cud – wzdycha florystka.

Zastanawiam się, po co to robi. Może mnie nagrywa? Może to jej kolejne ekscentryczne hobby?

– Podobno wciąż nie ma wyników badania DNA – tłumaczy się, widząc, że zaczynam się czuć nieswojo.

Nie mam pojęcia, skąd to wie, ale to przecież fanatyczka tajemniczych historii, więc pewnie i do tego się dokopała.

– Potrzebuję wieńca z białych róż – zmieniam temat. – Na jutro rano. Przyjmie pani zamówienie?

– Oczywiście. Po to tu jestem.

Drzwiczki gabloty domykają się.

– Zmarli lubią ciszę – dodaje.

W troskliwym zamyśleniu mija mnie bez słowa. Wracamy do głównej części kwiaciarni, tam gdzie jest kasa i słodko pachnące lilie.

– Pięćdziesiąt białych róż?

– Zgadza się – potwierdzam i wyjmuję z portfela kartę kredytową. – Co powinienem napisać na szarfie dla żony?

– To, co chciałby jej pan przekazać.

– Sam nie wiem...

– Proszę się zastanowić.

Kobieta podaje mi kartkę i ołówek. Odchodzę na bok, stoję przy szybie kwiaciarni i patrzę na tętniące życiem miasto.

Nic nie przychodzi mi do głowy. Nie chcę, by moje ostatnie pożegnanie było banalne. Żadnych „Kochanej żonie – zawsze pamiętający mąż”.

W końcu coś skrobie. Zaraz potem skreślam i zaczynam od nowa. Wracam z kartką do lady.

– „Wybacz mi, jeśli możesz”.

Wydaje mi się czy kwiaciarce drży głos, gdy to czyta?

– Wszyscy mamy jakieś nierozwiązane sprawy – tłumaczę krótko.

– Trudno się nie zgodzić. Dlatego być może panu wybaczę. Słyszał pan o drugiej szansie?

– Dałbym wiele, byle tylko... nieważne. Jeśli to wszystko...

– Dostarczymy kwiaty jutro punktualnie o dziewiątej. Na Rukoli? Zatem do domu, nie na cmentarz?

– Tak. Na cmentarz zawiozę je osobiście.

Wychodzę z Róż i Fiołków o wiele cięższy, niż byłem, zanim tam wszedłem. Atmosfera pogrzebu i tego, co dzieje się wokół śmierci Miriam, zaczyna mnie coraz bardziej przygniatać. Wiem jednak, że muszę przetrwać

kilkadziesiąt najbliższych godzin, kremację i pochówek. O tym, co będzie się działo później, wolę na razie nie myśleć.

Nauman

— Zrobiłaś to, o co cię prosiłem, dziecinko? – zapytał znad teczki z dokumentami śledczy, po czym wyjął z ucha jedną z podpiętych do telefonu słuchawek.

Shi Lu zerknęła na wyświetlacz jego komórki.

– Znowu Bach? – westchnęła. – Ciągłe słucha pan tego samego. Jeszcze się panu nie znudził?

Mężczyzna zatrzymał nagranie ze Spotify.

– Udam, że tego nie słyszałem. Twierdzisz, że Bach jest nudny?

Wzruszyła ramionami.

– Jest przewidywalny. Zna pan go już na pamięć, a chłop od trzystu lat nic nowego nie wymyślił. Warto wałkować wciąż to samo?

Nauman odgiął się w fotelu i splótł dłonie za głowę.

– Bach służy mi za tło do dedukcji. Przyjemne, ale, jak słusznie zauważyłaś, na tyle znane, że nie muszę się na nim skupiać i wyczekiwać, że coś mnie zaskoczy. Mogę się skoncentrować na czymś innym. Na przykład na tym, co mi zaraz powiesz. Zrobiłaś to, o co cię prosiłem? – powtórzył.

Shi Lu nachyliła się nad biurkiem szefa i przesunęła teczkę, by na jej miejscu położyć kartkę z listą adresów i przypisanych im numerów telefonicznych. Przy każdym z nich stał czerwony haczyk.

– To ta lista od pana.

– Poznaje. Widzę, że udało ci się wszystkich obdzwonić.

– Z kilkoma osobami musiałam się spotkać osobiście. Zasłaniaли się tajemnicą zawodową.

– Cholerne urzędasy... Mam nadzieję, że coś z nich jednak wyciągnęłaś?

Shi Lu przygryzła wargę.

– Mam pewne informacje, ale dopóki nie zdobędę namacalnych dowodów, będą to jedynie spekulacje.

– Ile potrzebujesz czasu?

– Doba wystarczy. Jutro powinnam wiedzieć więcej na temat tego, co spotkało rodzinę Biernackich i co wywołało traumę u Miriam.

– Nie zawieźdź mnie, dziecinko.

– Może mi pan zaufać. Depczemy im po piętach.

Nauman popatrzył na nią wyczekująco.

– Co z drugą sprawą? Sprawdziłaś Adelę?

Kobieta kiwnęła głową.

– Jest tak, jak mówiłem?

– Co do słowa. Skąd pan wiedział?

Nauman wyciągnął rękę, by zakręcić długopisem na biurku. Długopis wykonał kilka obrotów, po czym zatrzymał się, wskazując końcówką na Shi Lu.

– Od razu coś mi w tym wszystkim śmierdziało – mruknął. – A ja nie lubię smrodu. Zwłaszcza gdy ktoś celowo psuje powietrze.

– Kurde, szefie...

– A jeszcze bardziej denerwuje mnie, kiedy do tego smrodu wszyscy się przyzwyczajają i nikomu nie przyjdzie do głowy, by otworzyć okno i wpuścić trochę świeżego powietrza.

– Przez sześć miesięcy nikt z tym nic nie zrobił.

– O tym właśnie mówię. Słowa Adeli wzięto za pewnik. Wydała się na tyle wiarygodna, że może nawet zaczęto jej współczuć. Tak właśnie wyczułem, kiedy przejmowałem tę sprawę. Dlatego wszystko poszło nie tak, jak powinno.

– Jednak nadal nie rozumiem, skąd pan wiedział, że ta kobieta kłamie.

– Początkowo to były tylko przypuszczenia. Ale kiedy tu przyszła i usiadła naprzeciw mnie, już po kilku minutach zacząłem nabierać pewności, że to wszystko, co o sobie mówi, to jedno wielkie łgarstwo.

– Mnie wydawała się wiarygodna. Dopiero kiedy znalazłam się w jej domu, otworzyły mi się oczy.

Nauman się zaśmiał.

– Przyznaję, dobrze grała. Ktoś, kto dopiero zaczyna bawić się w te nasze klocki, mógłby dać się nabrać.

– Żaden z neurologów z ośrodka MediCare, w którym niby to miała się leczyć, nie jest już jej lekarzem. Ostatni raz badała się tam piętnaście lat temu. Potem zlikwidowała abonament.

– Ważne, że wciąż ma kogoś, kto wypisuje jej lewe recepty.

– Macharow? To by oznaczało, że bez względu na wszystko nadal pozostają w dobrej komitywie.

– Chyba nie przypuszczałaś, że jest inaczej.

– Uzależnił ją od siebie.

– Być może. Ale jeśli nie dostawałaby pomocy od niego, znalazłaby inne źródło. Adela jest lekomanką.

– Nie tylko – zauważyła Shi Lu. – Jak pan wie, lubię mieć wszystko dopięte na ostatni guzik, dlatego pogadałam jeszcze z policyjnym psychologiem. Tym, za którym pan nie przepada.

– Bielik... Wystarczy, żeby przestał strzelać z kostek, a może przestanę omijać go szerokim łukiem. Co za paskudny tik! To brzmi jak łamanie kości kurczakom.

– Ma pan dziwne skojarzenia.

– Moja matka hodowała kury. Słyszałem podobne trzaskanie za każdym razem, kiedy skręcała im karki. Do tej pory nie wezmę rosołu do ust. Wciąż mam w uszach to trach, trach... Ile razy widzę Bielika, to myślę o tych biednych stworzeniach.

Shi Lu rozciągnęła usta w niesmaku.

– Jak dla mnie to geniusz. Może sobie strzelać palcami ile wlezie.

– Każdego bawi co innego. To co z nim?

– Opisałam mu przypadek Adeli. Zdziwił się, że nie pamięta pan, jak kilka lat temu wspólnie z nim pracował nad podobnym przypadkiem.

– Zaczekaj. – Nauman poderwał się z fotela i zaczął krążyć wokół biurka. – Tak... zaczynam kojarzyć... Wtedy też była kobieta, jej zachowanie było tak samo teatralne jak Adeli. Patrzyło się na nią jak na klauna w cyrku.

– Nie przebiera pan w słowach.

– Nie jestem poetą, Shi. Jak to się nazywało, do diabła?

– Bielik określił Adelę jako osobowość histrioniczną.

– Tak... oczywiście, że tak. Chroniczna potrzeba bycia w centrum zainteresowania. Jeśli pacjent nie koncentruje na sobie całej uwagi otoczenia, zaczyna działać irracjonalnie, byle tylko ją zdobyć.

– Wygląda więc na to, że Adela wymyśliła sobie swoją chorobę.

– Nie, Shi. – Nauman pokręcił głową. – Adela była chora, ale kiedyś, nie teraz. Teraz jedynie podtrzymuje jej skutki. Robi to podświadomie, bo tego potrzebuje. Słyszałaś o bólach fantomowych?

– A kto nie słyszał. Mózg tworzy iluzję niezależnie od rzeczywistego stanu ludzkiego ciała.

– W ten sam sposób mózg Adeli podtrzymuje iluzję jej choroby. Tak, Shi, jej choroba jest regularnie podsycana iluzją.

– Jednym słowem, to niedorzeczne przekonanie czyni ją w jej własnych oczach wyjątkową?

– Brzmi kuriozalnie, ale na tym właśnie polegają zaburzenia.

– Pozostaje pytanie, jak długo można to ciągnąć?

– Wahadło Newtona raz wprowadzone w ruch nigdy nie przestaje działać, Shi.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Poczytałam trochę o tym zjawisku i pewna rzecz mi nie pasuje. Jeśli Adela miałaby funkcjonować według schematu, to coś w tym wszystkim nie gra.

– Co masz na myśli?

– Osoby histrioniczne, a zwłaszcza kobiety, lubią epatować seksualnością. Adela, jak pan zapewne zauważył, nie jest typem kusicielki.

Nauman przysiadł pośladkiem na biurku.

– Widziałaś ją, dziecinko. W jej przypadku to by nie zadziało. Nie żebym miał coś przeciwko temu, jak wygląda, ale...

– Wolała postawić na inną kartę?

– Owszem. Na lampę do naświetlania, która zapewniała jej czerwoną skórę, i na notes do zapisywania swoich sesji. To dość tandetna i do tego niskobudżetowa inwestycja.

– W którą i tak wszyscy uwierzyli.

– Nie, Shi, nie wszyscy.

Kobieta westchnęła głęboko, po czym zajęła się przeszukiwaniem internetu.

– Do zaburzeń dochodzi w wyniku braku miłości, akceptacji i zrozumienia – zaczęła czytać. – Tego akurat o niej nie wiemy. Co z nią zrobimy? Mam ją przycisnąć, żeby wyśpiewała, jaka z niej oszustka?

– Nie, dziecinko. Niech sobie choruje, skoro jej z tym dobrze. Niemniej to, jaka jest, może być dla nas cenną wskazówką.

– Tylko niech mi pan nie każe wypisywać w dziesięciu punktach, o jakie wskazówki może chodzić.

– Rozczarowujesz mnie, Shi. Wydawało mi się, że polubiłaś nasz nowy zwyczaj.

– Listy moich dziesięciu powodów, dla których zginęła Miriam, nawet pan nie przeczytał.

– Przeczytałem. Nie spodobały mi się.

Rozległo się pukanie do drzwi gabinetu. Wywołany przez jednego z policjantów Nauman podniósł się z biurka i zniknął na kilka długich sekund na korytarzu. Gdy wrócił, trzymał w ręku kopię jakiegoś dokumentu z odciśniętą urzędową pieczęcią.

– Skąd to? – zainteresowała się Shi Lu.

– Co? – spytał nieprzytomnie.

– Co to za kwit?

– Z prokuratury. Nie jest dobrze.

Dopiero teraz podniosła się z fotela. Stała przy ramieniu Naumana i zajrzała do treści pisma.

– Jak to się mówi... – bąknęła, gdy dotarła do końca tekstu.

– Kurwa mać, mamy problem?

Shi Lu uniosła brew.

– Miałam co innego na myśli, ale to pańskie też pasuje, nawet bardziej. Mogę?

Podał jej pismo. Przeczytała je od deski do deski i zacisnęła znacząco usta.

– Załatw to, Shi – usłyszała od Naumana. – Weź wóz i powiadom, kogo trzeba. Ja muszę pomyśleć, co dalej.

ADELA

Od dawna nie sięgam do książek, a już zwłaszcza do klasyki, którą tak niegdyś lubiłam. Brakuje mi ostatnio cierpliwości, nie potrafię skupić myśli na tym, co czytam. Zamieniłam powieści na brzęczący telewizor, na migające obrazki i gadające głowy. Dzięki nim przynajmniej nie jestem sama. Skoro nie mam obok siebie nikogo, z kim mogłabym zamienić choćby kilka zdań na godzinę, niech gadają oni, a ja zamierzam udawać, że w moich czterech ścianach jest ktoś poza mną.

Książki milczą, więc przestałam je lubić. Mam ich całe mnóstwo. Co miesiąc ścieram z nich kurz, ale ich nie czytam. Są, bo są. Stoją na półce, bo stoją.

Ale do jednej mam szczególny sentyment. Jest w niej odręczna dedykacja. Niestety, nie od autora, bo ten od lat nie żyje. Od Miriam. Nie rozpisала się, skrobnęła za ledwie „To jakby o nas” i dodała rysunek roześmianej buzi. Od zawsze potrafiła ładnie rysować, choć do dziś nie wiem, czy ta buzia miała bardziej przypominać ją czy mnie. Może żadną z nas, w końcu to kilka kresek imitujących twarz.

Ta książka była prezentem z okazji Dnia Siostry. Dowiedziała się, że takie święto istnieje, i dla żartu podarowała mi właśnie tę książkę.

Otwieram na losowo wybranej stronie i przesuwam wzrokiem po liniach.

Bo też widzisz, siostrze, że ten dzbanek
To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
Moje sny złote i mój ślubny wianek,
I wszystko moje...

Oddaj mi ten dzbanek.

Siostrze?...

Oddaj mi... bo!...

Bo!... i cóż będzie?...

Bo?... Nie masz malin, więc suche żołądzie
Uzbierasz w dzbanek – czy wierzbowe liście?...
I tak... ja prędeż biegam i przez miedzę
Ubiegnę ciebie...

Ty?...

A oczewiście,
Że ciebie w locie, siostrzyczko, wyprzedzę...

Ty!

O! nie zbliżaj się do mnie z takimi
Oczyrna... Nie wiem... ja się ciebie boję.

I ja się boję... połóż się na ziemi...
Połóż... ¹

Jest w tym jakaś ironia. Nie wierzę w przypadki, więc wygląda na to, że moja siostra nie zamierza dać mi spokoju. Nigdy nie przestanie się ze mnie nabijać, bez względu na to, czy będzie żywa, czy martwa.

Odechciewa mi się czytać. Odstawiam książkę na półkę, obiecując sobie, że po tę konkretną nie sięgnę już nigdy więcej. Jeśli mam cokolwiek kartkować, niech to będzie coś zabawnego – podróż z przygodami, jakaś komedia... Nie wiem, co mnie podkusiło, że ją wyciągnęłam. Chyba to, że ostatniej nocy tłukłam się w pościeli, nie mogąc pozbyć się z głowy tego, że jutro jest pogrzeb mojej zwęglonej do połowy siostry. Nie mam już argumentów, by przekonywać kogokolwiek, że to nie Miriam była tam, w płonąącym aucie. Podobno Konrad odnalazł jej obrączkę. Co gorsza, sama już przestaję w to wierzyć.

To płonące auto nie daje mi spokoju jeszcze z jednego powodu. Wracam pamięcią do pewnego zdarzenia. Ma związek z tą wyrwaną z kalendarza kartką z datą siódmego grudnia.

To był paskudny zimowy dzień, jeden z tych, kiedy chmura się rozpruwa i zaczyna sypać śniegiem. Miriam leżała w szpitalu, z kołnierzem ortope-

dycznym na szyi i opatrunkami na twarzy. Rentgen, który jej zrobiono zaraz po przywiezieniu, wykazał też dwa pęknięte żebra. Pełna masakra.

Godzinę wcześniej dostałam telefon od Konrada, że doszło do wypadku. Auto Miriam wpadło w poślizg gdzieś pod Piasecznem. Skasowała swój samochód, lądując w przydrożnym rowie. Straciła przytomność, ale na szczęście na krótko, bo odzyskała ją, gdy tylko trafiła do karetki. Jednak wciąż była w szoku, na zmianę śmiała się i płakała, mamrotała coś w rodzaju „Udało się, o rany, udało się”. Tak przynajmniej mówili ratownicy. W to grzeczne „o rany” jakoś nie chciało mi się wierzyć, jako że na taką okoliczność Miriam wybrałaby ze swojego słownika coś o wiele mocniejszego, ale to w gruncie rzeczy i tak niewiele zmienia. Bardziej interesowało mnie to, że coś się jej udało. Z czego ta wariatka się tak cieszyła? Chyba tylko z tego, że miała więcej szczęścia niż przeciętny człowiek w takich okolicznościach. Gdyby nie dodatkowe wzmocnienia w morrisie, które zneutralizowały uderzenie w ziemię, nie rozmawiałybyśmy ze sobą już nigdy więcej.

Wsiadłam w taksówkę i pojechałam do szpitala. Kazano mi wciągnąć na grzbiet fizelinowy fartuch i zdjąć buty utyłane w śniegowym błocie. Zostałam w samych skarpetkach, na które i tak musiałam włożyć szpitalne ochraniacze. Wjechałam na piętro, na którym ją położono, i zanim weszłam do sali, przez chwilę patrzyłam przez małą szybkę na nią, jak leży podpięta pod aparaturę. Pozwolono mi wejść, ale na krótko. Usiadłam przy jej łóżku. Oczy miała tak mętne, że musiałam się jej wydać rozmytą plamą.

– Cześć, Miriam – bąknęłam. – Jak ci tu?

Mrugnęła powiekami. Czyli że nie najgorzej.

– Wiesz, że o mało nie wykitowałaś? – zapytałam szeptem tuż nad jej uchem. – Mało brakowało. Naucz się korzystać z hamulców, bo kolejnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia

Poruszyła ustami, ale nie zrozumiałam, co odpowiedziała.

– Powtórz – poprosiłam.

– Jechał za mną – wymamrotała. – Widziałam... w lusterku... wszystko dobrze.

– Co jest dobrze, Miriam?

– Zaliczyłam. Oszukałam śmierć.

Po tych słowach odpłynęła. Do dziś nie wiem, co takiego zaliczyła. Nigdy więcej nie chciała wracać do tej rozmowy. Za każdym razem, gdy pró-

bowalam z niej wyciągnąć, co miała na myśli, ucinając dyskusję, mówiąc, że bredziła po lekach.

Może tak właśnie było.

Auto, którym tamtego dnia jechała, poddano badaniom. Szybko się okazało, że moja rada co do używania hamulców była jak kulą w płot. Morris miał ponacinane przewody, więc do wypadku nie doszło samoistnie. Trzymano go w warsztacie chyba z miesiąc, pobierano różne próbki, w tym odciski palców z podwozia. Niczego nie znaleziono, przynajmniej nie w okolicach przewodów. To, kto je podciął, również pozostało tajemnicą.

Miriam stanowczo odmówiła składania wyjaśnień co do tamtego wypadku. Tak się złożyło, że byłam u niej w domu akurat wtedy, kiedy wparowało dwóch funkcjonariuszy z dochodzeniówki i próbowało wyciągnąć z niej zeznania. Innych świadków nie było, więc kto, jeśli nie ona, mógłby im pomóc w sporządzeniu raportu. Starła się ich spławić, ale naciśkali. Mówili w kółko o możliwym zamachu na jej życie i o tym, że może dojść do kolejnej próby, tym razem skutecznej. Dawałam Miriam dyskretne znaki, żeby nie mówiła nic do czasu, aż całkiem wydobrzeje. Dwa dni po wyjściu ze szpitala wciąż miała totalny mętlik w głowie i bałam się, że znów zacznie bredzić. Problem był taki, że przez sztywny kołnierz, który miała na szyi, nie była w stanie przekręcić głowy w moją stronę i odebrać moich znaków dymnych.

– Proszę nie utrudniać – powiedział do mnie jeden z policjantów. – Rozumiem, że martwi się pani o stan siostry, ale musimy wyjaśnić tę sprawę do końca.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia – odezwała się Miriam. – Cokolwiek mówiłam w karetce i potem w szpitalu, uznajcie za majaczenia. Byłam na drodze zupełnie sama. Straciłam panowanie nad kierownicą i na zakręcie zniosło mnie do rowu. To wszystko.

Odetchnęłam z ulgą.

Mundurowy nie zamierzał jednak tak szybko odpuścić.

– Ktoś majstrował przy podwoziu. Zapewne chciał się pani pozbyć. Nie interesuje pani...

– Nie. Jak mi się poprawi, to się do was odezwę. A teraz dajcie mi spokój, muszę połknąć leki i odpocząć. Adelo, możesz panów odprowadzić do wyjścia?

Tak też zrobiłam. Kiedy wróciłam do pokoju, Miriam siedziała na kanapie i patrzyła tępych wzrokiem na stojącą na stole butelkę z paracetamolem.

– Tak niewiele brakowało... – powiedziała. – Naprawdę mogłam umrzeć. Ale nie umarłam, jeszcze nie tym razem.

Zbierało się jej na płacz, ale zacisnęła zęby i powstrzymała łzy.

Nigdy się nie dowiem, co to wszystko miało znaczyć.

FLORIAN

Jutro ważny dzień. Podobno mają cię pochować. Nawet nie wiem, czy chciałabyś, abym się pojawił na cmentarzu. Pewnie nie. Nie po tym, co ci zrobiłem. Biorę to pod uwagę, ale jest jeszcze inny powód, dla którego nie powinienem się tam pokazywać.

Otóż zadzwoniła do mnie Natalia. Jako że darzy mnie szczerym uczuciem, od razu zapytała, jak się mam, w sobie właściwy sposób:

– Jak się czujesz ze świadomością, że bekniesz za śmierć swojej kochanki?

Jest jedyną osobą, która wie, jak wiele mnie z tobą łączyło i że to trwało latami, nawet wtedy, gdy ty postanowiłaś wyjść za mąż, a mnie urodził się syn. Założę się, że nie spała po nocach, byle wymyślić zemstę doskonałą. Na mnie, bo na tobie już nie mogła. Wyśpiewała wszystko twojemu mężowi z nadzieją, że ten poleci do glin i zezna, że mogę mieć wiele wspólnego z twoim zniknięciem. Natalia jest naprawdę uczynna.

Jak już tak sobie miło rozmawialiśmy, zebrało się jej na wspomnienia. Nie omieszkała przypomnieć mi, że wiłem się jak piskorz, gdy koniec końców wybrałaś jego, a nie mnie, i że to było „doprawdy śmieszne!”. Pozwoliłem jej się wykrzyczeć, bo przecież i ja, i ty, Miriam, dobrze wiemy, jak to z tym naszym rozstaniem naprawdę było. Ale fakt – wiłem się jak piskorz. W tym akurat miała rację. Kolejny fakt: liczyłem, że się z tego planu wycofasz. Można to przecież było rozwiązać inaczej, ale z niewiadomych mi przyczyn wolałaś się poświęcić. Przecież go nie kochałaś, przyznaj.

Przypuszczalnie, gdyby nie ten telefon, to pokazałbym się na cmentarzu z kwiatkiem i zniczem, ale teraz stało się to zupełnie niemożliwe. Nie chodzi o to, że się czegoś boję, bo od zawsze uważałem się za gieroja. Tłukłem na podwórku tych, którzy dręczyli słabszych, a potem z dumą obnosiłem się ze śliwą pod okiem. Śliwa po jakimś czasie znikwała, ale moja chwała na długo pozostawała w pamięci osiedlowych dzieciaków. Potem broniłem

matki przed ojcem, siostry przed niechcianą ciążą (kupowałem jej za własne pieniądze pigułki, żeby nie wpakowała się w kłopoty), no i do tego wszystkiego miałem chronić ciebie, bez względu na wszystko. Z tym ostatnim coś poszło nie tak.

Tak więc chodzi teraz nie o strach, a o zwykły racjonalizm. Jeśli gliny wezmą mnie na celownik, nic już nie zdziałam. A przecież coś ci obiecałem, pamiętasz, Miriam?

Wśród reguł Gry jest jedna, z której mało kto korzysta. Mówi o tym, że każdy uczestnik ma prawo do jednego bezpośredniego kontaktu z Hetmanem. Bezpośredniego nie znaczy osobistego, ale to i tak dużo. To ostatni, dziesiąty punkt Regulaminu. Pierwsze dotyczą całkowitej poufności, zakazu mówienia o Grze osobom trzecim, potem następuje informacja o nagrodach; ten stymulant jest na tyle podniecający, że niektórzy nawet nie docierają z czytaniem do końca. Ty pewnie też nie dotarłaś.

Nigdy nie wykorzystałem tej szansy. Kiedy wszedłem do Gry, początkowo i mnie wystarczało otrzymywanie zadań, wykonywanie ich i zgarnianie forsy. Nie interesowało mnie, skąd ona jest ani kto wymyślił tę piramidę zła. Uznałem, że pewnych rzeczy lepiej nie drążyć, dla własnego bezpieczeństwa. W razie czego o niczym nie wiem. Nie znam gościa, który za tym stoi, i w życiu z nim nie gadałem. Tak jest o wiele łatwiej.

Nie myślałem o tej opcji aż do teraz. Jako że nie mam zamiaru pójść na dno, co dzięki życzliwości Natalii staje się coraz bardziej realne, nie pozostaje mi nic innego niż zagrać *va banque*, zrobić szach-mat lub, jak kto woli, załatwić gnoja jego własną bronią. Namierzyć Hetmana i dostarczyć go glinom na tacy. Ale najpierw muszę wycisnąć z niego, co wie na temat tego, jak umarłaś.

Czas nie gra na moją korzyść. Spotkanie z Hetmanem równie dobrze może się odbyć jutro, jak i za miesiąc. Nie ja ustalam warunki. Dlatego czym prędzej odkopuję w telefonie *Pobrane* i przeszukuję pliki. Szukam Regulaminu Gry. Według punktu dziewiątego powinienem zapamiętać adres kontaktowy Hetmana i wykasować Regulamin z wszelkich danych zaraz po jego przeczytaniu, ale nie zrobiłem tego. Są sytuacje, w których opłaca się być zuchwałym idiotą, ale bywają i takie, w których trzeba pozostać racjonalnie myślącym facetem. Przystępując do Gry, wiedziałem, że muszę zagwarantować sobie bezpieczeństwo. Mając na uwadze, że w sieci nic nie ginie, a spece od dochodzeniówki namierzyliby autora Regulaminu i właściciela domeny, z której został wysłany, w kilkanaście godzin, można

to nazwać asem w rękawie bądź podstawą do szantażu – jak kto woli. Ale czy mając świadomość, że pewnego dnia przyjdzie mi skoczyć z samolotu, nie powinienem mieć przy sobie spadochronu?

Dla mnie spadochronem i zarazem dowodem na istnienie tej sieci zła było zachowanie Regulaminu. Czegoś, czemu w sytuacji podbramkowej, w jakiej mogłem się znaleźć, idąc na wojnę z Hetmanem, z chęcią przyjrzałoby się kilku facetów ze służb specjalnych.

Po kilku minutach mam już to, czego szukałem. Wpisuję adres mailowy Hetmana i automatycznie pojawia się formularz do wypełnienia. Wystarczy w niego wejść i kliknąć *Zgłoś sprawę*. Klikam i zgłaszam.

Umotywuj.

Mogę długo i zawile tłumaczyć, dlaczego zależy mi na jak najszybszym spotkaniu, lub nie bawić się w ceregiele i zażądać go, zastraszając Hetmana wprost. Nie zamierzam przytaczać żadnych argumentów, a tym bardziej o nic prosić, więc wybieram szantaż.

Piszę:

Informacja o tym, w jaki sposób zginął Uczestnik o kodzie JX92, w zamian za moje milczenie. Czekam na kontakt do półlnocy. Po tym czasie wszelkie zebrane przeze mnie dowody na istnienie Gry zostaną wydane właściwym organom ścigania.

Mam spocone ręce, kiedy wciskam *Wyślij*.

Od tej chwili pozostaje mi już tylko wpatrywać się w zegarek.

KONRAD

Nie mogę znaleźć sobie miejsca. Po wyjściu z kwaciarni zajrzałem do sklepu zoologicznego, zbadalem wzrok w Vision Express i spędziłem godzinę na wybieraniu bezprzewodowych słuchawek, których i tak nie kupiłem. Zrobiłem podwójną rundę po okolicznych ulicach i wróciłem do samochodu. Sprawdziłem godzinę, było po szesnastej. Na osiemnastą miałem zaplanowany drobny zabieg w klinice. O tej porze jest już za późno na przeprowadzanie operacji, ale kazałem recepcjonistce robić zapisy na wszelkie mezoterapie i zabiegi laserem, byle tylko nie wracać do domu i nie myśleć o jutrzejszym pogrzebie. To samo będzie w dzień po ceremonii. Zmieniłem zdanie i nie chcę mieć ani jednej wolnej godziny. Stawiam na ostre oranie od rana do późnego wieczora i tak właśnie będzie wyglądać moja żałoba, czy to się komuś podoba, czy nie.

Podjeżdżam pod klinikę, płynnie wślizguję się do podziemnego parkingu i bacznie obserwując, jak zmieniają się numery pięter na wyświetlaczu, jadę windą na górę. Melduję się telefonicznie, że już dotarłem, i pytam, czy klientka nie odwołała zabiegu. Linda z szybkością światła zamyka w komputerze stronę ze stawianym pasjansiem (nie muszę nawet tego widzieć, żeby mieć pewność, jak działa Linda) i otwiera grafik. Pacjentka będzie punktualnie.

W gabinecie jest duszno. Otwieram na oścież okno i ćwiczę głębokie oddechy. Dotleniam mózg przez dwie minuty, tyle ile powinno trwać mycie zębów. Do tego piję duszkiem pół litra zimnej wody. Chłód biegnie po jelitach, skręca najpierw w lewo, potem szybko w prawo, a następnie zanika. Powoli dochodzę do siebie, ale wciąż nie mogę przestać myśleć o gablocie z twarzami zaginionych i o tym, co kazałem napisać na szarfie, która jutro ozdobi pożegnalny wieniec.

Nastawiam alarm na za pół godziny. Kładę się na wąskiej kozetce i splatom dłonie na brzuchu. Stan tyle razy dawał mi wskazówki, jak po odde-

chach wejść w tryb zen, że nie powinienem mieć z tym kłopotu. Ważne, żeby przestać myśleć. A już na pewno nie myśleć o tym, co wydarzy się jutro.

O tym, co znaczy przeżywanie śmierci bliskiej osoby, zwłaszcza w okresie do pogrzebu, przekonałem się po raz pierwszy, gdy byłem na studiach. Kiedy zmarł mój ojciec, tych kilka dni przed pochówkiem okazało się ciężarem trudnym do zniesienia. Głównie dla mojej matki. Przede wszystkim nie potrafiła uwierzyć, że jej mąż, kochający życie i traktujący je z lekkością *bon vivanta*, postanowił z nim definitywnie skończyć. Siedziała przy jego zwłokach i jak w amoku opędzała się od ratowników, którzy próbowali podać jej coś na uspokojenie. Krzyczała: „On nie mógł tego zrobić!”. Mógł i zrobił. Gdyby tylko miała świadomość, że jego plany co do wymeldowania się z tego świata zaczęły się klarować wiele miesięcy wcześniej, może by do niej dotarło, że aż taki szczęśliwy to on nie był. Dopiero po kilku tygodniach od pogrzebu okazało się, że zostawił ją z długami w banku. Nazbierało się tego dwieście tysięcy, a wszystko poszło na wesołe zabawy ojca w kasynie. Gdy bank zapukał do naszych drzwi i powiadomił, że jeśli nie zapoznamy się z restrykcyjnym planem pokrycia debetu, to bank zapozna nas z komornikiem, matka zrozumiała, że mój ojciec najzwyczajniej w świecie zapędził się w kozi róg i nie wiedząc, jak się z niego wydostać, postanowił uciec w śmierć. Poza tym miała do ojca żal o to, że dał się zobaczyć dyndający pod stropem piwnicy mnie, wówczas dwudziestojednoletniemu chłopakowi. Dla niej wciąż byłem dzieckiem, nie mężczyzną.

Sądziła, że to fatalne wydarzenie zniechęci mnie do zajmowania się ludzkim ciałem, że zrezygnuję z medycyny i zwrócę się ku mniej ambitnym zajęciom: zajmę się hodowlą psów lub po prostu wyląduję na ulicy, grając dla zarobku w trzy kubki. Bała się o mnie i o moją złamaną psychikę. Kiedy dotarło do niej, że nic takiego się nie wydarzy, a śmierć ojca tylko utwierdziła mnie w tym, że chcę kontynuować studia, nagle zmieniła optykę. Zaczęła mówić o ojcu, jakby wciąż żył. Co chwila spoglądała na zegarek, a potem na drzwi, i pytała z wyrzutem:

– Ojciec tak długo nie wraca. Nie mówił ci, synku, dokąd poszedł? Dlaczego wy ze sobą w ogóle nie rozmawiacie?

Początkowo się tym nie przejmowałem. Żałoba u każdego przebiega inaczej i być może matka miała potrzebę czekania na ducha. Po kilku miesiącach doszedłem jednak do wniosku, że postradała zmysły. Nie było sensu tłumaczyć jej, że na krótko przed śmiercią ojciec niespodziewanie zmienił

taktykę i zaczął traktować mnie nie tylko jak dorosłego faceta, ale i jak przyjaciela. Postanowił być ze mną szczerzy do bólu, opowiadając mi o swoich życiowych dylematach.

Nie wiem, czy powinien. Byłem narwanym młokosem, zamiast myśleć, działałem. Nie zawsze mądrze, za to zawsze impulsywnie. Ale to się właśnie ojcu we mnie podobało. Do tego bardzo interesowałem się lekami. Miałem skłonność do mieszania mikstur i obserwowania reakcji, jakie się po nich pojawiały. Wiedziałem też, skąd można pozyskać składniki, z czego ojciec doskonale zdawał sobie sprawę i co pewnego dnia postanowił wykorzystać.

– Na pewno słyszałeś o czymś, co pomogłoby mi na sen – zagaiał.

Matka miała w szafce z lekami jakieś ziołowe tabletki z melisą, więc przyniosłem kartonik i rzuciłem mu go prosto w rękę. Obrócił go w palcach, po czym powolnym ruchem odłożył na stół.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że chcę to wszystko zakończyć?

Jak mógłbym nie pamiętać. Na dźwięk takich słów każdemu człowiekowi włosy stają dęba, a co dopiero, gdy wypowiada je ojciec lub matka, więc co to w ogóle za pytanie?

– To nie były żarty? – Mimo wszystko wolałem się upewnić.

Ojciec, jak już wspominałem, lubił sobie od czasu do czasu żartować. Był prawdziwą duszą towarzystwa, królem każdej imprezy. Kaowcem i rodzinnym kawalarzem.

Pokręcił głową.

– Znajdź mi coś. Nieważne, ile za to zapłacisz, mam forszę. Ważne, żeby było raz a dobrze. Skutecznie ma być, rozumiesz, synu? Musisz mi pomóc.

Odmówiłem, i to kategorycznie. Nie zamierzałem podawać mu niczego „skutecznego”. Był, do diabła, moim ojcem! Wtedy włączyła mu się gadka o tym, że doszedł do ściany i jeżeli nie będę chciał mu pomóc, zorganizuje sobie coś na własną rękę. Dodał łamiącym się głosem, że wolałby tego nie robić, bo jeśli coś pójdzie nie tak, zostanie kaleką do końca życia. Gnijącym warzywem, niedołągą, utrapieniem dla matki i dla mnie. Męczył mnie tak długo, aż powiedziałem, że zobaczę, co da się zrobić. Z wiadomych względów nie robiłem w tym temacie zupełnie nic. Przez kolejne tygodnie starałem się unikać rozmów z nim sam na sam. Miałem nadzieję, że jego prośba podyktowana była chwilowym załamaniem nerwowym, które minie, i że w końcu o niej zapomni. Sprawa jednak wróciła na tydzień przed Wielką nocą. Dopadł mnie, kiedy wieszałem półkę w kuchni, i zapytał, czy już to

mam, bo on nie zamierza dłużej czekać. Chciał się uwinąć z tematem do świąt. Byłem w szoku. Wiedziałem, że nie żartuje, zwłaszcza że pokazał mi swój zestaw awaryjny: żyłki. Miał go użyć jeszcze tego samego wieczora. Wyobraziłem sobie matkę, która do końca życia nie zechce obchodzić żadnych świąt, bo zawsze będą się jej kojarzyć z traumą spowodowaną przez jej niefrasobliwego męża, i zacząłem z nim negocjować. Ugrałem dwa tygodnie zwłoki.

– Załatwimy to po świętach, obiecuję – powiedziałem, kładąc rękę na sercu. – Czekam na towar.

Kiedy wbiłem ostatni gwóźdź w ścianę, od razu poszedłem do siebie. Zamknąłem się w pokoju i wałać się pięściami w głowę, zawyłem. Cicho, żeby matka mnie nie usłyszała. Kiedy mi trochę przeszło, wziąłem się do roboty. Ściągnięcie przez internet poszczególnych składników wymaga czasu. Zamówiłem kilka z nich, resztę mogłem w miarę swobodnie wykraść z laboratorium, do którego wpuszczano nas w ramach studenckich zajęć.

Dwa dni po Wielkanocy matka miała niespodziewany telefon. Dzwoniła jej przyjaciółka z dzieciństwa. Po tym, jak dostała w Stanach zieloną kartę, mogła wreszcie podróżować w tę i z powrotem między Chicago a Warszawą. Po dwudziestu kilku latach pojawiła się więc we wsi pod Płockiem i nacieszywszy się rodziną, wykonała połączenie do mojej matki. Matka przyjęła jej zaproszenie natychmiast i jeszcze tego samego wieczora spakowała walizkę. W ten właśnie sposób krótko po świętach zostaliśmy z ojcem sami.

Wszystko rozegrało się wieczorem, gdy tylko zjedliśmy wspólnie naszą ostatnią kolację. Zaczęło się od umierania na próbę. Przygotowany przeze mnie zastrzyk z dimetylotryptaminą miał spowodować u ojca doświadczenie stanu śmierci. To był mój warunek, jaki przed nim postawiłem, zanim mieliśmy pożegnać się na dobre. Chciałem, żeby poczuł nieodwracalność umierania, wystraszył się jak każdy normalny człowiek i zrezygnował. Neurochemiczna symulacja wydawała się jedyną szansą na to, by mu się odwidziało, była moją i jego ostatnią deską ratunku. Musiałem ją wykorzystać.

Gdy po kilku godzinach oprzytomniał, a była wtedy chyba piąta nad ranem, obudził mnie trącaniem w ramię.

– To było niesamowite, synu. Nigdy dotąd nie czułem takiego spokoju. Teraz jestem już całkiem gotowy. Zróbmy to do razu. Pokaż, co dla mnie masz.

Nic nie miałem. Założyłem, że na tym eksperymencie ojciec polegnie i odpuści.

Szału, jaki odstawił chwilę potem, nie potrafię nawet opisać. Dowiedziałem się przy okazji, że nie można na mnie liczyć i że się mocno na mnie zawiódł, jak na nikim wcześniej. Poszedł po swoje żyletki. Wpadłem do łazienki w ostatniej chwili, kiedy już przykładał ostrze do nadgarstka. Musiał zobaczyć w mojej twarzy coś, co kazało mu się zatrzymać.

– Co, że nabrudzę? – zapytał. – Masz rację, matka by się wściekła.

Wyminął mnie w drzwiach i wyszedł z mieszkania. Zobaczyłem przez okno, że idzie do garażu. Otworzył zamek i zniknął na jakiś czas w środku. Niejeden raz widziałem, jak robią takie rzeczy w amerykańskich filmach. Zamknięte okna w aucie, wężyk podpięty z jednej strony do rury wydechowej, a z drugiej wpuszczony do kabiny i puszczonego gaz. Poszedłem za nim. Już siedział w środku swojego forda.

– Też nie?! Nic ci nie pasuje?! – wrzasnął, widząc mnie stojącego przed boczną szybą. Chyba uderzałem w nią pięścią albo szarpałem za klamkę, nie pamiętam.

Patrzyliśmy na siebie przez tę szybę. Miał w oczach ból tak wielki, że aż poczułem go na własnej skórze.

– Załatwmy to inaczej – powiedziałem w końcu, nie mogąc znieść tego, co miał wypisane na twarzy. Wskazałem głową na piwniczne okna w naszym bloku. – To zajmie tylko kilka sekund.

Boks, w którym trzymaliśmy rupiecie, był niewielki. To mało romantyczne miejsce, jeśli chodzi o odebranie komuś życia. Ma jednak tę zaletę, że można wcisnąć głinom, że nie zauważyło się ciała przez dobę albo dwie. Nie co dzień chodzi się przecież do piwnicy po słoik ogórków czy kompot.

Wysiadł z auta. Nim wyszliśmy z garażu, kazałem mu wziąć sznur i stołek. Nie zamierzałem niczego dotykać i pozostawiać swojego DNA. Przy robieniu pętli też nie pomagałem. Kiedy ojciec w końcu stanął na stołku w piwnicy i kiwnięciem głowy dał mi znać, że jest gotów, kopnięciem usunąłem ów stołek spod jego nóg. Przez chwilę czekałem, aż umrze. To było jego życzenie. Miałem tam stać na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Pamiętam, że bał się, by lina nie pękła pod jego ciężarem.

Kiedy było po wszystkim, zostawiłem go i wróciłem do mieszkania. Zegar właśnie wskazał siódmą, dzień się dopiero zaczynał. Położyłem się do łóżka i leżałem do dziewiątej. Gapiłem się w sufit i myślałem tylko o tym, co właśnie zrobiłem i za ile godzin powinienem tam wrócić

i „odkryć” ciało. Chciałem to zrobić na krótko przed powrotem matki. Uznałem, że około południa będzie w sam raz. Tak też uczyniłem. Wziąłem z kuchni siatkę na ziemniaki i zszedłem do piwnicy. Niecałe dwadzieścia minut później przyjechały pogotowie i policja.

Wydawało mi się, że kolejna noc będzie dla mnie trudna, ale nie była. Ojciec leżał w domu pogrzebowym i odprężał się po swoim wysokowym życiu, a ja... ja też czułem ulgę. Nie miałem żadnych koszmarów, sumienie mną nie telepało. Tak samo przez następne doby. Sytuacja zdawała się absurdalna – nie wiedziałem, co jest ze mną nie tak, ale w końcu zaczęło do mnie docierać, że spełniłem cholernie dobry uczynek. Dałem mojemu ojcu to, czego ode mnie oczekiwał. Uwolniłem go od nałogu i komornika. Zabrałem cierpienie, a darowałem spokój. Tak oto przestałem czuć się ojco-bójcą, a wszedłem w fazę grania roli szlachetnego człowieka. To było jak olśnienie. Znalazłem dla siebie nową ścieżkę w życiu. Z biegiem czasu sta-nęło na niej jeszcze kilka innych osób, z różnymi problemami. Męczyły się tak jak mój ojciec. Odmówiłem pomocy w dwóch, może trzech przypadkach. Zmodyfikowałem też sposób, w jaki wyświadczałem tym ludziom przysługę. Nie chcąc brudzić sobie rąk, jedynie doradzałem im lub podsu- wałem pewne substancje, lecz przestałem nieść pomoc bezpośrednio. Do chwili, gdy poznałem Adelę, Miriam i ich matkę.

To był zdecydowanie zły czas w życiu tych trzech kobiet i każda z nich szukała jakiegoś wyjścia z sytuacji. Nie zamierzałem posunąć się do najgor- szego. Koncentrowałem się na Miriam i na naszym wspólnym życiu, które właśnie zaczynaliśmy. Widziałem, jak bardzo zależy jej na matce, i przez myśl mi nie przeszło, by tę ostatnią skrzywdzić. Zamiast jednak słuchać głosu rozsądku, posłuchałem Adeli. Powiedziała mi, że ze strony Miriam nie ma żadnego sprzeciwu, bym zajął się problemem i rozwiązał go jak naj- szybciej. Opamiętanie przyszło za późno, a mnie pozostało żyć ze świadom- ścią, że koncertowo speprzyłem coś, co mogło być piękne. Przy Miriam miałem szansę na powrót stać się dobrym człowiekiem. Chciałem tego, ale jeszcze bardziej goniłem za tym, żeby zagłuszyć moje wyrzuty sumienia. Zasypywałem ją pieniędzmi, dałem dom i kupowałem kolejne samochody, ale czy to pomogło? Ani trochę.

Nigdy nie przyznałem się jej do tego, czego się dopuściłem, ale miałem do czynienia z piekielnie inteligentną dziewczyną. Jestem pewien, że o tym wiedziała, choć nigdy nie dała tego po sobie poznać. I wielką naiwnością z mojej strony byłoby myśleć, że mi wybaczyła.

Alarm z telefonu podrywa mnie z kozetki. Może to i dobrze, że czas na zen się skończył. Stan byłby rozczarowany – odstawiłem chałturę, a nie żadne zen. Zsuwam nogi na podłogę i podchodzę do małej umywalki, by ochłapać twarz zimną wodą. W wąskim lustrze widzę, jak bardzo jestem tym wszystkim zmęczony. Moim życiem, kłamstwami i ucieczką przed przeszłością.

Odwieszam mokry ręcznik na haczyk i szykuję się do wyjścia. Poprawiam krawat pod szyją, obciążam podwinięte rękawy koszuli. Jestem już gotów, by udać się do szatni przy sali zabiegowej, kiedy słyszę kroki na korytarzu. Rozpoznaję to lekkie szuranie chodakami.

– Panie doktorze! – Najpierw dobiega mnie głos Lindy, a zaraz potem pukanie do drzwi.

Otwiera bez zaproszenia, ale nie mam jej tego za złe. Jej głowa z burzą jasnych loków wciska się między framugę a skrzydło.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale to ważne.

– Nie teraz, Lindo. Jak skończę pracę, dobrze?

Kręci głową.

– Teraz, doktorze.

– O co chodzi?

– Ma pan gościa.

Nikogo, poza daleką rodziną Miriam, w przeddzień pogrzebu się nie spodziewam. Wprawdzie kilka osób ze strony jej matki zapowiedziało się na uroczystości, ale zaznaczyli, że pojawią się dopiero jutro na cmentarzu. Poza tym z pewnością nie przyszłoby im do głowy, by odwiedzić mnie w klinice.

– To ktoś z policji – dodaje Linda. – Mówi, że pilne. Zejdzie pan na dół czy przyjmie ją tutaj?

– Ją?

– To jakaś Chinka – wyjaśnia szeptem Linda.

– Przyślij ją do gabinetu.

Znika na kilka minut, po czym znów słyszę odgłosy jej drewniaków. Kroków policjantki nie słyhać w ogóle, miękkie podeszwy jej butów tłumią każdy ruch.

Czekam na nią w uchylonych drzwiach. Linda wycofuje się szybko, a Shi Lu wchodzi do gabinetu i od razu zamyka za sobą drzwi.

– Znów się widzimy, panie Macharow.

Dla niej nie jestem panem doktorem. Przypuszczam, że nawet do papieża zwracałaby się, pomijając tytuł.

– Dobrze, że pani przyszła. – Uprzedzam ją, zanim zacznę wyjaśniać cel swojej wizyty Domyślałem się, że chodzi o kolejne haki na mnie, jakich się doszukała. – Udało mi się zdobyć informacje na temat człowieka, który mógł mieć wiele wspólnego ze śmiercią mojej żony.

Im szybciej powiem o Florianie i o aferze, w jaką wplątał Miriam, tym lepiej.

Wskazuję jej miejsce, które sam opuściłem kilka minut wcześniej, ale wąska kozetka jej nie interesuje. Podobnie jak wieści o facecie, z którego rąk zginęła moja żona.

Zamiast tego Shi Lu wyjmuję z kieszeni marynarki złożoną na trzy kartkę.

– Nie chciałam z tym czekać. Przyszło dwie godziny temu.

– Jeśli to jakiś donos...

– W sprawie donosu nie fatygowałam się tu, a wezwała pana do siebie. Proszę to przeczytać.

Chciałbym, ale dzwoni telefon na moim biurku. Na wyświetlaczu pojawia się numer sali zabiegowej. Podnoszę słuchawkę, by usłyszeć, że pacjentka siedzi już na fotelu z nałożonym na twarz kremem znieczulającym i za kwadrans będzie gotowa do zabiegu. Zapewniam, że zaraz zjadę, ale w tym samym momencie Shi Lu kręci głową.

– Nie sądzę, żeby był pan w stanie utrzymać skalpel. Nie po tym, co pan zaraz przeczyta.

Żadnego skalpela dziś nie będzie. Strzykawka i kilka ukłuć, by zrobić wypełnienia. Co prawda blisko oczu, ale to i tak wersja light.

Mówię ze spokojem do słuchawki, że oddzwonię za kilka sekund. Odbieram kartkę od Shi Lu. W tym momencie kończy się mój spokój. Już sam nagłówek pisma mnie paraliżuje.

Wynik z laboratorium.

– To nie ona. – Shi Lu uprzedza treść protokołu. – Nie wiem, czy panu gratulować, czy współczuć, niemniej w tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak wznowić poszukiwania pańskiej żony. Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, zwrócimy się o pomoc w akcji do ogólnokrajowych mediów.

Przesuwam wzrokiem po krótkich zdaniach, które informują, że DNA osoby badanej nie pokrywa się z DNA Adeli i że pokrewieństwo między nimi jest całkowicie wykluczone.

Przez wewnętrzny numer wzywam Stana. Pojawia się niemal natychmiast – widzę po jego twarzy, że jest podenerwowany. Musiał wiedzieć, że

do kliniki przyjechała policja, takie informacje roznoszą się lotem błyskawicy.

Podaję mu wyniki badań. Mimo naszych spięć powinien wiedzieć o wszystkim, co dotyczy mnie i Miriam.

– Zajmę się twoją pacjentką, a ty wracaj do domu i wszystko na spokojnie przetraw – mówi, gdy tylko kończy czytać.

Jestem mu za to wdzięczny, nie mogę teraz stanąć z igłą przy człowieku. Jedno omsknięcie dłoni i doszłoby do nieszczęścia, a na wypłatę odszkodowania kompletnie mnie nie stać. Nie wiem, czy szok byłby dla sądu wyłumaczeniem.

Tylko czy jestem w szoku? Mało co do mnie dociera, więc chyba tak. Nic nie czuję, choć w jakiś sposób powinienem zareagować. Osunąć się po ścianie na podłogę albo przynajmniej zakląć. Nic takiego się jednak nie dzieje. A oni oboje patrzą na mnie. Oczekują reakcji. Nie wiem, jaka byłaby właściwa.

Naprawdę tego nie wiem.

STAN

Jest środek nocy, ale sen nie przychodzi. Leżę w pościeli obok Pat i z zazdrością patrzę na jej zamknięte oczy. Jest taka spokojna, a jej skóra pachnie po wieczornej kąpieli. Ja lepię się cały od potu, nawet poduszka pod moją głową jest mokra. To resztką toksyn, których pozbywa się moje ciało. Dodatkowo mdli mnie z głodu, choć żołądek już dawno przestawił się na kontrolowaną głodówkę i powinien się dostosować do reszty organów. Całe moje ciało nagle zaczyna się zachowywać absurdalnie.

Tę noc miałem spędzić w mieście z racji planowanego na jutro pogrzebu, ale gdy tylko dowiedziałem się, że uroczystości nie będzie, zwiąłem do mojego lasu. Ale nie tylko ja potrzebowałem ucieczki. Konrad też uciekł. Po wizycie Shi Lu nie wrócił do domu. Linda miała zamówić taksówkę, żeby zabrać go bezpiecznie na Rukoli, ale gdy tylko zaczęła wybierać numer do korporacji, kazał jej odłożyć słuchawkę. Wsiadł do swojego auta i odjechał w przeciwnym kierunku. Nikt nie wie dokąd ani po co. Nie mam więc od niego żadnych wieści, a jego telefon milczy. Z trasy wykonałem też połączenie do Adeli, ale i ona nie odebrała. Po szóstej próbie odpuściłem. Jestem pewien, że zaraz po wizycie w klinice Shi Lu zajrzała i do niej. Pewnie po tym, co usłyszała, pękła jej głowa. Tak czy owak, już wiemy, że wszystko zaczyna się od nowa. Miriam, jeśli wciąż żyje, zapewne też się o tym dowie. Jutro, a najpóźniej pojutrze przeczyta gdzieś lub usłyszy z gadających mediów.

Dobrze wiem, że już nie usnę. By nie obudzić Pat, bezszelestnie wysuwam się z pościeli. Nie ubieram się. Jedyne, czego potrzebuję, to buty. Wychodzę z domu i wystawiam ciało na nocne wrześnie powietrze. Wreszcie zaczyna się ochładzać, ale to w niczym mi nie przeszkadza. Mój organizm doskonale znosi niskie temperatury. Od miesięcy staram się być jak Wim Hof, człowiek lodu. Robię wszystko, by umysł zapanował nad materią.

Idę prosto do stodoły, zapalam gołą żarówkę pod stropem i sięgam po fartuch, którym przepasuję biodra. Piwniczka, którą zacząłem kopać, wciąż jest niedokończona. Wyciągam szpadel zza worków cementu, które nawiozłem do utwardzenia dna oraz ścian, i rozglądam się za wiadrem. Jest i ono, stoi tuż przy nowiutkiej szybie, która opiera się o ścianę stodoły. Uzbrojony w łopatę i kubel schodzę po drabinie na dół. Pozostało mi do wykopania nie więcej niż pół metra ziemi, zaraz potem wzmocnię ściany deskami, żeby ziemia się nie osuwała, i wyleję na dno beton. Tylko o tym chcę teraz myśleć, o skończeniu pracy. To, że jutrzejszy pogrzeb został odwołany, tylko sprzyja moim planom. Konrad zawczasu zakazał przyjmowania pacjentów, więc grafik kliniki jest pusty. Mogę tu zostać i pracować do rana. Zrobię sobie przerwę między ósmą a dziewiątą, kiedy wstanie Pat. Dziś nie poświęcę jej zbyt wiele czasu, ale na pewno to zrozumie. Wie, jak bardzo zależy mi na skończeniu piwniczki i że nie robię tego wyłącznie dla siebie. Docenia to i nie może się doczekać, aż wszystko będzie gotowe. Tak więc nie zamierzam się obijać. Teraz dokończę kopanie, a po południu rozrobię cement. Szybkoschnąca wylewka powinna zastygnąć w ciągu kilkadziesiąt godzin, co daje mi mnóstwo czasu na zamocowanie wjazdu.

Chłód idący od ziemi koi moje rozgrzane wysiłkiem mięśnie. Mimo to czuję, że jestem słaby. Nie sądziłem, że aż do tego stopnia. Mam wrażenie, że łopata obciążona piaskiem waży tyle, co ja sam, a wynoszenie na powierzchnię wypełnionego wiadra zaczyna być ponad moje siły. Z każdym kwadransem czuję się coraz gorzej, ale poza wodą nie zamierzam przyjmować niczego więcej. Znam swój organizm i wiem, że zniesie tyle, ile potrzeba. Staje się doskonały, pozbawiony zbędnego balastu – tkanek tłuszczu i tych z mięśni, które już do niczego mi się nie przydadzą. Pozostały już tylko te naprawdę niezbędne. Moje ciało staje się coraz lżejsze, tak bardzo inne od tego, z którym wszedłem w dorosłość.

Przebyłem długą drogę, odkąd włożyłem na plecy swoją pierwszą kaszaję². Czułem, że do niej nie pasuję, i nie chodziło o jej szafranowy kolor, który jeszcze bardziej podbijał żółtość mojej skóry. Brzydota mojego kłocowatego ciała uwięzionego w czymś tak pięknym była porażająca. Teraz, po stracie trzydziestu pięciu kilogramów, stałem się kimś nowym, niemal doskonałym.

Mam przy sobie Pat, nad głową widzę gwiazdy, a pod stopami czuję cudowną wilgoć ziemi. Jestem tu i teraz. Moje myśli wędrują daleko od

chaosu, w którym grzęzną Konrad i Adela. Chyba mogę stwierdzić, że wygrałem życie.

Wbijam się ponownie w piach. Z każdym ruchem szpadla utwierdzam się w postanowieniu, żeby już teraz, natychmiast oderwać się od zamętu, który dzieje się kilometry stąd. Zatrzeć za sobą każdy, najdrobniejszy nawet ślad. Od lat nie jestem częścią tamtego świata, on nie rozumie mnie, a ja nie rozumiem jego. Tylko tu jest bezpiecznie, w mojej Aranyi.

Trawię tę myśl aż do świtu, do ostatniego machnięcia szpadlem. Głębokość piwniczki wydaje się już wystarczająca. Wychodzę na powierzchnię i schylam głowę pod hydrantem. Woda spływa po mojej ogolonej skórze i zbiera się na ustach.

Tak, jestem gotów. Zanim obudzę Pat, powiadomię Konrada, że odchodzę z kliniki i że nigdy więcej się nie zobaczymy. Wszystko, czego potrzebuję, jest właśnie tu, a z odłożonych pieniędzy utrzymam siebie i Pat tak długo, jak będzie trzeba.

Patrzę w okna pokoju, w którym śpi Pat. Jeszcze nie wie, że od tej chwili wszystko się zmieni. Aranya nie będzie już dla mnie jedynie przystankiem, ale stanie się prawdziwym domem. Pat się ucieszy. Jej też tak niewiele potrzeba do szczęścia.

Rozciągam w pierwszych promieniach świtu mięśnie ramion. Są omdlałe, drżą od wysiłku i dokuczliwie pieką. Powinienem odpocząć, umyć się cały i przespać choćby trzy godziny. Zamiast tego zamykam tylko na kilka minut oczy i oddycham głęboko, by dotlenić mózg. To ćwiczenie poleciłem Konradowi, nie wiem jednak, czy choć raz zmusił się, by wykonać je, jak należy.

Czuję, że ciało powoli się wycisza, ale nie mogę pozwolić sobie na nadmierną stratę czasu. Chwytam za wiadro i podchodzę do zamontowanego w ścianie kurka z wodą. Odkręcam go i napełniam wodą kubek. Zaraz zacznę rozrabiać cement.

Sobota, 12 września

ADELA

Bylaam spokojna, gdy to mówiła. Kiedy skończyła, wyskoczyłam z czymś tak głupim, że aż trudno mi uwierzyć, iż mogłam to zrobić. Zdałam sobie z tego sprawę o wiele za późno, gdy Shi Lu pożegnała się ze mną wyjątkowo dziwnym tonem. Wtedy to do mnie dotarło. W pierwszym odruchu chciałam do niej oddzwonić i wyjaśnić, co miałam na myśli, ale doszłam do wniosku, że zakrawałoby to na kolejną desperacką próbę ratowania własnej skóry. Przez chwilę pocieszałam się, że może jednak nie zrozumiała moich słów opacznie, jeśli: „Przecież wam mówiłam, że to nie jest ciało mojej siostry” nie brzmi tak, jakbym wiedziała coś na temat tego, gdzie ono faktycznie jest. Ale stało się i lepiej było tego nie ruszać. Jeśli się nie umie rozmawiać z ludźmi, a ja jestem książkowym przykładem tego typu kalectwa, lepiej jest zamknąć gębę na kłódkę i nie pogarszać sytuacji.

Powinnaam skakać z radości, ale zamiast tego siedzę na łóżku i gryzę paznokcie. Te u prawej dłoni są już tak krótkie, że niedługo zaczną mi krwawić opuszki. Bardzo mnie to wszystko stresuje. To, że DNA się nie zgadza, nie znaczy przecież, że policja zawiesi poszukiwania Miriam na kołku, zamykając sprawę, ani że mi odpuszczą.

Włączam telewizor, żeby nie zwariować i choćby przez jakiś czas zająć głowę czymś innym. Patrę na reklamy pieluch, jogurtów i banków, które wciskają kredyty z RRSO w wysokości dziesięciu procent. Skaczę z kanału na kanał. Jakby się wszyscy umówili, żeby w tym samym czasie puszczać te jogurty i pieluchy. Po dwudziestu minutach oglądania bzdur mam serdecznie dość, zresztą przypominam sobie, że powinnaam uzupełnić dziennik mojej choroby i zarejestrować atak. Jedno przeoczenie, to z marca, sporo mnie kosztowało i lepiej, żeby się więcej nie powtórzyło. Gdybym była bar-

dziej zapobiegliwa, ustawiłabym sobie alarm w telefonie, żeby nie przegapić wpisu, ale dopiero teraz przychodzi mi to do głowy. Zatem co dwa dni. Nie za często? Wygląda niewiarygodnie, więc ustawiam na dwa razy, ale w tygodniu. Tyle powinno wystarczyć.

O której to skończyłam rozmowę z Shi Lu? Był chyba kwadrans po dziewiątej, jak wyrwała mnie z łóżka. Robię więc wpis na dziesiątą. Podwójna dawka nagrzewania? Pojedyncza po takiej informacji może być zbyt słaba, jakby mnie to wszystko w ogóle nie ruszyło. Zapisuję podwójną, w końcu głowa z wrażenia powinna mi niemal wybuchnąć. Włączam lampę i nagrzewam sobie twarz. Nie za mocno, bo nie znoszę, jak piecze mnie skóra. Wolę jednak, by była choć trochę zaczerwieniona, bo mam przeczucie, że Lu jeszcze ze mną nie skończyła.

Nie myślę się. Nie mija pół godziny, gdy słyszę dzwonek do drzwi.

Nie zdejmując z głowy opaski, która trzyma mi włosy podczas sesji, i w rozchełstany szlafroku zbiegam na dół i przekręcam zamek. Shi Lu obcina mnie wzrokiem od pięt do czubka głowy. Ma pokerową twarz, ale dostrzegam w jej oczach coś, co mi się nie podoba.

– Jest pani sama? – pyta, po czym wciska się między mnie a uchylone drzwi.

Odruchowo robię głupią minę, rozciągając usta jak żaba.

– Widziałyśmy się godzinę temu. Zapomniała pani? Przyszła tu pani i powiedziała, że...

– Wiem, co powiedziałam.

– Nikogo poza mną tu nie ma. Zresztą nie wydaję w takim stanie proszonych śniadań.

Shi Lu bezceremonialnie przygląda się moim czerwonym policzkom.

– Niech pani da już sobie z tym spokój. Nie szkoda pani prądu na te bzdury?

Wiem, że z rozdziawionymi ustami mało kto wygląda mądrze, a już na pewno nie ja, ale nie potrafię nad tym zapanować. Szybko zaczynam żałować, że wpuściłam ją do domu. Powinnam się obruszyć albo przynajmniej coś mądrego odpowiedzieć, ale naturalnie znów brakuje mi ciętej riposty. Wymyślę ją po czasie, w końcu jestem beznadziejnym przypadkiem.

Shi Lu chyba mi nie wierzy. Idzie w głąb mieszkania, zaglądając po drodze do małej toalety pod schodami. Nie zamierza z niej skorzystać, jedynie wsuwa głowę za drzwi, po czym się wycofuje. Kolejnym punktem jej wycieczki jest schowek na domowe rupiecie. Mało interesujące miejsce,

chyba że ktoś jest fanem odkurzaczy i brudnych mopów. Lu dociera też do salonu i sąsiadującego z nim gabinetu, w którym urządziłam małą bibliotekę. Wpada tam na ułamek sekundy, rozgląda się i wychodzi. Jej krótka szyja obraca się z zadziwiającą szybkością we wszystkie strony. Pytam, czego szuka, ale zbywa mnie, jakbym była powietrzem. Wymija mnie i wbiega po schodach do pokoju po mojej matce, kolejnej łazienki, garderoby i sypialni. Idę za nią na wszelki wypadek, gdyby znów chciała się przyczepić o rejestr moich naświetlań. Lampa wciąż jest włączona, jednak ostre światło padające z okrągłej świetlówki jej nie interesuje, a na rozłożony zeszyt z datami leczniczych seansów zupełnie nie zwraca uwagi.

Dość szybko uświadamiam sobie, że powtórna wizyta Shi Lu nie ma na celu skontrolowania tego, co robię, i że generalnie mogłoby mnie tu nie być. Nie wróciła ani dla mnie, ani przeze mnie. Nie mnie tu szuka. Taksuje spojrzeniem meble, dwa niewielkie fotele, sofę w gościnnym i leżankę w sypialni, szukając na nich śladów czyjejś bytności. Poza tą wygniecioną leżanką, na której moszczę się w trakcie swoich naświetlań, siedziska pozostałych mebli są idealnie wygładzone. Nie potrafię odgadnąć po jej minie, czy to dobrze, czy źle. Ma twarz sfinksa, do tego milczy. Moje pytania odbijają się od niej jak piłka od ściany. Postanawiam więc nie odzywać się wcale. Pozwalam jej robić, co chce, i zaglądać, gdzie chce. Nie zamierzam jej przeszkadzać swoją obecnością. Siadam przed lampą i kontynuuję naświetlanie. Lu jeszcze chwilę kręci się po piętrze, po czym słyszę, jak zbiega na parter. Po chwili dochodzi do mnie jej wołanie. Nakazuje mi otworzyć drzwi prowadzące do piwnicy. Szarpie przy tym za klamkę, jakby to miało w coś pomóc. I puka w drzwi, niemal w nie wali.

Muszę do niej zejść, bo zaczyna krzyczeć coś o nakazie rewizji, jeśli natychmiast nie pojawię się na dole. Pojawiam się i wyjmuję z szafki klucz do piwnicznego zamka. Przy okazji ostrzegam, że światło pali się jedynie na dole, a na schodach można sobie skrócić nogę w kostce.

Otwieram drzwi do piwnicy. Shi Lu stoi w nich przez chwilę, jakby się zastanawiała, czy nie powinna kazać mi iść przodem. Wychwytuje mój lekko drwiący uśmiezek, który pojawia się na myśl o zamknięciu jej tam dla zabawy, i już nie ma wątpliwości, że do piwnicy najpierw zejdę ja, a ona kilka kroków za mną. Wiem, że mi nie ufa, bo co raz kładzie rękę na kaburze, którą nieudolnie skrywa pod marynarką. Doprawdy, zabawne. Postanawiam być zatem jeszcze bardziej rozrywkowa.

– Miriam, idziemy po ciebie! – wołam w przestrzeń piwnicy. – Nie chowaj się już, znalazłyśmy twoją kryjówkę! Koniec zabawy, słyszysz, Miriam?

Stawiam ostrożnie stopy na schodach, po czym zatrzymuję się na ostatnim. Obracam się w stronę Lu. Mruży i tak już wąskie oczy, jednocześnie popycha mnie dłonią, bym zeszła na sam dół.

Włączam wiszącą u sufitu żarówkę i po chwili mdłe światło rozchodzi się po pomieszczeniu. Piwnica jest mała, ma wielkość pokoju, jakie zwykle spotyka się w blokach. Liczy może dwanaście metrów kwadratowych. Stoi w niej jeden duży metalowy regał na kartony i wisi kilka półek na narzędzia. Te są puste, bo żadnych narzędzi poza porzewiałym śrubokrętem nie posiadam. Co jeszcze mam tu ciekawego? Stojak na opony i stary materac z brunatnymi plamami – pozostałość po naszej matce. Powinnam go wyrzucić na śmietnik dawno temu, zwłaszcza że zaczął cuchnąć wilgocią. Jednak wciąż tu jest i psuje powietrze. Shi Lu ten zapach najwidoczniej nie przeszkadza, bo podchodzi do materaca, kuca przy nim i przygląda się mu z zainteresowaniem.

– Pani naprawdę myśli, że trzymam tu moją siostrę? – zaczynam dyskusję. – Miałaby tu spać, na tym czymś? Serio?

Lu przenosi wzrok z materaca na mnie. Ma zimne oczy, a ich lekka skośność nadaje jej twarzy wyraz przerażającej surowości. W tym momencie przestaje mi być do śmiechu.

– Chyba pani nie przypuszcza, że byłabym zdolna do czegoś tak podłego? Nigdy bym jej nie skrzywdziła. Po co miałabym to robić, ze względu na dawne pretensje? Przecież lata minęły, odkąd... Teraz mi pewnie pani powie, że zemsta po latach smakuje najlepiej. Czy może mnie pani wysłuchać? Ja nic nie wiem... Nie mam pojęcia...

Shi Lu podnosi się z kucek i robi rundę dokoła piwnicy. Runda trwa kilka sekund i nie jest obliczona na zwiedzanie kątów. Nie koncentruje się na nich, a na tym, co ma mi odpowiedzieć. Ewidentnie szykuje się do ataku. Kiedy jest gotowa, staje bardzo blisko mnie. Jeśli to jej sposób, bym poczuła się niepewnie, wie, co robi. Od zbytnej bliskości z drugą osobą zaczyna mi brakować tlenu. Pewnie już to czuje, w końcu wie o mnie wszystko. Mimo to staram się oddychać spokojnie. Idzie mi fatalnie.

– Może przerwijmy już tę zabawę w chowanego – mówi Lu, kołysząc się na ugiętych kolanach. Wciąż nie spuszcza ze mnie spojrzenia. – Powiedz mi, gdzie on jest.

Nie zauważyłam, kiedy przeszliśmy na ty.

– On? – powtarzam za nią.

– Gdzie go ukryłaś?

Kręcę na boki głową.

– Nie chodzi o Miriam? – Czuję, że serce zaczyna mi bić spokojniej.

– Udajesz głupią, zaskoczona czy wszystko na raz?

– Nie rozumiem.

– Jednak głupią... Gdybym była na twoim miejscu, pewnie też bym w to szła. To dość oklepany sposób, ale bywa skuteczny. Niestety, ale na mnie nie działa. Och, to zaskoczenie jest już o wiele bardziej wiarygodne. Powoli się wyrabiasz. Chcę zaoszczędzić ci tych emocji, Adelo. Nie wyglądasz zdrowo, chyba podniosło ci się ciśnienie, a to ci nie służy. W tym świetle nie widzę cię wyraźnie, ale za to czuję. Mam doskonały węch.

I bez tego wiem, że się pocę, nie musi mnie upokarzać. Jednak to robi.

– W końcu go znajdę, przecież wiesz. To tylko kwestia czasu – mówi Shi Lu, rozciągając przy tym sylaby. – Wydłubię go choćby spod ziemi. Więc lepiej powiedz. Gdzie jest Konrad Macharow?

Wreszcie to do mnie dociera.

– Nie jestem jego niańką, żeby go pilnować. Poza tym nasze kontakty ograniczały się ostatnio wyłącznie do rozmów o pogrzebie Miriam. O tym, do którego, jak już wszyscy wiemy, nie dojdzie. Jeśli nie ma go w klinice, musi być w domu.

Lu łapie mnie za rękaw szlafroka i popycha w stronę schodów. Gdy jesteśmy już na parterze, szarpie za drzwi wejściowe i znów popycha, tym razem do furtki.

– Tam. – Wskazuje głową na dom po drugiej stronie ulicy. – Patrz!

Owszem, widzę. Pod drzwiami domu Konrada oprócz zniczy przyniesionych przez sąsiadów leży wielki wieniec pogrzebowy złożony z białych róż.

– Nie odwołał zamówienia. Od kilkunastu godzin wie, że pogrzebu nie będzie, a mimo to nie powiadomił kwiaciarni, nie odesłał kwiatów ani nawet nie zabrał ich sprzed drzwi, żeby wyrzucić je do kosza. Jego telefon milczy, a w pracy nie widziano go od wczorajszego popołudnia. Wygląda na to, że zapadł się pod ziemię. Nie wydaje ci się to dziwne?

Mam ochotę powiedzieć jej, że pewnie zawieruszył się w jakimś nocnym barze po tym, jak usłyszał, że Miriam to nie Miriam, co byłoby całkiem naturalnym odruchem, i że do tej pory przytomnieje. Tylko takie

wytłumaczenie przychodzi mi na myśl. Najprostsze i najbardziej wiarygodne. Mogłabym też odwrócić role i udać wściekłą za to, że raczyła mnie poinformować o wynikach DNA dzień po tym, jak poinformowała Konrada. Zapomniała, że istnieję?

– Konrad ma bliskiego przyjaciela. Może on coś wie – podpowiadam jednak łagodnie. W moim interesie jest, by nie czuła we mnie wroga.

– Stanisław Koch? Ten chirurg?

– Ten sam, który wezwał patrol w noc zaginięcia Miriam.

– Przedziwnym zbiegiem okoliczności on też ma wyłączony telefon, a w klinice hula wiatr. Powiesz mi, co tu się dzieje, Adelo?

Mogę tylko wzruszyć ramionami. Nie mam jej nic więcej do powiedzenia. Nie mam też ochoty wpuszczać jej ponownie do domu. Zostawiam ją na chodniku i wycofuję się na swój teren za furtką.

– Szukajcie dalej – mówię na do widzenia. – W końcu człowiek to nie igła. A tak na marginesie, po co urządzenie to polowanie?

Shi Lu zaczyna już brzęczeć kluczykami do auta, przed oczami miga mi metaliczny brelok w kształcie miniaturowych kajdanek.

– Mamy powody sądzić, że Konrad Macharow jest odpowiedzialny za popełnienie kilku zbrodni.

Niepotrzebnie spytałam.

– Od dłuższego czasu badamy jego przeszłość. W ciągu minionej doby dokopaliśmy się do pewnych niepokojących informacji. Nie mogę mówić o szczegółach, ale... zaczęły wypływać brudy. Myślę, że powinnaś o tym wiedzieć.

– Jeszcze chwilę temu podejrzewała mnie pani, że go chronię.

– Źle mnie zrozumiałaś. Przede wszystkim przepraszam, że na ciebie naskoczyłam. To było niepotrzebne. Chodzi o to, że Macharow może być niebezpieczny, zwłaszcza teraz. Gdyby się u ciebie pojawił...

– Dam znać.

– Nie pozwól mu wejść. Radzę zaryglować zamki i nie wychodzić z domu bez wyraźnej potrzeby.

– Chyba nie sądzi pani, że stanie się ze mną to, co stało się z Miriam?

– Po prostu na siebie uważaj.

Shi Lu robi ruch w kierunku jezdni.

– Proszę zaczekać! – Zatrzymuję ją jeszcze na chwilę. – O jakich zbrodniach pani mówi?

– Wszystko w swoim czasie, Adelo. Na razie musi ci wystarczyć, że według naszych danych ten człowiek uśmiercił co najmniej dwie osoby. To było, jeszcze zanim wymienił ciebie na Miriam. Oczywiście ty z uwagi na waszą wspólną przeszłość tego nie potwierdzisz.

– Nic o tym nie wiem.

– Ja myślę, że jest inaczej. To absurdalne, ale kobiety nawet w takich okolicznościach bywają lojalne w stosunku do swoich byłych kochanków.

– Nie zamierzam go chronić.

– Ale to robisz. Wiesz o nim dużo więcej, niż chcesz powiedzieć, albo przynajmniej domyślasz się różnych rzeczy. Nie jesteś przecież głupia ani ślepa. A on zdaje sobie z tego sprawę. Co prawda do tej pory trzymałaś język za zębami, ale... Cóż, teraz Konrad ma powody, by zacząć wątpić w twoją lojalność.

– Chyba nie do końca rozumiem.

– Rozumiesz doskonale. Jak już wspomniałam, pogrzebaliśmy co nieco w przeszłości jego, jego rodziny i w waszej... Powiedz mi, na co umarła twoja matka?

– Długo cierpiała.

– Współczuję, ale nie o to pytam.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Oczywiście, Adelo, oczywiście. – Shi Lu kiwa głową, jakby była zawieszona na sprężynie. – A jego ojciec? W chwili śmierci miał zaledwie czterdzieści pięć lat.

– To było samobójstwo.

– Jesteś pewna?

– Powiesił się. Tyle wiem.

– Powiesił...

– Konrad go znalazł, w piwnicy.

– W piwnicy...

– Miał kłopoty. Sznur okazał się jedynym rozwiązaniem.

– Cierpiąca matka, cierpiący ojciec... Miriam też cierpiała, wiedziałaś o tym? Co za zbieg okoliczności z tym cierpieniem.

Wyczuwam w jej głosie drwinę.

– Miriam przez kilka lat brała leki – wyjaśniam. – Ciężko przeżyła odejście naszej matki.

Znów mruży swoje skośne oczy.

– Tak, to potrafi zwalić z nóg – mówi, krzyżując przy tym ręce na pierśsiach.

– Dlatego nie chciała mieć nigdy własnych dzieci, żeby nie musiały przeżywać tego co ona, tej okropnej traumy. Dzieci kochała, ale wybrała inny sposób, żeby się z nimi kontaktować.

– Poprzez teatr i kolorowe plakaty?

– To dość bezpieczna odległość.

– Konrad ją, naturalnie, rozumiał i chciał pomóc swojej ukochanej, żeby w końcu przestała cierpieć. Może w taki sam sposób, w jaki pomógł swojemu ojcu i waszej matce, i dlatego Miriam nagle zniknęła?

– To tylko spekulacje. Nie ma pani na to żadnych dowodów.

– Jesteś pewna, Adelo? Fakty są takie, że w momencie śmierci tych osób był przy nich bardzo blisko. Dotarłam do kopii karty zgonu twojej matki. Zastępczy lekarz... W szpitalnej dokumentacji na szczęście nic nie ginie. Jeśli nie skrzywdził twojej siostry z litości, zrobił to, by prawda o tym, czego się najprawdopodobniej dopuścił, nigdy nie wyszła na jaw. Wystarczyłby jakiś zgrzyt między nimi, a Miriam mogłaby zacząć sypać. Ty zresztą też... W końcu podpisałaś dokument. Jest na nim twoje nazwisko.

– Dlatego mam się czuć zagrożona?

– Jestem pewna, że rozumiesz powagę sytuacji. A co do Miriam...

– Nigdy nie byłam fanką ich małżeństwa, ale to, co pani mówi, nie ma sensu. Byli ze sobą szczęśliwi.

– Ludzie żyją ze sobą szczęśliwie, ale do czasu. Bo każdy ma swoją przeszłość, Adelo. Dawne cienie potrafią ciągnąć się za nami przez lata. Sama chyba wiesz o tym najlepiej.

Nie zamierzam tego komentować. W myśl starej prawdy, że tylko winny się tłumaczy, milknę. Nie mogę jej tak po prostu wypchnąć za furtkę, ale mogę dać do zrozumienia, że ta wizyta powinna się już skończyć. Wymijam Lu i otwieram bramkę, co jest chyba dla niej oczywistym sygnałem. Wychodzi, kręcąc sobie na palcu kajdankowym brelokiem.

Gdy Lu jest już na ulicy, nie dość, że zamykam furtkę, to dodatkowo przekręcam kluczyk w zamku. Zwykle tego nie robię. Okolica jest spokojna i nikogo nie kusi wdzieranie się na cudzą posesję. Tym razem postępuję zgodnie z zaleceniami Shi Lu. Niech wie, że biorę sobie jej troskę do serca.

Drzwi wejściowe do domu również zamykam na wszystkie możliwe zamki. Wypijam w kuchni szklanę lodowatej wody, by po tej rozmowie dojść do siebie. Łykam tabletkę imigranu i wreszcie zaczynam oddychać

spokojniej. Podchodzę do okna, by sprawdzić, czy Shi Lu odjechała już swoim autem, czy czai się gdzieś za rogiem. Tacy jak ona lubią obserwacje z ukrycia. Wychylam się i lustruję całą długość ulicy w lewo i w prawo. Czuję ulgę, gdy nigdzie nie widzę już jej samochodu.

Z najniższej szuflady komody, w której trzymam albumy ze zdjęciami z dzieciństwa, wydaję pager. Kiedy Konrad dawał mi go wczorajszego wieczora, mówiąc: „Weź, wkrótce ci się przyda”, wyśmiałam go. Bo kto teraz używa pagerów? On miał ich kilka, przyniósł je z kliniki dwa lata temu, kiedy stały się bezużyteczne, bo każdy z pracowników wolał korzystać z komórki, a nie z takiej przestarzałej zabawki. Leżały więc w jego domu, ale nadal były na chodzie. Sieć, która je obsługiwała, z jakichś powodów wciąż nie została odcięta. Zaniedbanie, o którym sobie przypomniał, teraz miało nam ułatwić komunikację.

– Nie zdziwię się, jeśli nasze telefony są na podsłuchu – powiedział. – Lepiej, żebyśmy uważali. Zwłaszcza teraz, kiedy już wiemy, że ciało nie należy do Miriam. Będą mieć nas na oku i czekać na nasz błąd.

Od wczorajszego wieczora sprawdzam regularnie, czy się odezwał. W nocy trzymałam pager przy poduszce. Czuwałam na wypadek, gdyby ustalony przez nas sygnał nagle kazał mi się ubrać i wyjść z domu.

Konrad na razie milczy. Wie, że czekam, więc mógłby wreszcie dać jakiś znak. Zaczynam się coraz bardziej niecierpliwieć.

FLORIAN

Po dwunastu godzinach oczekiwania wreszcie przychodzi wiadomość. Mam wyjechać z miasta o dwudziestej i kierować się na południe. Na piątym kilometrze od Otwocka powinienem się zatrzymać i poczekać na kolejne informacje o miejscu naszego spotkania.

E-mail wygląda nietypowo. Nie pochodzi ze skrzynki, na którą wysłałem prośbę do Hetmana. Nie znam tego adresu, jest dość enigmatyczny i składa się z przypadkowych liter. Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy, gdy próbuję zrozumieć, o co tu idzie, to ostrożność. Hetman nie funkcjonuje jak każdy normalny człowiek. Ukrywa się pod różnymi nickami i adresami, żeby stać się nienamierzalnym. Zapewne ma do dyspozycji jednego lub dwóch hakerów, cwaniaków od internetowych połączeń, którzy w ten sposób kryją mu tyłek.

Rozpoznaję za to tytuł wiadomości: JX92, czyli numer uczestnika, jaki został przypisany Miriam.

W mailu nie ma o niej ani słowa. Jest tylko ta sucha wskazówka o lokalizacji, ale i to wystarczy, bym czuł, jak ściska mi się żołądek. Odpisuję, że wiadomość dotarła i że będę postępował według wskazówek. Nie ma już odwrotu.

Do wyjścia z domu mam jeszcze trochę czasu, dokładnie dwie godziny. Mogę do tej pory spróbować się rozluźnić. Puścić w słuchawkach jazz, zrobić czterdzieści pompek lub rozegrać partię szachów w trybie online. Próbuję nie myśleć o tym, co mnie czeka, ale im bardziej się staram, tym gorzej mi to wychodzi. Przede wszystkim zaczynam mieć wątpliwości, czy dobrze robię, nie powiadamiając nikogo o tym spotkaniu. Potajemna schadzka z Hetmanem może się różnie skończyć. Zaryzykowałem szantaż, a to mało zachęcający wstęp do rozmowy o czymkolwiek, a już na pewno o ofiarach, jakie kosi Gra. Zaczynam się wręcz zastanawiać, ilu zbirów w czarnych kominiarkach ze sobą przywiezie. Trzech, pięciu? Nie przesadzę, jeśli powiem, że o ile przed laty straciłem dla Miriam głowę, o tyle teraz mogę stracić przez nią o wiele więcej.

Wybieram partyjkę szachów. Mój przeciwnik nazywa się Raven i gra tylko czarnymi. Dla mnie to nie problem, ale już wiem, że jest zwykłym leszczem, a nie profesjonalnym graczem. Ta teoria potwierdza się po pierwszych jego ruchach. Raven nie ma pojęcia o strategii. Zbijam jego piony, zmiotam z planszy obie wieże i jednego gońca. Nadal ustawia figury bez zastanowienia, co prawda chroni króla, ale bezmyślnie odsłania hetmana. Chwile króla są policzone.

Załatwiam faceta w mniej niż kwadrans. Nie czuję satysfakcji, bo to jak wygrana lwa z jagnięciem. Raven domaga się rewanżu, ale zrywam połączenie. Niech najpierw nauczy się, czym jest rozszada, a czym bicie w przełocie. Albo najlepiej niech pobawi się warcabami.

Zapalam papierosa i zaczynam krążyć po pokoju. Tym samym, który kiedyś Miriam okadzała swoimi ziołami. Teraz pachnie spalonym tytoniem. Wolałem poprzedni zapach.

Starczy. Za dużo o niej myślę. Oboje spalaliśmy sprawę, ale przecież piłka wciąż jest w grze.

Przede wszystkim nie zamierzam kłaść głowy pod topór. Jedno z nas musi przeżyć i załatwić tego gnoja raz na zawsze. O zabraniu ze sobą noża lub jakiegokolwiek innej broni nie ma mowy, ale to nie znaczy, że stanę naprzeciw niego z gołymi rękami. Hetman do tej pory mi ufał i mam nadzieję, że gdy usłyszy moją propozycję, przełknie sprawę z szantażem. W końcu nagoniłem mu kilku uczestników i miał z nimi niezłą zabawę. Zaproponuję więc kolejne wskazanie, oczywiście w zamian za moje bezpieczeństwo i za informacje o Miriam. Zaoferuję krew kolejnej ofiary. Do tego tym razem na żywo, nie w aplikacji. Obiecuję mu miejsce w pierwszym rządzie. Kryminalni szukają tego skurwiela od lat, więc pójdą na współpracę i dadzą kogoś podstawionego. To zamknie sprawę.

Co o tym sądzisz, Miriam? Trzymaj za mnie kciuki, skarbie. Razem aż do końca, pamiętasz?

Niedziela, 13 września

Konrad Macharow wyłączył silnik i wysiadł z auta. Żwir, którym wysypała była leśna zatoczka, zachrząścił pod jego ciężkimi butami. Jako że na horyzoncie nie majaczyły ani osobówki, ani rozpędzone tiry, to poza dźwiękiem jego kroków i szumem drzew huśtających się na popołudniowym wietrze nie było słycać nic. Wąskie pasmo asfaltu biegnące między równie wąskimi pobocznymi nie należało do bezpiecznych, przez co drogę tę zwykle omijano. Zwłaszcza że niecałe trzy kilometry dalej ciągnęła się równoległa dwupasmowa droga, dużo wygodniejsza dla podróżujących.

Mężczyzna spojrział na zegarek, wskazówki pokazywały siedem minut po dziewiętnastej. Dla zabicia czasu otworzył bagażnik i rozpiął okazałych rozmiarów sportową torbę. Jej zawartość sprawdzał już dwukrotnie, nim ruszył spod hotelu, w którym spędził ostatnią dobę, uznał jednak, że dla pewności zrobi to ponownie. Przeliczył przedmioty, wszystko się zgadzało.

Nie zdążył zatrzasnąć klapy bagażnika, kiedy usłyszał pojedynczy dźwięk klaksonu, a zaraz potem nadjeżdżające auto dało sygnał długimi światłami. Począł, aż stanął w zatoczce obok jego lexusa.

– Już zacząłem wątpić, że się pojawisz – powiedział z wyrzutem, gdy biały fiat punto z opuszczonym oknem kierowcy zaparkował tuż przy jego nogach.

Adela wygrzebała się z auta i przytuliła się delikatnie do Konrada.

– Miałabym przepuścić taką okazję?

Jej włosy, nasączone przy nasadzie maścią, czuć było ziołami i mentolem wymieszonym z kamforą.

– Nie zdążyłam się tego pozbyć. – Machnęła w powietrzu ręką. – Zwykle wystarczają mi tabletki, ale po tym, co od ciebie usłyszałam, musiałam położyć jedną warstwę, a potem nie było już czasu, żeby to z siebie zmyć. Ale co tam maść... Masz wszystko, co trzeba? Pokaż, chcę to zobaczyć.

Konrad rozsunał ponownie zamek torby.

– Żarty sobie robisz? – Adela nie wyglądała na zadowoloną.

Nachylił się nad bagażnikiem i rozwinął ukryty na jego końcu koc. Zabrzęczał metal poruszony jego ruchem.

– O wiele lepiej – powiedziała z uznaniem. – Ja też coś przywiozłam. Dla podkreślenia zabawy – dodała, potrząsając przewieszoną przez ramię torbą. W środku coś głucho zagruchotało. – No to co? Proponuję nie tracić czasu.

Wskoczyła na siedzenie pasażera w jego aucie. Udawała opanowanie, ale Konrad widział, że jest przejęta. Skóra na jej czole pokryła się błyszczącymi drobinkami potu.

Usiadł obok niej. Włączył silnik i od razu uruchomił wycieraczki. Niebo zasnuwane było chmurami, z których zaczynał kropić deszcz.

– A więc to wszystko dzieje się naprawdę – szepnęła Adela, patrząc na moknącą przednią szybę.

Konrad nie zapinał jeszcze pasów. Wyciągnął dłoń i pogładził ją po rozpalonym policzku.

– Boisz się?

Pokręciła głową.

– Ani trochę. Nie mogę się doczekać, aż to zrobimy.

– Dziewczyno. Miałem wątpliwości, czy poradzisz sobie z tym wszystkim. Zwłaszcza z tą skośnooką. Była bardzo upierdliwa?

– Przewróciła mi dom do góry nogami. Nie da za wygraną, dopóki nie znajdzie Miriam. Ona i Nauman.

– W takim razie będą musieli jej bardzo długo szukać. Może do końca życia. Zrobiłaś ich na cacy.

– To dopiero początek. Przed nami kolejna runda.

– Nie mogę dać ci gwarancji, że ją wygramy i że wszystko pójdzie po naszej myśli. Ryzyko jest duże.

– Nie jestem dzieckiem.

Oddychała ciężko. Widział, jak pociera nerwowo o siebie dłońmi.

– Narobiło się, co? Cholerni z nas idioci – mruknął.

– Posunęliśmy się za daleko i teraz nie pozostaje nam nic innego, jak brnąć w to dalej.

– Wiem. Tak trzeba.

Adela potarła dłońmi ramiona.

– Włącz ogrzewanie. Zaczyna mną telepać.

– To nerwy.

– Włącz.

Zrobił, o co go poprosiła.

– Lepiej?

– Nie wiem, chyba tak. Jedźmy już.

Konrad wrzucił bieg i wjechał kołami na asfalt. Sunęli bez słowa przez kilka kolejnych kilometrów, wsłuchując się w uderzenia pojedynczych kropeł deszczu, który powoli nadciągał od prawej strony lasu.

– Jak to zrobimy? – odezwała się w końcu Adela. – Wiesz, że ja nigdy wcześniej...

– Nie myśl teraz o tym. Oddychaj spokojnie.

– Chcę wiedzieć, co się wtedy czuje.

Konrad obrócił twarz w jej stronę.

– Każdy odczuwa co innego.

– A ty? O czym myślałeś, robiąc to za pierwszym razem? Tylko szczerze. Nie będę oceniać.

– Nie pamiętam.

– Chrzanisz. Tego nie da się zapomnieć.

– Dobrze więc. Czuję litość. I żal, że musiało do tego dojść. Teraz bym to rozegrał inaczej.

Zaśmiała się gorzko i nieszczerze.

– Zrobiłbyś dokładnie to samo. Nie uznajesz półśrodków. Gdyby było inaczej, nie siedzielibyśmy teraz w twoim samochodzie z bagażnikiem pełnym żelastwa.

Konrad sięgnął ponad jej kolanami do schowka. Wyjął z niego paczkę cameli. Odpalił jednego od samochodowej zapalniczki i opuścił szybę.

– Źle mnie zrozumiałaś – powiedział, wypuszczając pierwszy kłęb dymu z płuc w stronę okna.

Spojrzała na niego przymrużonymi oczami, rozpędzając jednocześnie ręką gryzącą chmurę.

– Ach... o to chodzi. Robiłbyś to samo, tylko ostrożniej.

– Popełniłem kilka błędów i teraz gliny siedzą mi na karku. A co do waszej matki, w ogóle nie powinienem się w to mieszać. To była głupota. Wszystko spieprzyłem, łącznie z tym, co było między mną a Miriam.

– Może pocieszy cię fakt, że sprawa z matką i tak była z góry przesądzona – stwierdziła Adela. – Miriam nigdy nie przyszłoby na myśl, żeby ją wykończyć, ale mnie od dawna chodziło to po głowie. Więc nawet gdybyś odmówił mi pomocy, miałam przygotowany pewien zestaw, tak na wszelki wypadek.

- Ty?
- Zbyt długo cierpiała.
- Chcesz powiedzieć, że było ci jej żal? Myślałem, że była ci obojętna.
- Bo była. Chciałam, żeby umarła i wreszcie przestała być dla nas obu ciężarem. Sentyment nie był wtedy moją mocną stroną, ale o tobie mogę powiedzieć dokładnie to samo. Pewnie dlatego od zawsze czuliśmy, że do siebie pasujemy. Oczywiście poza Miriam. Ona widziała w tym, co nas łączy, tykającą bombę.
- I miała rację. Żałuję, że zabrakło między nami szczerości. Nigdy się przed nią nie przyznałem do tego, co zrobiłem waszej matce.
- Co niby miałbyś jej powiedzieć? Że chciałeś pomóc? Myślisz, że to by cię rozgrzeszyło? Zresztą nie łudź się. Miriam wiedziała o wszystkim, a przynajmniej wszystkiego się domyślała. Ta karta zgonu, którą tak bardzo chciałeś odzyskać, tylko przesądziła sprawę. Znalazła ją i schowała u siebie. Na pewno była w szoku, kiedy zobaczyła na niej twoje nazwisko.
- A potem ty ją ukradłaś. Porządnie mnie tym wkurzyłaś.
- Wkurzysz się jeszcze bardziej, kiedy ci powiem, że gliny dogrzebały się do jej kopii.
- Niczego mi nie udowodnią. Ciało dawno jest po kremacji.
- Bo na to nalegałam. Powinieneś mi za to podziękować, bo Miriam wolała klasyczny pogrzeb z dziurą w ziemi, a wtedy moglibyśmy mieć poważny problem, gdyby przyszło do ekshumacji zwłok. Moje naciski na kremację pomogły, ale wydaje mi się, że właśnie wtedy zaczęła coś podejrzewać.
- Niepotrzebnie trzymałem ten dokument w domu. Myślisz, że od dawna o nim wiedziała?
- Podejrzewam, że natknęła się na niego wkrótce po pogrzebie, bo wtedy właśnie zaczęła stale łykać tabletki. Była załamana, kiedy się dowiedziała, że matka mogła jeszcze żyć. Powiedz, co za dziadostwo podawałeś jej podczas tych swoich wizyt?
- Naprawdę chcesz to wiedzieć?
- Adela zapatrzyła się w okno.
- Nie... Chyba jednak nie. Biedna Miriam też nie wiedziała. Musiała ją bardzo męczyć świadomość, że tego nie powstrzymała.
- Miała mnie za porządnego gościa.
- Tak, do czasu. Do momentu, w którym zaczęło jej przeszkadzać to, jak na siebie działamy. Może i byliśmy w jej oczach dobrymi ludźmi, ale pod-

skórnie przeczuwała, że w sprzyjających okolicznościach możemy dopuścić się czegoś złego. Słyszała nasze rozmowy i widziała reakcje. Uważała, że tylko osobno będziemy...

– Grzeczni?

– Bezpieczni dla innych. Chciała cię usunąć z mojego życia. A mnie z twojego.

Konrad pociągnął ostatni raz papierosa, po czym pstryknął niedopałek za okno.

– Kochająca siostra.

– Nie drwij. Próbowала mnie chronić. Wiedziała, że nie miałam w życiu lekko, a kolejne problemy pogrzyżyłyby mnie jeszcze bardziej. Zależało jej na mnie.

– I dlatego podstawiała mi samą siebie?

– Dokładnie tak. Wzięła ten ciężar na siebie.

– Ciężar, czyli mnie? Jak miło.

Nie bronił się, gdy wyciągnęła dłoń i zaczęła mierzwić mu włosy na głowie.

– To nie znaczy, że jej na tobie nie zależało. Pamiętasz dzień, w którym przyprowadziłam cię po raz pierwszy do naszego domu? Niemal zemdląła na twój widok. Myślała, że nie widzę, jak drżą jej ręce, ale widziałam wszystko. To, co działo się z tobą, też. Oczy ci się szklily.

Na wspomnienie tamtego wieczora Konrad cicho westchnął.

– Wiesz, jak jest. Facet widzi piękną dziewczynę i zapomina języka w gębie.

Adela wzruszyła ramionami.

– Nie ty pierwszy i nie ostatni. Odkąd pamiętam, przyciągała do siebie chłopaków jak magnes żelastwo. Zazdrościłam jej tego. Musiały minąć lata, żebym zrozumiała, że to jednak nie moja bajka.

– Dlatego odwołałaś nasz ślub? To zaboląo, miej świadomość.

– Miriam szybko cię pocieszyła, więc aż taki biedny nie byłeś. Poza tym nie miałbyś ze mnie pożytku. Nie nadaję się na żonę. Jestem aspołecznym typem, który żyje z telewizorem i lampą do naświetlań. Jeśli jeszcze kiedyś miałam ochotę spotkać się z kimś na mieście raz w miesiącu, to teraz moje życie towarzyskie ogranicza się do wychodzenia na ulicę po odbiór jedzenia na telefon albo do wizyt na komisariacie. To postępuje, Konrad... Już wtedy czułam, że jest ze mną coraz gorzej. Musiałam z nas zrezygnować i zrobiłam to bez bólu. Kiedy przyznałeś się, że spotykacie się z Miriam za

moimi plecami, poczułam wręcz ulgę. Wiesz, czego się tylko obawiałam? Że pobawisz się nią i że w końcu ta zabawa ci się znudzi. Że będziesz chciał wrócić do tego, co było. Nie pasowaliście do siebie pod żadnym względem.

– Fakt. Była z innej bajki. Cudownie naiwna.

– Na szczęście uczepiłeś się tego. Zobaczyłeś w Miriam swoją szansę. Też chciałeś żyć uczciwie, a przy niej łatwiej ci było zacząć wszystko od nowa.

– Miriam to inna liga.

– W sam raz dla faceta, który zamierza zapomnieć o swojej przeszłości. Ale zrób mi przyjemność i przyznaj, że choć trochę chciałeś się na mnie odegrać za to odwołanie ślubu.

– Może na samym początku. Co nie zmieniało faktu, że zaczynałem coś czuć do Miriam.

– Mieliście piękne wesele.

– Dostałem na nim od ciebie z liścia, pamiętasz?

– Powiedziałeś, że powinnam sobie poprawić nos, więc ci się należało. Żałuję, że nasza matka tego nie widziała. W ogóle się nie pojawiła.

– Gdybyś mniej udawała, że jesteś zrozpaczona sytuacją, to pewnie by przysłała.

Adela zmarszczyła czoło na wspomnienia sprzed czterech lat.

– Nie przysłałaby. Jeszcze do niedawna myślałam, że to był jej sposób na okazanie mi współczucia. Taka manifestacja, że jest po mojej stronie. Coraz częściej jednak dochodzę do wniosku, że chodziło jej o coś zupełnie innego. Matce zależało nie na moich uczuciach, tylko na uczuciach Miriam. Ja nigdy nie byłam dla niej priorytetem. Zrobiła to z miłości do niej.

– Nie popadasz przypadkiem w absurd?

– Ani trochę. Przypomnij sobie, jak wtedy wyglądała. Była cieniem człowieka. Ziemista cera, zapadłe policzki. Zdawała sobie sprawę, że ilekroć Miriam weźmie do ręki jedną ze ślubnych fotografii, na której będzie nasza matka, zamiast cieszyć oczy wspomnieniem, będzie odczuwać przygnębienie. Chciała jej tego oszczędzić. Ta moja histeria była dla niej jak dar od losu. Uczepiła się jej właśnie dlatego, to był idealny pretekst.

– Podobno matki kochają wszystkie swoje dzieci jednakowo.

Adela wzruszyła ramionami.

– Podobno. Moja nie dała mi szansy, bym się mogła o tym przekonać.

Konrad zacisnął mocniej ręce na kierownicy.

– Każda rodzina jest popieprzona na swój własny sposób.
– Nie musisz mi współczuć. Jestem dużą dziewczynką, już to wszystko przetrzymałam.

Deszcz zaczął coraz mocniej. Wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody z przedniej szyby.

– Zwolnij! – Adela poderwała się nagle na fotelu. – Tam jest! Widzisz? Na poboczu. Czarny płaszcz. Hamuj! – krzyknęła zdławionym głosem. – O Jezu, o mój Jezu...

Auto podjechało bliżej sylwetki owiniętej ciasno czarną kapotą, z naciągniętym na głowę kapturem. Adela szarpnęła pasem bezpieczeństwa, chcąc jak najszybciej się z niego uwolnić. Konrad zrobił to samo. Nie wyłączając silnika, wyskoczył z auta i podbiegł do postaci. Stanęli we dwoje na wprost niej.

– Spóźniliście się. – Postać zsunęła z głowy kaptur. Krople wody zaczęły spływać po jej jasnych krótkich włosach i twarzy. – Ile można na was czekać? No, chodźcie już do mnie. Muszę was dotknąć. Chyba się trochę za mną stęskniliście, co? Ja za wami bardzo.

Wyciągnęła do nich rękę. Przytulili się we troje, przywierając ciasno do siebie.

– Miriam... – szepnęła Adela. – O Jezu... Miriam...

– Ććć... nie płacz. Wszystko dobrze, już dobrze... Nie rycz, mówię. A tobie, Konrad – zwróciła się do męża – dziękuję. I przepraszam cię.

Uniósł jej rękę i pocałował w chłodną od wiatru dłoń.

– To ja przepraszam. Nie miałem pojęcia... Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Zatłukłbym gnoja własnymi rękami!

– Wydawało mi się, że to wszystko jest pod kontrolą. Myliłam się, i to bardzo. A potem sprawy potoczyły się tak szybko... Która jest godzina?

Konrad spojrział na zegarek.

– Dziewiętnasta trzydzieści.

– Późno. Musimy ruszać. Macie to, o co prosiłam?

– Jest wszystko, co trzeba.

Nim cała trójka wsiadła do auta, Konrad jeszcze raz wziął Miriam w ramiona. Musnęli się ustami.

– Zostawcie to sobie na później. – Adela przerwała ich czułości. – Zróbmy, co mamy zrobić, i spadajmy stąd.

– Wynająłem dla nas pokój. – Konrad zdołał jeszcze odgarnąć mokry kosmyk z czoła Miriam. – Nieopodal jest przydrożny hotel, jak tylko odsta-

wimy Adelę do jej samochodu, zatrzymamy się w nim na dobę. Tam spokojnie pogadamy.

– Żadne „jak odstawimy Adelę” – usłyszał dochodzący z auta głos Adeli, która właśnie sadowiła się na wygrzonym wcześniej fotelu. – Nim dojedziemy na miejsce, chcę się dowiedzieć, co dokładnie działo się przez tych sześć miesięcy.

Konrad odsunął się od żony i nachylił do otwartego okna samochodu.

– Wiesz tyle, ile trzeba – powiedział ze spokojem w głosie. – Więcej mogłoby ci zaszkodzić.

– Dowiedcie się wszystkiego, kiedy przyjdzie na to pora – odezwała się Miriam. – Ale jeszcze nie teraz.

– Nie rozumiesz mnie, siostrzyczko. Domagam się paliwa.

– Prawdę mówiąc, mnie też przydałoby się coś na rozgrzanie krwi – poparł Adelę Konrad. – Wiesz, jak to z nami jest. Potrzebujemy lekkiego podrażnienia, żeby się rozkręcić. Przez ostatnie lata trochę zardzewieliśmy. Chyba że zamierzasz tego gnoja jedynie nastraszyć i puścić wolno?

Miriam zacisnęła pod szyję płaszcz. Usiadła na tylnym siedzeniu i zapatrzyła się w oddalone wierzchołki drzew.

– Moje dziecko powinno żyć w bezpiecznym świecie, w świecie bez niego – powiedziała, utrzymując wzrok na kołyszących się gałęziach. – O mało jej nie straciłam. Dałam jej na imię Gaja. Ma takie piękne zielone oczy...

Więc jednak to była prawda. Kobieta z telefonu, którą Konrad wziął za starą wariatkę, mówiła przecież o przeciekającej na piersiach Miriam koszuli.

Wzruszenie wymieszane z wściekłością złapało go za gardło. Czuł, że krew, zgodnie z tym, o co przed chwilą prosił, właśnie podchodzi mu pod sam czubek głowy.

Czwartek, 17 września

— Czas minął! – Nauman stanął w drzwiach gabinetu i dwukrotnie klaśnął w dłonie.

Za nim jak cień pojawiła się Shi Lu. Gdy tylko usiedli na swoich krzesłach, od razu uruchomiła kamerę.

– Myślę, że możemy kontynuować – stwierdziła na widok migającej na jaskrawoczerwono diody. Zaraz potem wyrecytowała standardową formułkę, podając aktualną datę, godzinę oraz nazwiska zebranych.

– Przypominam, że przedmiotem tego spotkania jest zbrodnia, do której doszło najprawdopodobniej trzy doby temu. Zwłoki zostały znalezione wczoraj, to jest szesnastego września – uzupełnił jej wstęp Nauman. – A teraz do rzeczy. Dogadaliście się? – zapytał siedzącą naprzeciw niego dwójkę. – Doskonale, zatem zamieniam się w słuch. Tam patrzcie. – Skierował palec na kamerę. – Nie ma się co wstydzić, śmiało! Przypomnę pytanie: jak brzmi nazwisko trzeciego współnika? Panie Macharow, może pan zacznie jako pierwszy. Czy wolicie w chórze? W chórze zawsze trochę różniej. To co, na trzy cztery? Trzy...

– Nie mam nic do powiedzenia.

Konrad nie zamierzał patrzeć ani w kamerę, ani na Naumana. Skupił wzrok na żaluzjach znajdujących się za głową śledczego. Kilka z metalowych listewek wygięło się od zbyt częstego rozchylania i na ich powierzchni powstały nieestetyczne rysy.

– Doprawdy, zupełnie nic? – Nauman przekrzywił na bok głowę. – Ależ to niemądre, panie Macharow. Jest pan pewien swojej decyzji?

– Może po prostu przejdźmy do sedna.

– To właśnie jest sedno.

– Raczej komedia, do tego słaba.

– Przyznam się panu, że mnie też się nie podoba. Ani treść, ani obsada. Cholernie kiepscy z was aktorzy. Do tego patologiczni kłamcy.

– Mówiłem już, że nie wiem nic o trupie.

– Doprawdy? – zdziwił się Nauman.

– Oczywiście, wiem, kim jest ofiara. Przyznaję, to był dla mnie szok...
Do tej pory nie mogę uwierzyć.

– Ja myślę!

– Nigdy bym się nie spodziewał... To, co się stało, jest przykre, bardzo przykre. Ale żeby wiązać z tym nas? Dałby pan sobie spokój...

– Zatem od pana... nic?

– Nic.

Nauman z wystudiowaną flegmą przesunął wzrok ku siedzącej po ukosie kobiecie.

– A pani? Pani również woli milczeć?

Burknęła coś niemal bezgłośnie.

– Nie dosłyszałem. Może pani, Adelo, mówić nieco wyraźniej?

Widział, jak przygryza dolną wargę. Wciąż się wahała, ale była bliska podjęcia racjonalnej decyzji. Jedyne, czego potrzebowała, to kilku słów zachęty.

– Radzę nie sugerować się postawą pani przyjaciela. – Nauman zdjął z nosa okulary i bardzo spokojnymi ruchami zaczął przecierać szkła flanelową chustką. – W życiu panuje jedna prosta zasada i dobrze byłoby, gdyby właśnie teraz sobie pani o niej przypomniała. Trzeba grać na siebie, rozumie mnie pani? Moja oferta nie będzie trwać w nieskończoność. Coś pani powiem. Gdyby znała pani prokuratora, to wiedziałaby, że z niego kawał złośliwej mendi. Nie wyobraża sobie pani, jak się ucieszy, gdy podsunę mu wasze teczki. Więc jak? Nie zamierzam prosić dwa razy.

Otworzyła usta, ale zaraz zacisnęła je z powrotem. Były sine na brzegach, w przeciwieństwie do reszty twarzy, która zaczynała purpurowieć.

– Zapewne zastanawia panią, jak jej choroba będzie się rozwijać za kratami. Też bym się tym martwił. Paskudna sprawa z tymi bólami głowy, co, Shi?

Shi Lu przymrużyła oczy.

– Ma pan na myśli przeciągi zimą czy całoroczną ścianę dymu z papierosów? Warunki mogą nie sprzyjać, ale pani Adela na pewno zdaje sobie sprawę z tego, że więzienie to nie sanatorium. A co do lampy, to będzie, ale sufitowa.

– Ups... Mało przyjemnie – syknął Nauman. – Więc jak będzie, namyśliła się pani?

Adela uniosła głowę i spojrzała w kamerę.

– Tak. Jestem gotowa.

Wyciągnęła dłoń w stronę Konrada. Złapał ją i mocno ścisnął.
– Chrzańcie się – powiedziała, tym razem bardzo wyraźnie.

Niedziela, 13 września

— Jeszcze tylko trzy kilometry i będziemy na miejscu.

Miriam odpięła pasy i zsunęła pośladki na brzeg siedzenia. Jej kolana podrygiwały, palce dłoni zaciskały się na nich ze zdenerwowania. Powoli docierało do niej, że ta podróż, choć jest nieodwracalnym pędem ku szaleństwu, przybliży ją do ostatecznej rozgrywki.

– Jeszcze tylko dwa – szepnęła.

Złapała za zagłówek fotela siostry i przycisnęła do niego wilgotne od deszczu czoło.

– Jezu, jak się boję...

Adela odwróciła się do niej.

– Ja też. Ale powinniśmy to zrobić. Ja i Konrad, dla ciebie. Jesteśmy ci to winni, Miriam. Ty nic nie musisz. Będziesz tylko stać z boku i się przyglądać. Możesz też odejść i poczekać gdzieś dalej. Zawołamy cię, jak będzie po wszystkim.

– Nie ma mowy.

– Adela ma rację – odezwał się Konrad, nie odrywając wzroku od drogi. – Jeśli jest jakiś sposób na wynagrodzenie krzywdy, jaką ci oboje wyrządziliśmy, niech to będzie właśnie to.

– Przyjmij to jako prezent, Miriam – dodała Adela.

– Wystarczy, że doprowadzisz nas na miejsce, a my zajmiemy się resztą. Daleko jeszcze?

– Ostatni kilometr – powiedziała Miriam, przełykając ślinę. – Zaraz będzie zjazd. To chyba tu... Nie, jeszcze dalej! Jedź... Teraz w prawo, za tym zwalonym drzewem. Uważaj, droga jest trochę wyboista, zwolnij. A teraz tam, powinniśmy tam stanąć. – Wyciągnęła palec, wskazując niską trawę. – Lepiej nie podjeżdżać zbyt blisko. Jest tak cicho, że byłoby słychać silnik. Zostawimy auto i dalej pójdziemy pieszo. To jakieś czteryście metrów.

Wysiedli z samochodu. Konrad otworzył bagażnik i wyjął z niego niewielką, płócienną torbę. Miriam odsunęła zamek i zajrzała do środka.

- Noże, taśma, obcęgi... Podobno zardzewieliście?
 - Chcesz iść z pustymi rękami?
 - Nie jesteśmy rzeźnikami. Odłóż to. Co jest w kocu?
- Nie czekając na odpowiedź, rozwinęła pled.
- To się może przydać.
- Błysnęły łomy. Nowe, jeszcze z metkami.
- Jeden dla ciebie, drugi dla mnie – powiedział Konrad do Adeli, po czym zwrócił się do Miriam: – Ty masz pozostać czysta.
- Oderwał metki i rzucił w krzaki. Adela podniosła je natychmiast.
- Żadnych śladów – syknęła. – Te zabawki też będziemy musieli zlikwidować po robocie. Gotowi? W takim razie prowadź, Miriam.

Droga wiodąca do celu wiła się traktem, który to zwężał się, to rozszerzał, w zależności od porastających pobocze krzewów i wiotkich, dopiero co rozwijających się drzew. Nie był wysypany piaskiem, co uznali za sprzyjającą okoliczność. Ślady ich butów ginęły w mokrej trawie, a odgłosy stawianych kroków rozmywał siąpiący deszcz. Szli jedno za drugim, na czele kobiety, za nimi Konrad. Poruszali się w skupieniu, ze wzrokiem utkwionym ponad horyzontem.

Po kilku minutach znaleźli się na skraju polany.

– To już niedaleko. – Miriam przystanęła i rozejrzała się dokoła. – Niedobrze mi. Chyba zaraz zwymiotuję.

Zgięła się i oparła dłonie na kolanach.

– Zaraz dojdę do siebie. Dajcie mi chwilę.

– Spokojnie, siostrzyczko. – Adela pogładziła ją po skurczonych łopatkach. – Nic ci nie grozi, pamiętaj.

– Chciałabym, żeby już było po wszystkim.

– Wiem. Niedługo tak się właśnie stanie. Załatwimy to szybko.

Miriam wzięła kilka głębokich oddechów i wyprostowała plecy. Ponownie wysunęła się na przód.

Deszcz powoli ustawał. Z głębi lasu zaczynały dolatywać odgłosy ptaków krążących między gałęziami drzew. Skrzeczenie odbijało się echem i znikło gdzieś w oddali. Tylko wiatr nie ustawał. Co rusz podrywał poły płaszczy całej trójki i wdierał się za kołnierze.

Gdy doszli do granicy lasu, Miriam zatrzymała się.

– To tu. Jesteśmy na miejscu.

– Nic tu nie widzę. – Adela rozejrzała się na boki. – Skończyły się drzewa, ale... to tylko pusta łąka.

– Nie taka znowu pusta – odezwał się Konrad. – Za twoimi plecami, po lewej.

Wskazał głową na zatopioną w rozrośniętym bluszczu siatkę. Ogrodzenie, które można byłoby wziąć za naturalną ścianę leśnej gęstwiny złożonej z gałęzi oraz wijących się pnączy, ciągnęło się na dobrych kilkadziesiąt metrów.

Więc w końcu tu dotarł. Do miejsca, które Stan tak sobie upodobał, że nie zamierzał pokazać go nikomu, nawet jemu. A może zwłaszcza jemu.

Kiwnięciem dłoni dał sygnał do dalszego marszu. Tym razem ruszył pierwszy, nie oglądając się na żonę i Adelę. Szły za nim, trzymając się za ręce, jak kiedyś, w dzieciństwie, gdy nic nie było w stanie je rozdzielić. Zanim zaczęły dorastać.

– Jeden, dwa, jeden, dwa, idzie Freddy, cicho sza... – zaczęła Adela.

– Trzy, cztery, trzy, cztery, zamknij drzwi na spusty cztery – dopowiedziała Miriam. – Obiecuj mi coś.

– Cokolwiek zechcesz.

– Gdy będzie po wszystkim... gdybyśmy... to znaczy gdybym ja...

Oczy siostry wpatrywały się w nią z niezrozumieniem.

– Może do tego nie dojdzie, ale gdyby...

– Bardzo dużo tych gdybań. – Adela się uśmiechnęła. – Mów, o co chodzi.

– Zaopiekujesz się Gają? Jeśli mnie wsadzą. Ktoś musi o nią zadbać, a tylko tobie mogę ufać.

Adela zatrzymała się w pół kroku. Objęła siostrę ramionami i pocałowała w czoło.

– Nie bądź niemądra. Sama o nią zadbasz. Gdzie jest teraz?

– Jest tylko jedno miejsce, w którym mogłam ją zostawić.

– Róże i Fiołki?

Rzucone hasło nakazało Konradowi cofnąć się o kilka kroków.

– Zaraz... Mówisz o tej maniaczce od tablicy z zaginionymi ludźmi?

– Ta maniaczka to Wirginia. W dzieciństwie nazywałyśmy ją Gina. Prowadzi biznes razem ze swoją matką, dawną przyjaciółką naszej matki. Jest dla mnie jak druga siostra. Nieco zakręcona, ale ma łeb na karku.

– Jest obłąkana!

– Dała mi dach nad głową, gdy tego potrzebowałam. Przez ostatnie dwa tygodnie mieszkałam u niej na Młocinach, ale w bloku coś się zaległo i administracja zarządziła generalną dezynfekcję. Musiałam przenieść się z dzieckiem do jej kwaciarni, na zaplecze. Przynosiła mi jedzenie i pieluchy.

– Byłaś tam, kiedy ja...

– Zamawiałaś kwiaty na mój pogrzeb? Nawet nie wiesz, jak się bałam, że usłyszysz kwilenie Gai. Rozpłakała się, kiedy zaczęłaś podnosić głos. Ledwie ją uciszyłam.

– To miauczenie... Pamiętam... Ta cała Gina powiedziała, że przybłąkał się jakiś kot i trzyma go w magazynku. Do diabła, Miriam! Cały czas byłaś tam, zaledwie o krok?!

Adela przysłuchiwała się rozmowie z wilgotnymi od łez oczami.

– Mnie też trudno w to uwierzyć. Dlaczego nie przyszłaś do mnie?

– Nie mogłam. Do ostatniej chwili wierzyłam, że to wszystko rozegram zupełnie inaczej. Mój plan się posypał, gdy w eter poszła informacja o wynikach badań DNA.

– Chyba nie chcę słyszeć nic więcej. – Adela uniosła do góry ręce w geście rezygnacji. – Przynajmniej nie teraz.

– Wrócimy do tego później – zgodził się Konrad. – Okazuje się, że mamy sobie dużo do opowiedzenia, prawda, Miriam? Nie tylko o Ginie, ale przede wszystkim o tym, kim była zwęglona kobieta z Morrisa i dlaczego miała na sobie twoje ubranie.

– To długa historia.

– Nie wątpię.

Zarzucił sobie na ramię łom i ruszył wzdłuż drucianego ogrodzenia.

Furtka była prosta, drewniana, z pionowymi szczeblami wysokimi do szyi. Konrad nacisnął klamkę w nadziei, że zamek puści, ale był zablokowany od wewnątrz. Cofnął się o trzy kroki, po czym huknął w zamek nogą. Ten szcęknięt metalicznie i bramka z trzaskiem odbiła się od ogrodzenia.

Weszli na podwórze. Było zarośnięte chwastami, jedynie okolica ścieżki prowadzącej w głąb ogrodu została wystrzyżona tak, by dało się swobodnie przejść od bramki do drzwi domu. Tego ostatniego nie było jeszcze widać, musiał się znajdować gdzieś głębiej.

Szli w zupełnej ciszy, świadomi, że ich nagłe wtargnięcie z pewnością zostało już zauważone przez właściciela posesji. Gdy skręcili za rozrośniętą wierzbą, ich oczom ukazał się parterowy budynek z cegły, nieotynkowany, ale z solidnymi popielatymi dachówkami. Trzy okratowane okna od frontu zasłonięte były zielonymi kotarami. Jedno z nich, najprawdopodobniej kuchenne, z racji tego, że stała w nim doniczka z bazylią, było uchylone.

Konrad obejrzał się przez ramię na Miriam. O ile jeszcze kilka chwil temu sprawiała wrażenie przerażonej, o tyle teraz była nad wyraz spokojna.

– Wszystko w porządku? – upewnił się.

– Tak. Po prostu wspomnienia są zbyt świeże.

– Bądź pewna, że nie spuszczę cię z oka. Cały czas będę przy tobie.

Podszedł do głównych drzwi. Nie były zamknięte, więc od razu wsunął się do sieni. Panował w niej wieczorny półmrok, jednak bez problemu dawało się rozpoznać wszystkie przedmioty: podwójny ścienny wieszak na płaszcze, rzuconą pod nim gumową wycieraczkę, na której stała para zabłoconych gumiaków, oraz drewnianą skrzynkę, ustawioną tuż obok. Wyglądał z niej zużyty ręcznik służący do wycierania dłoni po pracy w obejściu. Na podłodze przykrytej brązową wykładziną PCW stało również kilka ustawionych jeden na drugim niewielkich kartonów. Oplatające je taśmy wskazywały na to, że dostawcą jest BabyBoom, firma sprzedająca dziecięce akcesoria.

Miriam, która zamykała ich trzyosobowy korowód, wskazała głową na przeszklone drzwi znajdujące się na końcu krótkiego korytarza.

– Sypialnia. – Poruszyła bezgłośnie ustami, a następnie przesunęła wzrok na kolejne drzwi, tym razem po lewej. – Kuchnia z jadalnią. Tam dalej jest łazienka, to wszystko.

Konrad inaczej wyobrażał sobie miejsce, o którym jego przyjaciel mówił z rozmarzeniem „moja świątynia”. Nie miało nic wspólnego ani z blich-trem, ani ze świętością. Było zwykłą budą zaciągającą wilgocia, nieodczyszczoną i nad wyraz posepną. Nawet przy odrobinie światła, które wpadałoby przez okna w rozgrzane słońcem dni, dom nie nabrałby idyllicznego uroku. Jedyne, co mogłoby wskazywać, że mieszka w nim cywilizowany człowiek, był ledwie wyczuwalny w powietrzu zapach perfum.

– Czujecie? – zapytał Konrad. – Babskie.

Miriam oparła się o ścianę.

– To się znowu dzieje. Chryste, znowu...

Nie czekali ani chwili dłużej. Ruszyli ku przeszklonym drzwiom. Wystarczyło nacisnąć klamkę, by znaleźć się w pokoju z szerokim łóżkiem, trzyskrzydłową szafą, kraciastym fotelem i toaletką z lustrem. Ta ostatnia umieszczona była pod ścianą z oknem. Na toaletce, tuż obok figurki pękałego, medytującego Buddy, stały typowo kobiece kosmetyki: szminki, tusz do rzęs, lakiery do paznokci, róż i puder. Flakonik z perfumami dopełniał całości.

– Pat – przypomniał sobie Konrad. – Mówił, że tak ma na imię jego kobieta.

– On nie ma żadnej kobiety – syknęła Miriam.

– Widziałem zdjęcie.

Podszedł to toaletki. Otworzył szufladę i zaczął szperać między grzebieniami do włosów i kolorowymi spinkami.

– Tu coś jest – powiedział.

Wyjął z szuflady kilka zdjęć zrobionych polaroidem. Na pierwszym Stan i jego dziewczyna siedzieli wtuleni w siebie, a ona szeptała mu coś do ucha, zapewne słodkiego, bo się uśmiechał. Na kolejnym też byli we dwoje, tym razem w łóżku. Nadzy, otuleni kołdrą, niemal sklejeni ze sobą ciałami. Na twarzy Stana malowało się nie tyle odprężenie, co autentyczne szczęście. Trzecia fotka przedstawiała ich siedzących w wannie starego typu, żeliwnej. Na jej brzegu stał kieliszek z czerwonym winem i widocznym śladem szminki. Stan naturalnie nie pił alkoholu, wino było dla jego ukochanej. Pat siedziała zanurzona w wodzie po ramiona, na które spływały ciemne, zmoczone kąpielą włosy.

– Posłuchaj, Miriam... – zaczął ponownie Konrad, podsuwając żonie fotografie. – Sama widzisz, że nie mieszka tu sam. Wiem, że przeżyłaś traumę...

– Nawet nie zaczynaj! – przerwała mu natychmiast, robiąc przy tym rękami gest, jakby chciała się obronić przed tym, co zaraz usłyszy. – Wiem, jak to wygląda, ale zapewniam cię, że to, co tu widzisz, jest jednym wielkim oszustwem.

– Spokojnie, kochanie. Staram się tylko powiedzieć, że może nie wszystko było tak, jak ci się zdawało.

– Chcesz usłyszeć, co mi się zdawało? Więc pół roku temu zdawało mi się, że czeka mnie piękna i niezapomniana noc.

– Miriam...

– Ty byłeś na konferencji, a ja czekałam w naszym domu na twój powrót. Stan przyjechał jakoś przed dwudziestą drugą. Był na luzie, w dresach, cały podekscytowany. Powiedział, że szykuje dla ciebie prezent. Nie przerywaj! Ściągnął mnie tu pod pretekstem niespodzianki dla ciebie. Miałam zabrać ze sobą jakiś wyskokowy ciuch i spotkać się z nim na rogu ulicy, gdzie czekał w swoim aucie. Śpieszyłam się, bo, jak twierdził, mamy mało czasu. Potem przywiózł mnie do tej nory. Kazał się rozgościć i czuć jak u siebie w domu. Przebrał się, wyperfumował i powiedział, że jedzie do miasta, po ciebie. Miał cię tu przywieźć zaraz po twoim powrocie z konferencji. Zamierzał pokazać ci po raz pierwszy Aranyę, właśnie w naszą rocznicę. Wiedział, jak bardzo zależy ci na tym, żeby wreszcie zobaczyć to miejsce. To miał być jego prezent dla ciebie. A ja czekałam. Ubrałam się w tę głupią kieckę i patrzyłam w ciemność za oknem.

– Chyba już wiesz, że nie miałem o tym pojęcia. Nie obchodziła mnie jego cholerna Aranya! Tamtą noc chciałem spędzić tylko z tobą. Wyjechałem wcześniej z konferencji, żeby wszystko przygotować. Zamierzałem uczcić naszą rocznicę przy Moście R. Noc była przyjemna, więc wymyśliłem sobie, że kupię świece, kwiaty, dobre wino i zaszyjemy się nad wodą. Miałem nawet nową kłódkę. Pamiętasz, jak się bałaś, kiedy wieszaliśmy na moście naszą pierwszą? Bardzo chciałem, żeby ta noc była idealna.

– Ale nie była. Nie dla mnie. Kiedy ty biegałeś po sklepach w poszukiwaniu wina, Stan robił swoje.

– Byłem draniowi wdzięczny, że tak się stara. Przyjechał do naszego domu i zaalarmował policję.

– Wrócił tu sam, po kilku godzinach. Powiedział, że od teraz to on będzie o mnie dbał, bo tobie nigdy nie chodziło o moje szczęście. Wrzucił mnie do tego pokoju z kratami w oknach i więził przez sześć miesięcy.

– Wierzę w każde twoje słowo, Mi. Stan... odbiło mu. Już od dłuższego czasu miałem wrażenie, że całkiem się odkleił od rzeczywistości. Podejrzewam, że to wszystko przez te jego modły, paciorki i buddyjskie historie.

– To ma go usprawiedliwić?

– Próbuję ci wytłumaczyć, że będąc na tym swoim buddyjskim odlocie, coś sobie ubzdurał. Staram się zrozumieć, dlaczego posunął się do tego szaleństwa, ale teraz chyba wszystko już jest jasne. Od zawsze miał do ciebie słabość. Do tego doszła ta jego wieczna samotność. Potrzebował kogoś, kogo mógłby pokochać. Powiedz, czy on ciebie kiedykolwiek próbował...

– Nie! Mój Boże, nie! My nigdy...

– Tak myślałem. Stan nigdy by cię nie skrzywdził. To dziwak, ale nieszkodliwy. Powinien trafić do szpitala, w ręce dobrego psychiatry.

– I to wszystko? Tak... Biedny, poczciwy Stan... – Głos Miriam zadrżał.

– Nie ma to jak stary kumpel. Jemu wszystko można wybaczyć.

– Posłuchaj, Mi...

Oczy kobiety rozszerzyły się i zwilgotniały.

– Lepiej nic już nie mów.

Odwróciła się od męża i podeszła do lustra. Patrząc na swoje odbicie, otarła powieki. Widziała też, jak Konrad otwiera drzwi szafy.

– Ubrania Pat – powiedział na widok kołyszących się na wieszakach sukienek. – Kiedy stąd odeszłaś...

– Uciekłam.

– Na pewno dotarło do niego to, czego się dopuścił. Ale odkąd wprowadziła się tu Pat, złagodniał. Stał się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Oczywiście, policja musi wyjaśnić całą sprawę, ale wolałbym... Nie wiem, jak mam to powiedzieć, ale... to, co zamierzaliśmy mu zrobić...

Miriam odwróciła się od lustra.

– Chociaż ty powiedz, że rozumiesz, co czuję... – szepnęła w stronę Adeli.

Adela oparła trzymany przez siebie łom o wypłowiwały dywan i zacisnęła palce na trzonku.

– Jesteś przerażona i zmęczona, siostrzyczko. Potrzebujesz odpoczynku.

– Zatem ty też...?

– Jeśli chcesz wiedzieć, co o tym myślę... To wyjątkowo wstrętne miejsce, a Stan kwalifikuje się do wariatkowa, ale... Widziałaś te pudła w sieni? Wygląda na to, że spodziewają się dziecka.

Miriam pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Wy dalej nic z tego nie rozumiecie.

– Wystarczy, Miriam. – Konrad stanął przy oknie. Odchylił zasłonę i wyrztał przez okno. – Załatwimy tę sprawę inaczej. Po powrocie do miasta od razu zadzwonię do Naumana, ale teraz powinniśmy się stąd wynieść i zostawić ich w spokoju.

– Ich?!

– Przecież widziałaś zdjęcia. Wszyscy widzieliśmy.

– Nic nie widzieliście... Nic! Wierzycie w coś, co nie istnieje!

Wybiegła z pokoju. Po chwili usłyszeli trzaśnięcie głównych drzwi.

– Zbierajmy się stąd – zarządził Konrad.

Adela potarła czoło.

– Głowa mi pęka od tego wszystkiego. – Wyjęła z kieszeni płaszczka opakowanie imigranu i wycisnęła z blistra różową tabletkę. – Mam nadzieję, że jest tu jakaś woda. Bez wody tym razem nie przełknę procha.

W drodze do wyjścia zajrzeli do kuchni. Adela omiotła wzrokiem ściany, ale przy żadnej z nich nie dostrzegła zlewu. W jednym kącie pomieszczenia stał kafłowy piec, w drugim kuchenka z podpiętą do niej butlą z gazem. Funkcję kranu pełnił dystrybutor z wodą.

– Ten dom musiał być stawiany jeszcze przed wojną – zauważyła. – Nie wiem, jak można żyć w takich warunkach.

Zdjęła z półki w miarę czysty kubek i podstawiła go pod kranik.

– Widzisz te rozsuwane drzwi? – spytała, dostrzegłszy zamontowane na jednej ze ścian dodatkowe wejście. – To pewnie ich jadalnia. Miriam mówiła, że tu jest. Dam sobie rękę uciąć, że wygląda tak samo smętnie jak ta obskurna kuchnia. Powiedz mi, gdzie są te miliony, co to je zarabiacie w klinice, hm? Bo chyba nie tu.

– Stan nie dba o marmury i złote kurki.

– Właśnie widzę. Pewnie w głowie ma tylko mantry, modły i tym podobne głupoty.

– Połknij wreszcie tę tabletkę i wracajmy do domu. Robi się coraz ciemniej, zaraz całkiem tu oślepnjemy.

Posłuchała go tylko w jednym. Wrzuciła tabletkę do ust i popiła kilkoma łykami wody. Wciąż trzymając w dłoni kubek, podeszła do rozsuwanych drzwi.

– Tylko tam zajrzę. Niczego nie będę ruszać, obiecuję.

Pociągnęła za okrągły uchwyt. Drzwi się przesunęły. Po chwili stojący w progu kuchni Konrad usłyszał, jak kubek z wodą uderza o podłogę.

Wpadł do jadalni i stanął jak porażony.

Okna jadalni zasłonięte były żółtymi, dość gęstymi firanami. Z karnisza zwisało kilka taśm-pułapek z przylepionymi, uschniętymi muchami. Pośrodku pokoju stał kwadratowy stół z czterema krzesłami. Tylko jedno było puste. Na pozostałych siedziały kobiece postaci. Jedna obrócona była tyłem do wejścia, dwie siedziały po bokach. Co wydało się Adeli i Konradowi zaskakujące, nie zareagowały na ich wtargnięcie. Żadna nie obróciła głowy ani nawet nie drgnęła. Wszystkie trzymały na stole ręce, a w ich dłoniach połyskiwały sztucce. Przed każdą z nich stał pusty talerz, jakby czekał na napełnienie go kolacją.

Konrad zrobił krok naprzód, by lepiej przyjrzeć się kobietom. Włosy dwóch, siedzących po bokach stołu, sięgały ramion i były jasne. Trzecia miała je dużo ciemniejsze. Ubrane były niestosownie do pogody, zbyt lekko jak na temperaturę panującą za oknem i w domu. Blondynki miały na sobie letnie sukienki, kolorowe, kwieciste. Na stopach sandały na obcasach. Brunetka wyglądała o wiele bardziej elegancko. Zdobiała ją połyskująca suknia z cekinami sięgająca podłogi.

Zbliżył się do nich na odległość ręki. Dopiero teraz dostrzegł, że ich dłonie wyglądają nienaturalnie, a skóra swoją barwą przypomina wosk. Podszedł szybkim krokiem do okna i pociągnął za gęste firany. Światło niewiele rozjaśniło pokój, ale tyle wystarczyło, by zrozumiał, że nie ma przed sobą żywych istot.

– Co jest, do ciężkiej cholery...? Widzisz to, co ja, czy mam jakieś kretyńskie omamy? – odezwał się do Adeli. – Albo mam zwidy, albo ten świr pousadzał przy stole manekiny!

Adela zbliżyła się, ale nie na tyle, by stanąć zaraz przy stole. Wołała pozostać w bezpiecznej odległości i stamtąd obejrzyć całą inscenizację.

– To puste miejsce należy do niego. Jakby na niego czekało. Pokaż mi te manekiny. Przekręć je tak, żebym mogła się im dokładniej przyjrzeć.

– Po prostu podejdź.

– Nie chcę być blisko takich... dziwactw.

– Są sztuczne, nic ci nie zrobią.

– Nie, Konrad. To wszystko coraz mniej mi się podoba. Bo to przecież nie jest normalne, prawda? Obróć je.

Mężczyzna odsunął od stołu jedną z lalek o jasnych włosach.

– Dobry Boże. – Adela aż przymrużyła oczy. – Jest idealna. Nigdy takiej nie widziałam. Pokaż kolejną.

Drugie z krzeseł przekręciło się w jej stronę.

– Ta jest mniej udana. Ma nieregularne rysy twarzy, ale za to doskonałą cerę. Alabastrową. Tak czuję.

Palce Konrada ponownie powędrowały po sztucznym policzku.

– Nie do odróżnienia od ludzkiej – przyznał. – Jak to możliwe?

– Cyberskóra. Tylko to przychodzi mi do głowy.

– Idealna podróbka...

– Chcę zobaczyć jeszcze tę ostatnią. Możesz? – Adela wykonała obrotowy ruch ręką.

Podszedł do trzeciej postaci i zanim obrócił ją w stronę kobiety, przyjrzał się twarzy manekina. Długo badał jego rysy, jak na oko Adeli, zbyt długo.

– Konrad? – popędziła go. – Co jest?

Wydał z siebie ciężki dźwięk, a potem wypuścił z płuc nagromadzone powietrze.

– Przedstawiam ci Pat. Dziewczynę Stana.

Na widok uniesionego w osłupieniu czoła Adeli dodał:

– Wygląda na to, że Miriam miała rację. To jej suknia, poznaję. Miał tupet, ubierając tę kukłę w sukienkę mojej żony.

– Tę, w której miała zrobić ci rocznicową niespodziankę.

– Niedobrze mi się robi na myśl, co Stan robił z tymi manekinami.

– To nie są zwykłe manekiny. To lalki imitujące ludzi. Mają towarzyszyć jako substytuty prawdziwych partnerek. Nie słyszałeś o...

– Słyszałem – przerwał jej w pół zdania. – Azjatyckie gówny dla znużonych frajerów.

– Takich jak twój przyjaciel.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że się do tego posunął.

– I nie dla znużonych, ale dla samotnych. Albo takich, co boją się otworzyć usta do prawdziwej kobiety. Te tutaj są zawsze miłe, ciepłe i nie oceniają.

– Jadł, spał i żył z nimi jak z ludźmi. Po to właśnie zniknął w tych chaszczach, żeby je przebierać i kąpać?

– Na to wygląda. Musiał desperacko pragnąć bliskości, a żadna z prawdziwych kobiet nie chciała mu jej dać.

– Kupował im ciuchy i malował paznokcie. – Konrad wskazał ręką na ścianę, za którą znajdowała się sypialnia. – A te paczki ze sklepu dla dzieci? Okej, jestem w stanie zrozumieć, że Stan w swym obłąkaniu zapragnął mieć gumową kochankę. Nawet trzy, w końcu jest facetem, a facetom nigdy za wiele seksualnych dziwactw. Ale nie uwierzę, że zwariował do tego stopnia, by sądzić, że któraś z nich urodzi mu dziecko.

Adela zmarszczyła brwi. Jej twarz z sekundy na sekundę stawała się coraz bardziej posępna.

– A co, jeśli nie chodziło mu o którąś z nich? Co, jeśli chodziło mu o dziecko Miriam? Była tu przecież przez sześć miesięcy. Musiała mu powiedzieć, że spodziewa się Gai. Nawet jeśli z początku jej nie wierzył, to i tak w końcu brzuch zaczął rosnać. Myślisz, że robił Miriam to, co tym trzem lalkom? Paznokcie, fryzury...

- Nie wiem. Wolę sobie tego nie wyobrażać.
- Może powinieneś. Może oboje popełniliśmy błąd, bagatelizując to, co nam opowiedziała.

Konrad ujął Adelę za łokieć i wyprowadził z jadalni, a potem dalej, na zewnątrz domu.

- Mieliśmy nie spuszczać z niej oka. Widziałaś, dokąd poszła?
- Nie mam pojęcia. Może wróciła do auta. Sprawdzę.
- Zaczekaj. Patrz na to. – Konrad wskazał na odcisnięte w błocie ślady butów. Nie prowadziły do furtki, a w całkiem przeciwnym kierunku, za dom, w głąb ogrodu. Biegły obok innych śladów, pozostawionych przez opony samochodu. – Musi tu być gdzieś garaż albo wiata. Pewnie tam poszła go szukać.

- Nie odważyłaby się.
- Po tym, co od nas usłyszała? Oczywiście, że by poszła. Chociażby po to, żeby udowodnić nam, że miała rację co do tego świra.

Zaczęli biec, kierując się śladami pozostawionymi na ziemi. Co chwila schylali głowy, by nie zderzyć się z nisko zwisającymi gałęziami starych jabłoni, które zdziczały lata temu, niedogładane przez żadnego troskliwego ogrodnika. Ścieżka wiała się bez przemyślanego planu, jakby powstała zupełnie niedawno i z czystej konieczności. Być może była tu kiedyś inna, prowadząca od szerokiej, zarosniętej chaszczami bramy, lecz utonęła w morzu pokrzyw i innych chwastów.

- Tam jest jakiś budynek. – Adela wyciągnęła szyję. – Wygląda na stodołę.

Ślady opon prowadziły wprost do drewnianych drzwi. Odciski butów urywały się jednak kilka metrów od wejścia.

- Nie weszła tam – rzekł Konrad. Rozejrzał się wokół siebie. Zapadająca ciemność utrudniała orientację w terenie. Już miał otwierać usta, by zawołać Miriam, gdy poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Obrócił się natychmiast. – Co ty wyprawiasz?! Miałaś się pilnować!

Miriam położyła mu palec na ustach.

- Mów ciszej. Musiałam coś sprawdzić. On tam jest.
- Stan?
- Tak, w środku. Zajrzałam od tyłu, przez szczeliny w deskach. Wygląda na to, że znów pracuje...

- Tylko mi nie mów, że szyje ubrania dla swoich gumowych narzeczo-nych.

– Tym razem szykuje coś dla siebie. Ważne, że chyba nas nie usłyszał. Zwykle ma na uszach słuchawki, zwłaszcza przy wschodach i zachodach słońca. Słucha wtedy mantr na powitanie i pożegnanie dnia.

– Myślę, że się nie obrazi, jak mu na chwilę przerwę – warknął Konrad.

Wyciągnął rękę, by pchnąć drzwi stodoły, lecz Miriam zdążyła mu w tym przeszkodzić.

– Nie, jeszcze nie teraz. Najpierw musicie coś zobaczyć. I lepiej się pośpieszcie, bo zaraz robi się całkiem ciemno.

Poprowadziła ich za stodołę. Znów szli gęsiego, odgarniając rękami co wyższe zielska, by nie uderzały ich po udach. Gdy znaleźli się kilkanaście metrów za budynkiem, ich oczom ukazał się wycinek całkiem nagiego poletka, zupełnie pozbawionego chaszczki.

– Tam. – Miriam wskazała ręką na ledwie widoczne zaciemnienie na ziemi. – I tam, i tam też.

Patrzyli, nie rozumiejąc, na co patrzą. To, co im pokazywała, wyglądało jak przygotowane pod zasiew małe grządki.

– To pozostałości po jego eksperymentach – wyjaśniła. – O mały włos, a też bym się tam znalazła.

– Pod ziemią? – Adela podeszła bliżej ciemnych plam. – Chcesz powiedzieć, że to są groby?

– Kiedy stąd uciekałam, były tylko dwa. Jak widać, zrobił postępy – dodała gorzko.

– Sukinsyn...

– Podaj mi łom. – Miriam wyciągnęła rękę do męża.

Zrobił, o co go poprosiła. Stał nad nią i obserwował, jak końcem łomu zaczyna rozgrzebywać glebę w pierwszej z brzegu ciemnej plamie ziemi.

– Nie powinnaś... – Adela drgnęła. Na jej twarzy malowało się przerażenie. – Próbujesz wykopać trupa?

Miriam nie odezwała się, tylko ponownie uderzyła łomem w piasek. Usłyszeli nieprzyjemny trzask, czubek musiał odbić się od czegoś kamiennego.

Przykucnęła i gołymi dłońmi odgarnęła na bok niewielką grudę ziemi, spod której ukazał się kilkunastocentymetrowy kawałek betonu.

– Nic z tego nie rozumiem. – Konrad kucnął nad rozkopem. – Zakopywał ludzi w bunkrach? To jakiś szyb?

Miriam podniosła się. Otrzeпаła dłonie i zacisnęła na piersiach rozchyłające się poły płaszczka. Robiło się coraz chłodniej. Usta miała niemal prze-

zroczyście i tylko policzki płonęły jej z przejęcia.

– To prototyp – powiedziała smętnie.

– Niby czego?

– Grobowca. Słyszałeś o pogrzebanych żywcem?

– Chcesz powiedzieć, że Stan wrzucał żywe kobiety do betonowych dziur i tak po prostu je zakopywał?

– Nie robił tego bez celu.

– Jaki on mógł mieć, kurwa, cel w torturowaniu ludzi?!

– Nie krzycz... a zresztą może lepiej będzie, jeśli sam ci na to odpowie – powiedziała, wpatrując się w coś, co mignęło za plecami jej męża i siostry.

Obrócili się i zobaczyli stojącego kilka metrów dalej Stana. Wyglądał dużo gorzej niż jeszcze kilka dni temu. Przypominał kogoś, komu niezbędna jest natychmiastowa pomoc lekarska, szpital i kroplówka. Jego twarz straciła jakikolwiek odcień przypominający barwę ludzkiej skóry. Policzki były nieogolone, oczy okolone ziemistą obwódka. Z chudej szyi wystawała krtań przypominająca ostry kikut, a flanelowa kraciasta koszula wisiała na zapadniętych ramionach niczym na wieszaku. Na głowie miał słuchawki bezprzewodowe, ich pałąk był tak gruby, że zakrywał mu połowę czaszki.

– Wygląda, jakby zaraz miał umrzeć – szepnął Konrad do Miriam. – To przez chorobę mu odbiło. Ma zmiany w mózgu.

Szepnięcie wypadło na tyle głośno, że dotarło do wszystkich. Zwłaszcza że Stan zdążył już zdjąć słuchawki z uszu.

Spodziewali się, że na ich widok jakoś zareaguje. Przytaknie z zażenowaniem, że owszem, choroba odebrała mu rozum, albo, co bardziej prawdopodobne, spróbuje ratować się ucieczką. Tymczasem nie wyglądał ani na zawstydzonego, ani w najmniejszym stopniu zdezorientowanego. Jego twarz była obojętna i nie wyrażała niczego. Przesunął wzrokiem po Adeli i Konradzie, na dłużej zatrzymał spojrzenie jedynie na twarzy Miriam.

– Wróciłaś – powiedział, otrzepując dłonie z szarego pyłu i odwijając zrolowane rękawy. Zrobił przy tym powolny krok w kierunku kobiety. Nie cofnęła się za plecy Konrada. Stała twardo na swoim miejscu i tylko zaciskała pięści w kieszeniach swojego płaszcza. – Wiedziałem, że szybko za mną zatęsknisz.

– Marzenia się spełniają – odpowiedziała ze spokojem w głosie. – Nawet takim psycholom jak ty.

– Jeszcze nie tak dawno inaczej do mnie mówiłaś.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Do tego błazen. Masz urojenia, Stan.

Dopiero teraz zauważyli, że w jednej ręce trzyma miniaturowy głośnik działający na Bluetooth. Flegmatycznym ruchem wcisnął przycisk w urządzeniu.

Usłyszeli mamrotanie i ciche kwilenie.

Konrad i Miriam skrzyżowali spojrzenia.

– To tylko jakieś nagranie – powiedziała drżącym głosem. – Nagranie, prawda?

Stan nie zamierzał odpowiadać.

– Daj mi swój telefon. – Miriam ponownie wyciągnęła rękę w stronę Konrada.

Bez słowa podał jej komórkę. Wybrała na klawiaturze znajomy numer i przyłożyła telefon do ucha.

– Odbierz, Gina...

Po kilkunastu długich sekundach usłyszała głos przyjaciółki:

– Jak się miewa nasza mała dziewczynka? – zapytała śpiewnym głosem Wirginia. – Pokazałaś jej już nowy pokój? Kochane maleństwo...

Oczy Miriam rozszerzyły się.

– Powiedz, że Gaja jest z tobą.

W telefonie zapadła przedłużająca się cisza.

– Nie rozumiem. – Głos Giny był zdyszany. W tle słychać było chlupot lejącej się do wiadra wody. – Zaczekaj, tylko wstawię kwiaty. Już... Ależ to ciężkie. Przecież zostawiłaś mi wiadomość, że zabierasz dziecko ze sobą... O co chodzi, Miriam? Zaraz, gdzieś ją tu położyłam. Już mam. Nie pamiętasz, co mi napisałaś? „Porywam córkę, muszę jej wreszcie pokazać nowy dom”. Narysowałaś nawet uśmiechniętą buźkę. Trochę się wystraszyłam, kiedy zobaczyłam, że drzwi od zaplecza są otwarte, ale na szczęście to byłaś tylko ty. Co ci się stało, że nie pamiętasz? Miriam... Miriam?

Nie czuła, jak telefon wypada jej z ręki i ginie gdzieś pod nogami.

Tamten wieczór spędzony ze Stanem w klubie z karaoke... Wszystko to, co powiedziała mu o Ginie i swoim największym skarbie; że gdyby musiała go gdzieś ukryć, to właśnie u niej. Zapamiętał. Odnalazł jej przyjaciółkę, kwiaciarnię i Gaję.

– Jeżeli chcesz zobaczyć małą, powiedz im, żeby odjechali – usłyszała spokojny głos Stana. – Możesz też tylko jej posłuchać, zanim...

– Zanim co? – Konrad szybkim ruchem dopadł do mężczyzny i zacisnął palce na jego gardle.

Stan zakrztusił się i odchrząknął suchym kaszlem.

– Nie radzę. Zabieraj łapy.

– Gdzie jest dziecko?!

– Nie gorączkuj się tak, przyjacielu. Gówniarz jest cały i zdrowy. Tylko trochę głodny. Nie jadł od kilku godzin. Zapomniałem zajrzeć do lodówki w tej kwaciarni. Zostawiłaś tam swoje mleko, Miriam? Och, na pewno, przecież dobra z ciebie matka, zapobiegliwa. To ja nawaliłem. Pewnie zaraz dzieciak się całkiem rozbudzi i zacznie lamentować. Niedobrze.

Miriam poczuła, jak jej piersi nabrzmiewają od pokarmu na sam dźwięk kwilenia córki. Odgłosy dobywające się z głośnika stawały się coraz bardziej donośne.

– Powinam ją przystawić – powiedziała prosząco.

– Oczywiście, Miriam, że powinnaś. Nikt nie chce, żeby miała się męczyć. Najpierw jednak ich odpraw.

– Przecież wiesz, że nie odejdą.

– Na pewno? O, słyszysz, już płacze. I, żeby było jasne, nie próbujcie jej szukać. Kto wie, gdzie ją zostawiłem. Może gdzieś blisko, a może bardzo daleko stąd. Ta elektroniczna niańka ma naprawdę duży zasięg.

Chyba nigdy dotąd Miriam nie czuła takiego bólu jak teraz. Przy każdym co głośniejszym jęknięciu Gai serce łomotało jej, jakby właśnie zakończyła najdłuższy bieg świata. Do tego piersi zaczynały nieskoordynowanie wypuszczać coraz to obfitsze strużki lepkiego mleka.

Stan uśmiechnął się, widząc, jak dociska materiał bluzki do tułowia, by wchłonął wilgoć.

– Ciało kobiety to arcydzieło – stwierdził z rozrzewnieniem. – Jest nadzwyczajne, nie uważacie? Rodzi, karmi, a na końcu umiera.

– Filozof się znalazł – bąknęła milcząca dotąd Adela. – Tym swoim gumowym lalkom też tak filozofujesz? Na pewno są zachwycone. Taka błyskotliwość rzadko się zdarza w ich gumowym świecie.

Musiał nie mieć pojęcia, że spenetrowali jego dom, bo zmroził kobietę spojrzeniem. Chciała jeszcze dodać coś na temat życia w gumowym czworokącie, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– Chcemy tylko, żebyś oddał nam dziecko – powiedziała, widząc, że Miriam jest na skraju rozpaczki. – Wtedy odejdziemy i więcej nas nie zobaczysz.

– Chyba wciąż się nie rozumiemy. – Stan wzruszył kościstymi ramionami, po czym odwrócił się na pięcie i zaczął iść w kierunku stodoły. – Zatem miłego sterczenia w błocie.

– Zaczekaj – krzyknęła za nim Miriam. – Już odchodzą.

Konrad chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Czuł, jak się trzęsie.

– Wiesz, że to szaleństwo – szepnął jej do ucha.

– Wiem, że Gaja mnie potrzebuje. A teraz zabierz stąd moją siostrę. No już, wynoście się. – Kiwnęła, popędzając ich głową.

– Jesteś pewna?

– Nic mi nie będzie. Widziałeś przecież, w jakim jest stanie. Ledwo człapał na tych swoich nóżkach. Zresztą to moja wojna, nie wasza, i muszę ją sama dokończyć.

– Miriam...

– Zrób, jak mówię. Jeszcze jedno: zostaw mi papierosy.

– Camele?

– Te drugie. Prosiłam, żebyś zabrał ze sobą te drugie. Pamiętasz? – Spojrzała mu znacząco w oczy.

Zrozumiał. Dwie wiadomości, które wysłała mu w środku nocy za pomocą pagera, były krótkie, ale jasne. Wyjął z kieszeni kurtki ledwie napoczęte pudełko czerwonych marlboro.

– W środku znajdziesz... zapalniczkę – powiedział, wsuwając je do wewnętrznej kieszeni płaszcza Miriam.

– Idźcie już. – Wskazała brodą na majaczący w dali las i ścieżkę za ogrodzeniem.

Konrad z Adelą ruszyli bez słowa przed siebie. Kiedy dotarli do zdziczałych jabłoni, odwrócili się, by po raz ostatni spojrzeć na dwie stojące przy stodole sylwetki. Ich kontury coraz bardziej zlewały się z zapadającym mrokiem. Zdołali jednak zobaczyć, jak Stan obejmuje Miriam w pasie, a ona stoi skostniała z zaciśniętymi na piersiach rękami i patrzy na rozświetloną od wewnątrz stodołę.

Czwartek, 17 września

— Nie teraz! – Nauman odwrócił się od biurka tylko po to, by rzucić ostrzeżenie młodemu funkcjonariuszowi, który zajrzał do pokoju przesłuchań. – Cokolwiek masz mi do powiedzenia, zrobisz to później. Kim ty w ogóle jesteś, przyjacielu? Bo nie kojarzę.

Mężczyzna skurczył ramiona. Nie tak wyobrażał sobie swój pierwszy dzień służby. Uważał, że dziś będzie miał jeszcze odrobinę luzu. Dostanie do czytania regulaminy, hasła do logowania, a po lunchu wyskoczy do cukierni po przywitalne pączki dla całego zespołu. Generalnie sądził, że będzie miło, a mniej miło zacznie być co najwyżej jutro.

– Właśnie wpłynęło zgłoszenie – bąknął, wciąż stojąc w drzwiach. – Znalaziono ciało. Powinien pan o tym wiedzieć.

Nauman westchnął ciężko.

– Dowiedz się, dziecinko, o co mu chodzi. I wytłumacz przy okazji, że żadne ciało nie jest na tyle ważne, żeby przerywać mi przesłuchanie.

Shi Lu zaszurała krzesłem, po czym już całkiem bezszelestnie zniknęła wraz z debiutującym gliną na korytarzu.

– Co jest? – zapytała, domykając za nimi drzwi. – No, gadaj, Pacuła – przeczytała nazwisko młodego na plakietce.

– Jakiś przypadkowy facet natrafił na ciało.

– Gdzie?

– Za miastem.

– „Za miastem” jest długie i szerokie. Gdzie i co to za ciało?

– Niedaleko Wilgi. Nie wiadomo jeszcze, kim jest ofiara. Zwłoki są zmasakrowane.

– Pobicie?

– Tak.

– Płeć?

Pacuła przełknął ślinę.

– To mężczyzna.

– Worek się rozpruł... Nie gap się tak, Pacuła, nie jesteś w temacie. Ktoś pojechał już na miejsce czy mam się tym zająć?

– Nie trzeba. Przydzielona ekipa jest już w terenie.

Shi Lu zwięzła i tak już skośne powieki.

– To co mi dupę zawracasz? Jesteś tu nowy, więc tym razem ci daruję. Ale na przyszłość...

Młody funkcjonariusz splótł dłonie za plecami.

– Polecono mi przekazać, że ten trup może mieć związek z waszą sprawą.

– O! – Shi Lu dla odmiany splótła ręce na piersiach. – Już lepiej. Mów, o co chodzi.

– Znalezione przy nim telefon ze zdjęciem.

– I?

– Podobno pani zna tę kobietę. Mam wydruk. Wyszedł kiepsko, właściwie to się porządnie rozmazał, bo toner...

– Przestań gadać, tylko pokaz.

Pacuła wyjął z kieszeni munduru złożony na czworo wydruk. Rozłożył go i podał Shi Lu.

– Miriam Macharow... – mruknęła na widok niewyraźnego zdjęcia. – Co za niespodzianka. Zaczekaj... możesz mi załatwić wyraźniejszą kopię? W tle jest ktoś jeszcze. Chcę wiedzieć kto. No, brykaj.

Pacuła ruszył w okamgnieniu, ale tylko na przeciwną stronę korytarza. Shi Lu słyszała, jak rozmawia z kimś przez telefon i mówi mu, żeby uprzejmie zrobił transfer pliku.

– Zajmą się tym w wolnej chwili – powiedział, gdy się rozłączył.

– Zadzwoń jeszcze raz i powiedz, że chcesz dostać to zdjęcie natychmiast. Chyba że zamierzasz nam znowu przerwać przesłuchanie, a to bym ci, Pacuła, szczerze odradzała – dodała, kładąc dłoń na kłamce do gabinetu.

Plik przyszedł po kilkunastu sekundach. Załączone do niego zdjęcie było o wiele bardziej wyraźne niż papierowy wydruk. Jak przypuszczała Shi Lu, na drugim planie, tuż za roześmianą twarzą Miriam majaczyła twarz kogoś jeszcze. Zdjęcie zostało zrobione w łazience, a w zaparowanym lustrze wiszącym nad umywalką ewidentnie odbijał się wizerunek mężczyzny, a konkretnie kawałek jego nagiego torsu o dość pokaźnym rozmiarze. Widać też było fragment jego twarzy. Mężczyzna był młody, mógł mieć

niewiele ponad trzydzieści lat. Miał lekko rudawe, falujące włosy, które sięgały ramion, i twarz, która z pewnością nie należała do Konrada Macharowa. Fotografia, z tego, co podawały jej szczegółowe dane, została zrobiona przed niespełna rokiem.

– To ten pobity? – spytała Shi Lu.

– Jeszcze nie wiadomo. Obrażenia są zbyt rozległe, żeby rozpoznać rysy twarzy. Patolog wkrótce potwierdzi oficjalną przyczynę zgonu – dodał Pacuła. – Niezła babka na tym zdjęciu, co?

– Niezła, Pacuła. Masz dla mnie coś jeszcze?

– Facet z Wilgi miał nacięcie na skórze. To świeże uszkodzenie, pewnie powstało podczas bijatyki. Jak na moje oko, to bez znaczenia, ale kazali mi przekazać.

– Jak na moje oko, zapowiadasz się na idiotę, Pacuła. Co to za rozcięcie?

– Wygląda jakby litera. Zdaje się, że H.

– Jesteś pewien, że H?

– Tak podali technicy.

Jakby już o czymś podobnym słyszała. Trzy lata temu, może trochę wcześniej, w każdym razie akurat wtedy, gdy stawiała swoje pierwsze kroki w policji. Ta sprawa nie kojarzyła się Shi Lu najlepiej. Zabroniono jej się do niej w jakikolwiek sposób mieszać, nie mogła też pytać o żadne szczegóły z dochodzenia. To musiała być jakaś grubsza historia. Chodziły słuchy, że jest w nią wplątany ktoś z politycznej albo gospodarczej elity kraju. Wtedy też znaleziono zwłoki, tylko że kobiety. Miała na plecach wrytą literę H. Czy się tym odpowiednio zajęto, czy zamieciono sprawę pod dywan, nie miała pojęcia. W każdym razie kwestia H dość szybko została wyciszona.

– Możesz odejść, Pacuła.

Shi Lu odczekała, aż młody funkcjonariusz zniknie w korytarzu, po czym uchyliła drzwi gabinetu. Nauman wciąż maglował dwójkę swoich, bardzo już zmęczonych, gości.

– Długo cię nie było, dziecinko – usłyszała. – Mam nadzieję, że dowiedziałas się czegoś ciekawego.

Usiadła obok swojego pryncypała i na odwrocie wydruku z ksero napisała „Ktoś zostawił podpis: H”.

Nauman długo wpatrywał się w tych kilka liter, po czym zgarnął kartkę z blatu i zmiął ją w dłoni.

– Wróćmy do naszej rozmowy.

– Kojarzę ten podpis – szepnęła w jego stronę. – Chcę się bliżej przyjrzeć sprawie H, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Owszem, mam. Za wysokie progi jak na ciebie, Shi. Możemy kontynuować?

Zawahała się, zbita z tropu.

– Co z tobą, dziecinko? Czyżbyś zapomniała, po co tu od kilku godzin siedzimy?

Głos Naumana zabrzmiał inaczej niż zwykle. Bardziej surowo i nieprzyjaźnie. „Dziecinka” wypadła karcąco, a nie, jak była do tego przyzwyczajona, dobrotliwie. I wzrok też miał inny, lodowaty.

Zrozumiała, że nie tylko ona wie, że jeśli chodzi o H, lepiej udawać, że nie ma tematu. Kiwnęła posłusznie głową.

Niedziela, 13 września

MIRIAM

Odeszli i powinni już znaleźć się daleko, przy zaparkowanym aucie. Słyszałam trzaśnięcie furtką, na tyle donośne, że jego odgłos rozniósł się chyba w promieniu kilometra. Wykonali klasyczny, ograny numer, żeby Stanowi nie przyszło do głowy, że czają się gdzieś w zaroślach albo za tymi pokracznymi jabłoniemi. Stan nie jest jednak głupi. Idzie za dom i przez kilka dobrych minut sprawdza obejście. Kiedy wraca, mówi, że dla pewności zaryglował furtkę.

– Jesteśmy sami, Miriam.

Stara się wyprostować i pokazać mi, że nie jest z nim aż tak źle i że wciąż całkiem dobrze się trzyma. Może gdybym była ślepa, uwierzyłabym.

Czekam na dalszy ciąg i liczę na wyjaśnienia. Chcę od niego usłyszeć: „Przepraszam, że mi odbiło, miałem totalny odpał. Powinienem się leczyć. Nie chciałem skrzywdzić ani ciebie, ani tych kobiet. Jeśli tylko to będzie możliwe, odpokutuję. A teraz zaprowadzę cię do dziecka, nic wam nie grozi, obiecuję ci, Miriam. Zapomnijmy o wszystkim”. Prawdę mówiąc, na to właśnie liczę. Wciąż chcę dać mu szansę. Żaden człowiek nie rodzi się przecież potworem. Staje się nim w wyniku deficytu miłości i akceptacji. Mając za plecami trzy zakopane ciała, wciąż tak uważam. Jestem aż tak naiwna.

To ze strachu. Ludzie odważni pozbawieni są taniej naiwności. Może gdyby szło tylko o mnie, nie czułabym takiego lęku. Ale tu nie chodzi o mnie. Nie tym razem.

Stan najwyraźniej nie ma zamiaru się kajać. W ogóle się nie odzywa. Zaciska dłoń na moim ramieniu i prowadzi mnie do stodoły. Idę posłusznie, nawet staram się zrobić to z należytą godnością. Mam wyprostowaną głowę

i choć słyszę w niej: „Uciekaj! Uciekaj stąd jak najszybciej!”, poddamę mu się bez najmniejszego protestu. Życie mojego dziecka zależy teraz tylko od tego, jak bardzo będę opanowana.

Wchodzimy do stodoły. Wcześniej tu nie byłam, Stan nigdy mnie nie wprowadził do środka. Jeśli w ogóle wychodziłam z domu, to zawsze miałam związane ręce i byłam prowadzona na postronku, jak owca. Trzymał mnie przy tym z dala od czegokolwiek, co miało ostre krawędzie i mogło kusić, by ich użyć. Stodoły zwykle pełne są ostrych narzędzi, więc za każdym razem zostawałam na zewnątrz, przywiązana za tę linkę do drzewa. Stan znikał w stodole sam. Widziałam przez szpary między deskami, że ma tam mały warsztat, niemniej to był zaledwie ułamek tego, co widzę teraz.

Patrę na drewniany stolarski stół o grubo ciosanych nogach i wiszące nad nim półki na narzędzia. Stół jest uprzątnięty, a narzędzia poukładane na swoich miejscach. W czterech punktach na pionowych belkach podtrzymujących dach wiszą zamocowane lampy działające na paliwowy generator prądu. Buczą, jakby obsiadły je stada szerszeni. Dwie podobne, tylko o połowę mniejsze, stoją w domu. Jedna w kuchni, a druga w jadalni. W sypialni nie ma żadnej, tylko świece. Miałam dużo czasu, żeby to zapamiętać.

Na podłodze leży kilka pustych worków po cemencie, obok nich stoi taczka wypełniona piaskiem. O jedną ze ścian opiera się łopata.

– Gdzie jest moje dziecko? – pytam, rozglądając się uważnie po pozostałych kątach.

– Spokojnie, Miriam. Zajmuje się nią Pat.

Robi mi się słabo.

– Powiedz Pat, że teraz moja kolej. – Skoro on chce grać w swoją grę, proszę uprzejmie, zagrajmy w nią razem. – Niech sobie odpocznie, nie jest przyzwyczajona do dzieci – dodaję. – Gdzie ją trzyma?

Stan zaczyna paskudnie kaszleć. Łapie się za klatkę piersiową i zgina wpół, jakby miał zaraz zwymiotować. Widzę, że jest słaby. Bez większego wysiłku mogłabym go przewrócić, skopać i połamać wszystkie kości. Nie miałby siły się obronić. Nie tym, co zostało z jego mięśni.

Bronią Stana jest moja córka. Może być gdzieś na terenie posesji albo dużo dalej, w jakiejś leśnej ziemiance. Stan jest dobry w budowaniu ziemianek. Dopóki więc nie wiem, gdzie ją ukrył, trzymam ręce przy sobie i zamierzam być dla niego miła. W końcu jesteśmy przyjaciółmi.

– Wiedziałem, że wrócisz. – Stan patrzy mi w oczy. Są niemal przezroczyste, podobnie jak całe jego ciało. Po chwili zamyka powieki. – Wreszcie rozumiałaś, co jest dla ciebie dobre. Tylko ten cały cyrk z Konradem i twoją siostrą... – Cmoka nieprzyjemnie przez zęby. – Zupełnie niepotrzebny. Dobrze, że sobie poszli. A może to wszystko mi się przywidziało, co, Miriam? Byli tu, powiedz?

Jestem już pewna, że stan jego mózgu jest tragiczny. Przestaje myśleć klarownie, rzeczywistość miesza się mu ze zwidami. To końcowe stadium. Jedzenie przestał przyjmować jeszcze wtedy, gdy tu byłam. To już pełne dwa tygodnie. Wygląda na to, że teraz odstawił również wodę. Barwa jego skóry, oczu i warg dobitnie na to wskazuje.

– Wszystko jest już gotowe, Miriam. Chodź, pokażę ci.

Już nie chwyta mnie za rękę, a jedynie wskazuje drugi koniec stodoły. Szura nogami w stronę czegoś, co wygląda jak ciężki żeliwny właz. I rzeczywiście – to właz do głębokiej na trzy metry i podzielonej szybą na pół niszy z betonowym dnem i z wpuszczoną do środka drabiną. Teraz jest odsunięty, leży obok betoniarki, od której czuć woń świeżego cementu. Zapach betonu akurat dobrze mi się kojarzy. Przypomina dzień, w którym odebraliśmy z Konradem nasz nowo kupiony dom. Wciąż pachniał świeżymi wylewkami. Konrad wniósł mnie przez próg i powiedział: „Mam nadzieję, że się tu pomieścimy”.

– Zmieścimy się tu we troje – dociera do mnie. Informacja brzmi niby podobnie, ale tym razem nie czuję ekscytacji, lecz przerażenie. – Nirwana, pamiętasz? Tak bardzo chciałaś zaznać spokoju.

Jak mogłabym zapomnieć.

– Zejdiesz tam pierwsza. Kiedy będziesz na dole, podam ci dziecko.

– A ty?

– Dołączę do was, gdy przyjdzie pora. Potem zamknę za sobą właz. Myślę, że możemy się już zacząć przygotowywać. Zwłaszcza że Pat najwyraźniej sobie nie radzi. Słyszysz te płaczki? Pewnie odeszła na chwilę i zapomniała, gdzie ją zostawiła, tę naszą małą. Ostatnio jest taka roztargniona. Chyba się na mnie o coś gniewa. Powiedz, Miriam, może gniewa się o to nasze dziecko? Gaja jest tak do mnie podobna... Tak, Pat na pewno się na mnie obraziła. Kilka dni temu przywiozłem jej dwie nowe koleżanki. Była tu samotna, więc pomyślałem, że się ucieszy, ale chyba ich nie polubiła. Może to o nie jest taka zła? Konrad też wyglądał na urażonego. Jest zły na mnie i na ciebie. Pewnie dlatego nie odwiedził cię tu ani razu.

Kwilenie Gai, które jeszcze sekundę temu dopływało z głośnika, nagle milknie. Ta cisza mnie przeraża. Czuję, że serce zaraz mi pęknie. Jestem gotowa zrobić wszystko i obiecać mu wszystko, byle tylko powiedział mi, gdzie mam jej szukać. Nie wiem jednak, czy jeszcze cokolwiek do niego dociera. Stan coraz bardziej traci kontrolę nad swoim ciałem. Jego ruchy stają się powolne, a to, co mówi, zamienia się w pozbawiony sensu bełkot. Zaczynam się bać, że w każdej chwili może dojść do zapaści.

– Gdzie jest Gaja? – pytam. Muszę to wiedzieć, zanim Stan całkiem odpłynie.

Udaje, że mnie nie słyszy.

– Nie sądziłem, że to będzie takie trudne.

– Co będzie trudne, Stan?

– Zaraz sama się przekonasz. Podaj mi urushi³, Miriam. Jest tam, w kubku na stole. – Wskazuje kościstym palcem. – Najwyższa pora rozpocząć tukdam⁴.

Idę do stołu i sięgam po kubek wypełniony do połowy brązowym napojem. Cuchnie tak, że aż wykręca mi twarz. Stan patrzy na mnie z pobłażliwym uśmiechem.

– Nie bądź taka przerażona, Miriam. To nie dla ciebie. Postaw tu, przy włązie. A teraz pomóż mi się przebrać.

Zza sterty porąbanego drewna wyciąga dwa pokrowce na garnitury. Rozsuwa w jednym zamek i wyjmuje złotą kaszkę. W czasach, kiedy bywał u nas w domu, nauczył nas tego słowa. Obruszał się, gdy Konrad nazywał ją po prostu buddyjskim wdziankiem.

– Nigdy wcześniej nie miałem jej na sobie. – Stan gładzi się z rozrzewnieniem po wyłysiałej głowie, którą pokrywają brunatne, nieregularne, chorobowe plamy. – Trzymam ją na szczególną okazję.

– Piękna szata – przytakuje.

– Złoto daje nieśmiertelność, wiedziałaś?

Wcale nie oczekuje, aż odpowiem. Zaczyna zdejmować z siebie ubranie. Rozpina guziki flanelowej koszuli i rzuca ją pod nogi. Na widok żeber i sonej odwodnionej skóry odwracam wzrok. Nie na długo. Jestem zmuszona go przytrzymać, bo zaczyna się chwiać podczas ściągania spodni. To zakrawa na absurd, ale muszę uważać, by zabójca trzech kobiet i porywacz niewinnego dziecka nie poślizgnął się, nie runął na podłogę i nie rozwalił sobie czaszki.

– Pomogę ci, Stan – mówię i drętwieję, gdy orientuję się, że zaczyna zsuwać z siebie bieliznę.

Po chwili staje przede mną zupełnie nagi. Wolę nie patrzeć na to, co powinno być jego dumą, a co wygląda jak przyrodzenie ośmiolatka. Zaciśkam usta, by nie wypsnął mi się żaden obraźliwy komentarz.

– Kiedyś było lepiej. – Stan najwyraźniej rozumie żalność sytuacji. – Cały się skurczyłem, Miriam. Tam na dole też. Ale tak właśnie trzeba.

Zanik mięśni, tkanek i organów. Mumifikacja, która ma doprowadzić ciało do stanu doskonałości. Tyle razy o tym mówił, kiedy wpadał do nas na Rukoli, że przestaliśmy brać to jego gadanie na poważnie. Myśleliśmy, że robi to tylko po to, żeby błysnąć elokwencją i wywołać wrażenie. Opowiadał niestworzone historie o mnichach i ich praktykach, o swoim spotkaniu z uduchowionym lamą, który zdradził mu, na czym polega tukdam i jak się do niego przygotować. Nie mogliśmy przypuszczać, że zechce sam spróbować. Ani że zamierza zabrać ze sobą towarzystwo.

Byliśmy w wielkim błędzie.

Dyskretnie obserwuję, jak wiąże sobie na biodrach cienki pasek materiału, który wyjął z kieszeni złotej szaty. Nie ma nic do założenia na stopy, muszą pozostać bose.

Trzęsie się z zimna i z wyczerpania. Coraz częściej i na coraz dłużej zamyka oczy. Odpływa.

– Powinniśmy już pójść po Gaję – przypominam. Muszę go docisnąć, zanim będzie za późno. – Powiedz mi, gdzie mam jej szukać.

– Jest tam. – Stan patrzy na betonowy dół. – Już na nas czeka.

Zrywam z belki lampę i padam na kolana. Nachylam się ze światłem tak, by rozjaśnić nim mroczną komorę, ale nie widzę w niej nic. Nic, poza małym kartonowym pudełkiem. Jest czarne, szczelnie zamknięte i zalepione taśmą. Rzucam się do drabiny, żeby zejść na dół, ale Stan łapie mnie za płaszcz.

– Jeszcze nie teraz. Teraz musisz się przebrać. Och, Miriam, nie możesz przecież wejść tam w płaszczu! Weź to.

Wciska mi drugi pokrowiec. Wszystko przemyślał. Przygotował się na ten dzień wręcz perfekcyjnie.

– Niebieska – stwierdzam, wyjmując szatę, w której mam zniknąć z tego świata.

– Zamieni twój gniew w mądrość.

Mój gniew rzeczywiście rośnie i coraz trudniej jest mi nad nim panować.

– Już wystarczy tego cyrku, zabieraj łapy! – krzyczę. Odtrącam jego ręce, które nagle nabrały siły.

Schodzę na dół do jednej z komór. Śpieszę się tak bardzo, że kilka razy nie trafiam stopą na szczebel. Dwukrotnie uderzam przy tym głową w wyższe listwy. Czuję, że z nosa cieknie mi krew, ale to nieważne. Chcę jak najszybciej znaleźć się na dole, dopaść pudełka i wyjąć z niego milczącą Gaję.

Trzy ostatnie szczeble pomijam, zeskakuję na beton, niemal wykręcając sobie kostkę. Już przy niej jestem, przy mojej córce... Rozrywam taśmę i otwieram klapy pudła.

– Zabiję cię, Stan... Ty bydlaku...

Na dnie leży głośnik. Mały, plastikowy, z migającą diodą. Rozgniatam go butem, miażdżę na drobne kawałki i ciskam z wściekłością na górę. Jednak ludzie potrafią być źli. Zepsuci do szpiku kości. Stoję na dnie betonowego grobowca i dysząc z furii, mogę tylko patrzeć, jak ten potwór wciąga na górę drabinę, odcinając mi drogę powrotu.

– Przebierz się. – RzUCA w dół niebieską szatę. Łach niemal ląduje mi na głowie. – Rób, co ci każę, Miriam.

Znika mi z pola widzenia. Chyba gdzieś wychodzi. Nie słyszę jego kroków, za to dociera do mnie oddalające się postękiwanie.

Macam ściany. W ciemności, jaka panuje w dole, szukam jakiegoś uskoku, który pomógłby mi wspiąć się na górę. Bez skutku. Ściany są chropowate, ale nie na tyle, by dało się na czymś oprzeć choćby czubek buta. Nawet nie ma co próbować.

Coraz dobitniej dociera do mnie, że to już koniec. Przywołuję w myślach Konrada i Adełę, zaraz potem robię to na głos. Drę się jak opętana, ale żadne z nich nie nadchodzi.

Wraca za to Stan. Słyszę, że zamyka drzwi stodoły na skobel. To jego stękanie jest coraz bardziej irytujące. Ale słyszę też cichutkie mruczenie, cieniutki głosik i melodyjne mamlanie.

Ma ją! Teraz jest tu naprawdę! Moje dziecko...

Natychmiast ściągam z siebie płaszcz, przeciskam przez głowę golf, który niemal urywa mi czaszkę, i rozpinam guziki džinsów. Nim Stan dociera do betonowej dziury, jestem już ubrana w niebieską kaszaję.

– Przepraszam cię, Stan – mówię głosem, który brzmi tak pokornie, jakbym chciała przebłagać Boga za winy całego świata. – Zachowałam się obrzydliwie. Nie powinno się tak zwracać do przyjaciół. Wciąż jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Widzę skrawek kocyka, w który zawinięta jest Gaja. Rozpoznaję go od razu, jest różowy w czekoladową kratkę. Stan położył zawiniątko z małą tak blisko brzegu, że wystarczy jeden nieostrożny ruch, by spadła. Ustawiam się w taki sposób, bym w razie czego mogła ją złapać.

– Pogadajmy – próbuję ponownie. – Przepraszam cię, słyszysz?

– Nie hałasuj, Miriam. Teraz potrzebuję ciszy. – Stan zawisa nad betonową dziurą. Trzyma w ręku kubek z urushi. Podnosi go do ust i pije małymi łykami, aż do dna. – Właśnie zaczyna się moje nowe życie – mówi, patrząc gdzieś w przestrzeń. – Nieśmiertelność już we mnie jest, już zaczyna działać.

Próbuję sobie przypomnieć, co opowiadał nam o tym świństwie. Bo na pewno mówił o jakimś zabójczym trunku. Tak, oczywiście. Napój, który wysysa z człowieka życie. Błyskawiczne odwodnienie, którego nie można powstrzymać. Mam więc kilka, może kilkanaście minut, zanim Stan zacznie na dobre umierać. Wołam do niego, żeby spuścił mi drabinę lub podał cokolwiek, po czym mogłabym się wspiąć. Nie reaguje, kuca nad moim dzieckiem i mam wrażenie, że coś mu podaje.

– Stan, tylko nie to! – zaklinam. – Nie rób tego, błagam... Słyszysz, ty bezduszna zasuszona gnido?! Nawet nie próbuj jej tknąć!

Stan się dławi. Zasłania usta dłońmi i już widzę, że są puste – tylko mi się zdawało, że faszeruje czymś Gaję.

Znów krztusi się, jakby tracił oddech. Więc to już, przechodzi mi przez myśl, urushi szybko zadziałało. Słyszę, że wymiotuje. Charczy, jakby rozrywało go od środka. Smród jego rzygów czuję aż tu, na dole. Na chwilę przestaje, ale za kilka sekund dociera do mnie dźwięk oddawanego moczu. W tej przerażającej ciszy słyhać dosłownie wszystko. Potem znów torsje. Nie ma już czym wymiotować, ale zrywa go i tak.

– Wreszcie czuję szczęście, Miriam. – Nie widzę go, a jedynie słyszę. Stoi pewnie kilka metrów od wjazdu. – Tak długo się na to przygotowywałem. Tysiąc dni. To niewiele, by osiągnąć nirwanę, nie sądzisz?

– Sądzę, że sam siebie oszukujesz, Stan. Za kilka godzin po prostu umrzesz.

Śmieje się. Nie wiem, czy ze mnie, czy ze swojego porąbanego szczęścia.

– Nie, Miriam. Śmierć dla mnie właśnie przestaje istnieć. Mój umysł i ciało są już gotowe. Pozbyłem się tego, co ludzkie. Moja skóra jest wolna od tłuszczu, tkanki są wysterylizowane. Zastygnę, ale nie umrę.

– Naprawdę wierzysz w te buddyjskie bajki? W wieczne życie jako mumia?

– To odróżnia mnie od ciebie. Wyrzekłem się wszystkiego, co ziemskie. Z wyjątkiem jednego. Chyba wiesz, o czym mówię?

Robi krótką przerwę na kolejną serię wymiotów. Słyszę, jak się przewraca, ściągając przy tym coś na podłogę. Coś brzęczącego, jakby szpadel. Modłę się, żeby stał z dala od różowego kocyka.

– No, to już, już czas – bełkocze. Znów go widzę. Podchodzi do Gai i staje tuż obok jej machających w powietrzu rączek.

– Te trzy kobiety... – Za wszelką cenę próbuję go zagadać i zatrzymać, nim wyrządzi jej krzywdę. – Kim były?

Czuję się, jakbym siedziała na dnie studni. Widzę tylko belki u stropu stodoły i jego zmęczoną torsjami twarz.

– Czy to ważne, Miriam?

– Powiedz.

– Musiałem sprawdzić, czy to wszystko zadziała. Zanim zaproszę ciebie. Dlaczego ode mnie uciekłaś, Miriam?

– Chryste...

– Byliśmy bratnimi duszami. Przecież wiesz, że ja ciebie zawsze... Poza tym obiecałem ci ulgę od cierpienia, pamiętasz naszą rozmowę w waszej kuchni? Był jeszcze klub karaoke i twoje wyznanie. Powiedziałaś, że...

– Wiem, co powiedziałaś.

– Męczyłaś się przez poczucie winy. To miała być właśnie moja przysługa dla ciebie, Miriam.

– Zabicie mnie nazywasz przysługą? Od tego szprycowania się halunami całkiem ci odbiło.

– Zaczynasz mnie irytować! W buddyzmie trzeba dążyć do tego, co ma prawdziwą wartość. Chyba nie na darmo ci to wszystko tłumaczyłem!

– Żal mi cię, Stan. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. A te kobiety...

– Ty dalej swoje! Już mówiłem: były mi potrzebne.

– Zakopałeś je żywcem. Zabiłeś je!

– One wciąż żyją i są szczęśliwe, kiedy to do ciebie dotrze!

Nie chcę sobie teraz wyobrazać, co czuje człowiek, który wciąż oddycha, a któremu leci na głowę tona ziemi. Uświadamiam sobie, że jeśli czegoś natychmiast nie zrobię, już niebawem przekonam się na własnej skórze, jak to jest.

– A te z plastiku? Pat i jej dwie koleżanki?

– Ładne, prawda? – Stan nagle się ożywia, ale nie na długo. – Nie masz pojęcia, ile się ich naszukałem.

– Te przynajmniej nie protestowały. One cię rozumiały, tak jak tego chciałeś. I kochały, też bezwarunkowo. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale wyglądały na uśmiechnięte i zadowolone. Oczywiście, wszystkie poza Pat. Pat wciąż się gniewa.

Stan nie wyczuwa ironii. Mam wrażenie, że przestaje już odczuwać cokolwiek.

– Są szczęśliwe, a do tego takie podobne do tamtych, zakopanych. Niemal identyczne. – Wykonuje niezgrabny ruch tułowiem w kierunku pola za stodołą. – Przyznam ci się do czegoś, Miriam. Miałem wątpliwości, czy aby te prawdziwe na pewno nie mają nic przeciw temu, że umieściłem je z dala od mojego sarkofagu.

– To nie było w porządku w stosunku do nich.

– Właśnie, Miriam... Nie było. Dlatego postanowiłem im to wynagrodzić.

– Ściągając ich sztuczne kopie i traktując jak ludzi?

– Dbam o nie najlepiej, jak potrafię. Niczego im nie brakuje. Są czyste, najedzone i śpią w ciepłym łóżku. Nie gniewasz się, że dałem Pat twoją sukienkę?

Różowy kocyk. Ześlizguje się. Stan mówi coś jeszcze, ale przestaje go słuchać. Moje dwutygodniowe dziecko zsuwa się coraz bardziej.

– Stan! – krzyczę.

Jego powieki są już na wpół przymknięte. Ledwie nad nimi panuje, ale na chwilę przytomnieje. Poprawia kocyk, a ja głęboko oddycham.

Chcę mu podziękować, ale znów znika mi z pola widzenia. Ciągnie coś. To drabina. Zsuwa ją do drugiej części grobowca, tej za szybą.

– To już. Czas zacząć się żegnać.

Drabina głuchym łupnięciem opada na dno betonowej pułapki. Jest już po drugiej stronie szklanej ściany. Stan stawia bosą stopę na pierwszym szczeblu. Drabina chwieje się. Gaja zaczyna kwilić. Wciąż jest tam, na górze, leży na brzegu sarkofagu. Zmarznięta i głodna.

– Wyświadcz mi przysługę, Miriam. – Głos Stana robi się coraz bardziej niewyraźny. – Dla ciebie to drobiazg, a dla mnie... Kiedy zacznę odchodzić, pozwól mi na ciebie patrzeć.

– To twoje kolejne dziwactwo?

– Nazwij to, jak chcesz, ale pragnąłbym opuszczać moje ciało, patrząc ci w oczy. Wystarczy, że usiądziesz w sposób, w jaki cię poproszę, twarzą w twarz.

– Nie – przerywam mu.

Stan nagle się zatrzymuje. Patrzy na mnie z góry ze zdziwieniem.

– Podaj mi Gaję – mówię. – Może wtedy się dogadamy.

– Ona cię już nie potrzebuje. Też zaraz zaśnie, jak ja. Jest mała i słaba, więc to nie potrwa długo. Tylko ty pomęczysz się trochę dłużej. Przygotuj się do tego. Siadaj, Miriam! Kwiat lotosu, pamiętasz chociaż to? Zaraz zrobi się całkiem ciemno. Tu, w środku. Widzisz ten właz? Zamknie się, gdy zejdem na dół, a wszystkie szczeliny zaleje beton.

Wszystkie szczeliny? Poza jedną... Jedna zostanie! Mówił o tym u nas w domu podczas gry w remika. O tej jednej, małej szczelinie.

Tej, do której tylko on będzie miał dostęp. Ja nie.

Moja komora jest wąska. Mam zbyt mało miejsca na jakikolwiek, nawet najmniejszy rozpęd, a szklana tafla, jaka dzieli mnie od Stana, wygląda na solidną. Testuję czubkiem buta, jak bardzo, kopiąc w nią dyskretnie. Oddałabym wszystko za łom Konrada, ale jedyne, co mam, to te buty i siłę moich nóg. Modłę się w myślach, by to mi wystarczyło. Jest ziarno nadziei, bo pod kopnięciami szyba zaczyna lekko drgać.

Gaja płacze coraz głośniej. Jej krzyk paraliżuje mi mózg, jednak zanim zacznę ratować się z tej sytuacji, muszę poczekać, aż Stan zejdzie przynajmniej do połowy wysokości grobowca. Im bliżej dna, tym lepiej. Nie mogę dopuścić do tego, by się cofnął, wrócił na powierzchnię, a co najgorsze, zabrał ze sobą drabinę. Bez niej nie mam najmniejszych szans na wydostanie się z tej dziury. Wiem też, że jeśli uda mi się stłuc szkło i stanąć twarzą w twarz ze Stanem, on zrobi wszystko, żeby mnie stąd nie wypuścić. Jest osłabiony, ale wystarczy, że przystawi mi do szyi stłuczone szkło.

Zostało jeszcze kilka szczebli. Cztery, trzy, dwa...

Kopię w szybę jak oszalała. Walę w nią nogami przy akompaniamencie płaczu Gai i mojego własnego krzyku. Słyszę, że szkło zaczyna pękać. Gdzieś z boku, ale dobre i to. Nie muszę patrzeć na Stana, by mieć pewność, że jeszcze nie zaczął się ewakuować ze swojej komory. Jego złota szata wciąż miga mi przed oczami.

Uderzam ponownie. I jeszcze raz. Szyba powoli pęka, pokazują się na niej coraz to nowe rysy, aż w końcu nie wytrzymuje i rozpada się na dziesiątki kawałków. Lecą mi pod nogi, kilka z nich rozcina materiał mojej

szaty. Nie czuję pieczenia na skórze, jedynie coś ciepłego cieknie mi po czole. Ocieram je szybko przedramieniem, po czym chwytam za drabinę. Stan robi to samo, mocuje się ze mną, by wypchnąć ją na górę, ale to ja jestem silniejsza. Błogosławię urushi i jego mordercze działanie.

– Podobno chciałeś być ze mną blisko – rzucam mu przez zaciśnięte zęby. – Jak widzisz, lubię spełniać życzenia, zwłaszcza te ostatnie.

Stan nie odpowiada. Właśnie dociera do niego, że nasze pożegnanie weszło na całkiem inny poziom. Nie ma też zamiaru ze mną walczyć, w końcu jest buddystą i nie uznaje bezpośredniej przemocy. Kładzie za to rękę na dźwigni, która w każdej chwili może uruchomić zapadnię.

– Papierosa? – próbuję go zagadać, byle tylko nie nacisnął wajchy. – Ostatniego, zanim dostąpisz nirwany?

Spod pokruszonych odłamków szkła wyciągam płaszcz i wyjmuję z jego kieszeni paczkę marlboro, którą dostałam od Konrada.

Stan również się schyla, z tym że podnosi ostry kawałek pękniętej szyby. Jak przypuszczałam, nie zamierza wypuścić mnie stąd żywej.

– Nie tak miało być, Miriam. – Patrzy na mnie zmęczonym wzrokiem. – Wszystko popsułaś.

W nerwach międlę w dłoni paczkę papierosów. Wyczuwam w niej coś twardego. Poza fajkami jest w niej to, na czym tak bardzo mi zależało. Pocziwy Konrad. Choć raz mnie nie zawiódł.

Chcę mu odpowiedzieć, że ja również inaczej wyobrażałam sobie nasze pożegnanie, ale właśnie zaczynam czuć na swoim gardle chłód szkła. Boję się wykonać choćby najmniejszy ruch. Boję się głębiej odetchnąć. Po policzkach ciekną mi łzy, a całe ciało drży jak w gorączce. Z trudem celuję palcami do kartonika z papierosami po moje wyjście awaryjne.

I teraz już oboje trzymamy się w szachu. On z odłamkiem szkła przy mojej szyi, a ja z miniaturową strzykawką przy jego.

– Dobrze, stare pankuronium ⁵. – Stan bezbłędnie zgaduje, co dla niego przygotowałam. A właściwie co przygotował dla niego jego najlepszy przyjaciel. – Myślałem, że już przestał się w to bawić.

Byłam głupia, mówiąc mu w chwili słabości o tym, w jaki sposób umarła moja matka. Stan zdaje się czytać w moich myślach.

– Za pierwszym razem wypróbował je na psie. Chciał zobaczyć, jak zadziała. Potem to samo było ze świnia. Nie sądziłem, że posunie się do tego, żeby w ten sam sposób uśmiercić twoją matkę. Przykre, co? Ale pocieszę cię. To jej nie bolało.

– Więc i ty niczego nie poczujesz.

– Nie dasz rady tego zrobić, Miriam. Nie umiałabyś skrzywdzić człowieka, więc daruj sobie te pogrożki. Odłóż tę igielkę. Poza tym w twojej religii zabicie bliźniego to byłby wielki grzech.

– To akurat nie powinno cię martwić. Ostatnio stałam się jakby mniej religijna.

– To niedobrze... Nawet teraz, na chwilę przed tym, zanim umrzesz, niczego nie czujesz? Ludziom w ostatnich chwilach ich życia zwykle wraca wiara.

Ewidentnie chce mnie wkręcić w dyskusję, żebym straciła czujność i opuściła gardę.

– To na nic, Stan. Nasza zabawa dobiegła końca.

Widzę, jak opada mu głowa.

– Tak, Miriam. Jestem już bardzo zmęczony.

Ja też mam dość. Do tego moja niebieska szata całkiem przesiąkła od sączącego się mleka. Część materiału przykleiła się do skóry i tam zastygła. Jak tak dalej pójdzie, Gaja dostanie do ssania dwa puste woreczki z brodawkami. Albo nie dostanie nic, bo Stan robi nagły ruch w kierunku uchwyty zapadni i ciągnie wajchę w dół. Maszyna wprawia w powolny ruch zębate koła, a te poruszają żeliwne wieko. Jest na tyle długie, że nie tylko przykryłoby sarkofag, ale i zgniotłoby leżącą na jego skraju Gaję.

Dyszę z przerażenia, wilgotne powietrze grobowca wpada mi głęboko do gardła wraz z każdym łapanym oddechem. To naprawdę koniec. Wbijam igłę na oślep, nie mając pojęcia, czy skrawek szyi tuż nad obojczykiem to dobre miejsce na wkłucie. Może powinnam wbić się w żyłę lub w mięsień. Ale już poszło, tłok jest wciśnięty do końca, a plastikowa nasadka igły wchodzi pod cienką skórę Stana aż do kości.

Próbuję przejąć wajchę, żeby zatrzymać ruch zębatego, ale Stan wciąż zaciska na niej palce. Jak na jego osłabione ciało, ma zatrważająco dużo siły. Nie mam czym uderzyć w jego rękę. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to rzucić się na nią z zębami. Jestem zdesperowana. Dopadam do jego dłoni i gryzę go aż do krwi. I nagle czuję, jak jego ciało wiotczeje.

Robię krok w tył. Ręka Stana opada wzdłuż tułowia, a on sam osuwa się na podłogę. Jednak wciąż żyje. Patrzy na mnie. Odwracam się do niego plecami. Czułe pożegnanie ze Stanem to ostatnie, o czym mam zamiar teraz myśleć. Ciągnę za dźwignię, żeby zatrzymać mechanizm zapadni, jednak wieko wciąż się nade mną zasuwa. Wskakuję na drabinę. Szczęble uciekają

mi spod nóg, ale w ostatniej chwili udaje mi się odsunąć ręką od klapy płaczącą Gaję. Od nagłego pchnięcia płacze jeszcze donośniej. Jest bardzo wystraszona, ale bezpieczna. Cofam dłoń i w tej samej chwili słyszę głucho uderzenie nad głową.

Ogarnia mnie ciemność.

Znów jestem na dole. Pod nogami leży ciało Stana. Potykam się o niego, zaplątanego w złotą szatę. Już się nie rusza, nie daje żadnych oznak życia. Trzy minuty. Po tym czasie jego mięśnie zdążyły już zwiotczeć, a serce stało się.

Próbuję krzyczeć, ale zdaję sobie sprawę, że mój głos zamknięty pod ziemią przypomina jedynie ciche buczenie, które nigdzie nie dociera. Poza tym powinnam oszczędzać tlen.

Macam ściany. Docieram do czegoś, o czym Stan mówił z takim zachwytem, kiedy opowiadał o inżynierskim cudzie procesu automumifikacji. Do cienkiej rurki biegnącej od pułapu niemal do podłogi. Jest zakończona otworem, przez który powinno wpadać powietrze. Schylam się, żeby sprawdzić cyrkulację. Ciąg powietrza jest, ale dramatycznie słaby. Mam świadomość, że niedługo nie będę miała czym oddychać. Dla Stana, gdyby dożył, sytuacja byłaby wręcz idealna. Zasuszyłby się tak, jak tego pragnął. Siedziałby w tym swoim kwiecie lotosu i kruszał. I tylko od czasu do czasu dzwoniłby małym dzwonkiem, żeby dać znać, czy jeszcze oddycha. Aż pewnego dnia dzwonek by zamilkł. Tak by było, jeśli Stan miałby kogoś, kogo mógłby powiadomić. Nie był chyba na tyle szalony, by myśleć, że tym kimś może być Pat. Dlatego pewnie nawet go nie zainstalował.

Znowu sunę dłońmi po ścianie. Mogłam to sprawdzić wcześniej, gdy do wnętrza wpadała choć odrobina światła. Wtedy nawet o tym nie pamiętałam. Gaja tak płakała, że myślałam tylko o niej.

A jednak jest... Cienki sznurek wyprowadzony gdzieś na zewnątrz. Ze Stana był kawał sukinsyna, ale za to dokładnego sukinsyna. Dopracował swój buddyjski sarkofag do perfekcji i nie pominął żadnego detalu.

Ciągnę za sznurek jak opętana. Rozsądek mówi mi, że ten alarm jest bezcelowy, w końcu jestem na tym pustkowiu całkiem sama, nie licząc Gai. Mojej małej córeczki, która w żaden sposób nie może mi pomóc. A jednak coś każe mi walczyć o życie.

Ciche dzwonienie raz po raz odzywa się trzy metry nad moją głową.

– Słyszysz? – Adela nadstawiła uszu. – Co to za dźwięk?

– Nie wiem. Dochodzi z daleka, pewnie ze wsi.

– Tu nie ma żadnej wsi. Jesteśmy na totalnym wygwizdowie. Posłuchaj teraz... to coś piskliwego. Ptak albo dziecko.

Konrad obrócił się w kierunku posesji Stana.

– Nie podoba mi się to wszystko. Już dawno temu powinna wrócić. Gdyby ten łajdak nie uprowadził Gai, nigdy nie pozwoliłbym jej tam zostać.

– Masz rację, to trwa zbyt długo. Nie wiem, jak ty, ale ja nie zamierzam dłużej czekać. Tam ewidentnie się coś dzieje.

Spod drucianego ogrodzenia, gdzie podeszli pół godziny po tym, jak zostawili Miriam ze Stanem, ruszyli prosto do furtki. Uderzenie łomem wyłamało zasuwę.

Już na ścieżce prowadzącej do stodoły dobiegł ich dźwięk dzwonka. Przeplatał się z rozpaczliwym płaczem dziecka.

Wyjechali na szosę, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Miriam siedziała na tylnym siedzeniu i powoli dochodziła do siebie, tuląc w ramionach Gaję. Mała przysypiała z matczyną piersią w różowych ustach, otulona jej płaszczem. Co kilka sekund poruszała dziąsłami, wyciskając z Miriam ostatnie krople mleka.

Kobieta patrzyła to na dziecko, to na ciągnącą się wzdłuż drogi czarną ścianę lasu. Adela co pewien czas odwracała się, by posłać jej uspokajający uśmiech, ale za każdym razem wypadał gorzko.

– To już gdzieś niedaleko – odezwała się szeptem, by nie obudzić Gai. – Zostawiłam swój samochód przy zatoczce... Chyba tam, za tym zakrętem. Może jednak zmienisz zdanie i pojedziesz do domu? – zwróciła się do siostry. – Z tą romantyczną randką jeszcze zdążycie. Co, Miriam? Obie z małą jesteście wykończone.

Nie doczekała się odpowiedzi. Miriam zupełnie nie reagowała. Wyglądała, jakby przestała odbierać bodźce.

– Musiałś go zabić. – Adela po raz kolejny odwróciła się przez ramię. – Inaczej on zabiłby ciebie i dziecko. Chyba są, do diabła, jakieś priorytety w tym cholernym życiu. Wygrałaś tę wojnę, siostrzyczko.

Miriam wreszcie na nią spojrzała.

– Która jest teraz godzina? Nie dam rady wyciągnąć swojej ręki z zegarkiem spod tego śpiocha, więc czy mogłabyś...? – poprosiła.

– Pewnie jest już koło północy.

– Tak późno? – Na twarzy Miriam pojawił się niepokój. – Sprawdź, która jest dokładnie. Chcę wiedzieć, czy wciąż mamy niedzielę.

Adela odsunęła mankiet płaszcza, by spojrzeć na zegarek.

– To takie ważne, czy niedzielę, czy poniedziałek? Dobrze, już patrzę... Dwadzieścia po dwunastej. Może być? – Zaśmiała się przy tym już o wiele swobodniej. – Nie sądziłam, że to wszystko zajęło nam aż tyle czasu.

– Dwadzieścia po dwunastej... – powtórzyła jak echo Miriam. – Jak długo jedziemy?

– Nie wiem, może siedem minut.

– A dzwonek? Kiedy usłyszeliście?

Konrad spojrział w lusterko, regulując je przy okazji tak, by lepiej widzieć twarz żony.

– O co chodzi, Miriam? – zapytał.

– Muszę wiedzieć, jak długo dzwoniłam.

– Kilka minut. Cztery, pięć. Bardzo krótko, na szczęście.

– Jeszcze właz... Długo go odsuwaliście? Byłam w takiej panice, że sama nie potrafię tego określić.

Adela zmarszczyła brwi.

– Masz zamiar opisać to, co się wydarzyło, w jakimś swoim pamiętniku? Nawet o tym nie myśl.

– Sprawdzalam ciąg powietrza... to najwyżej minuta. Co z tą klapą? Ile czasu ją odsuwaliście?

– Zaczynasz mnie przerażać. Nie wiem... Ze trzy minuty. Konrad podważył ją łomem. Była potwornie ciężka, ale w końcu ruszyła. Powiesz mi wreszcie, po co ci to wszystko?

Miriam zaczęła w skupieniu pocierać palcami czoło. Ze schyloną głową mamrotała coś niezrozumiałego pod nosem.

– Siedem... pięć i jeden... i trzy... Wygląda na to, że zdążyłam – wyszeptała w końcu. – Udało się.

– Oczywiście, że się udało. Jesteś i żyjesz. Tylko na nią popatrz. – Adela pokręciła z tkliwością głową nad otuloną płaszczem Gają. – Jest bezpieczna i w jednym kawałku.

– Zdążyłam przed północą...

Odwróciła twarz do okna, żeby nie oglądali tego, jak wilgotnieją jej oczy. Adela wzruszyła ramionami, po czym zwróciła się do Konrada:

– Dużo przeszła. Jak się wyśpi, zacznie mówić do rzeczy.

Mężczyzna ponownie spojrzął badawczo w lusterko wsteczne, ale postanowił milczeć do momentu, gdy wysadził Adelę przy jej aucie.

– Wracaj do siebie i zachowuj się jak gdyby nigdy nic. Nie widziałas Miriam i nadal nie wiesz, co się z nią dzieje. Mnie też nie spotkałaś. Nie było cię z nami, rozumiesz?

– Czego miałabym nie rozumieć. – Wsiadła do swojego fiata i włączyła silnik. – Co z nią będzie? – Wskazała głową na siostrę. – Po tym, jak spędzicie noc w motelu, co się z nią stanie?

– Wynajmę coś wygodnego dla niej i Gai. Obie powinny odpocząć, najlepiej w jakimś zacisznym pensjonacie za miastem.

– Pomieszkają tam tydzień albo dwa i co dalej? Nie mogą się przecież tułać po obcych kątach w nieskończoność. Powinny wrócić do domu. Miriam wciąż jest w połogu, a dziecko potrzebuje normalnych warunków do życia.

– Chyba wiesz, że to nie jest normalna sytuacja. Przez to, że Stan nie żyje, wszystko się skomplikowało. Nie narażę Miriam na to, by wpadła w ręce policji. Bóg wie, co by im powiedziała. Ja sam nie wiem o niej zbyt wielu rzeczy. Chociażby skąd wzięła tamto spalone ciało.

Miriam, ściskając zawiniątko z dzieckiem, wysiadła z auta i oparła się o maskę.

– Był wypadek – powiedziała cicho. – Na ostrym zakręcie, zaraz przed tym, jak się wjeżdża w las. Kiedy uciekłam od Stana, biegłam najpierw między drzewami. Ciężko mi było z brzuchem, do tego nogi wciąż grzęzły w mchu. Bałam się, że wpadnę na jakiś wystający konar, że się potknę i coś złego stanie się z dzieckiem. Zdecydowałam, że wyjdę na szosę. Było tak cicho, żadnego samochodu. Szłam poboczem, byłam wycieńczona. Nie wiem, jak to się stało, że znalazłam się na środku jezdni. Usłyszałam pisk opon i huk. Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam auto wbite w drzewo.

– Jezu... – jęknęła Adela. – To był wypadek, słyszysz? Nie możesz się za to winić.

– Zginęła przeze mnie. Musiała zauważyć mnie w ostatniej chwili i nagle skręciła. Zniosło ją na pobocze i uderzyła prosto w pień. To wyglądało jak najgorszy koszmar. Patrzyłam na to zgniecione auto i czułam tylko, jak dziecko napina mi się w brzuchu. Miałam wrażenie, że zaraz pęknie mi

ciało. Musiałam usiąść i się uspokoić. Kiedy ból minął, podniosłam się i podeszłam bliżej, żeby zobaczyć, co się z nią stało, z tą kobietą, która siedziała za kierownicą. Drzwi były wygięte, ale jakimś cudem je otworzyłam. Wsunęłam się do środka na tyle, by wyjąć ją z pasów. Potem wyciągnęłam ją za ręce na zewnątrz. Była nieprzytomna, ale miałam nadzieję, że wciąż żyje. – Miriam zacięła usta i pokręciła głową. – Nie wyczułam bicia serca, pulsu nie było, a źrenice też nie reagowały. Wciągnęłam ją w zarośla i powlokłam jakieś pięćdziesiąt metrów w głąb lasu. Dalej nie miałam już siły. Wrzuciłam ją do płytkiego rowu i przysypałam liśćmi.

– Jesteś pewna, że przysypałaś trupa? – zapytała Adela.

– Nawet jeżeli nadal żyła, nie dałoby się jej uratować.

– Co było dalej? – odezwał się Konrad. – Uciekłaś?

Miriam kiwnęła głową.

– Chciałam jak najszybciej stamtąd zniknąć. Kiedy wyobraziłam sobie, że za spowodowanie śmiertelnego wypadku trafiam za kraty, a moje dziecko traci matkę, wpadłam w panikę. Musiałam uciec, rozpląnąć się w powietrzu, i to najlepiej na zawsze. Ona... ta kobieta, też musiała zniknąć. Kiedy więc ukryłam ją tak, by nikt nie mógł jej znaleźć, zaczęłam się zastanawiać, co dalej. To było oczywiste, że w końcu ktoś natrafi na rozbite auto i zgłosi wypadek, postanowiłam więc uprzedzić fakty. Do głowy przychodził mi tylko jeden pomysł: sfingowana kradzież i stłuczka. Szanse na to, że drogówka potraktuje to zdarzenie jako zwykłą kraksę i ucieczkę z miejsca zdarzenia jakiegoś złodzieja samochodów, były marne, jednak postanowiłam spróbować. Posłużyłam się dokumentami i telefonem tej kobiety, zadzwoniłam na policję i podając się za nią, zgłosiłam kradzież auta. Na kilka minut stałam się Anną Podbielską.

– Szanse na materializację twoich planów radykalnie wzrosły – zauważył Konrad. – Gliny szukały już nie właścicielki auta, a kogoś, kto je doprowadził.

– Kiedy samochód odjechał na lawecie, dostałam na jej telefon powiadomienie o całym zdarzeniu i że złodziej uciekł. Wszystko szło jak po maśle. Ale to wciąż nie kończyło sprawy. Miałam się stawić w komisariacie jako...

– Anna Podbielska – dokończyła Adela.

– Zapewniłam, że się zgłoszę i wypiszę stosowne dokumenty, jak tylko wrócę z delegacji. Potem zniszczyłam telefon i po kilku dniach wróciłam po ciało. Potrzebowałam go.

- By upozorować własną śmierć?
- Wtedy myślałam, że to jedyne rozsądne wyjście. Jak się domyślacie, potrzebowałam też transportu.
- Wiedziałem, że to byłaś ty. – Konrad zmarszczył czoło na wspomnienie o tajemniczym zniknięciu Morrisa z ich garażu. – Jak mogłaś pojawić się przed domem i nie wejść do środka?
- Ależ weszłam. Musiałam zabrać nie tylko samochód, ale i jeden z twoich pagerów. Pomyślałam, że może mi się przydać, zwłaszcza że nie miałam swojego telefonu. Nie zauważyłeś, że zniknął?
- Dopiero wtedy, gdy przyszła na niego wiadomość od ciebie. Wygląda na to, że za rzadko zaglądam do swoich starych rupieci. Jak się tam dostałaś?
- Przecież wciąż miałam klucze. Nie zrobiłam tego za dnia, żeby nie natknąć się na żadnego z sąsiadów. Nie mogłam też podejść od frontu, bo to byłoby zbyt ryzykowne. Zaszłam od tyłu.
- Przez ten dziki teren pod budowę bliźniaków?
- Po zmroku nie widać, czy ktoś się po nim kręci. Zresztą podobnie jest z naszym ogrodem, jeśli światła są pogaszone. Otworzyłam drzwi od strony tarasu. Wybacz, że wybrałam moment, kiedy dom stał pusty, ale nie chciałam na ciebie wpaść. Nie mogłeś się dowiedzieć, że nadal żyję.
- Chyba nie przypuszczasz, że pozwoliłbym na to, by Stan skrzywdził cię ponownie.
- Nie chodziło już tylko o Stana. Zginęła przeze mnie kobieta. Musiałabym opowiedzieć policji o wypadku, ucieczce i o tym, że nie udzieliłam pomocy człowiekowi.
- Byłaś w szoku i w zaawansowanej ciąży.
- Co nie przeszkadza zadzwonić na sto dwanaście.
- Czy poza nami jest ktoś, kto wie, co wydarzyło się na drodze? Ta kwiaciarka...
- Gina? Wie dużo, ale nie o wszystkim. Nie bój się, nic nikomu nie powie.
- Nie byłbym taki pewien.
- Gina ma u mnie dług do spłacenia. Pamiętasz, Adelo, wyprawę do Powsina? Tę sprzed lat. Ognisko, skręty i Wielkie Usta.
- Adela poruszyła się na siedzeniu swojego fiata.
- Bomba i jej podłe zagrywki... Omal przez nią nie zginęłam. Mam nadzieję, że sumienie do tej pory nie daje jej spokoju.

– O tym właśnie mówię. Gina nie zrobi nic przeciwko mnie.
– To ona zabrała cię spod starej fabryki w Ursusie? – zapytał Konrad.
– Tak. Tamtego dnia bardzo mi pomogła. Bez Giny i jej samochodu nie dałabym rady tego wszystkiego zorganizować.
– Samochód o szerokich oponach...
Miriam spojrzała na męża pytająco.
– Ktoś widział auto, które odjechało po tym, jak Morris zaczął płonąć – wyjaśnił. – Ale obrączki nie musiałaś tam zostawiać.
– Każdy, kto mnie zna, wie, że nigdy nie zdejmowałam jej z palca. Więc, owszem, musiałam. Masz ją?
Konrad uśmiechnął się łagodnie.
– Czeka na ciebie w domu.
– Wygląda na to, że szybko po nią nie wrócę.
– Wszystko w swoim czasie, Mi.
– Nie mam go za wiele – odparła. – Myślę, że powinniście o czymś wiedzieć.
– O co chodzi, kochanie?
– Postanowiłam przyznać się do wszystkiego. Nie mogę dłużej się ukrywać, nie dam rady. Takie życie jest nie dla mnie.
– Jeszcze chwilę temu mówiłaś...
– Że nie chcę, by moja córka spędziła dzieciństwo w więzieniu. Albo żeby wychowywała się całkiem bez matki i widywała ją tylko podczas odwiedzin. Oczywiście, że tego nie chcę. Ale jakie mam wyjście? Wcześniej czy później ktoś dowie się, że żyję, a ktoś inny doniesie o wszystkim policji. Przed prawdą nie ma ucieczki.
– Chyba nie mówisz tego poważnie. – Adela poderwała się z siedzenia i podeszła do siostry. – Kto niby miałby cię sprzedać? Może to dobry moment, by wreszcie powiedzieć sobie wprost, że nie tylko Gina ma u ciebie dług, ale my również, i to o wiele większy. Myślę, że wiesz, o czym mówię.
– Policja nigdy się nie dowie, że kiedykolwiek byłeś w domu Stana ani że cokolwiek łączy cię z jego śmiercią – zapewnił Konrad. – Żadne z nas nie złoży zeznań, które mogłyby cię obciążyć, masz na to moje słowo. Zresztą kiedy znajdą ciało Stana i zorientują się, co pozostawił po sobie w stodole, będzie dla nich jasne, że to była śmierć z wyboru. Ilość wymiocin i moczu ze środkiem na odwodnienie potwierdzi, że to było planowane

samobójstwo. Ty pozostaniesz czysta od wszelkich podejrzeń, Mi – potwierdził natychmiast.

Chciał jeszcze coś dodać, ale w tej samej chwili zauważył światła nadjeżdżającego auta. Sądząc po jego kształcie, wydawało się niewielkim dostawczakiem, typowym dla handlarzy towarami o niedużych gabarytach. Nic nie wskazywało na to, by kierowca miał zainteresować się tym, co się dzieje na poboczu drogi, jednak nagle zaczął zwalniać.

Miriam wsunęła się na tylną kanapę samochodu męża i tuląc do brzucha Gaję, schyliła głowę. W prześwicie między przednimi fotelami widziała, jak światła zbliżają się coraz bardziej. W końcu dostawczak stanął. Auto było białe, a na drzwiach miało namalowane dwa pstrągi. Nie widziała pełnego napisu zaraz pod nimi, ale z łatwością domyśliła się, że samochód należy do pobliskiej wędzarni ryb. Identyczny motyw pstrągów mignął jej przed oczami, gdy feralnej marcowej nocy jechała tą samą drogą ze Stanem. Z tym że wówczas widziała rysunek na stojącym przy poboczu banerze reklamowym.

– Macie jakiś problem? – zapytał kierowca, wystawiając łokieć za opuszczoną szybę. – Pewnie z akumulatorem? Jeśli potrzebujecie kabli, mam przy sobie.

Konrad podszedł do szoferki.

– Dziękuję, ale nie trzeba. To tylko krótki postój, zaraz stąd odjeżdżamy.

– Skoro tak, to nie przeszkadzam. – Kierowca przyjrzał się z zainteresowaniem Konradowi i Adeli, po czym przeniósł wzrok na otwarte tylne drzwi lexusa. – Jeśli chcecie mojej rady, to kilka kilometrów dalej jest wygodniejsze miejsce na takie sprawy – dodał z aluzją w głosie.

Konrad poklepał dłonią dach jego auta.

– Jedź pan stąd. No już, zjeżdżaj pan.

Mężczyzna podciągnął szybę, wcisnął gaz i odjechał z zatoczki.

Kiedy ulica opustoszała, Miriam ponownie wygramoliła się z samochodu męża.

– Mam nadzieję, że nie będzie z tego kłopotu.

– Żadnego – zapewnił ją Konrad. – A teraz zbierajmy się z tego lasu. Im szybciej stąd znikniemy, tym lepiej.

– Zaczekaj – zatrzymała go Miriam. – Strzykawka. Została w grobowcu. Albo w trawie. Tak, chyba rzuciłam ją w trawę. Są na niej moje odciski palców.

– Wrócę i poszukam. – Konrad podrzucił w dłoni klucze do auta.

– Nie znajdziesz. Tylko ja wiem, gdzie ją upuściłam. Załatwię to i wrócę.

– Głupi pomysł. Nie pojedziesz tam sama.

Wruszyła ramionami.

– Przecież już nic mi nie grozi.

Odebrała kluczyki od męża i wsiadła za kierownicę. Gaja wciąż spała, wtulona w jej płaszcz. Adela wyciągnęła ręce po dziecko, ale Miriam szybko ją powstrzymała.

– Lepiej jej nie ruszać, dużo dziś przeszła. Moja małeńka. Niech odpoczywa. To niedaleko. Za pół godziny będę z powrotem.

Czwartek, 17 września

— Srebrny lexus NX rocznik dwa tysiące osiemnaście o numerach rejestracyjnych WDE siedem, siedem, jeden, jeden należy do pana. – Shi Lu nie zapytała, a po prostu stwierdziła. – Co robił pan w noc śmierci Stanisława Kocha w tamtej okolicy?

Położyła na biurku zdjęcie zrobione z drona. Obejmowało teren, na którym stała samotnia Stana i oddalony o kilkaset metrów punkt z wędzarnią.

– Ryby? – Konrad Macharow pochylił się nad wydrukiem. – Nie przepadam. Prawdę mówiąc, wolę steki.

– Żartowniś z pana. A my ze śledczym Naumanem lubimy sobie pożartować.

– Lubimy, dziecinko – przyznał Nauman.

– Szkoda tylko, że pana przyjacielowi nie jest do śmiechu. Zimny trup, jak to mówią.

Przyszpiliła go wzrokiem. Zamierzała wymusić na Konradzie kolejną reakcję i tak się właśnie stało. Oparł łokieć na blacie, a potem w zamyśleniu potarł dłonią czoło.

– Mówiłem mu, że przez to mieszkanie w dziczy kiedyś padnie z nudów, ale nie słuchał.

– Z nudów, mówi pan...

– Można też umrzeć z głodu. Widzieliście, jak wyglądał? Niejadek był z niego.

– Wie pan, od czego jeszcze można umrzeć? – zapytała Shi Lu. – Na przykład ze śmiechu. To bardzo zabawne, co pan opowiada. Rozumiem, że nie przyznaje się pan do tego, że był w dniu śmierci Stanisława Kocha w okolicy jego domu?

– Nie przypominam sobie.

– Więc sprzedawca ryb kłamał.

– Nie widzę innego wytłumaczenia.

– Pani, Adelo, też tego nie pamięta?

– Nie korzystam z auta Konrada. Mam swoje.

– Oczywiście. W okolicy domu pana Kocha znaleźliśmy sporo odcisków opon. Coś mi mówi, że którąś z nich dopasujemy do pani fiata. Poza tym na terenie posesji natrafiliśmy na pewne dowody rzeczowe: rachunek, który doprowadzi nas do właściciela karty kredytowej, i tabletkę imigranu.

Adela otarła spocone czoło. Nie miała pojęcia, kiedy ani w jaki sposób lek wypadł z kieszeni jej płaszcza, ale owszem, w pośpiechu mogło się to zdarzyć. Bo przecież wrócili w tamto miejsce. Nie zamierzali czekać pół godziny, tylko już po kwadransie pojechali jej autem do Aranyi. Zobaczyli, że ze stodoły wzbija się w niebo cienka smuga dymu, i rzucili się w jej kierunku. Kiedy wpadli do środka, ujrzeni płonące ubranie, w którym widzieli ostatnio Stana. W jednej z lamp musiało dojść do zwarcia. Stała na podłodze, tuż przy jego spodniach i kraciastej koszuli. Ogień, jaki wywołało spięcie, nie był duży, ale dym zdążył wydostać się przez nieszczelny dach i rozejść po najbliższej okolicy. Zdusili płomienie i zaczęli szukać Miriam, porzuconego w okolicy stodoły telefonu Konrada i strzykawki. Telefon znaleźli, ale po Miriam i strzykawce nie było śladu. Pożar musiał ją spłoszyć. Kwestią czasu było pojawienie się na miejscu służb sprowadzonych przez czujnego sprzedawcę ryb.

– Panie Macharow – odezwał się Nauman – proszę zrozumieć, że w jakikolwiek sposób będzie się pan starał zaprzeczać faktom, nauka i tak pozostanie bezlitosna. Zapewne zainteresuje pana, że przy ciele Stanisława Kocha znaleziono strzykawkę. Była ukryta głęboko pod ubraniem, wsunięta pod opaskę znajdującą się na jego biodrach. O ile odciski palców zostały na niej dokładnie wytarte, o tyle technicy z pewnością znajdą coś ciekawego na wewnętrznej stronie tłoka. Przy jego odciąganiu zwykle zostają tam drobiny naskórka lub ślady potu. Także przy nasadce igły. Oczywiście, jeśli zabójca pana Kocha nie działał w rękawiczkach. Wtedy możemy mieć pecha, prawda, Shi?

– Z natury jestem optymistką.

– I słusznie, dziecinko. Tak więc, panie Macharow, zawartość strzykawki zostanie przebadana co do milimetra. Podobnie jak ciało pańskiego przyjaciela. Żałuję, że nie widział pan miny patologa, kiedy zobaczył zwłoki. To bardzo ciekawy przypadek dla nauki. Z tego też powodu pobrano do badań jego płyny ustrojowe. Patolog sugeruje, że był podtruwany. Jak się domyślam, nie miał pan o tym pojęcia?

– Nie przyłożyłem do tego ręki. Jeżeli maltretował swoje ciało, robił to na własne życzenie. Fanatycznie poddawał się jakimś dogmatycznym

obrządkom. Nie wiem, co brał. Wiem natomiast, że się notorycznie głodził.

– Przyznam, że mnie również zdziwiła kondycja doktora Kocha, gdy jakiś czas temu pojawił się u nas na przesłuchaniu, ale to, co się stało z nim w ciągu kolejnych dni... bardzo przykry widok.

– Stan tu był?

– A owszem, był. Jak pan wie, zamierzaliśmy ponownie przesłuchać każdego z bliskich pańskiej żony, więc jego również zaprosiliśmy. Szczęśliwie zdążyliśmy się z nim rozmówić, zanim został zamordowany. Ale nie odbiegajmy zanadto od sedna. Wspomniałem o strzykawce, ale na tym przecież nie poprzestaniemy. Postanowiliśmy skontrolować rejestr leków w pańskiej klinice.

– Nie mam nic do ukrycia.

– Ja jednak sugerowałbym, żeby zaczął pan zaklinać rzeczywistość, na wypadek gdyby faktyczny stan magazynu nie zgadzał się z nim co do fiołki.

– Zbędna troska. Poza tym nie wierzę w modły.

– Mogą też być czary. Shi, znasz jakieś cudowne chińskie zaklęcia, żeby podsunąć panu doktorowi?

– Wietnamskie, jeżeli już – odezwała się Shi Lu.

– Przypomnij sobie cokolwiek, dziecinko. Pamięć to przydatna rzecz. Szkoda, że naszych miłych gości tak zawodzi. Niczego nie pamiętają. Może chociaż to kojarzycie?

Nauman zaczął uderzać palcami w klawiaturę swojego komputera.

– To wasza ostatnia szansa – zaznaczył. – Tę wiadomość odebraliśmy dzisiaj. Posłuchacie i powiecie, czy coś wiecie na ten temat. Wysłicie mózgi, to może choć trochę was polubię.

Włączył zapis. Przez kilka pierwszych sekund w odtwarzanym materiale panowała cisza, przerywana jedynie dochodzącymi gdzieś z oddali stłumionymi głosami samochodowych klaksonów. Po chwili dołączył do nich dużo bardziej wyraźny dźwięk. Krótki, ale wystarczyło, by bez problemu rozpoznali w nim wyjąca syrenę statku albo promu.

Wiadomość pozostawiona przez nadawcę trwała zaledwie sześć sekund: „Zwłoki porzucone na terenie fabryki w Ursusie należą do Anny Podbielskiej”.

Głos brzmiał nienaturalnie. Ten ktoś mówił spokojnie, ale zdecydowanie. Po chwili znów dał się słyszeć dźwięk syreny. Nagranie kończył trzask odkładanej słuchawki.

Adela i Konrad spojrzeli po sobie.

- Nie znam gościa. – Konrad wyrwał się pierwszy.
- Ani ja.
- Głos mógł zostać zmodyfikowany – przyznał Nauman. – Może należeć zarówno do mężczyzny, jak i do kobiety. Są programy, które potrafią go zniekształcić, i tego się wkrótce dowiemy.
- No nie wiem... – jęknęła Adela.
- My natomiast wiemy, że jedno z was bardzo interesowało się miejscem, w którym spłonęło auto Miriam. Do tego stopnia, że odwiedziło to miejsce nocą. Czego pan tam szukał, doktorze Macharow, i za co zapłacił pan temu młodemu człowiekowi? Za milczenie?
- Co za bzdury... Zadałem mu tylko kilka prostych pytań.
- Tak, na temat tego, ile wtedy widział. Jeśli prawdą jest, że ciało, które znaleźliśmy w Ursusie, należy do Podbielskiej, to kto je tam podrzucił i dlaczego zmarła miała na sobie ubranie pańskiej żony? Może nam pan wyjaśnić, dlaczego tak bardzo zależało panu na tym, by te zdeformowane zwłoki uznać za poszukiwaną od miesięcy Miriam?

MIRIAM

Chciałam mieć czyste sumienie, więc powiedziałam Adeli i Konradowi dużo, choć nie wszystko. Niektóre szczegóły wolałam pominąć. Pięć dni po zdarzeniu na drodze wyciągnęłam Podbielską z lasu i zawlokłam do mojego mini. Rwało mnie piekielnie w dole brzucha, ale wiedziałam, że muszę jeszcze ten ostatni raz się wysilić. Oparłam ją plecami o zderzak, a potem centymetr po centymetrze zaczęłam wciągać na tylne siedzenie. Ktoś, kto próbował wrzucić choćby dywan do dwudrzwiowego auta, będzie wiedział, jak bardzo musiałam się z tym naszamotać.

Dwukrotnie wysuwała mi się z rąk i trzeba było zaczynać wszystko od nowa, ale w końcu się udało. Gdy zapakowałam tułów, reszta poszła już gładko. Podciągnęłam jej kolana pod brodę, rozciętą głowę obwiązałam szmatą do wycierania bagnetu – chyba tak się nazywa ten drut, którym sprawdza się poziom oleju w silniku. Krew na jej czole już dawno zastygła, ale nie chciałam, by pozostał jakiś ślad na fotelu.

Sama usiadłam za kierownicą. Jechałam przed siebie, byle dalej od tamtego miejsca. Musiałam się pozbyć ciała, ale zamierzałam to zrobić w przemyślany sposób. Dzięki niemu miałam stać się Miriam, ofiarą nieszczęśliwego wypadku.

Przypomniałam sobie o starej fabryce ciągników w Ursusie. To odpychające miejsce, zawłaszczone przez młodzież z marginesu squattersów, do którego żaden szanujący swoje życie człowiek nie zagląda. Jednym słowem, idealne dla mojego planu.

Zanim przekroczyłam boczną bramę, zatrzymałam auto sto metrów od głównych hal, zaraz za składowiskiem odpadów chemicznych. Wyciągnęłam Podbielską z samochodu i położyłam na ziemi. Musiałam ją rozebrać i potem ponownie ubrać, ale tym razem w moje rzeczy. Gina była tak dobra, że kupiła mi komplet nowych ciuchów, więc tych starych, w których wyszłam z domu w marcową noc, nie żałowałam. Poza tym one też miały odegrać w tym przedstawieniu swoją rolę.

Wciąż się wahałam, w jaki sposób mam „umrzeć”. Tylko jeden wydawał mi się racjonalny: podpalenie. Po tym, jak przebrałam ciało, zawiozłam je na główny teren fabryki, pod jedną z hal. Nie dlatego, żeby tam było przyjemniej. Musiałam trzymać się z dala od chemicznych odpadów, żeby pożar nie spowodował wielkiego wybuchu. Potem przesunęłam zwłoki na fotel kierowcy.

Podpaliłam ją. Jej twarz, włosy, następnie dłonie z moją ślubną obrączką. To wszystko było niczym koszmar. Nawet nie wiem, jak miałabym opowiedzieć, co czułam, ani do czego to porównać. Do dziś widzę tę kobietę. Wciąż mam przed oczyma zastygły grymas na jej twarzy, posiniałą skórę i mętne oczy.

Głowa zajęła się najszybciej. Kawalek materiału nasączony olejem zapalił się błyskawicznie i w pierwszym rzędzie strawił włosy. Uświadomiłam sobie, że jeżeli ciało wraz z ubraniem spłonie doszczętnie, czego za wszelką cenę chciałam przecież uniknąć, nie pozostanie żaden ślad łączący ją ze mną. Upewniłam się, że twarz Podbielskiej jest już nie do rozpoznania, i zaczęłam dusić ogień kocem. Ocaliłam część bluzki i to, co miała na nogach – dżinsy, buty i skarpetki. Na nich zależało mi najbardziej. Były charakterystyczne, z nadrukiem Mona Lisy. Jeśli było coś, po czym została-bym rozpoznana przez Konrada, to właśnie po nich. No i po tej nieszczęsnej obrączce.

Pamiętam, że potem szybko biegłam. Gina czekała kilkadziesiąt metrów dalej. Kiedy odjeżdżałyśmy, zobaczyłam w lusterku, że jednak ogień nie zgasł na dobre i że auto wewnątrz wciąż płonie. Usłyszałam czyjeś głosy. Dzicy lokatorzy fabryki zdążyli już zauważyć, że coś się dzieje. I nic dziwnego, bo smrodu spalenizny trudno nie wyczuć. Odjechałam stamtąd obojętnie, z napiętym dołem brzucha, który zrobił się twardy jak kamień. Pojechaliśmy prosto do Giny. Tej koszmarnej nocy w jej mieszkaniu na Młocinach urodziłam Gaję. „Popatrz, jaka jest piękna”, powiedziała Gina i położyła mi ją na piersiach. „Jesteś dla niej całym światem. A ona twoim, zanuć jej kołysankę, niech się przyzwyczaja do twojego głosu”. Próbowałam. Ale zamiast śpiewu dusiłam się od płaczu.

Czwartek, 17 września

— **K**radzież. – Adela rozłożyła ręce. – W końcu morris mini to całkiem niezłe auto.

Shi Lu zmarszczyła brwi.

– Sugeruje pani, że ktoś ukradł samochód i ubranie pani siostry, a potem to wszystko podpalił, łącznie z ciałem niejakiej Podbielskiej. Ciekawe. Co pan o tym myśli? – zwróciła się do Naumana.

– Słabizna. Lipa. Może niech pan Macharow wymyśli coś bardziej oryginalnego, bo potwornie wieje nudą. Jeszcze chwila, a tu pośniemy. Więc jak, powie nam pan coś ciekawego?

– Idźcie do diabła.

– Chyba pan doktor całkiem stracił poczucie humoru. Jak myślisz, Shi, dlaczego? Może powinienem go poratować jakimś dowcipem? Niech no pomyślę, może takim z jego podwórka. Znasz ten o blondynce na stole operacyjnym?

Shi pokręciła głową.

– Chirurg otwiera czaszkę blondynce i widzi, że nie ma tam nic poza naciągniętą nitką. Zastanawia się, co się stanie, kiedy ją przetnie.

– I przecina?

– A przecina, dziecinko, przecina. Pan, doktorze, na pewno się już domyśla, jaki koniec czeka blondynkę?

Konrad poprawił się na krześle. Tkwił na twardym siedzeniu od dobrych kilku godzin i pośladki zaczęły mu cierpnąć.

– Zdziwię pana, ale nie mam pojęcia. Znam za to kilka dobrych dowcipów o glinach. Chce pan posłuchać?

– Słyszeliśmy wszystkie. To co z tą nitką? – Shi nie odpuszczała. – Zaraz, niech zgadnę. Odpadły jej uszy?

– Żenujące... Co to, do diabła, jest? Przesłuchanie czy cyrk? – Konrad szarpnął biurkiem.

Nauman ze spokojem poprawił jego ustawienie. Splótł dłonie na brzuchu i zakręcił młynka palcami.

– Mój cyrk i moje metody przesłuchiwania. Radzę się uspokoić. Może powinien pan wstrzyknąć sobie to, co podał pan Kochowi? Kilka kropel na całkowite rozluźnienie, bo wydaje się pan wyjątkowo spięty.

– Chcę się skontaktować...

– Z adwokatem. Bardzo słusznie. Niech się bierze chłop do roboty i szuka dla was porządnego alibi na czas zabójstwa Stanisława Kocha. Co mu podsuniecie? Wspólne oglądanie filmów, układanie znaczków? I to wszystko podczas jazdy na miejsce zbrodni. Że takie śmieszne? Niech się pan śmieje, doktorze. Kiedy, jak nie teraz. Powiem panu jedno: nie mogę się doczekać waszej radości, kiedy prokurator zacznie dobierać się wam do tyłków.

– To wszystko?

– Prawie. Została jeszcze jedna kwestia. Jutro zostaną od was pobrane odciski zębów.

– Potrzebujemy protez, Adelo?

– A jednak żartowniś. Nie odpuszcza pan. To dobrze, bardzo dobrze... Mam jednak złą wiadomość, która raczej was nie ucieszy. Otóż na ciele Stanisława Kocha odnaleziono świeży ślad po ugryzieniu. Nie muszę chyba tłumaczyć, co to dla was oznacza, jeśli nie dopasujemy waszych szczęk do tego śladu.

– Za ukrywanie trzeciego zabójcy każde z was dostanie dodatkowe pięć lat – wyjaśniła Shi Lu.

– Ile to razem będzie, dziecinko?

– Najmniej trzy dychy na głowę.

Nauman dał znać Shi, żeby wyłączyła nagrywanie.

– Zapomnijcie o trzech dychach. Nie wyjdziecie z pudła do końca życia – powiedział, gdy zgasła kamera. – Szansa, którą wam dałem na początku tego miłego spotkania, właśnie przepadła. Nasza umowa przestała obowiązywać, a to znaczy, że teczka z wszystkimi waszymi wyskokami jutro wyląduje na biurku prokuratora. Ucieszy się, zwłaszcza gdy przeanalizuje przypadek śmierci pana ojca i kilku innych osób, które w przedziwny sposób pożegnały się z tym światem, w tym przedwczesny zgon starszej pani Bierneckiej. Mowa o pani matce, Adelo. Radzę mieć pod ręką coś na ból głowy, kiedy usłyszysz pani zarzuty. Biorąc pod uwagę to, co łączyło was oboje, nie trudno będzie udowodnić pani współudział w tym zabójstwie.

– Dlaczego mielibyśmy to zrobić? – odezwała się milcząca od dłuższego czasu Adela. – Po co mielibyśmy pozbywać się Stana Kocha?

– Może z tego samego powodu, dla którego zniknęła pani siostra. Na tym etapie dochodzenia mogę snuć jedynie przypuszczenia, ale doktor Koch zostawił nam kilka cennych wskazówek.

– Jakich, mianowicie?

– Zeznał, że dużo i szczerze rozmawiał z Miriam. Nie wykluczam, że podczas tych rozmów wypłynęło coś, co nie powinno ujrzeć światła dziennego. Być może miało to związek z faktem, że pani siostra obawiała się czegoś ze strony swojego męża. Okazuje się, że wielokrotnie prosiła pana Kocha o pomoc. Zdziwiło nas, że wołała zwierzać się ze swoich problemów jemu, człowiekowi spoza rodziny, ale wygląda na to, że tylko przy nim czuła się bezpiecznie.

– Nie byli sobie aż tacy bliscy – wypalił Konrad. – Poza tym Stan był zdrowo szurnięty, a przez to niebezpieczny.

– Pan nie mówi tego poważnie.

– A jednak.

– Hm... W takim razie musiało panu zupełnie nie zależeć na bezpieczeństwie żony, skoro wielokrotnie prosił pan swojego szurniętego przyjaciela o towarzyszenie jej podczas wieczornych wyjść do klubów. Pan Koch wspomniał, że niejednokrotnie asystował Miriam, nawet wtedy, gdy po odstawieniu leków nie była jeszcze w pełni stabilna emocjonalnie. Przypomnę: robił to na pana prośbę. Jak pan to wytłumaczy? Nie słyszę. Może chce pan coś dodać?

Konrad pokręcił głową.

– Dalsze szczegóły wypłyną w trakcie śledztwa. – Nauman otworzył szufladę i wrzucił do niej aktówkę przeznaczoną dla prokuratury. – A teraz zapraszam na zasłużony odpoczynek. – Wskazał ręką drzwi, przy których czekała już dwójka funkcjonariuszy. – Dwie doby w zacisznych pokojach bez klimatyzacji. Pełny komfort, łóżka zdrowe na kręgosłup. Do tego całkowity spokój, całkowite odcięcie od świata. Mam nadzieję, że nie zatęsknicie za tymi zabawkami.

Cała trójka patrzyła, jak z szuflady, w której zniknęła teczka, Nauman wyjmuje torebkę strunową skrywającą dwa pagery.

– Stary dobry sprzęt – powiedział. – Idealny do krótkiej komunikacji. Szkoda, że trzyma tylko ostatnie wiadomości. „Spotkajmy się na lotnisku”. Tak brzmiała ta ostatnia? Czyżby ten trzeci was wystawił? Nieważne. Wyprowadzić.

Gdy za Adelą i Konradem zamknęły się drzwi, Shi Lu wróciła do przerwanego wątku zwłok znalezionych w Wildze.

– Kim jest H? – zapytała wprost.

Nauman opadł na oparcie fotela i głęboko odetchnął.

– Nie ruszymy tego, Shi. Facet jest nieuchwytny i dokładnie zaciera za sobą ślady. Mówią na niego Hetman. Od dekady kosi ludzi na tak zwaną Grę. Ten zmasakrowany spod sklepu nie jest jego pierwszą ofiarą. Znaleziono już kilka trupów z tym znakiem.

Shi Lu włączyła laptopa i zaczęła stukać w klawiaturę.

– Na zestawieniu od operatora sieci komórkowej, w której Miriam miała abonament, jest powtarzający się numer telefonu. Ta sąsiadka Miriam, pani Kunik, wspominała, że co poniedziałek Miriam odbywała w ogrodzie rozmowy z kimś... zaraz... ten mężczyzna...

– Nazywa się Florian Radoń.

– Tak, Radoń. Chwileczkę. – Podniosła słuchawkę i połączyła się z działem technicznym. Zadała tylko jedno pytanie, za to długo słuchała. – Robi się coraz ciekawiej. Okazuje się, że numer telefonu znalezionej przy ofierze z Wilgi należy właśnie do Radonia – powiedziała, odkładając słuchawkę. – To oczywiście jeszcze nic nie znaczy. Mężczyzna mógł go ukraść albo znaleźć. Natomiast ważny jest ten znak i to co poza tym jedy-
nym zdjęciem, na którym widać Miriam, znaleźli nasi chłopcy.

– Mów, dziecinko.

– Wciąż przeszukują pliki i korespondencję ze smartfona, ale chyba dokopali się do czegoś ciekawego. Wygląda to na jakiś regulamin. Pada słowo „Gra”.

Twarz Naumana zastygła.

– Jesteś pewna?

– Jest też podany kontaktowy adres mailowy. To co, może jednak tajemniczy Hetman jest do ruszenia?

Nauman rozciągnął usta w uśmiechu.

MIRIAM

Sto tysięcy złotych. Niecałe dwadzieścia cztery tysiące dolarów. To ani mało, ani dużo. Zależy. Jak na to, by zacząć od nowa – dość nędznie, ale na sam start musi wystarczyć. Potem wszystko się jakoś ułoży.

W plecaku mam dwa swetry, dwie pary spodni, kilka par skarpet i podkoszulków, bieliznę i kosmetyczkę z najbardziej chłonnymi podpaskami, jakie tylko były w drogerii. Mija piąty tydzień połogu, ale wciąż zdarza mi się krwawić. Na samym dnie leżą też cztery pękate strunowe torebki wypełnione banknotami. To cały mój bagaż. Dla siebie nie mam nic więcej, nawet butów na zmianę. Te, które noszę na nogach, są jedyne. Dodatkowe byłyby już zbyt dużym obciążeniem, zwłaszcza że mam do ciągnięcia jeszcze jeden kuferek. Różowy, w biedronki i na szczęście na kółkach. Do tego jest jeszcze poduszka, którą muszę trzymać cały czas w ręku. Gaja dużo drzemie. Lekko gorączkuje, a ponadto jest zmęczona podróżą. Staram się, by nie spała przewieszona przez moje ramię, więc gdy tylko mogę, przysiadam i układam ją na miękkim jaśku.

Obie jesteśmy wyczerpane, ale tylko ja wiem, jak bardzo ta ucieczka jest nam potrzebna. Ona prawdopodobnie nigdy się nie dowie, dlaczego postanowiłam wywieźć ją z kraju. Usłyszy ode mnie jakąś banalną historię o tym, że wybrałam dla nas wygodniejsze życie gdzieś tysiące kilometrów od Polski. Albo że wylosowałam bilet na dalekie wakacje i tak się zakochałam w nowym kraju, że postanowiłam w nim zostać. Jeszcze nie wiem, co wymyślę. Na szczęście zanim zacznę mówić i zadawać pytania, upłynie jeszcze dużo czasu.

Jest czwarta nad ranem. Siedzę w hali odlotów na lotnisku Sztokholm-Arlanda z parującym kubkiem kawy z automatu i zimną kanapką, też

z maszyny. Nad moją głową wisi setka małych okrągłych lampek przypominających bombki. Dla zabicia czasu patrzę to na nie, to na startujące w czarne niebo samoloty. Obok mnie przewijają się setki ludzi śpieszących do odpraw. Ci, co nie biegną, siedzą z nosami w smartfonach lub ze słuchawkami na uszach.

Popijam kawę i co chwila patrzę na ścienny zegar ze wskazówkami przypominającymi do złudzenia śmigła helikoptera. Do odlotu pozostaje coraz mniej czasu. Za kwadrans otworzą się bramki, obsługa zeskanuje nam bilety i będzie życzyć miłej podróży. Na widok małej Gai, do tego zaspanej, przepuszczą nas bez kolejki, w końcu Szwecja to cywilizowany kraj.

Jeszcze tylko trzynaście minut.

Zaczynam się denerwować. Rozglądam się po hali, wyciągając szyję jak pies wypatrujący właściciela. Nie mogę stracić czujności, nawet tu.

Odstawiam pusty kubek na siedzenie obok. Staram się przy tym nie poruszać zbyt gwałtownie, żeby nie przerywać Gai snu. Jest moim wszystkim. Sprawdzam dłonią jej czoło i policzki. Wciąż są ciepłe, na oko to jakieś trzydzieści siedem i pół stopnia. Podobno u dzieci częste gorączki nie są niczym nadzwyczajnym. Ale mało które leżało na betonowej podłodze w stodole zawinięte w byle kocyk. Od tego zaczęła się infekcja, która z krótkimi przerwami ciągnie się już trzeci tydzień. Mam nadzieję, że czopek, który zaaplikowałam jej w łazience z przewijakiem, zaraz zacznie działać.

Jedenaście minut.

Serce mi wali. To od kawy. Rozrzedzonej mlekiem, ale to chyba nie ma większego znaczenia. Ostatnio piję jej za dużo, zwłaszcza jak na karmiącą matkę. Kofeina krąży mi w żyłach i chlupocze jak Bałtyk podczas przeprawy promem.

Stena Line płynęła z Gdyni do Karlskrony dziesięć godzin. Mała płakała, a ja stałam na wietrze i patrzyłam w siną pianę pozostawianą przez turbiny. Każda sekunda oddalała mnie od zamętu, jaki zostawiłam za plecami. Każda nadchodząca zbliżała do upragnionego celu. Z ulgą zdjęłam z ręki smartwatcha, który dostałam, zanim przystąpiłam do Gry, i rzuciłam go w ciemną toń wody. To było moje ostateczne rozstanie z Hetmanem. Do dziś nie wiem, czy to małe urządzenie z zainstalowaną aplikacją było jedynym, co kontrolowało mnie i wykonywane przeze mnie zadania, czy za każdym razem miałam na karku kogoś, kto mnie śledził.

Wciąż trudno mi uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Może to dziwnie zabrzmieć, ale jestem z siebie cholernie dumna. Zrobiłam to, co należało. Przetrwałam i załatwiłam wszystkie swoje sprawy. To właśnie należy w życiu robić: kończyć, co się zaczęło.

Dziewięć minut.

Ludzie stoją już w kolejce do bramek, więc i ja zaraz muszę się podnieść. Sprawdzam w pamięci, czy mam pod ręką zapas pieluch, butelkę z odciągniętym mlekiem na wszelki wypadek, gdyby Gaja wysłała ze mnie wszystko co do kropli, zasypkę i krem na odparzenia. Ma tak delikatną skórę. Moja matka, kiedy jeszcze żyła, też miała taką aksamitną skórę na dłoniach. Pamiętam jej zapach, pachniała kremem różanym, bo tylko takiego używała. Dużo o niej myślę. Była dla mnie najważniejsza, więc kiedy jej zabrakło, coś we mnie pękło, strzeliło, rozleciało się na kawałki. Przeczuczuwałam, że wydarzy się zło. Adela i Konrad tyle razy dawali sobie sygnały, mówiąc o niej, że to już najwyższy czas, więc byłabym ślepa, gdybym tego nie zauważyła. Musiałam ich rozdzielić. Do samego końca wierzyłam, że zdołam kontrolować Konrada, mając go blisko siebie. I naturalnie, że dzięki naszemu małżeństwu jego komitywa z moją siostrą rozleci się na strzępy. Nie powinien grać w jej drużynie, a jednak to robił. Ja pociągałam go fizycznie, ale to Adela rządziła jego psychiką. Cały czas siedziała mu w głowie. Byli tacy sami, z jednej gliny. Niebezpieczni. A w samym środku tego układu tkwiła nasza matka, zdana na łaskę i niełaskę nas, swoich córek. Nie miała pojęcia, dlaczego wychodzę za Konrada. Miała mi to za złe. Nigdy jej nie powiedziałam, że to dla jej dobra. Wolałam, żeby w tej swojej nieświadomości przeklęła mnie, a stanęła po stronie ograbionej ze szczęścia Adeli. To była ostatnia szansa na ich pojednanie. Być może dzięki temu Adela wybaczyłaby naszej matce lata doświadczonej obojętności. Czasami jeden gest potrafi zmienić człowieka. Ale Adeli nie zmienił, nie potrafiła jej odpuścić nawet wtedy. Nigdy nie zrozumiała, dlaczego matka trzymała ją krótko; nie dlatego, że jej nie kochała. Podobnie jak ja wiedziała, że dusza Adeli jest mętna i że wystarczy chwila nieuwagi, by poszła na dno.

Siedem minut.

Wciąż kołyszę na rękach Gaję, ale już zaczyna się wiercić, jakby przeczuwała, że znów czeka nas długa podróż.

– Jeszcze chwilę – szepczę jej do ucha ukrytego pod ciepłą czapeczką i całuję ją w czoło. – Jeszcze moment.

A jednak ich nie upilnowałam. Odkąd Konrad wyznał mi, w jaki sposób skończył z życiem jego ojciec, zaczęłam mu się baczniej przyglądać. Nie żebym nie rozumiała, że są sytuacje, w których trzeba pomóc odejść z tego świata komuś, kto nie chce na nim już dłużej żyć. Jednak sposób, w jaki mówił o przysłudze oddanej ojcu i o uldze, którą odczuwał ten człowiek, zwisając na sznurze w piwnicy ich bloku, był dla mnie przerażający. Ludzie określają to jako zabawę w Boga. W przypadku mojej matki tych Bogów było dwóch. A właściwie dwoje. Po tym, jak się dowiedziałam, że nie żyje, wciąż nie docierało do mnie, że mogli się do tego posunąć. Gdyby nie to, że pewnego dnia szukałam czegoś w szufladzie Konrada, nie miałabym tej pewności do końca swoich dni. Ta jedna koperta z kartą zgonu zmieniła wszystko. Przestałam czuć się bezpiecznie we własnym domu. Każdego dnia udawałam, że jestem oddana, szczęśliwa i zakochana w moim mężu. Trudno jest udawać miłość, ale i tego można się nauczyć, jeśli chce się przetrwać i pewnego dnia odpłacić tą samą monetą.

Teraz, kiedy od ludzi, za sprawą których zaznałam tyle goryczy i krzywdy, dzielą mnie setki kilometrów, zaczynam odczuwać ulgę. Coś we mnie powoli puszcza. Trzymam w plecaku bilety na daleki rejs, a oni są tam, gdzie być powinni. Nie wiem, co z nimi będzie, nie zamierzam o nich myśleć. Nie chcę ich nigdy więcej widzieć. Zrobiłam to, co do mnie należało. Dla siebie i dla mamy. Może choć teraz mi wybaczy, że jej nie ochroniłam.

Pięć minut.

Zaraz zamkną bramki. Podnoszę się i podtrzymując Gaję, zarzucam sobie na ramię plecak i sięgam po walizkę w biedronki.

– Nie dźwigaj, kochanie. Daj mi przynajmniej małą – słyszę i obracam się za siebie.

Florian wyciąga ręce do naszej córki. Podnosi ją do góry, nad głowę i kołysze na boki.

– Moja mała podróżniczka – śmieje się i pokazuje mi jednocześnie głowę kieszeń w swojej kurtce. – Tylko taki znalazłem. Wyparzyłem w barze wrzątkiem, jak prosiłaś.

Wyjmuję z kieszeni zawinięty w chustkę smoczek z rysunkiem błękitnego delfinka. Gaja zaczyna kwękać, więc bez smoczka szesnastogodzinna podróż byłaby prawdziwym wyzwaniem.

– Jesteś gotowa? – Florian przyśpiesza kroku, bo poza nami przed bramkami nie ma już nikogo. – Chyba nie boisz się latać? – pyta mnie, wyciąga-

jąc jednocześnie nasze paszporty.

Dzięki uprzejmości polskiego konsulatu w Sztokholmie uwinęliśmy się z wnioskami praktycznie od ręki. Na same dokumenty czekaliśmy niecałe trzy tygodnie, które przesiedzieliśmy w tanim hostelu pod miastem. Kiedy wreszcie przyszły, poczuliśmy ulgę. Pachną świeżością i są naszą przepustką do wolności. Odebraliśmy je dwa dni temu i zaraz potem kupiliśmy bilety na samolot.

– A przy okazji, nie widziałaś mojego telefonu? Szukam go od dłuższego czasu. – Florian odruchowo przeszukuje kieszenie swojego płaszcza.

Nie, nie boję się latać. Niczego się już nie boję. Śmierć matki, poza poczuciem niesprawiedliwości, pozostawiła we mnie coś jeszcze. Pragnienie, by pokonać lęk przed śmiercią. Oswoić ją tak, jak oswoja się dzikie zwierzę. Mogłam to zrobić tylko w jeden sposób – wystawić się na próbę. Pomysł Floriana z Grą był ryzykowny, a tego właśnie potrzebowałam. Stopniowane ryzyko, najpierw wyznanie prawdy, potem samochód bez hamulców. Morris stał się moją kapsułą strachu i ocalenia zarazem. Lęk puścił. Wrócił dopiero wtedy, gdy wpadłam w łapy Stana. Byłam we wczesnej ciąży, a to cholernie zmienia całą perspektywę. To, że mnie wywiózł do tej jego samotni, było prawdziwym koszmarem. Przez pierwsze dni tkwiłam w zamknięciu, zmuszana do tego, by stać się taka jak on, jałowa, rozmodlona i czekająca na nirwanę. Miałam umrzeć wraz z nim, a właściwie rozpocząć nowe życie jako zasuszona mumia. Gdy powiedziałam, że spodziewam się dziecka, poluzował. Dostawałam więcej jedzenia i mogłam też wychodzić z sypialni. Poranne wymioty trwały u mnie całymi dniami. Trzymanie w pokoju miski z cuchnącą zawartością było więc nonsensem. Musiałam mieć dostęp do łazienki i czystej wody.

Ten horror trwał pół roku. Spałam z nim w jednym łóżku i jadałam przy jednym stole. Pozwalałam mu mnie malować i czesać. Godziłam się na wszystko, aby ocalić siebie i kielkującą we mnie Gaję. Kiedy wyjeżdżał do miasta, zostawiając mnie samą, jedyne, co mogłam robić, to czekać i modlić się o przeżycie. W końcu wymodliłam ucieczkę. Pewnego dnia wyjechał do pracy i nie zamknął za sobą dokładnie drzwi. Tych głównych. Wtedy myślałam, że to było przeoczenie, ale teraz zaczynam mieć wątpliwości. Tak bardzo chciał, żeby ktoś go pokochał i był z nim nawet przy otwartych drzwiach.

Mięknę, choć nie powinnam. Hormony, psia jego mać. Te trzy ciała w ogrodzie... Okazuje się, że ludzie, nawet ci najbliżsi, potrafią mieć obli-

cza całkiem inne od naszych wyobrażeń. Adela, Stan, Konrad... Ile rozczarowań może spaść na ramiona jednego człowieka? Kiedy biegłam przez las, w głowie kołatała mi tylko jedna myśl: nie wracaj... nie wracaj do domu, zaufaj sobie.

Była tylko jedna osoba, której naprawdę mogłam zaufać: Gina. Bez niej nie poradziłabym sobie. Spłaciła swój dług, i to z solidną nawiązką.

– Wolisz od okna? – Florian puszcza mnie, bym precyzyjnie się między fotelami. Podaje mi Gaję i sprawdza, czy mam zapięte pasy. Prosi stewardesę o dodatkowy koc i poduszkę, po czym wsuwa mi ją pod głowę. Koc łąduje na moich kolanach. – Cała się trzęsiesz. Aż tak ci zimno?

Dwie minuty do startu.

– Podają, że w Buenos Aires jest prawie trzydzieści stopni. Dasz wiarę, że wreszcie tam lecimy? To twoje miejsce na ziemi.

Uśmiecham się i ocieram łzę, która toczy się po moim policzku. Nie dlatego, że dzieje się coś, o czym od zawsze marzyłam. Dociera do mnie, że od tego, by Floriana przy mnie nie było, dzieliły mnie cztery minuty. Gdybym nie zabiła Stana przed północą. Kiedy wciskałam przycisk w smartwatchu, dając tym samym sygnał, że wykonałam zadanie, wciąż byłam pod ziemią, w całkowitej ciemności. Zbyt szybko błysnęło powiadomienie „Gra zakończona”. Zgasł wyświetlacz, zegar, aplikacja, wszystko. Potem myślałam już tylko o Gai. Uciekłam stamtąd, ale moja osobista rozgrywka z mężem i siostrą wciąż pozostawała niedokończona.

Wszystko miało pójść jak z płatka. W moim planie zamierzałam zwabić ich do domu Stana i zostawić, by załatwili sprawę po swojemu. Mieli ze sobą łomy, a Konrad dodatkowo trzymał w paczce papierosów strzykawkę ze środkiem zwiotczającym – swoją wizytówkę. Nie miałam złudzeń, że go wykończą, a ja dzięki temu zrealizuję swoje trzecie zadanie z Gry, nie brudząc sobie przy tym rąk. Ja natomiast miałam ze sobą dwa drobiazgi, które zabrałam z naszego domu wtedy, gdy zakradłam się, by wyprowadzić z garażu swojego mini. Były to wydruk z kasy pozostawiony po zamówieniu złożonym przez Konrada w Różach i Fiołkach, który znalazłam rzucony na jego biurku, oraz tabletki imigranów. Adela nie dość, że miała ich zapas w swoim mieszkaniu, to jedno opakowanie trzymała również u nas, na wypadek gdyby podczas wizyty rozboleła ją zatoka. Często po nie sięgała, robiła to nawet w kuchni Stana. Czy więc nie byłoby możliwe, gdyby

jedna z pigulek wypadła z blistra i została tam aż do przybycia policji? Jeśli chodzi o rachunek z kwiaciarni, podrzuciłam go w sypialni Stana, tuż przy toalecie. Konrad był wtedy zajęty przeglądaniem ubrań w szafie i tłumaczeniem mi, że Stan to w gruncie rzeczy porządny gość, tylko się pogubił. Rachunki potrafią wysunąć się z kieszeni i wcisnąć w jakiś kąt, czyż nie?

Sprawy potoczyły się jednak zupełnie inaczej, niż zakładałam. Stan zaczął szantażować mnie Gają, którą wykradł Ginie, więc koniec końców to Adela z Konradem odeszli z czystymi rękami, a ja musiałam walczyć o życie swoje i córki. Stałam się morderczynią.

Nie tylko to nie dawało mi spokoju. Kiedy było już po wszystkim i stanęliśmy w przydrożnej zatoczce, uzmysłowiłam sobie, że poza nami nikt nie wie o samotni w lesie, przez co ciało Stana może pozostać nieodnalezione przez długie tygodnie, podobnie jak podrzucone przeze mnie dowody. Tych dwoje zaś wciąż będzie się cieszyć wolnością. Wtedy pojawił się sprzedawca ryb. Ukryta za fotelami auta, obserwowałam jego rozmowę z Konradem. Widziałam, jak przygląda się jemu, Adeli i ich autom. Znalazłam w tym mężczyźnie niczego nieświadomego sprzymierzeńca.

Postanowiłam wrócić do stodoły i pod pretekstem odnalezienia strzykawki zaproszyłam ogień. Ludzie reagują na pożar błyskawicznie, więc nie miałam wątpliwości, że właściciel leżącej nieopodal wędzarni natychmiast zaalarmuje służby. To była moja jedyna szansa. Nie miałam pojęcia, czy Adela i Konrad pojawią się tam, by mnie szukać. Byłoby wręcz idealnie, gdyby stanęli oko w oko z mundurowymi, ale aż tak bardzo na to nie liczyłam. Musiałam zadowolić się myślą, że jest świadek, który ich rozpozna, i że pozostawione na miejscu dowody przydadzą się prokuraturze. Strzykawki nie zabrałam. Ukryłam ją przy ciele Stana tak, by nie dało się jej nie zauważyć. Była w końcu wizytówką mojego męża.

To była najdłuższa noc w moim życiu.

Florian bezbłędnie zgaduje, o czym myślę.

– Już dobrze, Miriam. Zaczynamy wszystko od nowa. Zerujemy licznik.

Argentyna. Kiedyś marzyliśmy o niej z dużo bardziej romantycznego powodu niż teraz. Jawiła się nam jako kraj barw, zabawy i tańca. Nieustającej fiesty. Zanim zapakowaliśmy się na prom i kupiliśmy w SAS bilety na samolot, sprawdziliśmy nie tylko to, jak bardzo kolorowe czeka nas życie. Ważniejsze było, że Argentyna nie ma z Polską umowy o ekstradycję. Podobno toczą się w tej sprawie rozmowy i niewykluczone, że za rok, dwa

będziemy zmuszeni stamtąd wyjechać i zniknąć gdzieś w czeluściach Ameryki Łacińskiej. Nasza tułaczka może nie mieć końca.

– Co z twoim synem? – pytam. Gaja wreszcie ze spokojem ssie smoczek i na dobrą sprawę tylko ona powinna mnie interesować, ale tak nie jest. – Być może już więcej go nie zobaczysz.

– Wiem. Ale jestem ci to winien. – Florian patrzy mi prosto w oczy. Widzę, że cierpi.

– Zerujemy licznik – powtarzam za nim i kładę mu głowę na ramieniu. – Od teraz nic nie jesteś mi winien. Wytrzymasz bez niego? Pozostanie ci Skype, przynajmniej na razie, a potem coś na pewno wymyślimy. Mam nadzieję, że Natalia już niedługo nauczy go, jak się śmiga po łączach.

– Dajmy mu podrosnąć. Krzyś ma niespełna rok, ale założę się, że kiedyś będzie w śmiganiu lepszy ode mnie. Ty też nieźle sobie poradziłaś z tym dziwnym adresem mailowym. Naprawdę myślałem, że dostałem wiadomość od samego Hetmana. Wiesz, że do tej pory się do mnie nie odezwał? Perfidny gnojek.

– Dobrze się stało. Może dzięki temu wciąż jesteś na tym świecie.

– Nigdzie się z niego nie wybierałem. Ale co by nie mówić, cieszę się, że to jednak byłaś ty. Muszę przyznać, że masz fenomenalne wyczucie czasu.

– To był czysty przypadek. A jeśli chodzi o tę moją wiadomość... Nie gniewaj się, ale nie mogłam się z tobą skontaktować inaczej. Gina użyczyła mi swojego komputera, bo mój telefon zniknął. Podejrzewam, że Stan ukradł go, kiedy pojawił się w naszym domu przy Rukoli. Miał czas, by go zniszczyć, kiedy czekał na mnie na ulicy, podczas gdy ja pakowałam do torby swoją rocznicową sukienkę. Gdybym zadzwoniła z obcego numeru, mógłbyś to uznać za czyjś wygłup. Nie uwierzyłybyś, że wciąż żyję, zwłaszcza że za chwilę miał się odbyć mój pogrzeb. Tym bardziej dziękuję, że potraktowałeś tego maila poważnie i że przyjechałeś tam, gdzie miałeś dostać kolejne wskazówki. Chciałam ci je wysłać, ale to wszystko potoczyło się tak szybko... Nie wiem, jak ci się odwdzięczę za to, że czekałeś na mnie tyle godzin.

– Żartujesz?

– Daleko w aucie Konrada bym nie zajechała. Musiałabym je w końcu porzucić.

– Nawet nie wiesz, co poczułem, gdy zamiast jakiegoś typu od Hetmana zobaczyłem na poboczu ciebie.

– Co? – Uśmiecham się czule. – Powiedz.

Florian ma łzy w oczach. To mi wystarczy, nie musi nic mówić.

– Co do tego drania to mam nadzieję, że pewnego pięknego dnia go w końcu zamkną – wracam jeszcze na chwilę do przykrych wspomnień. – Czuję, że policja już krąży nad nim jak sęp nad padliną.

– Obyś miała rację.

– Kiedy jechaliśmy na prom...

– Przykro mi, że musiałaś patrzeć na tego skopanego pijaczka pod knajpą. Gdybym wiedział, wybrałbym inne miejsce na postój. Wilga zawsze wydawała mi się takim spokojnym miejscem. Myślisz, że facet przeżył? Był ledwo ciepły.

– Nie wyczułam oddechu. Ale mam nadzieję, że udało się go uratować.

– Dobrze, że pobiegłem zadzwonić na pogotowie.

– Tak, dobrze. Jesteś dobrym człowiekiem.

Florian zaczyna przeszukiwać plecak. Szuka swojego telefonu, ale go nie znajdzie. Chyba nie potrzebuje wiedzieć, kto podrzucił go mężczyźnie pod sklepem. To już i tak nie ma żadnego znaczenia.

Stewardesa odprawia rytualny pokaz z kamizelką ratunkową i dmuchanym gwizdkiem. Gaja uśmiecha się przez sen. Jest taka spokojna. Ja też mogę wreszcie odpocząć.

Zamykam oczy.

Przypisy końcowe

[1](#) Juliusz Słowacki, Balladyna, w. 1216 i nast.

[2](#) Buddyjska szata zwana szatą wyzwolenia.

[3](#) Wyjątkowo toksyczna i trująca roślina. Napar z urushi powoduje drastyczne odwodnienie organizmu.

[4](#) Jedna z najbardziej zaawansowanych technik medytacyjnych w buddyzmie poprzedzających śmierć. W tym czasie szykujący się do opuszczenia swojego ciała mnich doznaje duchowego oświecenia.

[5](#) Lek zwiotczający mięśnie.